

KAŻDA JEGO KSIĄŻKA TO ŚWIATOWY BESTSELLER!

NELSON DEMILLE



ZŁOTE WYBRZEŻE

Fascynująca powieść. Wielki Catsby i Ojciec chrzestny w jednym.

David Morrell

DeMILLE NELSON

Złote wybrzeże #1

NELSON DeMILLE

Tom I

Przełożył:

ANDRZEJ SZULC

Tytuł oryginału:

THE GOLD COAST

Ilustracja na okładce:

STANISŁAW FERNANDES

Opracowanie graficzne:

ADAM OLCHOWIK

Redaktor.

MIRELLA HESS-REMUSZKO

Redaktor techniczny:

JANUSZ FESTUR

Copyright (c) 1990 by Nelson DeMille

For the Polish edition Copyright (c) 1992 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-85423-72-9

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 1992. Wydanie I

Skład: Zakład Fototype w Milanówku

Druk: Łódzka Drukarnia Dzielowa

**Moim trzem stawiającym pierwsze kroki autorom: Ryanowi, Laurenowi i Alexowi
Człowiek nie żyje tylko swoim życiem osobistym, jako jednostka, ale, świadomie bądź
nieświadomie, również życiem swojej epoki i swojego pokolenia.**

Tomasz Mann, Czarodziejska góra, przełożył Józef Kramsztyk

CZĘŚĆ I

Stany Zjednoczone są w istocie największym z poematów...

Walt Whitman, Przedmowa do Żdźbeł trawy, przełożył Juliusz Żuławski Rozdział 1
Po raz pierwszy spotkałem Franka Bellarosę pewnej słonecznej kwietniowej soboty na wysypanym żwirem parkingu przed szkołą Hicksa, w której od ponad stu lat zaopatruje się miejscowa arystokracja. Obaj toczyliśmy do naszych^ samochodów wypełnione sadzonkami i nawozami czerwone wózki.

–Pan Sutter? Pan John Sutter, prawda? – zawołał idąc w moją stronę.

Popatrzyłem na niego. Ubrany był w obszerne robocze spodnie oraz niebieską bluzę i z początku wziąłem go za pracownika szkoły, ale potem, kiedy się zbliżył, przypomniałem sobie, że znam jego fizjonomię z gazet i telewizji.

Frank Bellarosa nie należy do tych sławnych osobistości, na które człowiek chciałby się przypadkiem natknąć na ulicy i, jeśli mam być szczery, w jakimkolwiek innym miejscu. Jego sława to specjalność specyficznie amerykańska, człowiek ten jest mianowicie gangsterem.

W pewnych rejonach świata ktoś taki jak on ukrywałby się przed policją, w innych – byłby głównym lokatorem pałacu prezydenckiego, ale tutaj, w Ameryce, egzystuje w miejscu, które zgrabnie ochrzczono mianem podziemia. Jest przestępcą, nie postawiono go jednak w stan oskarżenia i nie skazano; poza tym płaci regularnie podatki i cieszy się pełnią praw obywatelskich. To o takich jak on myśli prokurator federalny, kiedy zakazuje facetom na zwolnieniu warunkowym "zadawać się ze znanymi kryminalistami".

Tak więc, kiedy zbliżyła się do mnie ta słynna postać świata

9

podziemnego, za żadne skarby nie mogłem się domyślić, skąd mnie zna, czego chce, ani dlaczego wyciąga do mnie rękę. Mimo to uściśnąłem ją.

–Tak, to ja – oznajmiłem.

–Nazywam się Frank Bellarosa. Jestem pańskim nowym sąsiadem.

Co takiego? Sądzę, że zachowałem kamienne oblicze, nie można jednak wykluczyć, iż drgnęła mi lekko powieka.

–O! – odezwałem się – to...

Naprawdę okropne.

–Tak. Dobrze, że pana spotkałem.

Po tym wstępie ja i mój nowy sąsiad ucieliśmy sobie krótką pogawędkę, przyglądając się zarazem zawartości naszych wózków. On kupił sadzonki pomidorów, bakłażanów, papryki i bazylii. Ja balsaminę i nagietki. Pan Bellarosa zasugerował, że powinienem zacząć hodować coś jadalnego. Oświadczyłem, że ja jadam nagietki, a moja żona odżywia się balsaminą. Uznał to za wyborny żart. Żegnając się, uścisnęliśmy sobie dłonie, nie czyniąc jednak żadnych towarzyskich planów, po czym wsiałem do swego forda bronco.

Było to najbanalniejsze pod słońcem spotkanie, ale kiedy zapalałem silnik, ujrzałem w nagłym olśnieniu (co mi się na ogół nie zdarza) przyszłość – i to, co zobaczyłem, wcale mi się nie spodobało.

Rozdział 2 Wyjechałem z parkingu i ruszyłem w stronę domu. Nie od rzeczy będzie być może wspomnieć, w jakiej okolicy zapragnął zamieszkać pan Bellarosa wraz z rodziną. Powiem bez ogródek: bardziej ekskluzywnego miejsca nie znajdziecie w całej Ameryce. Beverly Hills albo Shaker Heights mogą się przy nim wydać co najwyżej osiedlem domków jednorodzinnych. Miejscowi nazywają je North Shore, ale w całym kraju, a także za granicą, znane jest jako Gold Coast, czyli Złote Wybrzeże, choć nawet handlarze nieruchomościami boją się wymówić na głos te dwa słowa.

Można tu znaleźć stare fortuny, stare rodziny, stare towarzyskie cnoty, a także stare zapatrywania dotyczące na przykład kwestii, kto powinien dysponować prawem głosu, nie mówiąc już o przywileju posiadania ziemi. Złote Wybrzeże w niczym nie przypomina rustykalnej demokracji w stylu Jeffersona.

Nowobogackim, którzy potrzebują akurat nowego domu i rozumieją, co tu jest grane, mięknią trochę kolana, kiedy w wyniku jakichś finansowych komplikacji wystawia się na sprzedaż którąś z miejscowych posiadłości. Zawsze mogą się jeszcze wycofać i kupić coś na South Shore, gdzie nie grozi im popadnięcie w kompleksy. Jeśli jednak zakupią kawałek Złotego Wybrzeża, czynią to z drżącym sercem, zdają sobie bowiem sprawę, że nie będą tu mieli łatwego życia i nie powinni raczej próbować pożyczycić od mieszkańca sąsiedniego pałacu szklaneczki Johnnie Walkera z czarną nalepką.

Ale ktoś taki jak Frank Bellarosa, myślałem, nie będzie sobie

w ogóle zdawał sprawy z tego, że otaczają go niebiańskie istoty i lodowe góry towarzyskiego bojkotu. Nie będzie miał najmniejszego pojęcia, że stąpa po "Ziemi Świętej".

Albo jeżeli nawet to do niego dotrze, będzie dbał o to tyle, co o zeszłoroczny śnieg. (Byłoby to zresztą o wiele bardziej interesujące).

W ciągu kilku minut rozmowy wywarł na mnie wrażenie człowieka obdarzonego prymitywnym rodzajem elan vital, czymś, co ma w sobie żołnierz zdobywczey, reprezentującej niższą cywilizację armii, obejmujący na kwaterę okazałą willę pokonanego patrycjusza.

Bellarosa nabył, jak zaznaczył, posiadłość graniczącą z moją. Moja nazywa się Stanhope Hall, jego nosi miano Alhambry. Tutejsze posesje noszą nazwy, nie numery, ale nie chcąc utrudniać życia amerykańskiej poczcie, poszerzyłem swój adres o nazwę ulicy, Grace Lane, oraz miejscowości, Lattingtown. Mam również kod pocztowy, którego podobnie jak wielu moich sąsiadów rzadko używam, posługując się za to starym określeniem Long Island. Mój adres brzmi zatem następująco: Stanhope Hall, Grace Lane, Lattingtown, Long Island, New York. Poczta dochodzi.

Moja żona Susan i ja nie mieszkamy właściwie w samym Stanhope Hall, który jest ogromną, liczącą pięćdziesiąt pokoi, artystycznie zorganizowaną stertą granitu z Vermont. Same tylko rachunki za jej ogrzewanie doprowadziłyby mnie do bankructwa już w lutym. Żyjemy w skromniejszym, piętnastopokojowym domku gościnnym, zbudowanym na przełomie stuleci w stylu angielskiego dworku. Rodzice mojej żony ofiarowali go jej wraz z dziesięcioma z dwustu należących do Stanhope Hall akrów ziemi jako ślubny prezent. Wracając do poczty, to listonosz zostawia ją dla nas w stróżówce, jeszcze skromniejszym, sześciopokojowym kamiennym domku, zamieszkiwanym przez George'a i Ethel Allardów.

Allardowie zaliczają się do tak zwanych domowników, co oznacza, że kiedyś tu pracowali, obecnie zaś raczej się nie przemęczają. George był niegdyś zarządcą posiadłości, zatrudnionym przez ojca mojej żony, Williama, i jej dziadka, Augusta. Moja żona pochodzi z rodu Stanhope'ów.

Wielki, pięćdziesięciopokojowy pałac stoi teraz pusty, a George pełni funkcję kogoś w rodzaju dozorczy całego dwustuakrowego obszaru. Razem z Ethel mieszka za darmo w stróżówce, z której

wykwaterowano odprawionego w latach pięćdziesiątych stróża i jego żonę. George robi, co może, wzięwszy pod uwagę ograniczone fundusze rodzinne. W duchu przestrzega etyki pracy, ale ciało ma mdłe. Susan i ja odkryliśmy, że pomagamy Allardom w* większym stopniu, niż oni pomagają nam, co nie stanowi tutaj wyjątku. George i Ethel dbają głównie o teren wokół stróżówki, strzygąc żywopłot, malując bramę z kutego żelaza, przycinając bluszcz oplatający ich domek i mur posiadłości, a także wysadzając na wiosnę fance. Pozostała część posiadłości znajduje się, nieodwołalnie, w rękach Pana Boga.

Skręciłem z drogi na wysypaną żwirem aleję i stanąłem przy bramie, która jest zwykle dla naszej wygody otwarta – wyłącznie przez nią mamy bowiem dostęp do Grace Lane i otaczającego nas szerokiego świata.

George zbliżył się do mnie statecznym krokiem, wycierając dłonie o zielone robocze spodnie. Otworzył przede mną drzwiczki samochodu, zanim sam zdążyłem to zrobić.

–Dzień dobry, sir – powiedział.

George wywodzi się ze starej szkoły, z nielicznej warstwy profesjonalnych służących, która rozkwitła kiedyś na krótko w naszej wspaniałej demokracji. Miewam czasem napady snobizmu, ale służalczość George'a wprawia mnie na ogół w zakłopotanie. Moja żona, która urodziła się, żeby korzystać z bogactwa, w ogóle na to nie zwraca uwagi, a jeśli nawet, to nic sobie z tego nie robi. Otworzyłem bagażnik forda.

–Pomożesz mi? – zapytałem.

–Oczywiście, sir, oczywiście. Proszę pozwolić mi się tym zająć. – Wyjął skrzynki z nagietkami i balsaminą i postawił je na trawie przy wysypanej żwirem alei. – Wyglądają naprawdę dobrze w tym roku, panie Sutter. Ładne sadzonki pan dostał. Zasadzę te przy bramie, a potem pomogę panu w pańskim ogródku.

–Poradzę sobie sam. Jakże się miewa pani Allard?

–Bardzo dobrze, panie Sutter. To miło, że pan zapytał.

Moje rozmowy z George'em są zawsze cokolwiek sztuczne, chyba że stary trochę sobie golnie.

George urodził się w posiadłości Stanhope'ów jakieś siedemdziesiąt lat temu i w jego wspomnieniach z dzieciństwa przewijają się szalone lata dwudzieste, Wielki Kryzys i zmierzch złotej ery

w latach trzydziestych. Po krachu w roku 1929 wciąż organizowano tutaj bale z debutantkami, regaty i mecze polo, ale jak oznajmił mi kiedyś w chwili szczerości George: "Wszyscy tutaj stracili serca.

Stracili pewność siebie, a po wojnie ostatecznie skończyły się dobre czasy." Wiem o tym wszystkim z książek historycznych i dzięki swego rodzaju osmozie, której doświadcza się żyjąc tutaj. Ale George ma bardziej szczegółową i osobistą wiedzę na temat Złotego Wybrzeża i kiedy tylko trochę wypije, opowiada historie o tutejszych wielkich rodach: kto kogo posuwał, kto kogo zastrzelił w szale zazdrości i kto zastrzelił się z rozpacz. Miejscową służbę łączyły tutaj, i do pewnego stopnia łączą nadal, specyficzne powiązania i dzięki wymianie informacji zyskuje się dostęp do bractwa, gromadzącego się w stróżówkach i kuchniach funkcjonujących jeszcze wielkich domów, a także w miejscowych proletariackich pubach. Mamy tutaj do czynienia z amerykańską wersją Upstairs, Downstairs i Bóg jeden wie, co wygadują o mnie i o Susan.

Ale choć George nie odznacza się zbytnią dyskrecją, jest za to lojalny. Na własne uszy słyszałem, jak tłumaczył kiedyś facetowi przycinającemu gałęzie, że Sutterowie są dobrymi chlebobdawcami.

Właściwie nie jest zatrudniony przeze mnie, ale przez rodziców Susan, Williama i Charlotte Stanhope'ów, którzy są na emeryturze, mieszkają w Hilton Head i starają się pozbyć pałacu, zanim pociągnie ich na dno. Ale to inna historia.

Ethel Allard to także inna historia. Zachowuje się zawsze poprawnie i sympatycznie, lecz tuż pod powierzchnią kipi w niej klasowy gniew.

Nie mam wątpliwości, że jeśli ktoś kiedyś podniesie wysoko czerwoną flagę, Ethel Allard uzbroi się w kamień wyrwany z chodnika i ruszy na mój dom. Z tego, co wiem, ojciec Ethel, właściciel dobrze prosperującego sklepu, wpadł w tarapaty w wyniku błędnej porady inwestycyjnej udzielonej mu przez bogatych klientów, a następnie zbankrutował z powodu ich niewypłacalności. Jego bogaci klienci nie mogli zapłacić za dostarczone im na kredyt towary, sami bowiem również stali się bankrutami. Działo się to oczywiście w roku 1929 i od tamtej pory nic nie jest już tutaj takie jak niegdyś. Bankrutując, a następnie zapijając się na śmierć, strzelając do siebie i skacząc z okien, bądź też po prostu znikając i zostawiając na pastwę losu swoje

domy, swoje długi i swój honor, ludzie bogaci, jak sądzę, nadużyli w pewien sposób zaufania klas niższych. Wiem jednak, jak trudno jest współczuć ludziom bogatym, i potrafię zrozumieć punkt widzenia Ethel.

Niemniej jednak od czasu Wielkiego Kryzysu minęło jakieś sześćdziesiąt lat i być może czas już oszacować niektóre straty.

Jeżeli ta okolica nie wydaje się wam typowo amerykańska, zapewniam was, że jest; mylą tylko zewnętrzne pozory i krajobraz.

–Więc, jak już mówiłem, panie Sutter – trajkotał mi nad głową George – kilka dni temu dostały się do Stanhope Hall jakieś dzieciaki i urządziły sobie w nocy przyjęcie.

–Czy zniszczenia są duże?

–Nie bardzo. Mnóstwo butelek po alkoholu i sterta tych... no... tych rzeczy.

–Kondomów?

Kiwnął głową.

–Więc zrobiłem porządek i wstawiłem dyktę w okno, przez które dostali się do środka. Ale lepszy byłby arkusz blachy.

–Zamów go. Na mój rachunek.

–Tak, sir. Jest wiosna i...

–Tak, wiem. / Wiosną aktywniej działają hormony i miejscowa młodzież poczuła wolę bożą. Prawdę mówiąc, sam włamywałem się nieraz do opuszczonych rezydencji. Trochę wina, kilka świeczek, tranzystorowe radio nastawione na WABC, może nawet ogień w kominku, choć to byłaby już pewna przesada. Nie ma jak uprawianie miłości w ruinach.

Zainteresowało mnie, że kondomy znowu wróciły do łask. – Żadnych śladów narkotyków?

–Nie, sir. Tylko alkohol. Na pewno nie życzy pan sobie, żebym zawiadomił policję?

–Nie.

Miejscowa policja interesuje się wprawdzie problemami tutejszego ziemiaństwa, ale nie chciało mi się łączyć po liczącym pięćdziesiąt pokoi pałacu w towarzystwie siłowych

się na uprzejmość gliniarzy. Nie wyrządzono zresztą żadnych szkód.

Wsiadłem do forda i minąłem bramę, chrzęszcząc oponami po żwirze, którym z rzadka wysypana była alejka. Żeby położyć zaledwie cal nowej nawierzchni dla uzupełnienia zimowych ubytków, potrzeba

sześciuset jardów sześciennych tłucznia, po sześćdziesiąt dolarów jard.

Zanotowałem sobie w pamięci, że muszę przekazać tę dobrą wiadomość mojemu teściowi.

Dom, w którym mieszkam, stoi w odległości mniej więcej dwustu jardów od bramy i pięćdziesięciu jardów od głównej alei, z którą łączy go wąska, jednopasmowa dróżka. Jej także przydałoby się trochę żwiru. Sam dom jest w dobrym stanie. Kamień importowany z Cotswold, ceramiczna dachówka oraz miedziane framugi i rynny prawie nie wymagają konserwacji i są niemal tak samo trwałe jak aluminiowe ściany i plastikowe okna z winylu. Ściany pokrywa bluszcz, który trzeba będzie przyciąć, kiedy wypuści nowe, jasnozielone pędy, a za domem rozciąga się ogród różany, dopełniający wrażenia, iż znaleźliśmy się w wesołej starej Anglii.

Przed domem stał samochód Susan, wyścigowy, zielony jaguar XJ-6, prezent od jej rodziców. Kolejny angielski rekwizyt. Miejscowi obywatele są na ogół anglofilami; zostaje się nimi poprzez sam fakt zamieszkania w tej okolicy.

–Lady Stanhope! – zawołałem wchodząc do środka.

Susan odpowiedziała mi z ogrodu różanego, wyszedłem więc na dwór tylnymi drzwiami. Zastałem Susan siedzącą w ogrodowym fotelu z kutego żelaza. Tylko kobiety, jak sądzę, mogą siedzieć na czymś takim.

–Witaj, pani. Czy wolno mi cię dopaść?

Piła herbatę; w chłodnym kwietniowym powietrzu nad filiżanką unosiła się para. Na grządkach, wśród nagich różanych krzewów kwitły żółte krokusy i lilie; na wskazówce słonecznego zegara usiadł drozd. Widok byłby bardzo radosny, gdyby nie to, że Susan była najwyraźniej nadąsana.

–Jeździłaś konno? – zapytałem.

–Tak. Dlatego właśnie ubrana jestem w strój do konnej jazdy i śmierdzą koniem, mój ty Sherlocku.

Usiadłem naprzeciw niej na żelaznym stoliku.

–Nigdy nie zgadniesz, kogo spotkałem w szkółce Hicksa.

–Nie, nie zgadnę.

Przez chwilę jej się przyglądałem. Jest uderzająco piękną kobietą, jeśli wolno mi

powiedzieć coś takiego o własnej żonie. Ma ogniste, rude włosy, które wedle mej ciotki Cornellii stanowią niezawodną

oznakę szaleństwa, i zielone kocie oczy, hipnotyzujące zupełnie obcych ludzi. Jest lekko piegowata, a na widok jej wydatnych warg mężczyźni natychmiast zaczynają myśleć o miłości francuskiej. Ma gibkie i prężne ciało; każdy chciałby, aby jego licząca czterdzieści lat żona po urodzeniu dwójki dzieci miała takie. Kluczem do jej szczęścia i zdrowia, powie wam to od razu, jest jeździectwo. Uprawia je w lecie, na jesieni, w zimie i na wiosnę, w słońcu, śniegu i ślocie. Zakochany jestem w tej kobiecie do szaleństwa, choć zdarzają się chwile, jak choćby teraz, kiedy się dąsa i zamyka w sobie. Ciotka Cornelia także mnie przed tym przestrzegala.

–Spotkałem naszego nowego sąsiada – powiedziałem.

–O? Z firmy przewozowej HRH?

–Nie, nie.

Jak wiele tutejszych posiadłości, Alhambra zakupiona została, wedle wpisu w księgach, przez jakąś korporację. Sprzedaż miała miejsce w lutym, publicznie ogłoszono ją tydzień później. Pośrednik twierdził, że nie zna nazwiska nabywcy, ale opierając się na różnych pogłoskach i przeprowadzonym przez starą gwardię dochodzeniu, zawężono krąg ewentualnych kupców do Irańczyków, Koreańczyków, Japończyków, handlujących farmaceutykami Latynosów lub członków mafii. To mniej więcej wyczerpywało listę grożących nam okropności.

I rzeczywiście, wszyscy wyżej wymienieni nabywali ostatnio domy i ziemię na Złotym Wybrzeżu. Któż inny dysponowałby taką ilością forsy? Kruszył się system obronny, republikę wystawiano pod młotek.

–Mówi ci coś nazwisko Frank Bellarosa? – zapytałem.

Susan zastanawiała się przez chwilę.

–Nie sędzę.

–Mafia.

–Naprawdę? To on jest naszym nowym sąsiadem?

–Tak powiedział.

–Czy powiedział, że należy do mafii?

–Oczywiście, że nie. Znam go z gazet i telewizji. Nie chce mi się wierzyć, że nigdy o nim nie słyszałaś. Frank Biskup Bellarosa.

–Jest biskupem?

–Nie, Susan, to tylko taki mafijny pseudonim. Wszyscy tam noszą pseudonimy.

–Naprawdę?

2 – Złote Wybrzeże Łyknęła herbaty i spojrzała nieobecny wzrokiem na ogród.

Susan, podobnie jak wielu innych mieszkańców tego rajskiego ogrodu, niezbyt interesuje się światem zewnętrznym. Czyta Trollope'a i Agathę Christie, nigdy nie słucha radia, a telewizora używa tylko do oglądania kaset ze starymi filmami. O tym, jaka będzie pogoda, dowiaduje się przez telefon. Lokalne wydarzenia poznaje za pośrednictwem zamieszczającego tylko dobre wiadomości tygodnika i kilku snobistycznych magazynów, które obsługują zamożną społeczność Złotego Wybrzeża.

Co się tyczy złych wiadomości, przyswoiła sobie zasadę Thoreau: jeśli przeczytałeś opis jednej katastrofy kolejowej, przeczytałeś o wszystkich.

–Niepokoi cię ta wiadomość? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

–A ciebie?

Jako adwokat nie lubię, kiedy ludzie odpowiadają mi pytaniem na pytanie, udzieliłem więc wymijającej odpowiedzi.

–Nie. Istotnie, Grace Lane będzie teraz dobrze strzeżona przez FBI i patrole miejscowej policji.

Przez chwilę najwyraźniej zastanawiała się nad tym.

–Ten człowiek... – odezwała się w końcu -jak on się nazywa?

–Bellarosa,

–No właśnie. Porozmawiam z nim o szlakach jeździeckich i o prawie przejazdu przez jego posiadłość.

–Dobry pomysł. Potraktuj go ostro.

–Zrobię to.

Przyszedł mi w związku z tym na myśl głupi, choć przyzwoity dowcip i postanowiłem opowiedzieć go Susan.

–Krzysztof Kolumb schodzi na ląd... to żart... i mówi do grupy rdzennych Amerykanów: "Buenos Dias!" – albo może raczej: "Buongiornor A wtedy jeden z

Indian odwraca się do żony i mówi:

"Będziemy mieli nowego sąsiada".

Susan uśmiechnęła się uprzejmie.

Wstałem i wyszedłem przez furtkę z ogrodu zostawiając moją żonę razem z jej herbatą, humorami i problemem, jak wytłumaczyć szefowi mafii, że, zgodnie z tradycją panującą w tej okolicy, dopuszcza się możliwość przejeżdżania konno przez cudzą posiadłość.

Rozdział 3 Miejscowa tradycja głosi, że jeśli przekracza się granicę cudzej posiadłości pieszo, narusza się prawo; jeśli czyni się to konno, korzysta się ze szlacheckiego przywileju.

Nie wiedziałem, czy pan Frank Bellarosa został już o tym powiadomiony, a jeśli tak, czy gotów jest honorować ten zwyczaj. Niemniej, nieco później tego samego sobotniego popołudnia, przekroczyłem szpaler białych sosen, wzdłuż którego biegnie granica naszych posiadłości. Siedziałem na grzbiecie Jankesa, drugiego konia mojej żony, sześćoletniego wałacha mieszanej krwi. Jankes ma dobry charakter w przeciwieństwie do Zanzibara, delikatnego arabskiego ogiera, którego zwykle dosiada Susan. Na Jankesie można sobie ostro pojeździć i zostawić go spoconego bez obawy, iż zaraz padnie na zapalenie płuc; Zanzibar znajduje się pod nieustanną opieką weterynaryjną z racji trapiących go tajemniczych i kosztownych dolegliwości. Jankes, podobnie jak mój ford bronco, wypełnia po prostu bez żadnych fochów zadanie, do którego został stworzony, podczas gdy jaguar Susan co drugi tydzień wędruje do warsztatu. Przypuszczam, że taka jest cena, którą się płaci za ekstrawagancję.

Wyjechałem spomiędzy sosen na otwarte pole, niegdyś końskie pastwisko, gdzie teraz wyrosły krzaki i najrozmaitsze młode drzewka, które, jeśli dać im wolną rękę, zamienią to miejsce z powrotem w dziewiczy las.

Byłem pewien, że Bellarosa, podobnie jak większość mu podobnych, dba nie tyle o zachowanie intymności, co o osobiste bezpieczeństwo,

i w każdej chwili spodziewałem się natknąć na śniadego rewolwerowca, z włosami zaczesanymi gładko do tyłu, w czarnym garniturze i butach z ostrymi czubkami.

Jechałem dalej polem w stronę wiśniowego sadu. Zapadał właśnie zmierzch, powietrze było balsamiczne i wokół mnie unosił się zapach świeżej ziemi. Słysząc było tylko dudnienie stąpających po miękkiej darni podków Jankesa i dochodzące z daleka wieczorne trele ptaków.

Wszystko razem składało się na wspaniałe późne popołudnie wczesną wiosną.

Wjechałem w wiśniowy sad. Powykręcane i nie pielęgnowane od dawna gałęzie starych drzew obsypane były świeżymi liśćmi, wśród których rozwijały się właśnie różowe kwiaty.

Na polance pośrodku sadu znajdowała się zapadła, wyłożona mozaiką sadzawka, której dno wypełniały zeszlóroczne liście. Wokół niej leżały przewracane żłobione kolumny i popękane kamienne belki. Po drugiej stronie stał pokryty mchem posąg Neptuna z wyciągniętą, pozbawioną trójzębu ręką. Sprawiało to wrażenie, jakby bóg morza wyprowadzał właśnie prawy sierpowy. U swych stóp miał Neptun cztery ryby, z których otwartych pysków tryskała niegdyś woda. Był to jeden z klasycystycznych, imitujących rzymskie ruiny, ogrodów Alhambry. Ironia losu sprawiła, że teraz obracał się w prawdziwą ruinę.

Sama Alhambra nie jest budynkiem klasycystycznym, lecz krytym czerwoną dachówką, otynkowanym na biało hiszpańskim pałacykiem z kamiennymi łukami i balkonami z kutego żelaza. Cztery podtrzymujące portyk kolumny sprowadzono w latach dwudziestych z Kartaginy, kiedy zapanowała moda na klasycyzm i można było bezkarnie plądrować miejsca archeologicznych wykopalisk.

Szczerze mówiąc, nie wiem, co sam bym zrobił, mając tyle forsy, lubię jednak wyobrazić sobie, że okazałbym, nieco umiaru. Ale zachowanie umiaru stało się warunkiem przetrwania dopiero w dzisiejszych czasach, kiedy kurczą się dostawy prawie wszystkich potrzebnych do życia towarów. W szalonych latach dwudziestych nie myślało się bynajmniej o oszczędzaniu. Człowiek może być tylko produktem swojej własnej epoki, żadnej innej.

Minąłem zapuszczony ogród i wjechałem na niewielkie wzgórze.

W odległości około jednej czwartej mili na wschód stała pogrążona

w cieniu Alhambra. Jedyne światło paliło się w oknie balkonu na drugim piętrze. Z tego, co wiedziałem, znajdowała się tam biblioteka.

Biblioteka Alhambry, jak wiele elementów wyposażenia największych tutejszych pałaców, znajdowała się pierwotnie w Europie.

Pierwszym właścicielem i budowniczym Alhambry, państwu Juliusom Dillworthom, spodobała się rzeźbiona ręcznie, dębowa biblioteka goszczącego ich podczas podróży po Europie angielskiego para, którego nazwisko i tytuł umknęły mi z pamięci. Dillworthowie złożyli mu niespodziewaną acz korzystną ofertę i odziany w tweed stary dżentelmen, najprawdopodobniej zubożały w wyniku tej samej Wielkiej Wojny, na której dorobili się jego goście, nie wahał się zbyt długo.

Wpatrywałem się w okno biblioteki mniej więcej przez minutę, a potem zawróciłem Jankesa i zjechałem ze wzgórza z powrotem do ogrodu.

Dostrzegłem białego konia skubiącego świeżą trawę, rosnącą między dwiema przewróconymi kolumnami. Dosiadała go znajoma, ubrana w obcisłe dżinsy i czarny golf postać. Zerknęła ku mnie na chwilę, kiedy nadjeżdżałem, a potem uciekła spojrzeniem w bok.

Miałem przed sobą własną żonę, Susan, ale sądząc po jej zachowaniu, nie była teraz sobą. Rozumiem przez to, że pragnęła wystąpić w roli kogoś innego.

–Coś ty za jedna? – zawołałem, pragnąc się dostosować.

Spojrzała na mnie ponownie.

–A ty coś za jeden? – odparła lodowatym tonem.

Właściwie nie byłem tego pewien, ale postanowiłem improwizować.

–To moja ziemia – oznajmiłem. – Zabłądziłaś, czy może świadomie naruszyłaś jej granice?

–Ani to, ani to. I wątpię, by ktoś, ubrany tak jak ty i dosiadający tak nędznej kobyły, mógł być panem tej ziemi.

–Nie bądź zuchwałą! Czy jesteś sama?

–Byłam sama, dopóki nie nadjechałeś – odparowała.

Podjechałem Jankesem tak, że stanął u boku jej białego araba.

–Jak cię zwa?

–Daphne. A ciebie?

–Powinnaś wiedzieć, czyja to ziemia – odparłem, nie miałem bowiem czasu, aby wymyślić sobie jakieś odpowiednio brzmiące nazwisko. – Zsiadaj z konia.

–A to dlaczego?,

–Bo ja tak mówię. Jeśli sama nie zejdziesz, ściągnę cię na ziemię i dam ci zakosztować mojej szpicruty. Z konia!

Po krótkim wahaniu usłuchała.

–Przywiąż konia. – • Przywiązała Zanzibara do gałęzi i stanęła twarzą do mnie.

–Zdejmij ubranie.

Potrząsnęła głową.

–Nie zrobię tego.

–Zrobisz – warknąłem. – Szybko!

Przez chwilę stała bez ruchu, a potem ściągnęła przez szyję golf obnażając jędrne piersi. Patrzyła na mnie z dołu trzymając sweter w ręce.

–Czy muszę to zrobić?

–Tak.

Upuściła sweter na ziemię i ściągnęła buty i skarpetki. Na koniec zdjęła dżinsy i figi, i rzuciła je na trawę.

Podjechałem bliżej koniem i przyjrzałem się jej, stojącej nago na tle zachodzącego słońca.

–Nie jesteś już taka arogancka, prawda, Daphne?

–Nie, panie.

W ten właśnie sposób powinno się według Susan podtrzymywać zainteresowanie małżeńskim seksem. Szczerze mówiąc występowanie w jej seksualnych fantazjach nie sprawia mi specjalnej przykrości.

Czasami przedstawienia te przebiegają według z góry przygotowanego scenariusza (autorstwa Susan); czasami, jak w tym przypadku, stanowią czystą improwizację. Scena zmienia się wraz z porami roku; w zimie robimy to w stajni lub, aby przypomnieć sobie naszą młodość, przy kominku w opuszczonej rezydencji.

To był nasz pierwszy wiosenny występ w plenerze. W widoku stojącej na polu lub w lesie nagiej kobiety jest coś, co pobudza najbardziej pierwotne instynkty, szydząc zarazem z wszelkich współczesnych konwencji dotyczących miejsc, w których powinno się uprawiać seks. Możecie mi wierzyć; człowiekowi nie przeszkadzają wówczas mrówki ani przelatujący trzmiel.

–Co masz zamiar ze mną zrobić, panie? – zapytała.

–Wszystko, co zechcę.

Przyglądałem się stojącej bez ruchu, z opadającymi na twarz kosmykami rudych włosów Susan, która czekała cierpliwie na mój rozkaz. Nigdy nie uczyła się aktorstwa, ale gdyby obrała taką karierę, zostałaby znakomitą tragiczką; po wyrazie jej twarzy nie sposób było poznać, że jest moją żoną, i że to tylko zabawa. Była naga, bezbronną kobietą, którą miał za chwilę zgwałcić nieznajomy jeździec. Naprawdę drżały jej kolana i wydawała się szczerze przerażona.

–Proszę, panie, zrób ze mną, co zechcesz, ale zrób to szybko.

Nie jestem zbyt dobry w improwizacjach i wolę, kiedy Susan zapozna mnie wcześniej ze swoim scenariuszem, tak żebym wiedział, kim jestem albo w jakiej przynajmniej znajdujemy się epoce. Czasami jestem Rzymianinem, czasami barbarzyńcą, innym razem rycerzem albo arystokratą, ona zaś niewolnicą, wieśniaczką albo wyniosłą damą, która dostaje to, na co zasłużyła.

Podjechałem Jankesem do niej i ująłem ją za podniesiony podbródek.

–Wstydzisz się?

–Tak, panie.

Powinienem wspomnieć, że Susan gra często role osób dominujących, a ja występuję wtedy jako nagi niewolnik na targu lub obnażony więzień, który zasłużył sobie na parę batów, albo ktoś taki. Aby nikt nie pomyślał sobie, że jesteśmy do cna zepsuci, dodam, iż oboje należymy do Partii Republikańskiej oraz Kościoła Episkopalnego, i regularnie uczestniczymy w nabożeństwach, chyba że trwa właśnie sezon żeglarski.

W tym konkretnym przypadku miałem niejasne przeczucie, że znajdujemy się mniej więcej w siedemnastym wieku. Stąd wzięło się to "Nie bądź zuchwałą" i cała reszta głupawego skądinąd dialogu.

Staralem się wymyślić następną imponującą kwestię.

–Czy to ty jesteś Daphne, żona tego zdrajcy, sir Johna Worthingtona? – zapytałem w końcu.

–To ja, panie. A jeśli ty jesteś naprawdę Lord Hardwick, przybyłam tu błagać cię, byś wstawił się za moim mężem u króla jegomości.

W tym momencie rzeczywiście miałem twardego knota* i żałowałem, że nie założyłem luźniejszych spodni. * Ang. hard – twardy, wiek – knot. (Wszystkie

przypisy tłumacza).

–Jestem Hardwick w każdym calu – odparłem i zobaczyłem, jak przez jej twarz przebiega uśmiech.

Padła na kolana i objęła rękoma mój but.

–Błagam cię, milordzie, przekaż moją petycję królowi Karolowi.

Historia nie jest moją najmocniejszą stroną, ale zazwyczaj udaje mi się z tym nie zdradzić. W naszych przedstawieniach nie chodzi zresztą wcale o historię.

–A jak masz mi się zamiar odwdzięczyć, jeśli to zrobię? – zapytałem.

–Zrobię wszystko, co zechcesz.

Chodziło właśnie o to. Prawdę mówiąc, podczas tych spektakli to zwykle ja pierwszy dochodzę do pełnej gotowości i teraz również pragnąłem jak najprędzej przejść do sceny finałowej.

–Wstań – rozkazałem.

Gdy się podniosła, ująłem ją za nadgarstek, wyjmując jednocześnie nogę ze strzemienia.

–Wsadź prawą stopę w moje strzemię.

Włożyła bosą stopę w strzemię, a ja podciągnąłem ją do góry, twarzą do siebie. Znaleźliśmy się oboje w ciasnym angielskim siodle.

Susan objęła mnie ramionami i przycisnęła nagie piersi do mego ubrania. Trąciłem lekko Jankesa, który ruszył do przodu.

–Wyjmij go.

Rozpięła mi rozporek i wyjęła Lorda Hardwicka, ujmując go w ciepłe dłonie.

–Wsadź go sobie – powiedziałem.

–Robię to tylko dlatego, żeby uratować życie mego męża. Jest jedynym mężczyzną, którego w życiu zaznałam.

Przez myśl przeszło mi kilka zgrabnych odpowiedzi, ale moim intelektem władały teraz bez reszty hormony.

–Wsadź go! – ponagliłem.

Uniosła się i zrobiła to, wydając jednocześnie okrzyk zdumienia.

–Tak trzymaj.

Trąciłem piętą Jankesa, który zaczął biec klusem. Susan ścisnęła mnie mocniej i opłotła silnymi udami. Przytuliła twarz do mojej szyi, a kiedy koń przyspieszył, jęknęła. To już nie była gra.

Nie zważałem teraz na nic, w żyłach miałem płynny ogień.

Kawalerzysta ze mnie dość mierny i ze swymi skromnymi umiejętnościami jeździeckimi nie do końca potrafiłem sprostać zadaniu. Jankes przebiegł pięknym klusem przez wiśniowy sad, a potem przez pastwisko. Ciężkie powietrze wypełnione było końskim odorem, zapachem naszych ciał i zdeptanej ziemi. Między nami unosiła się piźmowa woń Susan.

Boże, co za jazda! Susan oddychała głośno i jęczała przy mojej szyi, ja dyszałem, a między nami było coraz bardziej mokro.

Doszła do szczytu pierwsza i krzyknęła tak głośno, że spłoszyła siedzącego w krzakach bażanta. Ja miałem orgazm w sekundę później i szarpnąłem odruchowo za wodze tak mocno, że niewiele brakowało, byśmy się zwalili na ziemię razem z Jankesem.

Koń przystanął i zaczął skubać trawę, jakby się nic nie stało. Susan i ja przywarliśmy do siebie, próbując złapać oddech.

–Co za jazda... – udało mi się w końcu z siebie wykrztusić.

Susan uśmiechnęła się.

–Przykro mi, że naruszyłam twój teren, panie.

–Skłamałem. To wcale nie moja ziemia.

–Nie szkodzi. Ja także nie mam męża, który popadł w niełaskę u króla.

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

–Co tutaj robisz? – zapytała.

–To samo, co ty. Wybrałem się na przejażdżkę.

–Odwiedziłeś naszego nowego sąsiada?

–Nie – odparłem. – Ale widziałem światło w jego oknie.

–Mam zamiar z nim porozmawiać.

–Może lepiej się najpierw ubierz.

–Większy sukces mogę odnieść idąc do niego tak, jak jestem.

Czy jest przystojny?

–Całkiem, całkiem. Śródziemnomorski typ urody.

–To świetnie.

Zawróciłem Jankesa.

–Zawiozę cię z powrotem tam, gdzie został Zanzibar i twoje rzeczy.

Wyprostowała się w siodle.

–Nie, zsiądę tutaj i wrócę na piechotę.

–Wolałbym, żebyś tego nie robiła.

–Wszystko w porządku. Przytrzymaj mnie za rękę.

Zeskoczyła na ziemię i odeszła.

–Nie masz czasu na rozmowę z Bellarosą – zawołałem za nią. – Znowu spóźnimy się do Eltonów.

Machnęła ręką na dowód, że mnie słyszy. Obserwowałem moją idącą nago przez pastwisko żonę, aż zniknęła w cieniu wiśniowego sadu, po czym zawróciłem Jankesa i ruszyłem do domu.

Po mniej więcej minucie byłem w stanie schować Lorda Hardwicka z powrotem w spodnie.

Zdarza mi się kochać z moją żoną, Susan Stanhope Sutter, w naszym małżeńskim łóżu i bardzo to lubimy. Uważam jednak, że małżeństwa tkwiące bez reszty w szarej codzienności skazane są na porażkę, podobnie jak skazane są na załamanie jednostki, które nie mogą pozwolić sobie na ucieczkę w marzenia. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że pary, które wcielają w życie swoje seksualne fantazje, muszą uważać, żeby nie owdadła nimi ciemna strona psyche. Susan i ja dochodziliśmy kilkakrotnie do tej granicy, ale zawsze się cofaliśmy.

Przejechałem przez szpaler białych sosen, który oddzielał ziemię Bellarosy od posiadłości Stanhope'ów. Nie za bardzo podobało mi się to, że naga Susan musiała przejść kilkaset jardów w zapadających ciemnościach, ale kiedy moja żona mówi "wszystko w porządku" – oznacza to: "zostaw mnie w spokoju".

Podsumowałem w myślach mijający dzień. Kwiaty zostały zakupione i posadzone, okna pałacu zabite dyktą, na lunch zjedliśmy dostarczone z delikatesów kurczaki ze szparagami, potem pozałatwiałem sprawy w wiosce i odbyłem popołudniową przejażdżkę, a przy okazji udało mi się pokochać z własną żoną. Pod każdym względem interesująca, pożyteczna i pełna wrażeń sobota. Lubię soboty.

Rozdział 4 Siódmego dnia Pan Bóg odpoczywał i można w związku z tym mniemać, że jego liczące sześć dni dzieło robiło chyba to samo.

George i Ethel Allardowie traktują Dzień Pański bardzo poważnie, podobnie jak większość klasy robotniczej, która pamięta jeszcze sześciodniowy tydzień i dziesięciogodzinny dzień pracy. W związku z tym troskę o przycinanie pędów angielskiego bluszczu, które zasłaniają widok z moich okien, Pan pozostawia mnie.

Tego dnia odkładam na bok sprawy zawodowe, ale pracując przy domu rozmyślam o tym, co trzeba będzie załatwić w poniedziałek rano.

Susan i ja przycinaliśmy bluszcz do dziesiątej rano, po czym umyliśmy się i przebrali do kościoła.

Susan siadła za kierownicą jaguara i podjechaliśmy pod stróżówkę, żeby zabrać George'a i Ethel, którzy czekali już przy drzwiach, George w swoim porządnym brązowym garniturze, a Ethel w bezkształtnej sukience w kwiatki, na które wraca niestety moda; kobiety, które uparły się je nosić, wyglądają jak tapeta z lat czterdziestych.

Allardowie mają swój własny samochód, starego lincolna, którego zostawił im w roku 1979 William Stanhope, kiedy przenosił się razem z Charlotte Stanhope do Hilton Head w Karolinie Południowej.

George pełnił czasem dodatkowo obowiązki szofera Stanhope'ów i mimo podeszłego wieku nadal jest dobrym kierowcą. Ale ponieważ obecnie odprawia się w parafii Świętego Marka tylko jedno nabożeństwo, ktoś mógłby pomyśleć, że zadzieramy nosa, gdybyśmy nie

zapropowali, że ich podwieziemy. Niezręcznie też byłoby prosić, żeby to on prowadził. Być może jestem trochę przeczulony, ale muszę zachowywać się, jakbym stąpał po linie, grając jednocześnie rolę pana tej ziemi i zatrudnionego u George'a i Ethel pomocnika dozorca.

Z George'em zresztą nie ma żadnych problemów; problemy są z czerwoną Ethel.

Allardowie wsiedli do samochodu i wszyscy zgodziliśmy się, że zapowiada się kolejny piękny dzień. Susan skręciła na południe w Grace Lane i wcisnęła gaz do dechy. Wiele z tutejszych dróg służyło pierwotnie jako trasy jeździeckie i są wciąż wąskie, kręte, wysadzone szpalerami pięknych drzew i diabelnie niebezpieczne. Pędzący szybko samochód znajduje się przez cały czas o włos od katastrofy.

Mająca mniej więcej milę długości Grace Lane jest drogą prywatną.

Oznacza to, że nie obowiązuje na niej oficjalne ograniczenie szybkości, istnieje za to granica praktyczna. Susan uważa, że wynosi ona siedemdziesiąt mil na godzinę, ja – że czterdzieści. Mieszkający przy Grace Lane obywatele, przeważnie posiadacze ziemscy, zobowiązani są do utrzymania jej w należytych stanie. Większość innych prywatnych dróg Złotego Wybrzeża przekazano już rozsądnie hrabstwu, miejscowej wiosce, stanowi Nowy Jork albo jakiegokolwiek innej jednostce administracyjnej, która zobowiązała się w dowód wdzięczności wydrenować je i pokryć nawierzchnią (co kosztuje mniej więcej sto tysięcy dolarów za jedną milę). Jednakże kilku mieszkańcom Grace Lane (zwłaszcza tym, którzy są bogaci, dumni i uparci, które to cechy zazwyczaj występują jednocześnie) udało się dotąd skutecznie zablokować wszelkie próby przerzucenia kosztów jej utrzymania na barki niczego nie podejrzewających podatników.

Susan trzymała się swego limitu szybkości i czułem, jak asfalt rozpląszcza się pod kołami niczym czekoladowy cukierek.

Starsi ludzie milkną na ogół przy dużej szybkości i Allardowie nie odzywali się wiele z tylnego siedzenia, co bynajmniej mi nie przeszkadzało. George nie będzie w niedzielę rozmawiał o swojej pracy, a wszelkie inne tematy wyczerpaliśmy już dawno temu. W drodze powrotnej dyskutujemy czasami na temat kazania. Ethel lubi wielebnego Jamesa Hunningsa, ponieważ podobnie jak wielu innych moich episkopalnych bliźnich, stoi on daleko na lewo od Karola Marksa.

Co niedziela każe nam się wstydzić naszego względnego bogactwa

i nakłania do podzielenia się częścią naszych brudnych pieniędzy z dwoma miliardami mniej szczęśliwych śmiertelników.

Ethel szczególnie podobają się kazania na temat sprawiedliwości społecznej, równości i tak dalej. Siedzimy tam wszyscy pospołu, potomkowie arystokracji razem z kilkoma czarnymi i latynoskimi współwyznawcami oraz resztkami białej klasy robotniczej, i słuchamy wielebnego Hunningsa, który przedstawia nam swój pogląd na sprawę Ameryki i świata tak długo, że nie starcza potem czasu na pytania i odpowiedzi.

W czasach mojego ojca i dziadka ten sam Kościół usytuowany był nieco na prawo od Partii Republikańskiej, a duchowni kierowali swe kazania przede wszystkim do służby oraz robotników i robotnic w tylnych ławkach, rozprawiając o posłuszeństwie, ciężkiej pracy i obowiązkach wobec chlebodawców, a nie o rewolucji, bezrobociu i prawach człowieka. Moi rodzice, Joseph i Harriet, którzy jak na swoje czasy i swoją klasę społeczną byli dość liberalni, dostaliby z pewnością kolki słysząc, co wygaduje się dzisiaj z ambony. Nie sądzę, żeby Panu Bogu zależało na tak jątrzących nabożeństwach.

Problem z kościołem, z każdym kościołem, polega według mnie na tym, że w przeciwieństwie do lokalnego klubu wejść do niego może dosłownie każdy. Rezultatem tej polityki otwartych drzwi jest fakt, że przez jedną godzinę w tygodniu wszystkie klasy społeczne muszą kajać się przed Bogiem pod tym samym dachem, obserwując się wzajemnie.

Nie proponuję bynajmniej wprowadzenia prywatnych kościołów ani ławek pierwszej klasy, jak to było kiedyś; nie uważam także, by zmieniły tu coś przyćmione światła. Wiem jednak, że dawno temu rozumiało się samo przez się, iż pewni ludzie uczestniczą we wcześniejszym nabożeństwie, a inni – w późniejszym.

Po tym, co zostało tutaj powiedziane, czuję, że powinienem coś dodać w obronie swoich poglądów, które ktoś mógłby uznać za antydemokratyczne. Po pierwsze, nad nikogo się nie wywyższam, a po drugie, wierzę gorąco, że wszyscy urodziliśmy się wolni i równi. Ale czuję się także społecznie wyalienowany i kiedy opuszczam swoje bezpośrednie sąsiedztwo, nie wiem, gdzie jest moje miejsce w naszej zmieniającej się stale demokracji, nie wiem, jak przeżyć pożytecznie i godnie swoje życie pośród otaczających mnie ruin. Wielebny Hunnings uważa, że zna odpowiedzi na te pytania. Ja wiem tyle tylko, że twierdząc tak nie ma racji.

Wjeżdżając do Locust Valley Susan zwolniła. Miasteczko sprawia raczej przyjemne wrażenie, jest zadbane i dostatnie. W centrum znajduje się stacja linii kolejowej Long Island, którą dojeżdżam do Nowego Jorku.

Mieliśmy w Locust Valley butiki na długo przedtem, zanim ktokolwiek zetknął się z tym słowem, ostatnio jednak pojawiła się nowa fala modnych, bezużytecznych sklepów.

Kościół pod wezwaniem świętego Marka, niewielka gotycka budowla z piaskowca, z porządnymi, importowanymi z Anglii witrażami, stoi na północnym skraju miasteczka. Wzniesiono go w roku 1896 za wygrane w pokera pieniądze, które skonfiskowały dla żartu żony sześciu graczy-milionerów. Wszystkie poszły potem do nieba.

Susan zaparkowała jaguara tarasując wyjazd jakiemuś rolls-royce'owi i wszyscy ruszyliśmy szparko do kościoła, w którym były już dzwony.

–Uważam, że wielebny Hunnings ma rację. Każdy z nas powinien w Wielkim Tygodniu wziąć pod swój dach przynajmniej jednego bezdomnego – oznajmiła w drodze powrotnej Ethel.

Susan dodała gazu i weszła w zakręt z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę, wgniatając Allardów w siedzenia i zamykając usta Ethel.

–Sądzę, że ojciec Hunnings sam powinien postępować w zgodzie z tym, czego naucza – odezwał się George, zawsze lojalny sługa. – Na tej ich wielkiej plebanii nie mieszka nikt oprócz niego i jego żony.

George rozpozna hipokrytę, kiedy go tylko usłyszy.

–Pani Allard – powiedziałem – nie mam nic przeciwko temu, by wzięła pani pod swój dach na Wielkanoc jednego bezdomnego.

Czekałem, aż poczuję na swoim gardle garrottę i usłyszę trzask zaciskającego się rzemienia. – ; Być może wpierw napiszę do pana Stanhope'a i jego zapytam o zgodę – usłyszałem w odpowiedzi.

Touche! W jednym krótkim zdaniu przypomniała mi, że to nie ja jestem właścicielem, i wywinęła się z potrzasku. Jeśli chodzi o poglądy społeczne* ojciec Susan nie różni się wiele od nazistowskiego bojówkarza. Jeden zero dla Ethel.

Susan wjechała na szczyt wzgórza siedemdziesiątką, o mało nie

wpadając na tylny zderzak małego czerwonego triumpha – model TR-3, z roku 1964, jak sądzę. Przeskoczyła na sąsiednie pasmo i wyprzedziła triumpha, uciekając w ostatniej chwili przed nadjeżdżającym porsche.

Susan przeprowadza pewną odmianę eksperymentu Pawłowa, stawiając nas przed ewentualnością nagłej śmierci za każdym razem, kiedy ktoś w samochodzie poruszy temat nie wiążący się bezpośrednio z pogodą albo końmi.

–Niewiele padało tej wiosny – powiedziałem.

–Ale ziemia wciąż jest wilgotna po marcowym śniegu – dodał George.

Susan zwolniła.

Siadam za kierownicą podczas połowy naszych wypraw do świętego Marka, a przez trwający trzy miesiące sezon żeglarski w ogóle opuszczamy nabożeństwa. Jazda do kościoła jest zatem niebezpieczna tylko dwadzieścia razy w roku.

Zauważyłem, że kiedy Susan wiezie mnie do świętego Marka (a potem odwozi do domu), czuję się właściwie bliżej Boga niż w kościele.

Moglibyście zapytać, dlaczego w ogóle chodzimy do świętego Marka albo dlaczego nie zmienimy kościoła. Powiem wam, że chodzimy do świętego Marka, bo chodziliśmy tam zawsze; oboje zostaliśmy tam ochrzczeni i wzięliśmy ślub. Chodzimy tam, ponieważ chodzili tam nasi rodzice i chodzą tam nasze dzieci, Carolyn i Edward, kiedy przyjeżdżają do domu na ferie.

Chodzę do świętego Marka z tej samej przyczyny, dla której moczę wędkę w stawie Francisca dwadzieścia lat po tym, kiedy złapano w nim ostatnią rybę. Chodzę, żeby podtrzymać tradycję, chodzę z przyzwyczajenia i z nostalgii. Chodzę nad staw i do kościoła, ponieważ wierzę, że wciąż coś w nich jest, mimo że od dwudziestu lat nie widziałem ani jednej rybki i ani razu nie poczułem obecności Ducha Świętego.

Susan przejechała przez otwartą bramę i zatrzymała się przy stróżówce, żeby wysadzić Allardów. Życzyli nam dobrego dnia i weszli do środka, gdzie czekały na nich ich niedzielne gazety i niedzielna pieczeń.

Susan ruszyła dalej aleją.

–Nie rozumiem, dlaczego nie podszedł do drzwi – powiedziała.

–Kto?

–Frank Bellarosa. Powiedziała ci, podjechałam pod sam dom i zawołałam w stronę okna, w którym paliło się światło. Potem pociągnęłam za dzwonek przy wejściu dla służby.

–Byłaś naga?

–Oczywiście, że nie.

–No cóż, w takim razie z pewnością nie interesowała go pogawędka z odzianą od stóp do głów, zadzierającą nosa amazonką.

To Włoch.

Susan uśmiechnęła się.

–To taki duży dom – powiedziała. – Może po prostu mnie nie usłyszał.

–Nie spróbowałaś od frontu?

–Nie. Wszędzie były wykopy, porozrzucany sprzęt budowlany i żadnego światła.

–Jaki sprzęt budowlany?

–Betoniarki, rusztowania, takie rzeczy. Wygląda na to, że odwalił tam mnóstwo roboty.

–To dobrze.

Susan podjechała pod dom.

–Chcę załatwić z nim tę sprawę końskich ścieżek. Masz ochotę ze mną pójść?

–Niespecjalnie. Poza tym nie sądzę, żeby w dobrym tonie było zwracać się do nowego sąsiada z jakimś problemem, dopóki nie złożyło mu się towarzyskiej wizyty.

–To prawda. Powinniśmy przestrzegać zwyczaju i zasad dobrego wychowania. Wtedy i on nie będzie ich naruszał.

Nie byłem tego taki pewien, ale nigdy nic nie wiadomo. Czasami wpływ sąsiedztwa,

podobnie jak kultury czy cywilizacji, jest na tyle silny, że asymiluje każdą liczbę nowo przybyłych. Ale nie wiem, czy ta prawidłowość jeszcze tutaj obowiązuje.

Na pozór wszystko wygląda tak samo – Irańczycy i Koreańczycy, których widuję w naszej wiosce, noszą błękitne blezery, brązowe spodnie i top-sidery – ale zmieniła się treść. Czasami staje mi przed oczyma groteskowy obraz odzianych w tweed i szkocką kratę pięciuset Chińczyków, Arabów i Hindusów, którzy nagradzają grzecznie oklas32 kami nasze jesienne mecze polo. Nie chciałbym uchodzić za rasistę, ale ciekaw jestem, dlaczego bogaci cudzoziemcy pragną kupować nasze domy, a także ubierać się i zachowywać tak jak my. Pewnie powinno mi to pochlebiać i pewnie pochlebia. Rzecz jednak w tym, że ja nigdy nie odczuwałem potrzeby, by zasiąść w namiocie i jeść palcami wielbłądzie mięso.

–John? Czy ty mnie słuchasz?

–Nie.

–Masz ochotę wybrać się ze mną z towarzyską wizytą do Franka Bellarosy?

–Nie.

–Dlaczego nie?

–Poczekajmy, aż on odwiedzi nas.

–Ale powiedziałeś przed chwilą...

–Nieważne, co powiedziałem. Nie wybieram się tam i ty też się nie wybierasz.

–Kto powiedział, że się nie wybieram?

–Lord Hardwick.

Wysiadłem z samochodu i ruszyłem do domu. Susan zgasiła silnik i podążyła w ślad za mną. Weszliśmy do środka. Zapadło między nami takie milczenie, które zawsze zapada po małżeńskiej sprzeczce i które podobne jest tylko do owej straszliwej ciszy, jaka następuje pomiędzy pierwszym błyskiem a falą uderzeniową bomby atomowej. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

–W porządku. Poczekamy – powiedziała Susan. – Masz może ochotę na drinka?

–Owszem.

Susan weszła do jadalni, wyjęła z barku butelkę brandy i przeniosła się do spiżarni. Podążyłem w ślad za nią. Wzięła z kredensu dwa kieliszki i nalała do nich brandy.

–Chcesz czystą?

–Możesz dolać trochę wody.

Zakręciła korek, naląła za dużo wody do brandy i wręczyła mi kieliszek. Trąciliśmy się i wypiliśmy tam, w spiżarni, po czym przenieśliśmy się do kuchni.

–Czy istnieje jakaś pani Bellarosa? – zapytała.

–Nie wiem.

3 – Złote Wybrzeże – Czy pan Bellarosa miał na palcu obrączkę?

–Nie zwracam na takie rzeczy uwagi.

–Zwracasz, kiedy masz przed sobą atrakcyjną kobietę.

–Nonsens.

Oczywiście, że nonsens. Jeżeli mam przed sobą atrakcyjną kobietę i mam akurat ochotę na flirt, nie dbam o to, czy jest samotna, zaręczona, zamężna, w ciąży, rozwiedziona, czy w czasie miodowego miesiąca. Może dlatego nigdy nie posuwam się dalej. Fizycznie nie zdradzam nigdy mojej żony. W przeciwieństwie do mnie, Susan nie jest flirciarą, a na takie kobiety trzeba uważać.

Usiadła za wielkim okrągłym stołem w naszej kuchni urządzonej w angielskim stylu rustykalnym.

Otworzyłem lodówkę.

–Jemy dziś obiad z Remsenami, w klubie – powiedziała.

–O której?

–O trzeciej.

–Zjadłbym jabłko.

–Dałam wszystkie koniom.

–No to zjem coś innego.

Wyjąłem salaterkę z nowozelandzkimi wiśniami i zamknąłem drzwi lodówki. Zjadłem wiśnie na stojąco, wypluwając pestki do zlewu i popijając brandy. Świeże wiśnie świetnie pasują do brandy.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. Na ścianie tykał kuchenny zegar.

–Zrozum, Susan – powiedziałem w końcu. – Gdyby ten facet był sprzedawcą perskich dywanów, koreańskim importerem albo kimkolwiek innym, zachowywałbym się wobec niego jak wzorowy sąsiad. I jeśli komuś tutaj by się to nie spodobało, miałbym to gdzieś.

Ale pan Frank Bellarosa jest gangsterem i wedle tego, co piszą gazety, jednym z

głównych przywódców mafii w Nowym Jorku. A ja jestem adwokatem, a także, o czym może nie warto wspominać, szanowanym członkiem tutejszej społeczności. Telefony Bellarosa są na podsłuchu, a jego dom pod obserwacją. Muszę być bardzo ostrożny w kontaktach z tym człowiekiem.

–Rozumiem pańskie stanowisko, panie Sutter – odparła Susan. – Są ludzie, którzy również Stanhope'ów zaliczają do szanowanych członków tutejszej społeczności.

–Nie bądź sarkastyczna, Susan. Mówię jako adwokat, a nie jako snob. Połowa moich zarobków pochodzi od ludzi, którzy tutaj mieszkają i u których cieszę się reputacją człowieka prawego i uczciwego.* – W porządku, ale pamiętaj o tym, co powiedział Tolkien.

–A cóż takiego powiedział Tolkien?

–Powiedział: "Jeżeli mieszkasz niedaleko żywego smoka, niewiele ci pomoże wyłączenie go z twoich kalkulacji".

Rzeczywiście – nie pomoże. Dlatego właśnie starałem się uwzględnić w swoich rachubach istnienie pana Franka Bellarosy.

Rozdział 5 Obiad z Lesterem i Judy Remsenami w klubie "The Creek" zaczął się całkiem miło. Rozmowa dotyczyła w większości ważnych problemów społecznych (nowy mieszkaniec, którego posiadłość graniczyła z klubem, wniósł pozew do sądu, domagając się zaprzestania strzelania do rzutków, co jak twierdził, terroryzuje jego dzieci i psa), istotnych problemów międzynarodowych (w maju w Southampton ponownie miały się odbyć mistrzostwa świata zawodowców w golfie) oraz palących problemów ekologicznych (zajmujące około stu akrów resztki dawnej posiadłości Guthrieach przeszły w ręce pośredników, którzy starali się o zezwolenie na wzniesienie na nich dwudziestu willi w cenie dwóch milionów dolarów każda).

–Oburzające – stwierdził Lester Remsen, który podobnie jak ja nie jest milionerem, ale posiada bardzo ładny, przerobiony ze starej powozowni domek oraz dziesięć akrów wykrojonych z dawnej posiadłości Guthrieach. – Oburzające i z ekologicznego punktu widzenia absolutnie niedopuszczalne – dodał.

Posiadłość Guthrieach stanowiła kiedyś wspaniałą, opadającą w dół tarasami, trzystuakrowy rajski ogród, w którego centrum wznosił się Meudon – licząca osiemdziesiąt pokoiów replika Pałacu Meudon pod Paryżem. W latach pięćdziesiątych rodzina Guthrieach wolała zburzyć pałac, niż płacić za całą posiadłość podatki jak za teren zabudowany.

Niektórzy z miejscowych uważali zburzenie Pałacu Meudon za świętokradztwo, inni uznali to za akt swoistej dziejowej sprawiedliwości. Pierwszy właściciel, doradca klanu Rockefellerów, William D.

Guthrie, wykupił bowiem i zburzył w roku 1905 całą wioskę Lattingtown – sześćdziesiąt domów i sklepów. Zabudowania te nie pasowały najwyraźniej do jego planów. To dlatego Lattingtown nie ma centrum i musimy jeździć do sąsiedniej Locust Valley po zakupy, do kościoła i tak dalej. Ale, jak powiedziałem wcześniej,

była to epoka, kiedy Amerykanie wykupywali za swoje pieniądze kawałki Europy lub też próbowali je tutaj odtworzyć. Skromna wioska Lattintown, niewielkie, liczące nie więcej jak sto dusz osiedle, nie potrafiła się oprzeć ofercie trzykrotnie przewyższającej wartość rynkową, podobnie jak nie był tego w stanie zrobić angielski arystokrata, który sprzedał swoją bibliotekę, aby stała się ozdobą Alhambry.

I być może to, co dzieje się obecnie – to znaczy fakt, iż spekulanci, cudzoziemcy i gangsterzy wykupują z rąk częściowo zrujnowanej i zdziesiątkowanej podatkami amerykańskiej arystokracji pałace, które obróciły się albo rychło obrócą się w ruinę – stanowi akt sprawiedliwości dziejowej albo, jak wolicie, swoistej ironii losu. Nigdy nie miałem nic wspólnego z wielkimi pieniędzmi i dlatego żywię w tej sprawie ambiwalentne uczucia. W moich żyłach płynie dość błękitnej krwi, bym odczuwał nostalgię za przeszłością i nie gnębiło mnie zarazem poczucie winy, które ma ktoś taki jak Susan, ktoś, kto zdaje sobie sprawę, że pochodzi z rodziny, której pieniądze były kiedyś niczym buldożer miażdżący wszystko i wszystkich, którzy stanęli na jego drodze.

–Przedsiębiorcy budowlani obiecują, że zachowają większość rzadkich okazów drzew i przeznaczą dziesięć akrów na park, jeśli sporządzimy dla nich za darmo ekspertyzę. Być może mógłbyś się z nimi spotkać i oznaczyć drzewa.

Kiwnąłem głową. Jestem tutaj kimś w rodzaju lokalnego specjalisty od drzew. Właściwie jest nas cała grupa; należymy do "Towarzystwa Ogrodniczego Long Island". Kiedy moi sąsiedzi odkryli, że wznosząc wysoko ekologiczny sztandar, można powstrzymać ekipy budowlane, nagle stałem się potrzebny. Żeby było zabawniej, właśnie względy ekologiczne stanowią jedną z przyczyn, dla której Stanhope'owie nie mogą wcisnąć nikomu swoich dwustu akrów, co jest korzystne dla mnie, ale nie dla mego teścia. Znajduję się w związku z tym w trochę niezręcznej sytuacji. Więcej o tym później.

–Zorganizuję ochotników – powiedziałem Lesterowi – i oznaczymy drzewa. Napiszemy, jak się nazywają i tak dalej. Kiedy wchodzi tam ekipy budowlane?

–Za trzy tygodnie.

–Zrobię, co będę mógł.

Wciąż zadziwia mnie fakt, że niezależnie od tego, ile wybuduje się domów w cenie miliona dolarów każdy, nigdy nie zabraknie na nie chętnych. Kim są ci ludzie? I skąd biorą na to pieniądze?

Lester Remsen i ja zajęliśmy się tymczasem problemem strzelania do rzutków. Według wczorajszego Long Island Newsday sędzia wydał nakaz tymczasowego zamknięcia strzelnicy, nie bacząc na to, iż działała ona dłużej niż pięćdziesiąt lat przed zakupieniem przez powoda swego domu i w ogóle przed jego urodzeniem. Potrafię jednak zrozumieć punkt widzenia drugiej strony. Zwiększa się gęstość zaludnienia i trzeba wziąć pod uwagę wymagania dotyczące bezpieczeństwa i normy dopuszczalnego hałasu. Nie urządzi się już w okolicy ani jednego polowania na jelenie i bażanty, a klub myśliwski "Meadowbrook" w ostatnich latach swojego istnienia musiał wyznaczać coraz bardziej pokrętne trasy, aby koniom i psom udało się wyminąć supermarkety i podmiejskie podwórka. A i tak mówiło się o terroryzowaniu nowych mieszkańców.

Wiem, że idziemy w ariergardzie, starając się chronić styl życia, który powinien zaniknąć dwadzieścia albo trzydzieści lat temu.

Rozumiem to i nie jestem rozgoryczony. Dziwię się tylko, że udało nam się wytrwać tak długo. Z tego właśnie względu powtarzam:

"Boże, błogosław Amerykę, kraj ewolucji, a nie rewolucji".

–Czy nie mogą zakładać na strzelby tłumików? – zapytała Susan.

–Tłumiki są nielegalne – poinformowałem ją.

–Dlaczego? – Żeby nie mogli ich nabyć gangsterzy – wyjaśniłem – i po kryjomu mordować ludzi.

–Założę się, że wiem, gdzie mógłbyś dostać tłumik – powiedziała i uśmiechnęła się szelmowsko.

Lester Remsen spojrział na nią zaintrygowany.

-A zresztą – kontynuowałem – bez hałasu to tylko połowa przyjemności.

Lester Remsen przytaknął i zapytał Susan, gdzie, u licha, mogłaby zdobyć tłumik.

Susan spojrzała na mnie i zorientowała się, że nie czas jeszcze na podejmowanie tego tematu. – Żartowałam tylko – powiedziała.

Klubowa jadalnia wypełniona była gośćmi^ którzy przyjechali tu spożyć niedzielny obiad. Okoliczne kluby, powinniście to wiedzieć, pełnią rolę umocnionych warowni w walce przeciwko Wizygotom i Hunom, których hordy zalewają nasz kraj i koczują wokół wielkich posiadłości w namiotach ze szkła i cedru, wyrastających w krótszym czasie, niż potrzebny jest do wyfroterowania marmurowych posadzek Stanhope Hall. W porządku, zadzieram trochę nosa, ale niedobrze mi się robi na widok tych przeszklonych pomników nowoczesności, które mnożą się jak wirusy, gdziekolwiek rzucić okiem.

Co się tyczy klubów, mamy ich rozliczne rodzaje: kluby wiejskie, golfowe, jeździeckie, żeglarskie i tak dalej. Ja należę do dwóch klubów:

"The Creek", gdzie właśnie jemy obiad z Remsenami, oraz do "Seawanhaka Corinthian Yacht Club", którego pierwszym komandorem był William K. Vanderbilt. Trzymam tam moją łódź, mierzący trzydzieści sześć stóp jacht typu Morgan.

Taki klub jak "The Creek" gazety lubią określać mianem "bardzo ekskluzywnego", co brzmi przesadnie, używają też określenia "prywatna enklawa bogaczy", co brzmi jak sentencja wyroku. Nie jest to zresztą prawda. Bogaci liczą się tutaj, nie ma co do tego wątpliwości.

Ale nie tak jak nowobogaccy, którym bogactwo starcza za wszystko. Żeby zrozumieć do końca to, co określa się czasami nazwą wschodniego establishmentu, trzeba zdawać sobie sprawę, że można być biednym, a nawet należeć do Partii Demokratycznej, a mimo to zostać przyjętym do "The Creek", jeśli tylko pochodzi się z dobrej rodziny, uczęszczało się do dobrej szkoły i zna się odpowiednich ludzi.

Remsen i ja, jak powiedziałem, wcale nie jesteśmy bogaci, ale przeszliśmy gładko przez komisję kwalifikacyjną zaraz po ukończeniu college'u, co jest zwykle najlepszą porą do ubiegania się o członkostwo, człowiek nie zdąży sobie bowiem jeszcze wtedy na ogół schrzanić życia ani wylądować w przemyśle odzieżowym. Prawdę mówiąc, wielce pomocne okazuje się posiadanie właściwego akcentu. Będąc produktem szkoły św. Tomasza z Akwinu przy Fifth Avenue na Manhattanie, szkoły przygotowawczej St. Paul w New Hampshire oraz uniwersytetu Yale, posiadam coś, co prawdopodobnie można określić jako akcent

studenta ze Wschodniego Wybrzeża. Dobrze jest mieć taki akcent.

W naszej okolicy przeważa jednak inna wymowa, znana (jak odkryłem, w całym kraju) pod mianem Zwartej Szczęki z Locust Valley. Przyswoiły ją sobie przede wszystkim kobiety, ale również niektórzy mężczyźni. Ktoś, kto opanował wymowę Zwartej Szczęki, potrafi wypowiadać się pełnymi i przeważnie zrozumiałymi zdaniami – w których aż roi się od szerokich samogłosek – bez otwierania ust, podobnie jak to czynią brzucho mówcy. To wcale niełatwa sztuczka.

Susan radzi sobie z tym całkiem nieźle, zwłaszcza kiedy jest razem ze swoimi przyjaciółkami. Człowiek wychodzi sobie na przykład na drinka na taras klubu, patrzy na nie, siedzące we czwórkę przy pobliskim stoliku i wygląda to tak, jakby się wzajemnie do siebie w milczeniu wykrzywiały. I nagle słyszy się słowa, całe zdania. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

Sam klub, którego nazwa pochodzi od potoku Frost Creek, płynącego jego północnym skrajem ku cieśninie Long Island, był pierwotnie posiadłością ziemską. W okolicy można tutaj znaleźć około tuzina innych klubów wiejskich i golfowych, ale poza naszym liczy się tylko jeden z nich, mianowicie "Piping Rock Club". "Piping Rock" uważany jest za jeszcze bardziej ekskluzywny niż "The Creek" i przypuszczam, że dzieje się tak dlatego, iż lista jego członków w większym stopniu pokrywa się z Rejestrem Towarzyskim. Ale w "Piping Rock" nie można sobie postrzelać do rzutków. Zresztą być może my tutaj także już sobie postrzelamy. Nazwisko Susan, nawiasem mówiąc, figuruje w Rejestrze Towarzyskim, podobnie jak jej rodziców, którzy oficjalnie wciąż utrzymują rezydencję w Stanhope Hall. Rejestr Towarzyski jest moim zdaniem nader niebezpiecznym dokumentem i nie powinno się go rozpowszechniać na wypadek, gdyby wybuchła rewolucja. Nie chciałbym, żeby jego kopia dostała się w ręce Ethel Allard. Mam w domu czapkę Johna Deere'a i zamierzam ją założyć, kiedy tłum wędruje przez bramę na teren posiadłości.

Stanę wówczas przed drzwiami mojego domu i zawołam: "Zajęliśmy już to miejsce! Pałac stoi u szczytu alei!" Ale Ethel i tak mnie zdemaskuje.

Susan uniosła wzrok znad malin.

–Nie wiesz może – zapytała Lestera – czegoś o facecie, który wprowadził się do Alhambry?

–Nie – odparł Lester. – Właśnie chciałem was o to samo zapytać. Podobno od miesiąca kursują tam ciężarówki i maszyny budowlane.

–Nikt jeszcze nie zauważył przeprowadzki, ale Edna DePauw twierdzi, że mniej więcej raz w tygodniu dowożą tam nowe meble.

Widziała na własne oczy. Myślicie, że już się wprowadzili?

Susan spojrzała na mnie.

–John spotkał wczoraj u Hicksa nowego właściciela – poinformowała Remsenów.

Lester popatrzył na mnie wyczekująco.

Odstawiłem filiżankę z kawą.

–Facet nazywa się Frank Bellarosa.

Nastąpiła chwila milczenia.

–Nazwisko brzmi jakoś znajomo – powiedziała namyślając się Judy. Spojrzała na Lestera, który przyglądał mi się, chcąc sprawdzić, czy nie żartuję.

–Ten Frank Bellarosa? – zapytał w końcu.

–Tak.

Lester nie odzywał się przez chwilę, czekając prawdopodobnie, aż minie mu skurcz żołądka, po czym odchrząknął i zapytał:

–Rozmawiałeś z nim?

–Tak. Właściwie miły z niego facet.

–Dla ciebie może być miły, ale...

Judy połączyła w końcu nazwisko z osobą.

–Gangster! Szef mafii! – krzyknęła.

Kilka głów przy innych stolikach odwróciło się w naszym kierunku.

–Tak – odpowiedziałem.

–Tutaj? Serio, tuż obok ciebie?

–Tak.

–No i co ty na to? – zapytał Lester.

Namyślałem się przez chwilę, po czym udzieliłem szczerzej odpowiedzi.

–Wolę mieć obok siebie jednego gangstera – powiedziałem – niż pięćdziesięciu nowobogackich maklerów giełdowych z ich wrzeszczącymi bachorami, kosiarkami do trawy i dymiącymi rożnami.

Kiedy wypowiedziałem to głośno, zabrzmiało to sensownie. Tyle tylko, że wolałbym tego głośno nie mówić. Nie muszę wyjaśniać, jak

niewłaściwie mogła zostać zinterpretowana i zacytowana w przyszłości ta wypowiedź, gdyby zaczęto ją powtarzać.

Lester Remsen spojrział na mnie przeciągle i zajął się swoją szarlotką.

–Czy możesz podać mi śmietankę? – odezwała się Judy do Susan, nie otwierając wcale ust.

–Oczywiście, kochanie – odparła Susan i tylko coś zatrzepotało jej w gardle. Myślę, że dźwięk wydobył się przez nos.

Uchwyciłem wzrok Susan. Mrugnęła do mnie, co sprawiło, że poczułem się lepiej. Nie czyniłem sobie wcale wyrzutów z powodu tego, co powiedziałem. Szkoda tylko, że wyleciało mi z pamięci, iż Lester jest maklerem giełdowym.

Zaczynały się problemy.

CZĘŚĆ II

Biznesem ameryki jest biznes

Calvin Coolidge

Rozdział 6 Następny tydzień minął bez żadnego incydentu.

W poniedziałek udałem się do mojej kancelarii w Locust Valley, we wtorek, środę i czwartek jak zwykle dojeżdżałem pociągiem do mego biura na Manhattanie, a w piątek znowu można mnie było zastać w Locust Valley. Przestrzegam tego rozkładu, kiedy tylko mogę, przebywam bowiem dzięki niemu w mieście dokładnie tyle, ile trzeba, żeby uchodzić za adwokata z Wall Street, a nie jestem przy tym codziennym pasażerem kolei podmiejskiej.

Mam udziały w firmie mojego ojca Perkins, Perkins, Sutter Reynolds. Co można o niej powiedzieć? Jest mała, stara, ekskluzywna, anglosasko-protestancka i znajduje się przy Wall Street. Nie muszę chyba mówić nic więcej. Kancelaria na Manhattanie mieści się w szacownym gmachu J.P. Morgana przy Wall Street pod numerem 23. Naszą klientelę stanowią przeważnie nie firmy, lecz bogate osoby prywatne. Wnętrze, którego wystrój prawie nie zmienił się od lat dwudziestych, przypomina coś, co nazywam anglosaskim salonikiem, i przesiąknięte jest zapachem zjełczalej cytrynowej pasty do podłóg, popękanej skóry, tytoniu do fajek oraz atmosferą szacunku.

Nawiasem mówiąc, w roku 1920 anarchiści podłożyli w tym gmachu bombę, zabijając i raniąc około czterystu osób – na fasadzie wciąż widać pęknięcia – i w każdą rocznicę wybuchu zawiadamia się nas o kolejnej podłożonej bombie. To już taka lokalna tradycja. Po Wielkim Krachu odnotowano tu sześciu skaczących z wyższych pięter samobójców, co jak na jeden budynek stanowi moim zdaniem swoisty

rekord. Może więc określając ten gmach jako szacowny, powinienem dodać: historyczny i zarazem złowrogi.

Biuro w Locust Valley nie jest już tak interesujące. Mieści się w miłym, wiktoriańskim domku przy Birch Hill Road, jednej z głównych ulic miasteczka. Zajmujemy go od roku 1921 bez żadnych większych emocji. Nasza klientela w Locust Valley to przeważnie starsi ludzie, których problemy prawne ograniczają się w większości przypadków do tego, jak wydziedziczyć siostrzenicę albo siostrzeńca i zapisać pieniądze na schronisko dla bezdomnych kotów.

Praca w mieście – akcje, obligacje, podatki – jest interesująca, choć nie ma sensu. Praca na wsi – testamenty, sprzedaż domów i ogólne porady w sprawach życiowych – jest bardziej sensowna, ale nieciekawa. Ale to i tak najlepsze, co mają do zaoferowania oba światy.

Większość starej klienteli stanowią przyjaciele mojego ojca oraz panów Perkinsa i Reynoldsa. Pierwszy pan Perkins figurujący w nazwie firmy, Frederic, był przyjacielem J.P. Morgana i jednym z legendarnych rekinów finansowych z Wall Street – aż do 5 listopada 1929, kiedy to stał się jednym z jej legendarnych skoczków. Sądzę, że zdenerwowały go opłaty manipulacyjne. "Dzięki Bogu, że nie zranił nikogo na chodniku – powiedział kiedyś o tym wypadku mój ojciec. – Do dzisiaj procesowalibyśmy się o odszkodowania." Drugi pan Perkins, syn Frederica, Eugene, odszedł na emeryturę i przeniósł się do Nags Head w Karolinie Północnej. Obie Karoliny mają opinię miejsca, gdzie można spędzić przyjemnie jesień życia, w przeciwieństwie do Florydy, którą prawie w całości tutejsi obywatele uważają za absolutnie nie nadającą się do zamieszkania.

Ostatni ze starych wspólników, Julian Reynolds, również, jeśli można się tak wyrazić, odszedł na emeryturę. Siedzi w dużym, położonym w narożniku gabinecie na końcu korytarza i obserwuje port. Nie mam pojęcia, na co czeka ani czemu się przypatruje. Tak się składa, że zajmuje ten sam gabinet, z którego opuścił niespodziewanie firmę pan Frederic Perkins, ale nie sądzę, by fascynacja Juliana oknem miała z tym coś wspólnego. Codziennie o piątej moja sekretarka, Louise, przerywa panu Reynoldsowi czuwanie i limuzyna odwozi go do jego apartamentu przy Sutton Place, z którego okien roztacza się wspaniały widok na East River. Sądzę, że nieszczęsny dżentelmen przyzwyczał się po prostu do swego miejsca pracy.

Mój ojciec, Joseph Sutter, miał dość zdrowego rozsądku, żeby odejść na emeryturę, zanim ktokolwiek zechciał go na nią wysłać. Zdarzyło się to trzy lata temu i przypominam sobie ten dzień z pewną dozą emocji.

Wezwał mnie do swego gabinetu, kazał usiąść w swoim fotelu i wyszedł.

Myślałem, że wyskoczył gdzieś na moment, ale on nigdy już nie wrócił.

Moi rodzice wciąż żyją, choć nie aż tak intensywnie, by rzucało się to w oczy. Southampton leży na wschodnim cyplu Long Island, zaledwie sześćdziesiąt mil od Lattintown i Locust Valley, ale moi rodzice postanowili zwiększyć tę odległość. Nie ma między nami złej krwi; swoim milczeniem dają mi po prostu do zrozumienia, że nie wątpią, iż świetnie mi się wiedzie. Tak przynajmniej sędzę.

Jak się może domyślcie albo od dawna wiecie, wielu białych anglosaskich protestantów* należących do wyższej klasy utrzymuje ze swoim potomstwem ten sam rodzaj łączności co, powiedzmy, łośoś ze swoim milionem czy dwoma milionami jaj. Kontakty, jakie łączą mnie z moimi rodzicami, są prawdopodobnie takie same, jakie łączyły ich z moimi dziadkami. Moje stosunki z własnymi dziećmi, Carolyn mającą lat dziewiętnaście i siedemnastoletnim Edwardem, są trochę bardziej zażyłe, zdaje się bowiem, że ostatnio nastąpiło generalne ocieplenie stosunków międzyludzkich. Niedostatek ciepła wynagradzamy sobie poczuciem bezpieczeństwa, regułami dobrego wychowania i pielęgnowaniem tradycji. Zdarzają się jednak chwile, kiedy tęsknię za moimi dziećmi, a czasami odczuwam nawet potrzebę dowiedzenia się, co słychać u moich rodziców. Tak się składa, że Susan i ja mamy letni domek w East Hampton, parę mil od Southampton, i w lipcu i sierpniu spotykamy się z moimi rodzicami w każdy piątek na obiedzie, niezależnie od tego, czy dopisuje nam apetyt.

Co się tyczy rodziców Susan, dzwonię do Hilton Head raz w miesiącu, żeby przedstawić im raport sytuacyjny; nigdy jednak ich nie odwiedziłem. Susan leci tam czasem samolotem, ale dzwoni rzadko.

Stanhope'owie nigdy się u nas nie pojawiają, chyba że muszą osobiście dopilnować jakichś interesów. Robimy, co możemy, żeby zredukować nasze kontakty do minimum. Prawdziwym błogosławieństwem okazuje się w tym względzie telefaks. * W oryginale: WASP (White Anglo-Sakson Protestant) – warstwa dominująca do niedawna w amerykańskim establishmencie.

Brat Susan, Peter, nigdy się nie ożenił i podróżuje po całym świecie, próbując odnaleźć sens życia. Sądząc ze stempli pocztowych na jego z rzadka nadchodzących listach – Sorrento, Monte Carlo, Cannes, Grenoble i tak dalej – próbuje czynić to we właściwych miejscach.

Mam siostrę, Emily, która przez dziesięć lat towarzyszyła swemu zatrudnionemu w IBM mężowi w zafundowanej mu przez jego firmę odysei przez siedem odstręczających amerykańskich miast. W zeszłym roku Emily, która jest bardzo atrakcyjną kobietą, odnalazła sens życia na plaży w Galveston w Teksasie, w ramionach młodego studenta o imieniu Gary, w następstwie czego wystąpiła o rozwód.

W piątek po południu wyszedłem wcześniej z kancelarii w Locust Valley i przejechałem parę mil, żeby wstąpić do "The Creek" na drinka. To także należy do tradycji i to o wiele przyjemniejszej niż wiele innych.

Minąłem bramę i podjechałem wysypaną żwirem i wysadzaną wspaniałymi wiązami aleją do budynku klubu. Na parkingu nie było jaguara Susan. Moja żona wpada tu czasami w piątek na drinka, a potem jemy obiad w klubie albo gdzie indziej. Zaparkowałem forda i wszedłem do budynku klubu.

Jednym z plusów tego, że człowiek wywodzi się ze starej bogatej rodziny albo przynajmniej przekona o tym innych, jest fakt, iż może jeździć, czym mu się żywnie podoba. Najbogatszy facet, jakiego znam, Vanderbilt, jeździ na przykład chevroletem z roku 1977. Tutejsi obywatele uważają to za przejaw ekscentryczności lub niesamowitej pewności siebie. To nie Kalifornia, gdzie marka twojego samochodu w pięćdziesięciu procentach świadczy o tym, kim jesteś.

Zresztą w tej okolicy o wiele ważniejsze od tego, czym jeździsz, jest to, jakie nalepki widnieją na twoim zderzaku. Ja mam nalepki parkingów Locust Valley, "The Creek", "Seawanhaka Corinthian" i "Southampton Tennis Club". Mówią o mnie wszystko – są cywilnym odpowiednikiem wojskowych medali, z tym że nie przypina się ich do ubrania.

Wkroczyłem zatem do "The Creek", dużego budynku, utrzymanego w stylu georgiańskim. Służył kiedyś jako prywatna rezydencja i nie sprawia w związku z tym wrażenia komercyjności. Panuje tu intymna i zarazem wytworna atmosfera, a w jego licznych, większych i mniejszych salach można zjeść obiad, zagrać w karty albo po prostu zabawić się w chowanego. Z tyłu mieści się sala koktajlowa, z widokiem na pole golfowe i stare boisko do gry w polo. Dalej widać cieśninę Long Island i należące do klubu kabiny plażowe. Można tu zagrać w platform tenisa* i ping-ponga,

być może także postrzelać do rzutków i w inny sposób zająć ciało i umysł. Tak oto wygląda oaza ziemskich rozkoszy dla około trzystu ustosunkowanych rodzin. Pewnego dnia stanowić będzie fragment osiedla mieszkaniowego, a nazwą je The Greek Estates.

Zajrzałem do sali koktajlowej. Tłoczyli się tutaj głównie mężczyźni, znajdujący się w owym szczególnym piątkowym nastroju, który przywodzi mi na myśl zgromadzonych w szatni, głupkowato uśmiechniętych zawodników zwycięskiej drużyny.

Rozległy się zwyczajowe "cześć" i "jak się masz", kilka razy klepnięto mnie po plecach i odprawiono inne powitalne rytuały. Co ciekawsze, pochwyciłem spojrzenie Beryl Carlisle, z którą z przyjemnością – gdybym tylko nie był taki wierny – nawiązałbym bliższe stosunki.

Rozejrzałem się po sali, kolejny raz utwierdzając się w przekonaniu, że zostało nas jeszcze tak wielu. Pewien Anglik powiedział kiedyś, że łatwiej mu być członkiem klubu niż rasy ludzkiej, ten pierwszy ma bowiem o wiele krótszy regulamin, a poza tym zna się wszystkich członków osobiście. Brzmi to całkiem rozsądnie.

Zauważyłem Lestera Remsena siedzącego przy stoliku przy oknie razem z Randallem Potterem i Martinem Vandermeerem.

Pomyślałem, że chcąc powitać Lestera, który nie odezwał się do mnie od niedzieli, najlepiej będzie podejść po prostu do jego stolika i przysiąść się, co też uczyniłem. Lester pozdrowił mnie z pewnym chłodem i odniosłem wrażenie, że pozostali dwaj otrzymali właśnie negatywny raport na mój temat. Podeszła kelnerka, u której z marszu zamówiłem martini z ginem.

Przepisy porządkowe tego klubu, podobnie jak wielu innych, zabraniają rozmowy o interesach, co pierwotnie miało na celu stworzenie, nieco na siłę, relaksowej atmosfery. Obecnie wolimy udawać, * Odmiana tenisa, w której używa się drewnianych rakiet i gumowej piłki, a kort otoczony jest wysoką siatką.

4 – Złote Wybrzeże że przepis ten ma pozbawić członków klubu nieuczciwej przewagi w interesach nad tymi, którzy nie mają doń wstępu. Amerykanie traktują swoje prawa ekonomiczne bardzo poważnie, podobnie jak sądy. Ale biznesem Ameryki jest biznes, Randall i Martin podjęli więc swoją przerwana rozmowę o interesach i wykorzystałem sposobność, żeby poradzić się Lestera Remsen.

–Przyszła do mnie klientka – oznajmiłem – siedemdziesięcioletnia staruszka, która ma pięćdziesiąt tysięcy akcji Chase National Bank, wydanych w roku 1928 i 1929.

Lester pochylił się ku mnie.

–Twierdzisz, że ma autentyczne certyfikaty?

–Tak. Przytaszczyła wszystko w walizce do mojego biura w Locust Valley. Zostawił to jej mąż, który zmarł w zeszłym miesiącu.

–Wielki Boże – zachłysnął się Lester. – W życiu nie widziałem certyfikatów Chase National. To teraz Chase Manhattan, wiesz o tym.

–Nie, nie miałem pojęcia. O tym właśnie chciałem z tobą pomówić.

Oczywiście o tym wiedziałem, ale moje niewinne kłamstewko od razu wprawiło w lepszy humor Lestera.

–Jak wyglądają? – zapytał.

Niektórzy mężczyźni podniecają się oglądając Hustlera; Lestera najwyraźniej podniecały stare certyfikaty bankowe. Nigdy nie wiadomo, co na kogo działa.

–Są jasnozielone, z czarnymi, ozdobnymi literami i wytłoczonym zarysem budynku banku.

Opisałem certyfikaty najlepiej, jak umiałem. Obserwując lśniące lubieżnie oczy Lestera, ktoś mógłby pomyśleć, że właśnie poinformowałem go, iż wytłoczone są na nich wielkie cycki.

–Jest jednak pewien kruczek – kontynuowałem. – Na odwrocie każdego certyfikatu znajduje się następujące zdanie: "Niniejsze zaświadczenie opiewa na identyczną liczbę akcji Amerex Corp." Wzruszyłem ramionami dając mu do zrozumienia, że nie wiem, co to znaczy. Tym razem rzeczywiście nie wiedziałem. Lester uniósł się o kilka cali w swoim klubowym fotelu.

–Amerex to teraz American Express, wówczas nic nie znacząca firma. Tak tam jest

napisane?

–Tak. – Ta wiadomość nawet i na mnie wywarła pewne wrażenie.

–Dzisiejszy kurs American Express wynosi trzydzieści trzy i pół.

To oznacza... – Przez chwilę w oczach Lestera zabłysło światełko twardego dysku komputera -...jeden milion sześćset siedemdziesiąt pięć tysięcy. Za American Express. Kurs Chase Manhattan wyniósł dziś przy zamknięciu trzydzieści cztery i ćwierć... – Lester zamknął oczy, zmarszczył brwi i na koniec otworzył usta, żeby podać wynik. – To daje jeden milion siedemset dwanaście tysięcy pięćset.

Lester nigdy nie używa słowa "dolar". Nikt tutaj nigdy nie wymawia tego słowa. Przypuszczam, że jeśli ktoś czci pieniądze, wówczas nie wolno mu użyć w tej świątyni słowa "dolar", podobnie jak ortodoksyjnemu Żydowi nie wolno było wymówić imienia Jehowy.

–Więc te akcje są ważne z przodu i z tyłu? – zapytałem.

–Nie mogę tego powiedzieć na pewno, zanim się im nie przyjrzę, ale na to wygląda. Liczby, które ci podałem, nie uwzględniają oczywiście wszystkich podziałów akcji, które nastąpiły od roku 1929.

Mówimy prawdopodobnie o dziesięciu, być może dziesięciu i pół.

To oznaczało dziesięć albo dziesięć i pół balona. Dolarów. Była to rzeczywiście wspaniała wiadomość dla mojej klientki, która, prawdę mówiąc, wcale nie potrzebowała tej forsy.

–Wdowa będzie szczęśliwa – powiedziałem.

–Czy pobierała dywidendy?

–Nie wiem. Zajmuję się porządkowaniem majątku jej zmarłego męża, dowiem się więc, jak tylko przekopię się przez wszystkie papiery.

Lester pokiwał w zamyśleniu głową.

–Jeśli z jakiejś przyczyny Chase albo American Express straciły przed laty kontakt z tymi ludźmi, z samych zaległych dywidend mogła się zgromadzić niezła fortuna.

Kiwnąłem głową.

–Moja klientka słabo się w tym orientuje. Wiesz, jacy są czasami starzy ludzie.

–Tak, wiem – odparł Lester. – Z przyjemnością zasięgnę informacji za pośrednictwem mojego działu researcherskiego. Jeśli tylko dostarczysz mi fotokopie

certyfiatów, z tyłu i z przodu, zawiadomię cię, ile razy obie firmy dokonały podziału akcji, a także, ile są one warte dzisiaj. Dam ci także znać, czy Chase lub American Express nie poszukują przypadkiem twojej klientki, żeby wypłacić jej dywidendy.

–Zrobisz to? To bardzo miło z twojej strony.

–Akcje powinny zostać zbadane i zweryfikowane, a następnie zamienione na nowe certyfikaty. Albo jeszcze lepiej, oddane do firmy maklerskiej na rachunek. Takie pieniądze nie powinny się marnować.

Zdumiony jestem, że przez ponad sześćdziesiąt lat nie przydarzyło im się nic złego.

–To wydaje mi się rozsądne. Chciałbym otworzyć u ciebie rachunek na nazwisko mojej klientki.

–Proszę bardzo. W poniedziałek mógłbyś wpaść do mojego biura z oryginalnymi certyfikatami. Przyrowadź ze sobą, jeśli możesz, właścicielkę. Będzie musiała podpisać pewne papiery. Będę też potrzebować dokumentów potwierdzających jej prawa do spadku.

–Może lepiej będzie, jeżeli ty wpadniesz do mnie do biura, zaraz po zamknięciu. O wpół do piątej, w poniedziałek. – Świetnie. Gdzie są teraz te akcje?

–W moim sejfie – odparłem – i wcale ich tam nie chcę.

Lester namyślał się przez chwilę, po czym jego usta skrzywiły się w uśmiechu.

–Zdajesz sobie sprawę, John, że jako adwokat zajmujący się sprawami majątkowymi, mógłbyś bez trudności wymienić te akcje na gotówkę.

–Dlaczego miałbym to zrobić?

Lester zaśmiał się z przymusem.

–Daj mi przeprowadzić tę transakcję i podzielimy między sobą te dziesięć milionów.
– Zaśmiał się ponownie, żeby pokazać, że to tylko żart. Ha, ha, ha.

–Nawet wzięwszy pod uwagę obowiązujące dzisiaj na Wall Street reguły gry, ktoś mógłby uznać takie postępowanie za nieetyczne – odpowiedziałem. Uśmiechnąłem się, żeby pokazać, że ubawił mnie dowcip Lestera, a on odwzajemnił mój uśmiech, widziałem jednak, że zastanawia się, co by zrobił, gdyby miał tego weekendu dziesięć milionów w sejfie. Na pewno nie dałby ich przepisać na bezdomne koty.

Po kilku minutach do rozmowy przyłączyli się Randall i Martin i zaczęliśmy rozmawiać o golfie, tenisie, strzelaniu i żeglarsztwie.

W większości amerykańskich domów, w każdym pubie i saloonie, w piątkowy wieczór mówi się na ogół o futbolu, baseballu i koszykówce, ale z tego, co pamiętam, nikt tutaj nie miał nigdy dość odwagi, by wstać i zapytać: "Hej, chłopcy! Nie wiecie

može, jak idzie Metsom?"

Do innych tematów tabu należą: religia, polityka i seks, chociaż nie zostało to formalnie ujęte w regulaminie. A skoro już jesteśmy przy seksie, to siedząca razem z tym nadętym dupkiem, swoim mężem, Beryl Carlisle, pochwyciła moje spojrzenie i uśmiechnęła się. Nie uszło to uwagi Lestera i Randalla, którzy wcale jednak tego nie skomentowali, mówiąc na przykład: "No, no, Johnny, ta dupa czeka tylko, aż jej wsadzisz", czego można się normalnie spodziewać po mężczyznach w barze. Wprost przeciwnie, nie rzucili mi nawet porozumiewawczego spojrzenia. Lester wciąż głądził o tym cholernym strzelaniu do rzutków, a ja zacząłem rozmyślać o Beryl Carlisle, a także o plusach i minusach wieku dojrzałego.

–John?

Spojrzałem na Randalla Pottera.

–Tak?.

–Słuchaj, Lester mówi, że widziałeś się z Frankiem Bellarosą.

Najwyraźniej ktoś zmienił temat, kiedy bujałem w obłokach.

Odchrząknąłem.

–Tak... widziałem się. Bardzo krótko. W szkółce Hicksa.

–Miły facet?

Rzuciłem okiem na Lestera, który nie chciał spojrzeć mi prosto w twarz i przyznać, że za dużo miele ozorem.

–"Grzeczny" byłoby może lepszym słowem – poinformowałem Randalla Pottera.

Martin Vandermeer pochylił się w moją stronę. Martin pochodzi w prostej linii ze starej holenderskiej rodziny Knickerbockerów i sprawia wrażenie faceta, który chętnie przypominałby swoim anglosaskim przyjaciółom, że jego przodkowie powitali armatnim ogniem pierwszy, zawijający do Nowego Amsterdamu, wyładowany Anglikami statek.

–Grzeczny w jakim znaczeniu? – zapytał.

–No cóż, może lepszym określeniem byłoby "pełen szacunku" – odparłem przetrząsając mój podręczny leksykon i wystawiając na szwank własną wiarygodność.

Martin Vandermeer skinął głową na swój ociężały, holenderski sposób.

Nie chciałbym, żeby ktoś odniósł wrażenie, że odczuwam przed tymi ludźmi przesadny respekt; w rzeczywistości to ja ich często

onieśmielam. Chodzi tylko o to, że kiedy popełni się jakieś rastfaux pas (innymi słowy chlapnie nieopatrznie jęzorem), mówiąc na przykład, że przywódca mafii jest miłym facetem i sugerując, że wolałoby się mieć za sąsiada raczej jego aniżeli stu Lesterów Remsenów, wtedy koniecznie trzeba wyjaśnić, co się miało na myśli. Politycy robią to bez przerwy.

Swoją drogą, nie miałem pojęcia, dlaczego ci trzej tak się tym przejmowali; przecież to ja miałem mieszkać drzwiami w drzwiach z Frankiem Bellarosa.

–Czy towarzyszyła mu jakaś obstawa? – zapytał autentycznie zainteresowany Randall.

–Kiedy teraz o tym wspomniałeś, przypomniałem sobie, że miał kierowcę, który załadował zakupy do bagażnika jego samochodu.

Czarnego cadillaca – dodałem krzywiąc się lekko, żeby pokazać, co sędzę o czarnych cadillacach.

–Czy ci ludzie chodzą uzbrojeni? – martwił się głośno Martin.

Doszedłem do wniosku, że w sprawach mafii stałem się w tym klubie swego rodzaju ekspertem.

–Przywódcy nie – odparłem. – Przynajmniej niecodziennie.

Nie chcą mieć kłopotów z policją.

–Ale czy to właśnie nie Bellarosa zabił przed paroma miesiącami kolumbijskiego handlarza narkotyków? – zapytał Randall.

Wzruszyłem ramionami, nie chcąc z drugiej strony, by wzięto mnie za członka mafijnego fanklubu.

–Nie wiem – odparłem.

Naprawdę jednak przypomniałem sobie, co pisały o tym, chyba w styczniu, gazety, ponieważ uderzyło mnie wtedy, że ktoś piastujący tak wysokie jak Bellarosa stanowisko mógł być do tego stopnia nierozsądny, żeby osobiście popełnić morderstwo.

–Co on twoim zdaniem robił u Hicksa? – chciał koniecznie wiedzieć Lester.

–Może dorabia tam w weekendy – odparłem.

Rozśmieszyło to wszystkich trochę i zamówiliśmy następną kolejkę.

Miałem wielką ochotę spojrzeć znowu na Beryl Carlisle, ale wiedziałem, że tym razem nie ujdzie mi to na sucho.

Pojawiła się żona Martina, Pauline. Stała w drzwiach obok baru i próbowała zwrócić na siebie jego uwagę, wymachując ramionami niczym skrzydłami wiatraka. Martin dostrzegł ją w końcu, poderwał z krzesła swoje wielkie cielsko i poczłapał w stronę małżonki.

Randall przeprosił nas i poszedł zamienić kilka słów ze swoim zięciem. Lester Remsen i ja siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

–Susan zwróciła mi uwagę – odezwałem się w końcu – że niefortunnie się wyraziłem w zeszłą niedzielę. Jeśli to prawda, to chcę, żebyś wiedział, że nie miałem złych intencji. – Tak wygląda anglosaski ekwiwalent przeprosin. Jeśli użyje się odpowiednich słów, można mieć pewne wątpliwości, czy w ogóle się należały.

Lester zbył całą sprawę machnięciem ręki.

–Nie ma sprawy. Miałeś może sposobność rzucić okiem na Meudon?

To anglosaski odpowiednik zdania: "Przyjmuję w pełni twoje nieszczerze przeprosiny".

–Tak – odpowiedziałem. – Dziś rano objechałem samochodem całą posiadłość. Nie widziałem jej od lat, strasznie porosła chwastami, ale drzewa znajdują się w zadziwiająco dobrym stanie.

Przez chwilę rozmawialiśmy o Meudon. Lester, powinniście o tym wiedzieć, nie jest w gruncie rzeczy obrońcą natury, podobnie jak większość jego przyjaciół, a moich sąsiadów. Ale, jak już wspomniałem, odkryli oni, że broniąc natury, mogą zrealizować własne egoistyczne cele, innymi słowy, zachować swój styl życia. W rezultacie powstała dziwna koalicja przedstawicieli wyższych sfer i studentów, bogatych właścicieli ziemskich i klasy średniej. Ja jestem jednocześnie autentycznym obrońcą natury i reprezentantem wyższych sfer. To czyni ze mnie prawdziwy skarb.

–Nie chcę, żeby postawili mi na podwórku pięćdziesiąt wycenionych na dwa miliony szop na traktory – oświadczył Lester.

Tak właśnie Lester określa współczesne budownictwo jednorodzinne: szopy na traktory. Kiwnąłem ze współczuciem głową.

–Czy nie dałoby się zmienić podziału Meudon? Na przykład na pięć dwudziestoakrowych kawałków? – zapytał.

–Być może. Musimy poczekać, aż pośrednik wypełni kwestionariusz na temat przewidywanego wpływu inwestycji na środowisko.

–W porządku. Rzucimy na to okiem. Co to za historia z twoją posiadłością?

Stanhope Hall, jak wiecie, wcale nie należy do mnie, ale Lester był jednocześnie

uprzejmy i wścibski.

–Nikt nie reflektuje na całe dwieście akrów razem z domem. Nie

ma także chętnych na dom wraz z dziesięcioma otaczającymi go akrami. Bo taką dałem drugą ofertę. •* Lester skinął ze zrozumieniem głową. Przyszłość Stanhope Hall stała pod znakiem zapytania. Dom tej wielkości może się stać czymś wyśnionym pałacem, ale nawet arabskiemu szejkowi – przy dzisiejszych cenach ropy – niełatwo będzie utrzymać go w dobrym stanie i zatrudnić odpowiednią liczbę służby w rezydencji nie różniącej się rozmiarami od średniego hotelu.

–To taki piękny dom – powiedział Lester. – Dostał kiedyś nagrodę, prawda?

–Niejedną. W 1906, kiedy został zbudowany, czasopismo Town Country przyznało mu tytuł amerykańskiego domu roku. Ale czasy się zmieniają.

Można było jeszcze zawsze zburzyć rezydencję, podobnie jak to zrobiono z Meudon. To zmusi władze podatkowe do uznania posiadłości za teren nie zabudowany. Domek gościnny należy do Susan i płacimy za niego osobne podatki. Stróżówka natomiast, w której mieszkają Allardowie, teoretycznie chroniona jest przez testament dziadka Stanhope'a.

–Jakiego pokroju ludzie interesują się domem? – zapytał Lester.

–Tacy, dla których pięćset tysięcy jest odpowiednią ceną za pięćdziesięciopokojowy dom. – Tyle właśnie staram się uzyskać za rezydencję razem z dziesięcioma akrami. Ironią losu jest to, że samo jej wzniesienie kosztowało w roku 1906 pięć milionów, które teraz odpowiadają około dwudziestu pięciu milionom dolarów. Co się tyczy rozbiórki, to – niezależnie od oporów natury estetycznej – mój oszczędny teść powinien wziąć pod uwagę koszty zburzenia granitowego, solidnego, budowanego na tysiąc lat gmachu, a następnie przewiezienia gruzów w miejsce, gdzie będzie można je zwalić nie naruszając przy tym przepisów dotyczących ochrony środowiska.

Granit i marmur, którego użyto do budowy Stanhope Hall, przyjechał tutaj na Long Island koleją aż z Vermont. Może stan Vermont zechce przyjąć tłuczeń z powrotem.

Susan, nawiasem mówiąc, nie obchodzi wcale los rezydencji i innych zabudowań – poza stajnią i kortami – co jest według mnie rzeczą godną zastanowienia. Jakikolwiek wspomnienia wiążą ją z pałacem, altanką i świątynią miłości, uznała je widać za niezbyt ważne albo

niezbyt miłe. Była jednak wyraźnie zmartwiona, kiedy wandale spalili któreś nocy jej domek dla lalek. Był to prawdziwy dom na kurzej nóżce, wielkości małej chaty, cały z drewna i kompletnie zaniedbany.

Można się tylko domyślać, co robiła mała, samotna dziewczynka bawiąc się lalkami w miejscu, które należało Wyłącznie do niej.

–Czy rozmawiali z tobą już faceci z parku narodowego? – dopytywał się Lester.

–Tak – odparłem. – Gość o nazwisku Pinelli z biura dyrektora parku. Oznajmił, że jego zdaniem w posiadaniu hrabstwa znalazła się już wystarczająca liczba rezydencji Złotego Wybrzeża. Ale może to tylko gambit na otwarcie, zaraz potem bowiem Pinelli zapytał mnie, czy dom nie wyróżnia się z jakichś względów historycznych albo architektonicznych.

–Cóż – stwierdził Lester. – Ma na pewno ciekawą architekturę.

Kto go projektował?

–McKim, Mead i White – odparłem. Ani historia, ani architektura nie należą do mocnych stron Lestera, ale poza tym, że został obrońcą natury, zaczyna również uchodzić za autorytet w dziedzinie historii społecznej i architektury Złotego Wybrzeża. – Co się tyczy walorów historycznych, to wiem, iż wpadał tutaj czasami z Oyster Bay Teddy Roosevelt. Raz czy drugi był tu na obiedzie Lindbergh, wtedy kiedy jeszcze mieszkał u Guggenheimów. Byli i inni ważni goście, ale sądzę, że hrabstwo potrzebuje czegoś więcej niż obiad. Będę musiał poszperać w papierach.

–Może coś zmyślisz – zasugerował pół żartem, pół serio Lester. – Na przykład, że Teddy Roosevelt naszkicował w Stanhope Hall tekst jakiegoś traktatu albo przemówienia.

Pominałem to milczeniem.

–Jedną z przeszkód – powiedziałem – przy ewentualnej sprzedaży posiadłości hrabstwu w celu przekształcenia jej w park i muzeum, jest fakt, że jak dobrze wiesz, Grace Lane nadal pozostaje drogą prywatną. Nie bardzo to się podoba okręgowym biurokratom. Nie zyskałbym też sobie popularności na Grace Lane, gdyby kursowały tu co sobota i niedziela tysiące wozów wypełnionych gapiami z Brooklynu i Queens.

–Z pewnością byś nie zyskał – zapewnił mnie Lester.

–Ale, co najważniejsze, jeśli hrabstwo złoży w ogóle jakąś ofertę,

jej wysokość będzie równa wyłącznie kwocie zaległych podatków. Ani centa więcej. Na tym polega ich gra.

Lester nie zapytał, jaka jest kwota zaległych podatków, ponieważ dawno już pewnie zajrzał, by ją poznać, do publicznych archiwów albo wyczytał w Locust Valley Sentinel pod nagłówkiem PRZESTĘPSTWA PODATKOWE.

Zaległe podatki za Stanhope Hall, razem z procentami i dodatkami za zwłokę, wynoszą plus minus czterysta tysięcy dolarów. Sami możecie to sprawdzić. Myślicie pewnie: "Gdybym ja był winien urzędowi podatkowemu nędzne cztery tysiące dolarów, nie mówiąc już o czterystu, komornik obdarłby ze skóry mnie i moje dzieci". Być może. Ale z bogatymi rzecz przedstawia się inaczej. Mają lepszych adwokatów – na przykład mnie.

Muszę jednak przyznać, że wyczerpałem już prawie wszelkie kruczki, których nauczono mnie na wydziale prawa Uniwersytetu Harvarda i nie byłem w stanie dłużej odwlekać sprzedaży tej teoretycznie wartościowej nieruchomości, by spłacić podatki. Nie udzielam zwykle porad prawnych za darmo, William Stanhope nie zaoferował jednak dotychczas żadnego wynagrodzenia za moje usługi, przypuszczam więc, że w przypadku mojego teścia odstąpiłem od owej szczytnej zasady. Prawdą jest nie tylko to, że bogaci nie regulują swych rachunków w terminie, ale również to, że kiedy je w końcu płacą, oni sami chcą decydować, ile komu są winni.

Lester czytał chyba w moich niewesołych myślach.

–Sądzę – powiedział – że twój teść doceni to, co dla niego zrobiłeś. – • Jestem pewien, że doceni. Niestety stracił on kontakt z rzeczywistością, jeśli idzie o obecne wymagania ekologiczne i postulaty dotyczące użytkowania ziemi. Jeśli nie uda się sprzedać posiadłości w stanie nienaruszonym, chce podzielić ją na działki i sprzedać przedsiębiorcom budowlanym. Ale nawet gdyby udało mi się podzielić jakoś te dwieście akrów, jest jeszcze dom, z którym nie wiadomo, co zrobić. William uważa, że przedsiębiorca albo go zburzy, albo zaproponuje nowym mieszkańcom jako siedzibę klubu czy coś w tym rodzaju. Niestety zarówno jego rozebranie, jak i wspólne utrzymywanie przez dwudziestu nowych mieszkańców wydaje się zbyt kosztowne.

–Ta rezydencja to istny biały słoń – poinformował mnie Les58 ter – ale ty przecież starasz się uratować posiadłość, nawet jeśli nie uda się uratować domu.

–Oczywiście. Ale nie należy ona do mnie. Jestem w takiej samej sytuacji jak ty, Lesterze. Mieszkam w szklanej wieży na kilku akрах wykrojonych z upadłej

posiadłości. Jestem Właścicielem zaledwie pięciu procent tego wszystkiego.

Lester zastanawiał się przez chwilę.

–Cóż, może któregoś dnia przybędzie na białym koniu księżę i uratuje białego słonia.

–Być może. – Księżę na białym koniu oznaczać mógł w tym kontekście niedochodową instytucję w rodzaju prywatnej szkoły, grupy religijnej albo nawet zakładu leczniczego. Wynajmowały one rezydencje wraz z otaczającymi je gruntami i taki układ odpowiadał na ogół sąsiadom, utrzymywało się bowiem dzięki temu wiejski charakter terenu i niską gęstość zaludnienia. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby po posiadłości Stanhope'ów kręciło się kilka sióstr bądź pacjentów cierpiących na załamanie nerwowe albo, w ostateczności, wychowanków prywatnej szkoły.

–Czy dowiadywałeś się w biurze nieruchomości w Glen Cove?

Kontaktują ze sobą właściciele posiadłości i wielkie korporacje.

–Tak, ale wygląda na to, że jest całe mnóstwo posiadłości i zaledwie parę korporacji, które miałyby na nie ochotę.

Powinienem zaznaczyć, że korporacje kupują tereny do swego wyłącznego użytku. Stara rezydencja Astora jest teraz, na przykład, wiejskim klubem IBM, a jedna z wielu posiadłości Pratta w Glen Cove pełni rolę centrum konferencyjnego. Również jeden z majątków Vanderbilta w Old Brookville, elżbietański pałac wraz z otaczającymi go stoma akrami gruntu, jest teraz główną siedzibą firmy Banfi Vintners, która odrestaurowała na swoją przyszłą chwałę liczący sześćdziesiąt pokoi gmach i uporządkowała otaczające go tereny. Powiedzmy sobie szczerze: każdy z tych użytkowników jest lepszy od dwudziestu szop na traktory, z gnieźdzącymi się w środku maklerami giełdowymi i ich potomstwem.

William Stanhope, nawiasem mówiąc, znajduje się wystarczająco daleko stąd, by nie zauważać, że moja ekologiczna działalność i jego instrukcje prawie całkowicie wykluczają się wzajemnie. Nazywa się to konfliktem interesów i jest zarówno nieetyczne, jak i bezprawne. Ale tak naprawdę wcale o to nie dbam. Ma, za co zapłacił.

Mój teść, powinniście to wiedzieć, jest w stanie, jeśli się go przyciśnie, wybulić owe czterysta tysięcy zaległych podatków, ale woli tego nie robić tak długo, aż znajdzie odpowiedniego kupca albo dowie się, że konfiskata nastąpi nazajutrz. Nie zamierza trwonić swego majątku, chyba że uzna, iż wiszące na nim długi przekraczają jego wartość i że nie uda mu się go spieniężyć za swojego życia.

Jeśli zastanawiacie się, jaką wartość przedstawia ów biały słoń dla Williama Stanhope'a oraz jego spadkobierców, oto gołe liczby: za każdy dziesięcioakrowy kawałek ziemi na bajecznym Złotym Wybrzeżu można wyciągnąć ponad milion dolców, co pomnożone przez dwadzieścia daje ponad dwadzieścia milionów przed opodatkowaniem.

Susan, jak sądzę, odziedziczy w związku z tym dość forsy, by zatrudnić na pełny etat stajennego, a także kogoś, kto będzie pomagał mnie i staremu George'owi w pracy w ogrodzie.

Jeśli gnębi was pytanie, jaką jeszcze będę miał z tego korzyść, powinniście uświadomić sobie, że ludzie pokroju Stanhope'ów rzadko pozwalają, żeby ich pieniądze dostały się komuś spoza najbliższej rodziny. Faktem jest, że podpisałem intercyzę na długo przedtem, zanim klasa średnia dowiedziała się, co to takiego. William Stanhope i opłacany przez niego prawnik sporządzili, jak go wtedy określano,

"kontrakt przedmałżeński", a ja wystąpiłem w roli własnego adwokata, udowadniając przy okazji słuszność tezy, iż prawnik, który reprezentuje sam siebie, wziął sobie głupca za klienta. Nawiasem mówiąc, William po dziś dzień korzysta z bezpłatnych porad prawnych owego głupca.

Jaśniejszą stroną tego wszystkiego jest fakt, że forsa Stanhope'ów złożona jest na funduszu powierniczym, zapisanym na Edwarda i Carolyn. I żeby oddać sprawiedliwość Susan, to nie ona wpadła na pomysł "kontraktu przedmałżeńskiego". Tak czy inaczej, nie interesują mnie pieniądze Stanhope'ów, podobnie jak nie interesują mnie ich problemy.

–Ani mnie, ani Susan nie podoba się zagarnianie coraz to nowych terenów pod zabudowę podmiejską, a zwłaszcza perspektywa przeznaczenia pod nią, dla zysku, Stanhope Hall -• poinformowałem Lestera – ale jeśli ten raj ma się przeobrazić w przedsiónek piekła, każdy z nas musi zastanowić się, czy chce tu mieszkać dalej, czy wyjechać. I całkiem możliwe, że zdecyduje się na to drugie.

–Wyjechać dokąd, John? Dokąd wyjeżdżają ludzie tacy jak my?

–Do Hilton Head.

–Hilton Head?

–Do każdego starannie zaprojektowanego, małego Edenu, gdzie nic się nigdy nie zmieni. + – Tu jest mój dom, John. Remsenowie żyli tutaj od ponad dwustu lat.

–Podobnie jak Whitmanowie i Sutterowie. Wiesz o tym.

Muszę w tym miejscu dodać, że Lester Remsen i ja jesteśmy ze sobą w jakiś sposób spokrewnieni, żaden z nas nie chce wyjaśnić tego jednak do końca.

Rodziny, które żyły tutaj na długo przed pojawieniem się milionerów, mogą sobie pozwolić na lekki snobizm, nawet jeśli ich przodkami byli chłopci i rybacy.

–Czas, w którym żyjemy, jest pożyczony. Wiesz o tym – powiedziałem Lesterowi.

–Grasz rolę adwokata diabła, czy już się poddałeś? Wyprowadzacie się z Susan? Czy ta historia z Bellarosą była ostatnią kroplą?

Czasami mam wrażenie, że Lester mnie lubi, potraktowałem więc jego pytanie jako przejaw troski, a nie przewrotnej satysfakcji.

–Myślałem o tym – odparłem – ale Susan ani razu o tym nie wspominała.

–Dokąd byście się przenieśli?

Nie wiedziałem tego jeszcze pięć sekund przedtem, ale nagle doznałem iluminacji.

–Na morze.

–Dokąd?

–Na morze, morze. To ta mokra rzecz, dzięki której ceny położonych przy samym brzegu posiadłości są wyższe od tych w głębi lądu.

–O...

–Jestem dobrym żeglarzem. Sprawię sobie sześćdziesięciostopową łódź i wyruszę w rejs. – Ogarnęło mnie podniecenie. – Najpierw popłynę szlakiem wodnym Intracoastal na Florydę, a potem na Karaiby...

–Ale co będzie z Susan? – przerwał mi.

-Jak to co z Susan?

-Z jej końmi, człowieku? Z końmi.

Zastanowiłem się przez moment. To prawda, z końmi byłyby na łodzi pewne kłopoty. Zamówiłem następnego drinka.

Przez jakiś czas popijaliśmy w milczeniu. Zacząłem odczuwać działanie czwartego martini. Rozejrzałem się za Beryl Carlisle, ale ten kretyn, jej mąż, pochwycił moje spojrzenie. Uśmiechnąłem się do niego głupkowato i odwróciłem z powrotem do Lestera.

–Miły facet – powiedziałem.

–Kto?

–Mąż Beryl Carlisle.

–To ćmok.

Lester uczy się podobnych słów w pracy. Innym jest "buc". Brzmią wspaniale, ale mnie jakoś nigdy nie udaje się znaleźć dla nich odpowiedniego zastosowania.

Posiedzieliśmy jeszcze trochę. Tłum zaczął się przeredzać. Zastanawiałem się, gdzie podziwia się Susan i czy nie miałem się z nią przypadkiem gdzieś spotkać. Susan jest czasem święcie przekonana, że powiedziała mi coś, czego nie powiedziała, a potem oskarża mnie, że zapomniałem. Z tego, co słyszę od przyjaciół, wynika, że przydarza się to często również innym żonom. Zamówiłem kolejnego drinka, żeby odświeżyć pamięć.

W mojej głowie sunęły łodzie i gnały konie, a ja próbowałem pogodzić ze sobą te wizje. W wyobraźni ujrzałem przez moment wypchanego i osiodłanego Zanzibara stojącego na dziobie mego mierzącego sześćdziesiąt stóp szkunera.

Rzuciłem okiem na Lestera. Wydawał się zatopiony we własnych marzeniach, które biegingy najprawdopodobniej śladami dosiadającej koni miejscowej arystokracji, podkładającej ogień pod szopy na traktory i tratującej dziecinne trójkołowe rowerki.

–Cześć, Lester – usłyszałem tuż obok siebie głos Susan. – Wciąż się dąszasz? Sprawiacie wrażenie pogodzonych.

Susan potrafi być czasami nader bezpośrednia.

–Nie wiem, co masz na myśli – udał głupiego Lester.

Susan zignorowała to.

–Gdzie jest Judy? – zapytała.

–Nie wiem – odparł tym razem zgodnie z prawdą Lester.

Zastanawiał się przez chwilę. – Powinienem chyba do niej zadzwonić – dodał.

–Najpierw musisz wiedzieć, gdzie ona jest – zauważyła Susan. – O czym rozmawialiście?

–O giełdzie i o golfie – odparłem, zanim Lester mógł poruszyć kwestię Stanhope Hall, która nie należała do ulubionych tematów Susan. – Może zjesz z nami obiad, próbując przypomnieć sobie, gdzie się podziała twoja żona? – zapytałem Lestera.

Nie powinienem zamawiać czwartego albo piątego martini. Właściwie piąte wcale mi nie zaszkodziło. Nie powinienem był pić tego czwartego.

Lester uniósł się niepewnie z fotela.

–Przypomniałem sobie teraz – oznajmił. – Zaprosiliśmy na obiad gości.

–Musisz dać mi przepis – powiedziała Susan.

Była najwyraźniej z jakiegoś powodu rozdrażniona. Biedny Lester zupełnie się pogubił.

–Oczywiście, zaraz ci dam – zgodził się. – Mogłabyś pójść ze mną do telefonu? Zadzwoń do domu.

–Dziękuję, ale mamy inne plany. Wybieramy się na obiad.

Nie wiedziałem, czy to prawda, bo Susan nigdy mnie nie informuje o tym wcześniej.

Lester życzył nam przyjemnego wieczoru, a Susan kazała mu ostrożnie prowadzić.

Wstałem, oparłem się o ścianę i uśmiechnąłem do Susan.

–Miło cię widzieć.

–Ile nas widzisz?

–Jestem całkiem trzeźwy – zapewniłem ją i zmieniłem temat. – Widziałem tutaj przed chwilą Carlisle'ów. Pomyślałem sobie, że może zjemy z nimi obiad.

–Dlaczego?

–Czy ona nie jest twoją przyjaciółką? – zapytałem.

–Nie.

–Myślałem, że jest. Wydaje mi się, że lubię... – nie mogłem sobie przypomnieć jego imienia – jej męża.

–Uważasz go za nadętego dupka. Poza tym mamy inne plany.

Wybieramy się na obiad.

–Z kim?

–Mówiłam ci dziś rano.

–Nie, nie mówiłaś. Z kim? Gdzie? Nie mogę prowadzić.

–To oczywiste. – Wzięła mnie za ramię. – Jemy obiad tutaj.

Przeszliśmy do innego skrzydła i stanęliśmy na progu największej z miejscowych jadalni. Susan poprowadziła mnie ku stolikowi, przy którym siedzieli – któż by inny? – Vandermeerowie.

Najwyraźniej żona Martina również zapomniała go poinformować o planach na wieczór.

Susan i ja usiedliśmy przy okrągłym stoliku i wdaliśmy się w luźną pogawędkę z Vandermeerami. Myślę czasami, że pomysł części zamiennych podsunął Eli Whitneyowi obraz wyższej klasy średniej. Wszyscy siedzący na tej sali mogliby przez cały wieczór zamieniać się co chwila miejscami i nie ucierpiałyby na tym treść ani jednej rozmowy.

Zdałem sobie sprawę, że rosnący krytycyzm wobec moich znajomych wynikał w większym stopniu ze zmian zachodzących we mnie, aniżeli zmian, którym podlegali oni. To, co mi kiedyś odpowiadało, teraz budziło mój niepokój. Szczerze mówiąc, martwiły mnie kompromisy i układy, które zdradziecko zawładnęły moim życiem. Miałem po dziurki w nosie zabawy w dozorcę Stanhope Hall, męczyła mnie obsesja, jaką każdy miał tutaj na punkcie status quo, niecierpliwiły luźne pogawędki i irytowały staruszki wkraczające do mego biura z dziesięcioma milionami dolarów w tekturowej walizce. Wszystko to, co kiedyś sprawiało mi przyjemność, teraz wyprowadzało mnie z równowagi.

Co dziwne, nie przypominałem sobie wcale, bym odczuwał coś podobnego jeszcze tydzień temu. Nie wiedziałem, skąd wzięło się to olśnienie, ale takie już właśnie są te iluminacje; oślepiają cię któregoś dnia i wiesz po prostu, że objawiła ci się prawda, choć nie zdajesz sobie nawet sprawy z tego, że jej szukałeś. Co z nią poczniesz, to już zupełnie inna rzecz.

Wtedy jeszcze sobie tego nie uświadamiałem, ale byłem gotów do wielkiej przygody. Nie wiedziałem również tego, że mój najbliższy sąsiad postanowił mi ją właśnie zafundować.

Rozdział 7 Sobotni ranek minął bez żadnych incydentów, bolała mnie tylko trochę głowa, najprawdopodobniej od paplaniny Vandermeerów. Allardowie zapadli na grype i złożyłem im wizytę.

Zaparzyłem im herbatę w małej kuchence i poczułem się jak miłosierny Samarytanin.

Posiedziałem nawet chwilę i wypilem pół filiżanki. W tym czasie George sześć razy przeprosił mnie za to, że zachorowałam.

Normalnie zgryźliwa Ethel robi się podczas choroby nieco sentymentalna. Bardziej ją wtedy lubię.

Powinienem wspomnieć, że podczas drugiej wojny światowej George Allard spełnił swój obywatelski obowiązek, podobnie jak uczynili "to wszyscy zdolni do służby wojskowej pracownicy Stanhope Hall, a także oczywiście innych posiadłości. Podczas jednej z lekcji historii społecznej, których udziela mi George, dowiedziałem się, iż ów exodus służących bardzo utrudnił życie rodzinom, którym udało się przetrwać w swoich pałacach Wielki Kryzys i które wciąż potrzebowały ludzi do czarnej roboty. George powiedział mi również, że wysoki wojenny żołd zdemoralizował wiele pokojówek, które odeszły potem do pracy w resorcie obrony i gdzie indziej. George utożsamia mnie w jakiś sposób z tutejszymi bogaczami i uważa, że powinienem współczuć Stanhope'om i innym z powodu wielkich wyrzeczeń, jakie ponieśli podczas wojny. Masz rację, George. Kiedy wyobrażam sobie Williama Stanhope'a, który każdego ranka musi własnoręcznie ułożyć na krześle swoje ubranie, podczas gdy jego lokaj wałęsa się po normandzkiej plaży, łzy stają mi w oczach.

William, nawiasem mówiąc, również zgłosił się do wojska, by

5 – Złote Wybrzeże spełnić swój obywatelski obowiązek. Istnieją dwie wersje tej historii!

Przytoczę tu wersję Ethel, wedle której dzięki rodzinnym koneksjom przydzielono go do Straży Przybrzeżnej. Dziadek August Stanhope, nie mogąc popływać sobie na swoim mierzącym siedemdziesiąt stóp jachcie, "Sea Urchin", sprzedał go za symbolicznego dolara rządowi, podobnie jak uczyniło to podczas wojny wielu innych właścicieli łodzi.

"Sea Urchin" przeobraził się w kuter patrolowy przeznaczony do zwalczania łodzi podwodnych, a jego dowódcą został nie kto inny jak podporucznik William Stanhope. Ethel twierdzi, że nie był to zwykły zbieg okoliczności. Tak czy owak, pokryty nową warstwą szarej farby, zaopatrzony w sonar, bomby głębinowe i karabin maszynowy kaliber 50, "Sea Urchin" zacumował przy pomocy klubu "The Seawanhaka Corinthian". Porucznik Stanhope wyruszał stamtąd, by patrolować wody cieśniny Long Island, gotów zmierzyć się z flotą niemieckich U-bootów, broniąc amerykańskiego stylu życia i co jakiś czas zawijając na piwo na Martha's Vineyard. Nie chcąc spowodować przeludnienia w rządowych koszarach, za kwatery obrał sobie Stanhope Hall.

Ethel ma prawdopodobnie rację twierdząc, że wojenna służba Williama Stanhope'a stanowi przykład zła, jakie niesie ze sobą amerykański kapitalizm, przywileje i rodzinne koneksje. Ale przecież większość przedstawicieli klasy wyższej, o których czytałem lub słyszałem, spełniło godnie swój wojenny obowiązek, a wielu nawet przekroczyło jego granice. Ethel nie bierze jednak pod uwagę faktów, które podważają jej stronnicze poglądy i nie różni się w tym wiele od Williama Stanhope'a, ode mnie i od żadnego zdrowego bądź chorego na umyśle przedstawiciela gatunku homo sapiens, którego w życiu spotkałem. Nie muszę dodawać, że ku ogólnemu zadowoleniu William nie zamęcza rodziny ani znajomych swymi wojennymi opowieściami.

George, w każdym razie, powrócił w roku 1945 z Pacyfiku chory na malarię i wciąż zdarzają mu się jej nawroty, ale tym razem byłem pewien, że to tylko grypa. Zaproponowałem, że wezwę doktora.

–Nie potrafi nam pomóc – stwierdziła jednak z zagadkowym fatalizmem Ethel.

George i Ethel wzięli ślub tuż przed zamustrowaniem się George'a na okręt i August Stanhope, jak to było podówczas w zwyczaju, wyprawił im wesele w pałacu.

Kilka lat temu, podczas przypadkowej rozmowy z pewnym moim

starym klientem, dowiedziałem się, że dziadek August, który miał wówczas koło pięćdziesiątki, opiekował się czule Ethel także później, kiedy George zabijał na Pacyfiku naszych przyszłych sprzymierzeńców.

Te trochę czasu i starań, jakie poświęciła swemu chlebodawcy Ethel, przyniosło, jak się wydaje, spore dywidendy, Allardowie bowiem, jako jedyni z całej służby, nie zostali w ciągu wszystkich tych lat odprawieni.

Nie można również zapominać o szczodrym darze, jaki stanowiło dożywotnie prawo bezpłatnego użytkowania stróżówki. Zastanawiam się, czy George wie o tym, iż August Stanhope moczył pióro w jego kałamarzu. Ale nawet jeśli zdaje sobie z tego sprawę, z pewnością jest przekonany, że to raczej jego lojalność, a nie brak lojalności żony jest powodem hojności starego głupca. Cóż, może ma rację. Dzisiaj także trudniej jest o dobrego pracownika niż o dobrą dupę.

Nie słucham zwykle plotek, ale ta mnie tak zaciekawiła, że nie mogłem się oprzeć. Poza tym bardziej mieści się ona w kategorii historii społecznej aniżeli opowiadanych na ucho świństewek.

Popijając herbatę, spojrzałem na Ethel i uśmiechnąłem się. Odpowiedziała mi zboląłym grymasem. Nad jej głową, na ścianie małego saloniku wisiał ich ślubny portret. Widać było na nim George'a w białym marynarskim mundurze i ją, w białej sukni. W młodości była z niej bardzo ładna dziewczyna.

W całej tej historii nie interesuje mnie fakt, iż młodą, wojenną mężatkę uwiódł jej stary chlebodawca; ciekawi mnie, że Ethel Allard, zagorzała chrześcijańska socjalistka, oddała się swemu pryncypałowi, a później w sposób mniej albo bardziej subtelny zapewne go szantażowała.

W miejscu takim jak to ludzkie losy są do tego stopnia poplątane, że ujawnienie ich kolei zagroziłoby stabilności społecznej w o wiele większym stopniu aniżeli kryzysy, wojny i podwyżka podatków.

Allardowie, nawiasem mówiąc, mają córkę, Elizabeth, która jest wystarczająco podobna do George'a, abym nie zaprzętał sobie głowy możliwością pojawienia się w rodzinie Stanhope'ów dodatkowych spadkobierców. Tak się składa, że Elizabeth jest właścicielką dobrze prosperującej sieci butików – zajmuje się więc kupiectwem, podobnie jak jej dziadek ze strony matki. Ma sklepy w trzech sąsiednich miasteczkach i Susan, która sama nie jest entuzjastką zakupów, posyła tam swoje spragnione nowych ciuchów przyjaciółki. Spostrzegłem

kiedyś nazwisko Elizabeth w lokalnej gazecie, powiązane z nazwiskiem miejscowego działacza Partii Republikańskiej. Boże, błogosław Amerykę, Ethel – w jakim innym kraju socjaliści mogliby zrodzić republikanów i vice versa?

Wyszedłem od Allardów zaznaczając, że w razie, gdyby czegoś potrzebowali, mają zadzwonić do mnie albo do Susan. Moja żona, przy całej swej powściągliwości, respektuje zasadę noblesse oblige (to jedna z niewielu cech, które podziwiam u starobogackich) i dba o ludzi, którzy dla niej pracują. Mam nadzieję, że Ethel będzie o tym pamiętać, kiedy wybuchnie rewolucja.

Wczesnym popołudniem pozałatwiałem różne sprawy w Locust Valley, po czym wstąpiłem na piwo do pubu u "McGlade'a". Klębił się tam zwykły sobotni tłum, przyszła także reprezentująca pub drużyna softballu*, świeżo po zwycięstwie, jakie odniosła nad dziesięcioma żalonymi pedałami z kwiaciarni, którzy również tu zaszli i przedstawiali trochę odmienną wersję wydarzeń. Było również kilku samodzielnych przedsiębiorców budowlanych, zwilżających sobie gardło po porannym zaprezentowaniu kosztorysów przyszłym właścicielom domów, byli weekendowi biegacze, których zawieszane na poręczy baru studolarowe buty miały podejrzenie mało zdarte podeszwy.

Byli przedstawiciele szlachty zaściankowej, w swoich marynarskich mundurkach w stylu Land's End i L.L. Beana, oraz prawdziwa arystokracja, której garderobę trudno opisać – można tylko powiedzieć, że nikt nigdy jej nie widział w żadnym sklepie ani w katalogu. Starszy, siedzący obok mnie dżentelmen, odziany był na przykład w różową, tweedową kurtkę strzelecką z zielonymi przyszywanymi łatami ze skóry oraz wełniane, workowate zielone pumpy, na których wyhaftowano parę tuzinów małych kaczuszek. Ja miałem na sobie marynarski komplecik w stylu L.L. Beana: brązowe popelinowe spodnie, kraciastą koszulę z przypinanym guziczkami kołnierzykiem oraz błękitną wiatrówkę.

Liczni popijający piwo goście wpatrywali się pilnie w sporządzone żoniną ręką listy spraw do załatwienia, a kiedy otwierali portfele, ukazywały się w nich różowe kwity z pralni chemicznej. Po drugiej * Gra podobna do baseballu.

stronie, w restauracji, porządnie ubrane damy z torbami na zakupy plotkowały nad wiejskim serkiem i sałatą. Typowa sobota.

W porządnym pubie, podobnie, a nawet w większym stopniu niż w kościołach, dokonuje się wielkie zrównanie wszystkich klas; tu każdy wie, że nie tylko może, ale wręcz powinien wdać się w pogawędkę z sąsiadem przy barze.

Popijając drugie piwo ujrzałem w lustrze za kontuarem odbicie znajomego hydraulika, który stał opierając się o ścianę. Podszedłem do niego i przez chwilę omawialiśmy problemy, które miałem z domową instalacją. Pękła mi mianowicie żeliwna rura odpływowa. Facet chciał mi ją za odpowiednim wynagrodzeniem wymienić na nową rurę z PCW. Moim zdaniem wystarczyłoby zalutować starą. Korzystając z okazji, zapytał mnie, ile będą kosztować czynności prawne przy adopcji syna jego drugiej żony. Podałem mu przybliżoną sumę. Sądzę, że nasze usługi wydały się nam zbyt drogie, w związku z czym zaczęliśmy rozmawiać o Metsach. Tutaj wolno mówić o baseballu.

Zamieniłem kilka słów z paroma innymi znajomymi, potem z barmanem, a na koniec z dżentelmenem w różowej tweedowej kurtce, który jak się okazało, nie był wcale prawdziwym arystokratą, lecz emerytowanym lokajem z posiadłości Phippsa, odzianym w rzeczy wyrzucone kiedyś przez swego pryncypała. Dawniej widziało się tutaj takie rzeczy na każdym kroku, ostatnio jakby trochę mniej.

Dzień był zbyt przyjemny, by spędzać więcej niż godzinę w pubie, ruszyłem zatem do wyjścia, ale zanim wyszedłem, dałem hydraulikowi nazwisko dość taniego, specjalizującego się w sprawach adopcji prawnika. On zaś podał mi nazwisko majstra, który spróbuje zespawać moją rurę. Koła amerykańskiego biznesu nadal się kręca.

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem do domu. W drodze powrotnej minąłem moje biuro upewniając się, że wciąż tam stoi. Pomyślałem o schowanych w sejfie dziesięciu milionach w akcjach. Nie sprawiłoby mi żadnego kłopotu skłonienie pani Lauderbach – tak nazywa się moja klientka – by podpisała dokumenty uprawniające mnie do upłynnienia akcji. A potem mogłem polecieć do Rio – na bardzo długie wakacje. Nie potrzebowałem do tego wcale pomocy Lestera Remsena. Ale nigdy nie nadużyłem niczyjego zaufania, nie ukradłem nikomu ani jednego centa i nigdy tego nie zrobię. Poczuję się bardzo cnotliwy. Cóż za wspaniały dzień!

Pogodny nastrój nie opuszczał mnie aż do chwili, gdy dojechałem do bramy Stanhope Hall. Tam, jak to mówią, opadła mi szczęka. Nigdy tego wcześniej nie zauważyłem, ale to miejsce naprawdę wywierało na mnie przygnębiające wrażenie. Prawda, kiedy już ci się raz objawi, sprawia, że słyszysz wszystkie brzęczące w głowie dzwonki alarmowe. To nie był normalny kryzys mężczyzny w średnim wieku. To nie był w ogóle żaden kryzys. To było Objawienie, Epifania, Prawda przez duże P. Niestety, podobnie jak większość mężczyzn w średnim wieku, nie miałem pojęcia, co mam z tą prawdą począć. Ale byłem otwarty na wszelkie propozycje.

Zatrzymałem się przy stróżówce i zajrzałem do Allardów, którzy słuchali radia i czytali. Ethel pochłonięta była lekturą New Republic, najprawdopodobniej jedynego egzemplarza w całym Lattingtown, a George studiował Locust Valley Sentinel, co czynił od sześćdziesięciu lat, aby dowiedzieć się, kto rozstał się z tym światem, kto się urodził, kto zawarł związek małżeński, kto zalega z podatkami, a kto stara się o zmianę klasyfikacji posiadanych przez siebie gruntów albo chce się publicznie na coś poskarżyć.

Zabrałem doręczaną do stróżówki pocztę moją i Susan i przejrzałem ją kierując się do wyjścia.

–Był tutaj pewien dżentelmen – zawołała za mną Ethel. – Chciał się z panem zobaczyć. Nie podał nazwiska.

Czasami, kiedy dzwoni telefon, wie się po prostu, kto wykręcił numer. A nacisk, jaki Ethel położyła na słowie "dżentelmen", podpowiedział mi, że memu gościowi dużo brakowało do tego miana.

–Brunet w czarnym cadillacu? – zapytałem.

–Tak.

Ethel nigdy nie dodaje "sir", George uznał więc za stosowne zatrzeć złe wrażenie.

–Tak, sir – dodał. – Powiedziałem mu, że nie przyjmuje pan dzisiaj gości. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem. Nie znam go i nie sądzę, żeby pan go znał.

Ani chciał poznać, George. Uśmiechnąłem się na myśl o Franku Bellarosie, dowiadującym się, że pan Sutter dzisiaj nie przyjmuje.

Zastanawiałem się, czy wie, że oznacza to "spadaj".

–Co mam zrobić, jeśli się znów tutaj pojawi, sir?

–Jeśli będę w domu, wpuść go do środka – odparłem, jakbym dawno to sobie przemyślał. Musiałem to chyba zrobić.

–Tak jest, sir – odpowiedział George tonem, w którym profesjonalne desinteresement łączyło się gładko z osobistą dezaprobatą wobec decyzji chlebobawcy.

Wyszedłem ze stróżówki i wsiadłem do samochodu.

Pojechałem w stronę rezydencji, zostawiając z boku alejkę prowadzącą do mego domu. Między dwoma budynkami, na ziemi należącej do Stanhope'ów, znajduje się kort tenisowy, którego utrzymanie wzięła na siebie Susan. Za kortem trzypasmowa aleja nieco się wznosi.

Zaparkowałem forda na szczycie wzniesienia i wysiadłem. Za porośniętym polnymi kwiatami i zielskim terenem, na którym niegdyś rozciągał się wspaniały trawnik, stał Stanhope Hall.

Projekt pałacu wedle tego, co twierdzi Susan i co piszą na temat jego architektury w różnych, wspominających o Stanhope Hall książkach, oparty jest na wzorach francuskiego i włoskiego renesansu. Ścian zewnętrznych nie wyciosano jednak z europejskiego marmuru, lecz porządnego jankeskiego granitu. Fasada ozdobiona jest jońskimi kolumnami i pilastrami, pośrodku zaś wznosi się, oparty na klasycznych kolumnach, duży otwarty portyk. Wzdłuż płaskiego dachu wszystkich trzech skrzydeł pałacu biegnie kamienna balustrada. Całość przypomina właściwie nieco Biały Dom, tyle że jest solidniejsza.

Oczywiście rezydencję otacza wspaniałe niegdyś utrzymany, opadający w dół tarasami park. Co roku wciąż kwitną tu o tej porze zdżiczale róże i wawrzyny, żółte forsycje i wielobarwne azalie. Swój triumf nad człowiekiem święci natura, zgodnie z prawami której przetrwały najsilniejsze gatunki.

Mimo europejskiego charakteru budynku, kilka jego cech jest zdecydowanie amerykańskich. Należą do nich wielkie panoramiczne okna, przypominający oranżerię pokój śniadaniowy (można z niego oglądać wschodzące słońce), solarium na dachu, no i naturalnie amerykańska infrastruktura, czyli stalowe belki nośne, przewody centralnego ogrzewania oraz porządna instalacja wodno-kanalizacyjna i elektryczna.

Wracając jednak do pytania Lestera Remsena, trzeba przyznać, że w architekturze tego europejskiego w charakterze, wzniesionego w obcym mu krajobrazie pałacu nie ma właściwie nic unikalnego ani niezwykłego. Gdyby McKim, Mead albo White zaprojektowali gmach w stylu naprawdę amerykańskim (cokolwiek to mogło oznaczać w roku

1906), wówczas ludzie od ochrony krajobrazu wraz z całą resztą ekologicznego bractwa nie wahałoby się oświadczyć: "Drugiego takiego domu nie ma w całej Ameryce".

Ale w tamtym okresie architekci i ich amerykańscy klienci nie patrzyli w przyszłość ani nawet nie próbowali stworzyć czegoś na miarę teraźniejszości; oglądali się przez ramię w stronę europejskich wzorów, które były martwe na długo przedtem, nim pierwszy blok granitu z Vermont dostarczony został na plac budowy. Nie potrafię powiedzieć, co ci ludzie starali się stworzyć lub odtworzyć tutaj w Nowym Świecie.

Nie jestem w stanie myśleć ani odczuwać tak jak oni, mogę tylko zrozumieć ich walkę o własną tożsamość i nękające ich poczucie zagubienia, a także pytania, które towarzyszyły Amerykanom od samego początku: kim jesteśmy, gdzie jest nasze miejsce i dokąd zdążamy?

Przyszło mi na myśl, że wszystkie te posiadłości kryją w sobie fałsz również w głębszym, nie tylko architektonicznym sensie. W przeciwieństwie do majątków europejskich nie wyprodukowały na sprzedaż ani jednego kłosa zboża, konwi mleka czy butelki wina. Prawda, uprawiano tutaj ziemię, ale traktowano to jako hobby, i nie za uzyskane z niej pieniądze budowało się domy, utrzymywało służbę oraz kupowało rolls-royce'y. I żaden z wynajętych tutaj do uprawy roli robotników nie czuł w porze żniw podniecenia i zachwytu, a także tej pewności siebie, którą dać może tylko ziemia i Opatrzność – nigdy zaś giełda papierów wartościowych.

Właściwie, cóż ja mogę o tym wiedzieć? Moimi przodkami byli przeważnie farmerzy i rybacy i choć znam się na łowieniu ryb, moje zdolności do wyczarowywania z ziemi roślin ograniczają się, jak słusznie zauważył pan Bellarosa, do gatunków niejadalnych. W tym momencie stanął mi przed oczyma jego czerwony wózek wypełniony sadzonkami warzyw, które kupił za ciężkie pieniądze w najdroższej szkółce w okolicy. Z niego też jest lepszy picer – uznałem.

Całe to głupie Złote Wybrzeże wydało mi się teraz jednym wielkim picem, anomalią, w kraju, który sam stanowi anomalię w stosunku do reszty świata. Cóż, nikt nigdy nikomu nie obiecywał, że prawda uszczęśliwia – ona daje tylko człowiekowi wolność.

Oczywiście istniały poza tym prawdy jeszcze nie odkryte oraz prawdy innych ludzi, ale i one miały mi się wkrótce objawić.

Spojrzałem na Stanhope Hall i rozciągające się za nim pola. Za rezydencją widać było kolejne amerykańskie dziwadło – olbrzymią

altankę, otoczoną wiszącymi nisko gałęziami sykomorów, a dalej labirynt w stylu angielskim, żalosną rozrywkę dla młodych panienek i ich nierozgarniętych narzeczonych, którzy zamiast uganiać się po jego alejkach, więcej czasu mogliby spędzać w świątyni miłości.

Za labiryntem teren opadał w dół, ale z miejsca, gdzie stałem, widać było korony śliw, z których do dzisiaj wymarła mniej więcej połowa.

Sad, według Susan, nosił początkowo zapożyczone z pogańskiego kultu natury miano świętego gaju. W środku stoi rzymska świątynia miłości – mała, ale odznaczająca się idealnymi proporcjami, okrągła budowla wsparta na brunatnych marmurowych kolumnach, które podtrzymują półokrągły fryz, przedstawiający bardzo śmiałe sceny erotyczne.

W kopule znajduje się otwór; wpadające przezeń w pewnych godzinach promienie słońca i księżycy oświetlają zwarte w miłosnym uścisku dwie nagie postaci wyciosane w różowym marmurze. Pierwszą z nich jest jakiś bóg albo człowiek, drugą – obdarzona sporym biustem Wenus.

Frapuje mnie przeznaczenie tego miejsca. Świątynie miłości budowano także na terenie innych, bogatszych posiadłości. Mogę się jedynie domyślać, że nagość można było wówczas zaakceptować jedynie w wydaniu klasycystycznym; grecko-romańskie cycki i tyłek nie były zatem wyłącznie sztuką, ale jednym z niewielu sposobów, żeby przyjrzeć się goliźnie w roku 1906, i tylko milionerzy mogli sobie pozwolić na ten kosztowny dreszcz podniecenia.

Nie wiem, czy młode panienki, a nawet dojrzałe damy zapuszczały się kiedyś do świętego gaju, żeby pooglądać sobie ów pałac porno, ale możecie być pewni, że w letnie wieczory ja i Susan czynimy z niego należyty użytek. Susan uwielbia być westalką, zaskakiwaną podczas modlitwy w świątyni przez barbarzyńcę Johna. Westalka ta została pozbawiona cnoty około sześćdziesięciu razy, co może stanowić swoisty rekord.

Możliwe, że świątynia miłości to także wielki pic, ale ten akurat nie budzi moich zastrzeżeń. Susan nie jest dziewczyną, a mnie daleko do ideału barbarzyńcy, ale nasze zapierające dech orgazmy nie są wcale udawane. Prawdziwe rzeczy przytrafiają się prawdziwym ludziom nawet w Disneylandzie.

Patrząc na korony drzew, zdałem sobie sprawę, że mimo niechęci, jaką budził we mnie dziś mój zaczarowany świat, jeszcze do niego kiedyś zatęsknię.

Wsiadłem do forda i wróciłem do domu.

Rozdział 8 W poniedziałek po południu pojawił się w moim biurze w Locust Valley Lester Remsen, by zająć się problemem dziesięciu milionów dolarów pani Lauderbach. Dokładna liczba, wedle tego, co ustalił dział researchowski Lestera, wynosiła o godzinie piętnastej tego dnia 10132564 dolary oraz kilka centów. W skład tej sumy wchodziły nie płacone od sześćdziesięciu lat dywidendy, do których niestety nie zostały doliczone odsetki.

Pani Lauderbach poszła akurat do fryzjera, ufarbować sobie włosy, i nie mogła nam towarzyszyć, ale jako jej adwokat upoważniony byłem do podpisania większości dokumentów przedstawionych przez firmę maklerską. Lester i ja przeszliśmy do położonej na drugim piętrze biblioteki prawniczej, która we wzniesionym w stylu wiktoriańskim domu przy Birch Hil Road pełniła niegdyś rolę gabinetu.

–Ta historia nadaje się do książek – skomentował Lester. – Dobry Boże, ktoś mógłby pomyśleć, że pani Lauderbach bardziej się tym zainteresuje.

Wzruszyłem ramionami.

–Miała siwe odrosty – poinformowałem go.

Lester uśmiechnął się i zabraliśmy się do żmudnej papierkowej roboty, która interesowała mnie jeszcze mniej niż panią Lauderbach.

Kiedy zbliżaliśmy się do końca, zamówiłem kawę. Wymieniliśmy między sobą odpowiednie dokumenty, ale Lester najwyraźniej nie zwracał uwagi na to, co trzymał w ręku. Odłożył papiery i przez chwilę milczał.

–Ile ona ma lat? – zapytał. – Siedemdziesiąt osiem?

–Miała tyle, kiedy zaczęliśmy tę robotę.

Lester nie zareagował na mój żarcik.

–Zajmujesz się jako adwokat również jej testamentem? – zapytał.

–Zgadza się.

–Czy mogę zapytać, kto po niej dziedziczy?

–Zapytać możesz, ale ja nie mogę odpowiedzieć – odparłem. – Ma troje dzieci –

dodałem po chwili.

Lester kiwnął głową.

–Znam jej córkę, Mary. Wyszła za Phila Crowleya. Mieszkają w Old Westbury.

–Zgadza się.

–Nie wiedziałem, że Lauderbachowie mają tyle forsy.

–Oni sami też o tym nie wiedzieli.

–Cóż, właściwie zawsze im się dobrze wiodło. Kiedyś mieli własną posiadłość, The Beeches, prawda? – Zerknął na adres pani Lauderbach na dokumencie. – Ale potem przenieśli się do domu w Oyster Bay.

–Tak.

–Sprzedali The Beeches irańskiemu Żydowi, prawda?

–Nie zajmowałem się tym. Ale zgadza się, sprzedali. Za uczciwą cenę. Nowi właściciele utrzymują posiadłość w dobrym stanie.

–Nie myśl, że mam coś przeciwko irańskim Żydom – powiedział uśmiechając się Lester. – Lepsze to niż przywódca mafii., Lepsze to niż dwudziestu Lesterów Remsenów. Lauderbachowie, nawiasem mówiąc, zlecieli sprzedaż posiadłości dużej firmie prawniczej, której nic nie łączyło z miejscowymi wyższymi sferami. Robi się tak czasami, kiedy stary majątek kupują ludzie o śmiesznie brzmiących nazwiskach. Potrafię zrozumieć motywy sprzedających. Miejscowi prawnicy mogą po prostu odmówić przeprowadzenia transakcji, która nie spodobałaby się innym ich klientom albo sąsiadom. No cóż, tak wyglądała sytuacja, gdy Lauderbachowie sprzedawali The Beeches, ale ostatnio Złote Wybrzeże przypomina mi naród chylący się ku upadkowi. Nikt już tutaj nie udaje, że wszystko jest w idealnym porządku; wprost przeciwnie, każdy łapie, co może, i pędzi na lotnisko. Nie wiem, czy zająłbym się sprzedażą, gdyby mnie o to poproszono. Mógłbym prawdopodobnie zarobić dziesięć tysięcy dolarów za jeden dzień pracy, nie mam poza tym nic przeciwko irańskim Żydom ani żadnym innym cudzoziemcom. Nie lubią ich jednak niektórzy moi klienci i sąsiedzi.

–Nie sądzisz, że pan Lauderbach wiedział o tym, iż ma dziesięć milionów w akcjach?
– zapytał Lester.

–Nie wiem, czy wiedział, Lesterze – odparłem. – Ja nie wiedziałem, w przeciwnym razie poradziłbym mu, żeby otworzył u ciebie konto. Było także dużo innych aktywów. To nie ma teraz żadnego znaczenia. W życiu można wydać tylko pewną ograniczoną sumę pieniędzy. A czas Ernesta Lauderbacha skończył się, zanim skończyły się jego pieniądze.

–Ale dywidendy powinny zostać powtórnie zainwestowane.

Leżały tam nie zarabiając ani centa. To tak jakby dać Chase Manhattan i American Express nie oprocentowaną pożyczkę.

Pieniądze, które leżą beczynnie, wyprowadzają Lestera z równowagi. Jego dzieci nigdy nie miały skarbonki. Miały rachunki giełdowe.

Lester przestudiował uważnie ostatnią wolę Ernesta Lauderbacha.

–Zgodnie z tym testamentem, spadkobiercami nie są ani Mary, ani pozostała dwójka dzieci, Randolph i Herman?

–Nie, nie są.

Lester miał prawo zbadać testament, żeby ustalić, czy pani Lauderbach istotnie weszła w posiadanie całego majątku. Mój ojciec sporządził szóstą i ostatnią wersję testamentu Ernesta Lauderbacha przed dziesięcioma laty, ale akcje i obligacje były tam określone jedynie jako "wszelkie papiery wartościowe i inne środki finansowe, które będę posiadał w chwili mojej śmierci". Najwyraźniej nikt, łącznie z trojgiem dzieci Lauderbachów, nie wiedział dokładnie, co znajduje się w sejfie w podziemiach domu w Oyster Bay. Byłem całkiem pewien, że nadal o niczym nie wiedzą, w przeciwnym bowiem razie do tej pory odezwaliby się wszyscy troje – osobiście albo przez swoich adwokatów.

–Gdzie mieszkają Herman i Randolph? – dopytywał się Lester.

–Herman przeszedł na emeryturę i mieszka w Wirginii, a Randolph jest biznesmenem w Chicago. Dlaczego pytasz?

–Dlatego, że chciałbym zająć się ich akcjami, kiedy je odziedziczą.

Obaj zdawaliśmy sobie świetnie sprawę, że rzeczywistym celem tej rozmowy jest

doprowadzenie do tego, by Randolf, Herman i Mary nigdy w życiu nie oglądali tych akcji.

–Polecę im twoje usługi – odparłem – jeśli w sposób satysfakcjonujący zajmiesz się tym kontem.

–Dzięki. Przypuszczam, że oni o tym wiedzą? – poklepał dłonią stertę certyfikatów.

Pominałem milczeniem jego pytanie i wynikające zeń implikacje.

–Co się tyczy tego konta, Lesterze – powiedziałem grzecznie, ale stanowczo – nie życzę sobie, żebyś grał na giełdzie pieniędzmi pani Lauderbach. Obu pakietom akcji nic nie można zarzucić. Po prostu zostaw je tam, gdzie są, i dopilnuj, żeby nasza klientka otrzymała zaległe i bieżące dywidendy. Jeśli będzie potrzebowała pieniędzy, żeby zapłacić podatek od posiadłości, wtedy poradzę się ciebie i sprzedamy część akcji Wujowi Samowi.

–Nie sądzisz chyba, John, że puściłbym w ruch te pieniądze dla marnej prowizji.

Lester, trzeba mu to przyznać, jest maklerem z zasadami. Inaczej nie prowadziłbym z nim interesów. Ale pokusy, w które obfituje jego zawód, wpędziłyby w stresy samego Jezusa Chrystusa. Weźmy chociażby tę sprawę. Na mahoniowym stole leżało przed nim dziesięć milionów dolarów i dostrzegalem niemal siedzącego mu na lewym ramieniu małego diabełka, a obok, na prawym – anioła. Obaj szeptali mu coś do uszu. Nie chciałem im przeszkadzać, w końcu jednak odezwałem się.

–Sam wiesz, że nie ma najmniejszego znaczenia, kto wie o tych pieniądzech, kto ich potrzebuje i kto na nie zasługuje, a także fakt, że Agnes Lauderbach dba o nie tyle, co o zeszłoroczny śnieg.

Wzruszył ramionami i próbował zmienić temat.

–Zastanawiam się, dlaczego Lauderbachowie wyzbyli się The Beeches, jeśli wiedzieli, że mają taką kupę pieniędzy.

–Nie każdy chce mieć dwieście akrów ziemi i pięćdziesiąt pokoi, Lesterze. To strata pieniędzy, nawet jeśli ma się ich akurat bardzo dużo. Ile potrzeba ci do szczęścia łazienek?

Lester zachichotał.

–Czy wykupiłbyś Stanhope Hall, gdybyś miał dziesięć milionów dolarów? – zapytał.

–Masz na myśli pięć milionów, wspólniku?

Lester uśmiechnął się głupkowato i spojrzał na mnie, żeby sprawdzić, czy go nie podpuszczam, po czym spuścił wzrok. Jego oczy omiotły zarzucony papierami stół i spoczęły na stercie certyfikatów giełdowych.

–A może kupiłbyś sobie raczej sześćdziesięciostopowy szkuner i pożeglował w stronę zachodzącego słońca?

Żałowałem, że zwierzyłem się wtedy Lesterowi. Nic nie odpowiedziałem.

–Albo zabrałbyś Susan z domku gościnnego i wprowadził się z powrotem do rezydencji?

Zapadło milczenie, podczas którego Lester zastanawiał się, co zrobiłby z pięcioma milionami dolarów, ja natomiast rozmyślałem zapewne, co zrobiłbym z dziesięcioma, nie miałem bowiem wcale zamiaru obciążać sumienia dodatkowym grzechem dzielenia się owocami przestępstwa z Lesterem Remsenem.

Przyszło mi na myśl, że Lester należy do ludzi, którzy są uczciwi po prostu ze strachu, ale lubią poflirtować trochę z nieuczciwością, żeby choć przez chwilę poczuć, jak to jest, kiedy ma się, przepraszam za wyrażenie, jaja. Lubi także sprawdzać, jak inni ludzie reagują na jego prowokacje.

–Teraz, kiedy obejrzałem sobie te wszystkie papiery i certyfikaty – stwierdził Lester tonem, który sugerował, że to, o czym mówi, jest czystą abstrakcją – widzę, że rzecz można bardzo łatwo przeprowadzić.

A suma jest naprawdę warta zachodu. Nie sądzę także, byśmy musieli wyjeżdżać z kraju, jeśli wszystko zostanie załatwione jak należy. Kiedy starsza pani umrze, będziesz musiał tylko dopilnować, żeby w jej testamencie nie pojawiła się żadna wzmianka na temat akcji.

Lester perorował jakiś czas dalej w podobnym stylu, ani razu nie kalając sobie ust brzydkimi wyrazami, takimi jak "oszustwo podatkowe", "kradzież", "fałszerstwo" albo "defraudacja". Przysłuchiwałem się temu bardziej z ciekawości, aniżeli z potrzeby pobierania u Lestera lekcji, jak popełnić przestępstwo doskonałe.

Nie wiem, dlaczego jestem uczciwy. Przypuszczam, że częściowo odziedziczyłem to po moich rodzicach, którzy – nawet jeśli jest to wszystko, co można o nich powiedzieć – stanowili wzór wszelkich cnót. W czasach, kiedy dorastałem – w latach pięćdziesiątych – przesłanie, które docierało do nas z ambony i z katedry prywatnej szkoły, w mniejszym stopniu dotyczyło pieniącego się na świecie zła i niesprawiedliwości, w większym tego, jak należy zachowywać się wobec innych. Mówiło się o Dziesięciu Przykazaniach, o złotym środku, i, wierście lub nie, od młodych mężczyzn i kobiet oczekiwano, że będą wierni maksymom, które sami sobie wybiorą. Moja brzmiała:

"Każdego dnia będę się starał dawać więcej, niż otrzymuję". Nie

wiem, skąd to wytrzasnąłem, ale to znakomity sposób na doprowadzenie się do bankructwa. Kiedyś jednak musiałem kierować się w życiu tą maksymą – najprawdopodobniej do czasu, kiedy skończyłem osiemnaście lat. A może trochę dłużej.

Wychowywano w ten sposób miliony ludzi należących do mego pokolenia, a przecież wielu z nich zostało złodziejami, niektórzy zaś kimś jeszcze gorszym. Dlaczego więc ja jestem uczciwy? Co powstrzymuje mnie przed zagarnięciem dziesięciu milionów dolarów i rzuceniem się w ramiona skąpo odzianych pańienek na plaży Ipanema? To pytanie, które dręczy Lestera. Sam szukam na nie odpowiedzi.

Popatrzyłem na stertę akcji, a Lester przerwał na chwilę swój wykład o tym, jak bezpiecznie ukraść dziesięć milionów.

–Nikt już nie dba o zasady, John – poinformował mnie. – Wylądowały na śmietniku. To nie moja wina, twoja także nie. Tak po prostu wygląda sytuacja. Zmęczyła mnie rola frajera i przestrzeganie reguł markiza Queensbury, skoro ustawicznie kopie się mnie w przyrodzenie, a sędziemu zapłacono, żeby patrzył w drugą stronę.

Nic nie odpowiedziałem.

Aż do niedawna jedną z przyczyn mojej uczciwości było zadowolenie z życia, fakt, że pasowałem do swojej społecznej matrycy i dobrze w jej ramach funkcjonowałem. Ale kiedy ktoś powie sobie, że od tej chwili nie będzie tęsknił za domem, cóż powstrzymuje go od kradzieży rodzinnego auta i ucieczki w nieznaną? Spojrzałem na Lestera, który patrzył na mnie w oczekiwaniu, że zmienię jeszcze stanowisko.

–Jak kiedyś słusznie zauważyłeś, pieniądze mnie nie kuszą – powiedziałem. Była to szczerza prawda.

–Dlaczego cię nie kuszą?

Spojrzałem na Lestera.

–Nie wiem.

–Pieniądze są obojętne, John. Same w sobie nie są ani dobre, ani złe. Pomyśl o indiańskich muszelkach. Tylko od ciebie zależy, co z nimi zrobisz.

–I jak je zdobędziesz.

Lester wzruszył ramionami.

**–Być może w tym wypadku – powiedziałem – chodzi o to, że ograbienie starej
zbzikowanej damy nie stanowi dla mnie wystarczająco niebezpiecznego wyzwania; że
jest to czyn poniżej mojej godności**

i zawodowych talentów, które pozwalają mi okradać godnych siebie przeciwników. Znajdź coś niebezpieczniejszego, to porozmawiamy znowu. Jutro – dodałem – prześlę akcje przez specjalnego kuriera do twojego biura na Manhattanie.

Lester sprawiał wrażenie jednocześnie rozczarowanego i odprężonego. Zapakował papiery do teczki i wstał.

–No tak... cóż warte byłoby życie, gdybyśmy nie potrafili oddać się czasami marzeniom? – Życzę ci samych pogodnych marzeń.

–Mam takie. Ty także powinienes trochę pomarzyć.

–Nie bądź ćmokiem, Lesterze.

Wydawał się lekko urażony i poznałem po tym, że użyłem właściwego słowa.

–Nie zapomnij o kartach z wzorem podpisu pani Lauderbach – oznajmił chłodno.

–Spotkam się z nią jutro przed lunchem, zanim wybierze się na kolejną randkę.

Lester wyciągnął rękę i uścisnęliśmy sobie dłonie.

–Dziękuję, że zakładasz u mnie to konto. Jestem ci winien obiad,

–Obiad w zupełności wystarczy.

Lester wyszedł rzucając pożegnalne spojrzenie leżącym na stole dziesięciu milionom dolarów.

Zabrałem certyfikaty na dół i schowałem je do sejfu.

Pozostała część tygodnia, a tak się składało, że był to Wielki Tydzień, minęła zgodnie z oczekiwaniami. Wieczorem w Wielki Czwartek pojechaliśmy do kościoła razem z Allardami, którzy wracali do zdrowia. Wielebny Hunnings umył nogi dwunastu członkom naszej kongregacji. Obrzęd ten, jeśli przypadkiem o tym nie wiecie, odprawia się na pamiątkę umycia przez Chrystusa nóg swoim uczniom i ma prawdopodobnie symbolizować pokorę, jaką wielcy tego świata winni odczuwać wobec maluczkich. Ja osobiście nogi miałem czyste, nie można było jednak tego powiedzieć o Ethel – ruszyła bowiem w stronę ołtarza razem z gromadą ludzi, którzy zgłosili się zapewne do tej ceremonii już wcześniej, gdyż żadna z kobiet nie założyła rajstop, a żaden z mężczyzn frywolnych skarpetek. Nie

zamierzam bynajmniej kpić z własnej religii, ale uważam ten obrzęd za skrajnie dziwaczny. Odprawia się go dość rzadko, ale Hunningsowi zdaje się sprawiać wielką przyjemność i trochę się o niego w związku z tym obawiam. W któryś Wielki Czwartek, jeśli tylko nie zawiodą mnie nerwy, zamierzam dać sobie umyć nogi wielebnemu Hunningsowi, a kiedy zdejmę skarpetki, na każdym paznokciu będę miał wymalowaną roześmianą buzię.

Po nabożeństwie zaprosiliśmy do naszego domu George'a oraz Ethel z czystymi nogami na coś, co Susan określiła jako Ostatnią Wieczerzę, był to bowiem ostatni gorący posiłek, jaki zamierzała przyrządzić aż do poniedziałku.

Nazajutrz przypadał Wielki Piątek. Zauważyłem, że ludzie, przynajmniej w najbliższej okolicy, przyswoili sobie ostatnio europejski zwyczaj, by nie chodzić tego uroczystego dnia do pracy. Zamknęła swoje podwoje nawet nowojorska giełda, to samo zatem uczyniła, idąca z nią krok w krok, firma Perkins, Perkins, Sutter Reynolds.

Czy ten nowy, wolny od pracy dzień jest rezultatem religijnego przebudzenia się naszego kraju, czy też wynika z chęci zafundowania sobie trzydniowego weekendu, tego nie wiem i nikt nie wypowiada się na ten temat. Już na początku tygodnia zapowiedziałem, że nasze biuro w Locust Valley będzie w Wielki Piątek nieczynne, a następnie zaskoczyłem personel i wprowadziłem w niepokój swoich wspólników z Wall Street oświadczając, że w kancelarii w Locust Valley będziemy również, tak jak to czynią Europejczycy, świętować Poniedziałek Wielkanocny. Zamierzam zapoczątkować nowy trend.

Susan i ja wybraliśmy się razem z Ethel i George'em na nabożeństwo, które tradycyjnie odprawiane jest w Wielki Piątek o godzinie trzeciej, o tej bowiem porze niebo pociemniało, ziemia zatrzęsała się i Chrystus umarł na krzyżu. Przypominam sobie, jak któregoś słonecznego i jasnego Wielkiego Piątku, kiedy byłem małym chłopcem i wchodziłem po stopniach tutejszego kościoła, niebo nagle zasnuło się ciemnymi burzowymi chmurami. Pamiętam, jak wpatrywałem się w nie zalękniony, czekając, jak sądzę, kiedy zatrzęsie się ziemia. Kilku dorosłych uśmiechnęło się do mnie, a potem moja matka wyszła z kościoła i zabrała mnie do środka. Ale tym razem dzień był słoneczny, nie czekały nas żadne dramatyczne zjawiska klimatyczne ani sejsmiczne, a gdyby nawet, z pewnością wyjaśniono by je w serwisie meteorologicznym o szóstej.

6 – Złote Wybrzeże Kościół wypełniali porządnie ubrani ludzie, a wielebny Hunnings, któremu było wyjątkowo do twarzy w wielkanocnych purpurowych szatach liturgicznych, przystąpił od razu do tematu, którym była śmierć Jezusa Chrystusa. W kazaniu nie zawarł tym razem żadnych nauk społecznych, za co dziękowałem Bogu. Hunnings, nawiasem mówiąc, zwalnia nas od poczucia winy również w Wielką Sobotę i przeważnie na Boże Narodzenie, wspominając wówczas jedynie marginesowo o materializmie i komercjalizmie.

Po skromnym nabożeństwie Susan i ja odwieźliśmy Allardów, zaparkowaliśmy jaguara i wybraliśmy się na długi spacer wokół posiadłości, podziwiając piękny dzień i budzącą się do życia przyrodę.

Wyobrażam sobie, jak to miejsce musiało wyglądać w czasach swego rozkwitu – gdzie tylko spojrzeć, krzatali się ogrodnicy, przycinając żywopłoty, grabiąc liście, podlewając, pieląc i flancując. Ale teraz całe otoczenie było zaniedbane: wszędzie leżały zeschnięte gałęzie, a liści nie sprzątano od dwudziestu lat. Pola i ogrody nie powróciły jeszcze zupełnie do natury. Podobnie jak wiele innych rzeczy i zjawisk w tej okolicy, wliczając w to moje własne życie, znajdowały się w fazie pośredniej pomiędzy porządkiem a chaosem.

Edward i Carolyn wybrali się gdzieś na ferie razem z przyjaciółmi, w związku z czym nie przyjechali do nas w tym roku na Wielkanoc i myślę, że – podobnie jak wiele małżeństw, które odkryły, iż ich dzieci stały się samodzielne – Susan i ja ciepło wspominaliśmy czasy, kiedy dzieciaki były dziećmi, a święta obchodziło się w rodzinnym gronie.

–Pamiętasz, jak otworzyliśmy duży dom i urządziliśmy poszukiwanie wielkanocnych jajek? – zapytała Susan, kiedy szliśmy w stronę alei biegnącej do Stanhope Hall.

Uśmiechnąłem się.

–Schowaliśmy sto jajek dla dwadzieścioro dzieci, ale udało im się odnaleźć tylko osiemdziesiąt. Wciąż gnije tam gdzieś dwadzieścia jajek.

Susan roześmiała się.

–Zginęło nam także jedno dziecko. Jamie Lerner. Zanim go znaleźliśmy, przez pół godziny ryczał, zagubiony gdzieś w północnym skrzydle.

–Znaleźliśmy go w końcu? Myślałem, że wciąż tam jest i żywi się zbukami.

Trzymając się za ręce minęliśmy rezydencję i usiedliśmy w starej altanie. Oboje milczeliśmy przez chwilę.

–Dokąd odchodzą te wszystkie lata? – odezwała się w końcu Susan.

Wzruszyłem ramionami.

–Czy coś jest nie w porządku? – spytała.

Takie pytanie, kiedy zadaje je współmałżonek, kryje w sobie wielorakie niebezpieczeństwa.

–Nie – odparłem tonem, którego używa mąż, kiedy chce powiedzieć "tak".

–Jakaś inna kobieta?

–Nie. – Wypowiedziane właściwym tonem oznaczało to "nie, skądże znowu".

–Więc co?

–Nie wiem.

–Byłeś ostatnio bardzo zamknięty w sobie – zauważyła.

Susan jest czasami do tego stopnia zamknięta w sobie, że aby się z nią porozumieć, trzeba wykręcać numer kierunkowy. Ale osoby jej pokroju nie są zadowolone, kiedy sytuacja się odwraca.

–To nie ma nic wspólnego z tobą – użyłem starej męzowskiej formuły.

Są żony, które zadowolilyby się takim oświadczeniem, nawet gdyby nie było ono prawdziwe, ale Susan nie uśmiechnęła się szeroko i nie zarzuciła mi ramion na szyję.

–Dowiedziałam się od Judy Remsen – powiedziała zamiast tego – że zwierzyłeś się Lesterowi, iż masz ochotę wyruszyć w rejs dookoła świata.

Gdyby był z nami w tej chwili Lester, chętnie przywaliłbym mu w nos.

–Judy Remsen powiedziała ci, że opowiadałem takie rzeczy Lesterowi? – powtórzyłem z ironią.

–Tak. Masz ochotę wybrać się w rejs dookoła świata?

–Wydawało mi się to świetnym pomysłem, kiedy to mówiłem.

Byłem pijany. – Zabrzmiało to nieprzekonująco, więc, żeby nie mijać się z prawdą, dodałem: – Myślałem o tym.

–Czy uwzględniasz moją osobę w tych planach?

Susan zaskakuje mnie czasami, gdy traci na chwilę pewność siebie.

Gdybym był zręczniejszym manipulatorem, podsycalbym w niej te

obawy po to, by bardziej się mną zainteresowała, a może nawet pokochała. Wiem, że ona postępuje w ten sposób w stosunku do mnie.

–Nie miałabyś ochoty przenieść się do naszego domu w East Hampton? – zapytałem.

–Nie.

–Dlaczego nie?

–Bo podoba mi się tutaj.

–Podoba ci się i w East Hampton – zauważyłem.

–To miejsce w sam raz, żeby spędzić tam część wakacji.

–Dlaczego nie mielibyśmy się wybrać w rejs dookoła świata?

–Dlaczego ty nie miałbyś się wybrać w rejs dookoła świata?

–Trafne pytanie. – Kurewsko trafne. Czas, żeby zasiać ziarno niepewności. – Mogę się na to zdecydować.

Susan wstała.

–A może jeszcze lepiej będzie, John, jeśli zapytasz sam siebie, przed czym tak uciekasz?

–Nie próbuj poddawać mnie psychoanalizie, Susan.

–Więc pozwól mi powiedzieć, co cię dręczy. Twoje dzieci nie przyjechały do domu na święta, twoja żona jest dziwką, twoi przyjaciele idiotami, twoja praca cię nudzi, nie znosisz mojego ojca, nienawidzisz Stanhope Hall, Allardowie grają ci na nerwach, nie jesteś dość bogaty, żeby kontrolować bieg wydarzeń, i nie dość biedny, żeby przestać próbować to robić. Czy mam mówić dalej?

–Proszę bardzo.

–Zraziłeś się do swoich rodziców i vice versa, za dużo jadasz obiadów w klubie, młode, atrakcyjne kobiety nie biorą już serio twoich flirtów, życie nie stawia przed tobą żadnego wyzwania i być może pozbawione jest sensu i wszelkiej nadziei. Nic nie jest w nim pewne oprócz śmierci i podatków. No cóż, Johnie Sutter, witaj w klubie podstarzałych członków amerykańskiej wyższej klasy średniej.

–Pięknie ci dziękuję.

–Aha, i byłabym zapomniała: do sąsiedniej posiadłości wprowadził się szef mafii.

–Być może to jedyny promyk nadziei w tym ponurym obrazie.

–To się jeszcze okaże.

Susan i ja spojrzeliśmy na siebie, ale żadne z nas nie wyjaśniło, co rozumie przez tę ostatnią wymianę zdań. Wstałem.

–Od razu poczułem się lepiej – oznajmiłem. – Świetnie. Potrzebowałeś po prostu umysłowej lewatywy.

Uśmiechnąłem się. Prawdę mówiąc poczułem się lepiej, gdyż radość sprawiło mi odkrycie, że ja i Susan wciąż się rozumiemy.

Moja żona zarzuciła mi rękę na ramię, co uznałem za gest nieco łobuzerski, ale w jakiś sposób bardziej intymny niż uścisk.

–Wolałabym, żeby to była kobieta – powiedziała. – Poradziłabym sobie z tym cholernie szybko.

Uśmiechnąłem się.

–Niektóre młode atrakcyjne kobiety wciąż jeszcze traktują mnie serio.

–Jestem tego pewna.

–To świetnie.

Wyszliśmy z altany i ruszyliśmy ścieżką, która prowadziła kotlinką wśród drzew na południe od rezydencji.

–Nie zawsze jesteś dziwką – powiedziałem. – A ja nie żywię wcale niechęci do twojego ojca. Nie mogę tylko znieść jego charakteru.

–To miło z twojej strony. On odczuwa to samo w stosunku do ciebie.

–Wspaniale.

Szliśmy nadal zadrzewioną kotlinką; Susan trzymała rękę na moim ramieniu. Nie lubię się na ogół nad sobą użalać ani uprawiać autoanalizy, ale czasami trzeba się zatrzymać i zastanowić nad tym, co jest grane. Nie tylko ze względu na samego siebie, ale po to, żeby nie krzywdzić innych ludzi.

–A propos – powiedziałem – zeszłej soboty wpadł do nas Biskup. George powiedział mu, że nie przyjmuję.

–George powiedział coś takiego biskupowi Eberly'emu?

–Nie, Biskupowi Frankowi.

–Ach... – Zaśmiała się. – Temu Biskupowi. – Zastanawiała się przez chwilę. – On

jeszcze tu wróci.

–Tak myślisz? – zapytałem. – Zastanawiam się, czego chce.

–Wkrótce się dowiesz – odparła Susan.

–Nie bądź taka złowróżbna, Susan. Uważam, że chce po prostu utrzymać z nami przyjazne, sąsiedzkie stosunki.

–Do twojej wiadomości: zadzwoniłam do Eltonów i DePauwów.

U jednych i drugich w ogóle się nie pokazał ani nie odezwał.

Eltonowie mieszkają w Windham, posiadłości, która graniczy z Alhambą od północy, a DePauwowie mają duży dom w stylu kolonialnym i dziesięć akrów, które trudno nazwać posiadłością, dokładnie naprzeciwko bramy Alhambry.

–Wynika z tego – powiedziałem – że pan Bellarosa uznał nas za jedynych sąsiadów godnych jego zainteresowania.

–Widziałeś się z nim. Może powiedziałeś coś, co go zachęciło.

–Nie sędzę.

Wciąż się zastanawiałem, skąd wiedział, kim jestem i jak wyglądam.

To było niepokojące.

Wyszliśmy spomiędzy drzew. Niedaleko biegła wąska ścieżka, której kamienne płyty porośnięte były mchem. Ruszyłem razem z Susan w tamtą stronę i poczułem, jak moja żona przez chwilę się opiera, a potem ustępuje. Ścieżka biegła tunelem utworzonym przez obrośniętą krzakami dzikiej róży pergolę; u jej końca stały wypalone ruiny domu dla lalek. Ocalałe belki i krokwie oplatał powój, który wspiał się w górę po kamiennym kominie. Sam komin był nietknięty; w środku wciąż wisiał na żelaznym drągu duży czarny czajnik.

Niczym w prawdziwych bajkach, mała zgrabna chatka sprawiała teraz, podobnie zresztą jak i przed pożarem, trochę niesamowite wrażenie.

–Dlaczego chciałeś tutaj przyjść? – zapytała Susan.

–Pomyślałem, że skoro poddałaś analizie mój umysł, ja z kolei chciałbym się dowiedzieć, dlaczego nigdy nie odwiedzasz tego miejsca.

–Skąd wiesz, że nie odwiedzam?

–Bo nigdy cię tutaj nie widziałem, nigdy też nie odkryłem śladów podków.

–Przykro patrzeć na te wszystkie zniszczenia.

–Ale także przed pożarem nigdy tutaj nie przychodziliśmy, nigdy nie urządzaliśmy tu naszych przedstawień.

Nie odpowiedziała.

–Powiedzmy, że nie chcesz kochać się w miejscu wypełnionym wspomnieniami z

dzieciństwa.

Susan milczała.

Zbliżyłem się do miejsca, w którym znajdowały się kiedyś drzwi wejściowe, ale Susan została z tyłu. Rozpoznałem szczątki skrzynki na kwiaty, która runęła z okiennego parapetu, a obok resztki witraży

i stopiony ołów, a także wypalony szkielet łóżka i materaca, które spadły z drugiego piętra.

–Czy to dobre, czy złe wspomnienia? – zapytałem.

–I takie, i takie.

–Opowiedz mi o dobrych.* Postąpiła kilka kroków do przodu, uklękła i podniosła z ziemi skorupę jakiegoś garnka.

–W lecie miałam tutaj gości. Kilkanaście dziewczynek spędzało tu całą noc, chichocząc, śmiejąc się, śpiewając i wpadając w niesamowity popłoch, kiedy tylko na zewnątrz rozległ się jakiś hałas.

Uśmiechnąłem się.

Podeszła do domu i przyglądała się osmalonym drewnianym belkom, które dziesięć lat po pożarze wciąż wydzierały odór spalenizny.

–Dużo dobrych wspomnień – dodała.

–Cieszę się. Chodźmy stąd. – Ująłem ją pod ramię.

–Chcesz poznać złe wspomnienia?

–Nie za bardzo.

–Przychodzili tu czasami służący i urządzali przyjęcia. I uprawiali seks. Zdałam sobie sprawę, że to seks, kiedy miałam chyba trzynaście lat. Zamykali wtedy drzwi. Nie zasnęłabym już nigdy w tym łóżku.

Nie odezwałem się.

–Mam na myśli, że to był mój dom. Miejsce, które uważałam za swoje.

–Rozumiem.

–Któregoś dnia przyszłam tutaj... miałam wtedy piętnaście lat.

Drzwi nie były zamknięte i weszłam na górę, żeby zabrać coś, co zostawiłam w sypialni... a tam leżała ta para... byli oboje nadzy i spali... – Spojrzała na mnie. – Sądzę, że doznałam chyba szoku. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Nie wiem, czy piętnastoletnia dziewczynka doznałaby dzisiaj szoku widząc coś takiego. To znaczy,

w jaki sposób by się uchowała? Nagich, robiących to ludzi ogląda się dziś w telewizji.

–To prawda – odparłem. Ale nadal nie chciało mi się wierzyć, że wciąż się tym dręczy. Było w tym coś więcej i czułem, że Susan ma mi zamiar o tym powiedzieć.

Przez chwilę milczała.

–Przychodziła tu z takim jednym moja matka – powiedziała w końcu.

–Rozumiem. – Zastanawiałem się, czy to swoją matkę zobaczyła w łóżku, i z kim.

Susan przeszła po zaśmieconej posadzce i zatrzymała się przy spalonym łóżku.

–To tutaj straciłam cnotę.

Nie odpowiedziałem.

Obróciła się ku mnie.

–Prawdziwy dom dla lalek – powiedziała. – Chodźmy stąd.

Minęła mnie i ruszyła ścieżką pomiędzy krzakami róż. Podążyłem za nią.

–Czy to ty podłożyłaś tu ogień? – zapytałem.

–Tak.

–Przepraszam – odezwałem się nie wiedząc, co powiedzieć.

–Nic nie szkodzi.

Objąłem ją ramieniem.

–Czy opowiadałem ci kiedyś – zapytałem lżejszym tonem – jak któregoś Wielkiego Piątku, kiedy byłem mały, pociemniało nagle niebo?

–Kilka razy. Opowiedz mi o tym, jak straciłeś cnotę.

–Opowiadałem ci już.

–Przedstawiłeś mi trzy różne wersje. Ale założę się, że to ja byłam twoją pierwszą dziewczyną.

–Być może. Ale nie ostatnią.

Szturchnęła mnie w żebra.

–Cwaniaczek.

Minęliśmy w milczeniu kotlinkę. Kiedy dotknąłem palcami jej policzka, odkryłem, że płacze.

–Wszystko będzie dobrze – zapewniłem ją.

–Za stara jestem na takie bajeczki – poinformowała mnie.

Skręciliśmy, bo tak sobie życzyła Susan, w śliwkowy sad, czyli święty gaj, i ruszyliśmy w stronę rzymskiej świątyni miłości. Więcej niż połowa śliw była uschnięta albo usychała i każdej wiosny kwitło na nich coraz mniej kwiatów. Mimo to w powietrzu unosił się wciąż ich intensywny zapach.

Słońce stało nisko na horyzoncie rzucając przez otwór w kopule ukośne światło na fragment erotycznej płaskorzeźby na architrawie.

Stąpając po marmurowej posadzce Susan podeszła do nagich posągów

Wenus i potężnego Rzymianina. Wyciosane z różowego marmuru postaci siedziały obok siebie na postumencie z gładkiego, czarnego kamienia i choć obejmowały się dość nieśmiało, jakby szykując się do pocałunku, od pasa w dół prezentowały się w całej okazałości.

Mężczyzna zapomniał gdzieś swego figowego listka, a jego penis był w stanie erekcji. W roku 1906, jak już powiedziałem, taka poza była dość ryzykowna – nawet dzisiaj sterczący członek uważany jest przez niektórych za pornografię.

Swoją drogą, kobieta jest w stanie dosiąść tego jurnego posągu, opierając się udami o jego biodra i pozwalając mu w siebie wnikać.

Faktem jest, że w epoce rzymskiej dziewice deflorowały się w ten sposób podczas saturnaliów. Używały do tego, jak sądzę, posągu Priapa, jego bowiem członek znajduje się stale w pełnej gotowości.

Nie powinniście zapominać, że te rzeźby, podobnie jak cała świątynia miłości, zamówione zostały przez dziadka Susan, Cyrusa Stanhope'a, a pewien rodzaj nadpobudliwości przechodzi, moim zdaniem, z pokolenia na pokolenie. Ów, jak dotąd nie zidentyfikowany gen, powodujący nadmierną aktywność libido, Susan z całą pewnością odziedziczyła zarówno po mieczu, jak i po kądzieli, z większości bowiem relacji wynika, że członkowie obu rodzin nie potrafili trzymać na wodzy swych chuci.

Mówiłem już, że razem z Susan oddajemy się w tej świątyni pewnym interesującym praktykom seksualnym, choć nie zalicza się do nich wspomniany wyżej obyczaj posągowej inicjacji, jeśli wybaczycie mi to skrótowe określenie. Powinienem także wspomnieć, że oba posągi wyciosane są w nieco większej niż naturalna skali, w wyniku czego przyrząd rzymskiego dżentelmena ma wymiary nieco bardziej okazałe od mojego, nie aż tak bardzo jednak, żebym popadł w kompleksy.

Znaleźliśmy się zatem w Wielki Piątek w owej pogańskiej świątyni, zaraz po powrocie z kościoła, mając za sobą chwilę prawdy w altanie i chwilę emocji w domku dla lalek. Wszystko to, szczerze mówiąc, sprawiło, że poczułem się trochę skrępowany. Nie był to chyba czas i miejsce odpowiednie na miłość.

Susan, natomiast, wydawała się świetnie wiedzieć, czego chce.

–Pokochaj mnie, John – powiedziała.

Przedstawiona w tej formie prośba oznaczała, że nie będziemy

niczego udawać, lecz pokochamy się jak mąż i żona. Oznaczało to również, że Susan nie czuje się zbyt pewna siebie lub, być może, ogarnęła ją melancholia.

Wziąłem ją w ramiona i pocałowaliśmy się. Całując Susan, usiadłem na skraju postumentu bezwiednie naśladowując pozę, w której znajdowały się posągi. Zrzuciliśmy buty i nie przestając się całować, rozebraliśmy się do naga, pomagając sobie wzajemnie. Położyłem się na plecach na chłodnym marmurze, a Susan uklękła na mnie, a następnie uniosła się i pozwoliła, bym w nią wszedł. Zaczęła się miarowo kołysać, unosząc i opuszczając biodra. Zamknęła oczy, a z jej otwartych ust wydobywał się cichy jęk.

Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem. Wyprostowała nogi i położyła się na mnie. Objęliśmy się i pocałowaliśmy. Jej biodra unosiły się i opadały.

Susan stężała, a potem rozluźniła się. Znowu wprawiała w ruch biodra, znowu stężała i znowu osłabła. Powtórzyło się to trzy albo cztery razy; jej oddech stał się urywany, ale nie przerywała, aż osiągnęła kolejny orgazm. Mogła się tak kochać aż do utraty przytomności, co kiedyś jej się przytrafiło, ale ja nie powstrzymałem się już dłużej i razem doszliśmy do szczytu.

Przytuliła twarz do mojej piersi. Jej długie rude włosy opadły mi na ramiona.

–Dziękuję ci, John – szepnęła oddychając głęboko.

Przyjemnie było tak leżeć z przytuloną do mnie Susan. Oboje mieliśmy gorące i wilgotne przyrodzenia. Przez chwilę bawiłem się jej włosami, a potem pogładziłem ją po plecach i pośladkach. Pocieraliśmy się wzajemnie stopami.

Przez otwór w kopule widziałem, że słońce schowało się za chmurami, i rzeczywiście w świątyni zrobiło się ciemniej. Ale dokładnie nade mną wciąż wyraźnie widniały zwarte w odwiecznym uścisku marmurowe posągi. Wyraz ich twarzy i cała poza wydawała się z tej perspektywy jeszcze bardziej lubieżna i podniecająca, tak jakby kilkadziesiąt lat frustrującego bezruchu miało za chwilę eksplodować w akcie seksualnego szaleństwa.

Musieliśmy zasnąć, ponieważ kiedy otworzyłem oczy, w świątyni panował mrok i było mi zimno. Susan poruszyła się i poczułem na szyi jej ciepłe wargi.

–To przyjemne – powiedziałem.

–Lepiej się czujesz?

–Tak – odpowiedziałem. – A ty?

–Tak. Kocham cię, John.

–I ja ciebie kocham.

Susan wstała.

–Podnieś się – powiedziała.

Posłuchałem jej. Podniosła z posadzki moją koszulę, założyła mi ją, zapięła guziki, po czym zawiązała mi na szyi krawat. Potem przyszła kolej na slipy i skarpetki, a w końcu na spodnie. Susan własnoręcznie zapięła mi pasek i zasunęła rozporek. Bardzo mnie podnieca, kiedy rozbiera mnie kobieta, ale tylko Susan potrafi ubrać mnie po stosunku i uważam, że robi to z wielką miłością i czułością. Założyła mi buty na nogi, zawiązała sznurowadła, a potem strzepnęła marynarkę i pomogła mi ją założyć.

–Teraz – powiedziała, poprawiając mi włosy – wyglądasz, jakbyś dopiero co wyszedł z kościoła.

–Tyle tylko, że mam lepkie przyrodzenie.

Uśmiechnęła się, a ja przyglądałem się, jak stoi przede mną całkiem naga.

–Dzięki – powiedziałem.

–Cała przyjemność po mojej stronie.

Próbowałem ją ubrać, ale założyłem jej majtki tyłem do przodu i miałem pewne kłopoty z zapięciem stanika.

–Kiedyś potrafiłeś rozebrać mnie po ciemku jedną dłonią – powiedziała.

–To co innego.

W końcu udało nam się wspólnymi siłami odziać Susan i ruszyliśmy w zapadających ciemnościach do domu, trzymając się za ręce.

–Wiesz, miałaś rację – powiedziałem. – To znaczy, uważam, że dobrze zanalizowałaś to, co czuję. Wcale nie chcę być znudzony i zaniepokojony, ale to silniejsze ode mnie.

–Potrzebujesz chyba jakiegoś wyzwania – stwierdziła. – Być może uda mi się coś dla ciebie wymyślić. – Świetny pomysł – odparłem.

Okazało się to najgłupszą rzeczą, jaką powiedziałem w życiu.

Rozdział 9 W Wielką Sobotę nie poszedłem do kościoła, mając jak na razie dość wielebnego Hunningsa i Allardów. Susan również pozwoliła sobie na wagary i przez cały ranek czyściła stajnię razem z dwoma studentami z college'u, którzy przyjechali do domu na ferie. Zajmowanie się stajnią nie należy do moich obowiązków, postanowiłem jednak podrzucić im trochę zimnych napojów. Kiedy zaparkowałem swego forda obok stajni, w nozdrza uderzył mnie straszliwy odór końskiego nawozu. Ze środka dochodziły śmiechy i dziwne pomruki.

Zanzibar i Jankes stały przywiązane do palika pod rozłożystymi gałęziami orzecha i skubały trawę nie zwracając najmniejszej uwagi na trudzących się dla ich wygody niewolników. Uważam, że konie powinny same czyścić swoje stajnie. Kiedyś lubiłem konie. Teraz ich nienawidzę. Jestem o nie zazdrosny.

Skoro już mowa o zazdrości, Susan, która wobec interesujących się nią rówieśników potrafi być zimna niczym freon, do młodych chłopców odnosi się z wielką sympatią. Moim zdaniem wynika to po części z uczuć macierzyńskich, ponieważ moja żona liczy sobie dość lat, aby mogła być ich matką, i rzeczywiście ma dzieci, które studiują w college'u. Mnie jednak niepokoi pozostała część motywacji, ta, która nie wiąże się z uczuciami macierzyńskimi. Tak czy owak, całe towarzystwo wydawało się tam w środku świetnie bawić, wygarniając gównem z boksów.

Wyjąłem lodówkę z bagażnika i usiadłem na kamiennej ławce.

Na wybrukowanym kocimi łbami dziedzińcu wznosiła się sterta nawozu, który miał powędrować do ogrodu różanego na tyłach naszego domu. Może dlatego właśnie nie zachodzę tam wąchać róż.

Otworzyłem butelkę soku jabłkowego i wypilem parę łyków. Jedną stopę oparłem o ławkę i starałem się przybrać pozę prawdziwego mężczyzny, na wypadek gdyby ktoś wyszedł akurat ze stajni. Gdybym miał tytoń i bibułkę, zrobiłbym sobie skręta. Czekałem, ale nikt nie wychodził – słychać było tylko śmiech.

Przyjrzałem się długiemu, piętrowemu budynkowi stajni. Był ceglany i pokryty dachówką, wzniesiono go w angielskim stylu rustykalnym, który pasował bardziej do domku gościnnego niż do rezydencji. Przypuszczam, że nie sposób po prostu zbudować klasycystycznej stajni, okolonej rzymskimi kolumnami. Budynek powstał równocześnie z pałacem, a był to czas, kiedy pojazdy konne stanowiły bardziej niezawodny i godny szacunku środek transportu niż automobile. Wewnątrz znajdowało się trzydzieści boksów dla wierzchowców, koni zaprzęgowych i

pociągowych, a także duża powozownia, w której mieściły się pewnie ze dwa tuziny różnych konnych wehikułów, wliczając w to furgony i sprzęt rolniczy. Na górze przechowywano siano. Poza tym znajdowały się tam kwatery dla około czterdziestu robotników, którzy zajmowali się zwierzętami, budynkami, rymarstwem i powozami. W latach dwudziestych powozownia przekształciła się w garaż, a furmani, forysie i cała reszta przekwalifikowała się na szoferów i mechaników.

Susan i ja stawiamy czasem w garażu jaguara, a George trzyma tutaj przez cały czas swego lincolna, należy bowiem do pokolenia, które nauczono dbać o to, co własne. Stróżówka, domek gościnny i pałac nie mają oczywiście własnych garaży, w swoim czasie bowiem każdy, kto chciał dosiąść konia lub pojechać gdzieś powozem bądź automobilem, dzwonił po prostu do powozowni. Mam w kuchni guzik oznaczony napisem POWOZOWNIA i wciąż go naciskam, ale nikt po mnie nie podjeżdża.

Stajnie położone są na ziemi Stanhope'ów, co może nastreczyć pewne problemy przy sprzedaży posiadłości. Oczywistym rozwiązaniem wydaje się wybudowanie małej drewnianej stajni na gruntach należących do Susan. My sami nie mieszkamy już w wielkim domu; dlaczego konie miałyby mieszkać w wielkiej stajni? Ale Susan obawia się, że jej

zwierzęta, przeniesione w gorsze warunki, mogłyby doznać emocjonalnego szoku. Dlatego chce przenieść przynajmniej część oryginalnej stajni, cegła po cegle, dachówka po dachówce i kamień po kamieniu na należący do niej teren. Chce to zrobić szybko, zanim ludzie z urzędu podatkowego zaczną sporządzać inwentarz nieruchomości. Mój teść zgodził się łaskawie na przeniesienie całej budowli albo jej części na należące do jego córki dziesięć akrów, a Susan wybrała już dla swoich bezcennych koni miły, ocieniony drzewami kawałek ziemi nie opodal sadzawki. Pozostaje teraz zwrócić się jedynie do Przedsiębiorstwa Przenoszenia Stajni "Herkules i Spółka" i zaangażować stu niewolników. Susan twierdzi, że podzieli się ze mną kosztami. Muszę jeszcze raz rzucić okiem na to nasze porozumienie przedmażeńskie.

Wypiłem sok i wsadziłem kciuk za pasek, czekając, aż ktoś pojawi się w bramie pchając przed sobą wypełnioną gównem taczkę. Znalazłem słomkę i zacząłem dłubać nią w zębach.

Po mniej więcej minucie spędzonej w tej pozie postanowiłem przestać się wygłupiać i po prostu wejść do środka. Kiedy jednak wkraczałem przez główną bramę, ze strychu wypadła sterta siana i wylądowała dokładnie na mojej głowie. Wyglądało na to, że tam, na górze, po prostu obrzucają się sianem. Wspaniała, higieniczna amerykańska zabawa. Kompletnie ośmieszony, okręciłem się na pięcie, wskoczyłem do samochodu i wciskając gaz do dechy zawróciłem kontrolowanym poślizgiem tuż przy bramie stajni.

Przejeżdżając z włączonym na cztery koła napędem przez sam środek kupy gnoju, słyszałem, jak Susan woła coś za mną przez otwarty lufcik strychu.

Po południu tego samego dnia, po rzeczowej dyskusji o tym, jaki to jestem dziecinny, założyliśmy nasze białe tenisowe stroje i udaliśmy się na randkę na kort. Było dość ciepło jak na kwiecień i po krótkiej wymianie piłek, na którą pozwoliliśmy sobie czekając na naszych partnerów, Susan zdjęła sweter i spodnie od dresu. Muszę przyznać, że w stroju tenisowym ta kobieta wygląda wspaniale, a kiedy w oczekiwaniu na piłkę kołysze opiętą szortami pupą, mężczyźni na korcie na minutę albo dwie całkowicie tracą koncentrację.

Odbijaliśmy tak piłki przez dziesięć minut, przy czym ja przeważnie wysyłałem je na aut, a Susan powtarzała, żebym przestał być agresywny.

–Słuchaj, John – powiedziała w końcu. – Nie przerznij tego meczu. Uspokój się.

–Jestem spokojny.

–Jeśli wygramy, spełnię każde twoje seksualne życzenie.

–Co byś powiedziała na kochanie się na sianie?

Zaśmiała się.

–Masz to jak w banku.

Pograliśmy jeszcze trochę i chyba się uspokoiłem, ponieważ umieszczałem piłki w polu. Mimo to nie czułem się szczęśliwy. Często całkiem drobne rzeczy, takie jak na przykład fakt, że własna żona tarzała się z kimś w sianie, sprawiają, że człowiek wpada w mściwy i destrukcyjny nastrój.

Tymczasem pojawili się Jim i Sally Rooseveltowie. Jim wywodzi się z tych samych Rooseveltów, którzy wciąż mieszkają w Oyster Bay.

Rooseveltowie, Morganowie i Vanderbiltowie stanowią coś w rodzaju miejscowego bogactwa naturalnego, samoodtwarzalnego niczym bażanty – i prawie tak samo rzadkiego. Gościć Roosevelta albo bażanta na terenie własnej posiadłości to powód do niemałej dumy, a mieć jednego albo drugiego na obiedzie (bądź na obiad) to, w odpowiedniej kolejności, prawdziwe wydarzenie towarzyskie albo kulinarne. Jim jest w gruncie rzeczy całkiem porządnym facetem, mającym słynne nazwisko oraz fundusz powierniczy w banku. Co ważniejsze, gra w tenisa gorzej ode mnie. Nawiasem mówiąc, nie wymawiamy tutaj nazwiska Roosevelt w sposób, w jaki słyszeliście je przez całe życie. W tej okolicy mówimy Ruzwełt, z zaciśniętymi w stylu Zwartej Szczęki zębami.

Sally Roosevelt, z domu Sally Grace, wywodzi się z rodziny armatorów Grace'ów i tak się składa, że to ich nazwiskiem, a nie imieniem kobiety ochrzczona została nasza uliczka. Jestem jednak głęboko przekonany, że większość mieszkańców Grace Lane* uważa, że jej nazwa oznacza po prostu stan duchowej łaski, jakiej dostąpili poprzez sam fakt swego tutaj zamieszkania. Niezależnie od tego, że * Ang. grace: łaska.

należy do rodziny Grace'ów, Sally wygląda całkiem niczego sobie, i żeby odegrać się za incydent z sianem, flirtowałem z nią między setami. Jednak ani ona, ani Susan, nie mówiąc już o Jimie nie zwracali najmniejszej uwagi na moje zaloty. Zacząłem ostrzej serwować i tracić piłki.

Około godziny szóstej, w środku meczu, dostrzegłem nadjeżdżającego główną aleją czarnego, błyszczącego cadillaca eldorado. Na wysokości kortów, które są częściowo zasłonięte iglakami, samochód zwolnił i zatrzymał się. Wysiadł z niego Frank Bellarosa. Chwilę rozglądał się, po czym ruszył w naszą stronę.

–Chyba ktoś cię szuka – odezwał się całkiem niepotrzebnie Jim.

Przeprosiłem towarzystwo, odłożyłem rakietę i zszedłem z kortu.

Przejąłem pana Bellarosę na ścieżce, w odległości mniej więcej trzydziestu jardów od linii autowej.

–Dzień dobry, panie Sutter. Nie przeszkodziłem panu przypadkiem w grze?

Pewnie, że przeszkodziłeś, makaroniarzu. Czego tutaj szukasz? – Nie, w rzeczywistości wcale tak nie powiedziałem.

–Nic nie szkodzi – zapewniłem go.

Wyciągnął do mnie rękę, którą ująłem. Uścisnęliśmy sobie krótko dłonie, próbując przy tym nie pogruchotać swych palców.

–Nie umiem grać w tenisa – poinformował mnie Frank Bellarosa.

–Podobnie jak ja – odparłem.

Parsknął śmiechem. Lubię ludzi, którzy doceniają moje poczucie humoru, w tym wypadku wolałbym jednak uczynić mały wyjątek.

Bellarosa odziany był w szare spodnie i błękitny blezer, co jest tutaj ubiorem całkiem w sam raz na sobotnie popołudnie. Szczerze mówiąc byłem tym zaskoczony. Ale na nogach miał okropne białe, błyszczące buty, a spodnie opinał mu zdecydowanie zbyt wąski pasek.

Czarny golf pod blezerem, choć właściwie wychodził już z mody, można było od biedy zaakceptować. Nie dostrzegłem pierścienia na żadnym z jego małych palców, nie nosił też drogich kamieni, łańcuszków ani innych błyszczących przedmiotów, miał jednak zegarek marki Rolex Oyster, który ja przynajmniej uważam za rzecz w złym

guście.

Tym razem zwróciłem uwagę na jego ślubną obrączkę.

–Miły dzień – zauważył z prawdziwą przyjemnością.

Mogłem zgadnąć, że miał lepszy dzień ode mnie. Założyłbym się, że pani Bellarosa nie obrzucała się tego ranka sianem z dwoma studentami.

–Niezwykłe ciepło jak na tę porę roku -* zgodziłem się.

–Nielichy ma pan kawałek ziemi – stwierdził.

–Dziękuję – odparłem.

–Długo pan tu mieszka?

–Trzysta lat. – Że jak?

–Miałem na myśli moją rodzinę. Ale tę konkretną rezydencję zbudowała rodzina mojej żony w roku 1906.

–Bez żartów?

–Może pan się przyjrzeć bliżej.

–Jasne. – Rozejrzał się dookoła. – Nielichy kawałek ziemi.

Przez chwilę przyglądałem się panu Bellarosie. Nie przypominał bynajmniej niskiego, zgarbionego, podobnego do żaby faceta, którego wyobrażamy sobie zazwyczaj jako typowego mafiosa. Sprawiał wrażenie dobrze umięśnionego, tak jakby codziennie dźwigał zatopione w betonie zwłoki. Miał smagłą twarz o wyrazistych rysach, rzymski haczykowaty nos, głęboko osadzone oczy i czarnogranatowe, elegancko uczesane, faliste włosy, które srebrzyły mu się lekko na skroniach i były wszystkie na swoim miejscu. Był o kilka cali niższy ode mnie, ale ja mam sześć stóp, jego wzrost można było zatem uznać za przeciętny. Na oko wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, mogłem to jednak zawsze sprawdzić – na przykład w aktach sądowych.

Miał łagodny uśmiech, całkiem nie pasujący do jego twardych oczu i życiorysu. Poza tym uśmiechem nic w jego postawie ani wyglądzie nie przypominało biskupa. Nie odniosłem wrażenia, żeby facet był szczególnie przystojny, ale instynkt podpowiadał mi, że kobiety mogą być innego zdania.

Frank Bellarosa ponownie się mną zainteresował.

–Pański człowiek... jakże on się nazywa?

–George.

–Tak. Oświadczył, że pan gra w tenisa, ale że wolno mi pojechać i zobaczyć, czy pan nie skończył. Nie powinienem jednak przerywać panu gry.

Ton pana Bellarosy świadczył, że George nie przypadł mu do gustu.

7 – Złote Wybrzeże – Nic nie szkodzi – odparłem.

George wie oczywiście, kim jest nasz nowy sąsiad, choć nigdy o tym nie dyskutowaliśmy. George pilnuje bramy, a także martwych już od dawna zasad dobrego wychowania i jeśli składa nam wizytę dżentelmen albo dama, wpuszcza ich głównym wejściem. Co się tyczy domokrażców i nie zapowiedzianych wcześniej morderców, to najchętniej odesłałby ich do specjalnego, położonego nieco dalej wejścia służbowego. Być może powinienem poradzić George'owi, żeby nie był taki ostry wobec pana Bellarosy.

–Czym mogę panu służyć? – zapytałem.

–Nic. Wpadłem po prostu, żeby się przywitać.

–To miło z pańskiej strony. Właściwie to my powinniśmy złożyć panu pierwi wizytę.

–Tak? A to dlaczego?

–No cóż... taki panuje tutaj obyczaj.

–Naprawdę? Nikt mnie jak dotąd nie odwiedził.

–To dziwne. Może ludzie nie wiedzą, że już się pan sprowadził. – Rozmowa zmierzała w niezbyt fortunnym kierunku. – Cóż, dziękuję, że pan zajechał – powiedziałem. – No i witamy w Lattingtown.

–Dzięki. Ma pan jeszcze chwilę? Coś panu przywiozłem. Niech pan zobaczy. – Odwrócił się i dał znak, żebym szedł za nim. Rzuciłem smętne spojrzenie na kort i ruszyłem w stronę jego samochodu.

Bellarosa zatrzymał się przy cadillacu i otworzył bagażnik. Spodziewałem się tam zobaczyć ciało George'a, tymczasem mój sąsiad wyjął ze środka i wręczył mi kontener z sadzonkami.

–To dla pana. Za dużo kupiłem. Naprawdę nie ma pan ogródka warzywnego?

–Nie. – Przyjrzałem się plastikowej tacy. – Domyślam się, że od tej chwili mam.

Uśmiechnął się.

–No. Dałem panu wszystkiego po trochu. Zostawiłem te małe napisy, żeby pan wiedział, co jest co. Warzywa potrzebują dużo słońca. Nie wiem, jaka jest tutaj ziemia. Jaką macie tutaj ziemię?

–Cóż... jest lekko kwaśna, trochę gliniasta, w warstwie wierzchniej występują ily polodowcowe...

–Jakie?

–Polodowcowe... miejscami trochę żwiru...

–Wszystko, co tu widzę-, to drzewa, krzaki i kwiaty. Niech pan spróbuje posadzić te warzywa. W sierpniu będzie mi pan dziękował.

–Dziękuję już w kwietniu.* – Dobra. Niech pan to gdzieś postawi. Nie na samochód.

Postawiłem tacę na ziemi.

Bellarosa wyjął z bagażnika przezroczystą plastikową torbę. Było w niej mnóstwo purpurowych liści.

–To dla pana – powiedział. – Nazywa się radicchio. Próbował pan kiedyś? Podobne do kapusty.

Wziąłem od niego torbę i przyjrzałem się z uprzejmym zainteresowaniem postrzępionym liściom. – Ładnie wygląda – powiedziałem.

–Sam je wyhodowałem.

–Musi pan mieć u siebie cieplejszy klimat.

Bellarosa parsknął śmiechem.

–Nie, wyhodowałem to w domu. Wie pan, mam tam u siebie takie specjalne pomieszczenie... podobne do szklarni. Agentka sprzedaży nieruchomości powiedziała, że nazywa się...

–Oranżeria.

–Właśnie. Dokładnie jak szklarnia, tyle że w środku domu. To było pierwsze miejsce, jakie doprowadziłem do porządku w styczniu.

Potłuczone były wszystkie szyby i brakowało pieca gazowego. Remont kosztował mnie dwadzieścia tysięcy dolców, ale mam już przynajmniej własną cebulę i sałatę.

–Bardzo kosztowną cebulę i sałatę – zauważyłem.

–Tak. Ale co tam, do diabła.

Powinienem zaznaczyć, że akcent Bellarosy zdecydowanie nie wywodził się z Locust Valley, nie był jednak również czysto brooklyński. Ponieważ to, jaki kto ma akcent, jest w tej okolicy rzeczą ważną, mam w tej kwestii wyczulone ucho, podobnie

zresztą jak wszyscy moi znajomi. Zwykle jestem w stanie powiedzieć, z którego z pięciu przedmieść Nowego Jorku albo z którego z graniczących z nimi hrabstw pochodzi dana osoba. Czasem potrafię nawet określić, do jakiej szkoły średniej chodziła albo czy studiowała w Yale jak ja. Frank Bellarosa nie studiował w Yale, ale było chwilami coś szczególnego w jego akcencie, a być może w doborze słów, coś, co przypominało niemal

szkołę przygotowawczą. Przede wszystkim jednak słychać było w jego mowie brooklyńską ulicę.

–Skąd sprowadził się pan do Lattingtown? – spytałem wbrew temu, co podpowiadał mi rozsądek. – Że jak? A, z Williamsburga. – Spojrzał na mnie. – To w Brooklynie. Zna pan Brooklyn?

–Niezbyt dobrze.

–Wspaniała dzielnica. To znaczy kiedyś była wspaniała. Teraz za dużo tam... cudzoziemców. Dorastałem w Williamsburgu. Pochodzi stamtąd cała moja rodzina. Mój dziadek zamieszkał przy Havemeyer Street zaraz po przyjeździe.

Domyśliłem się, że dziadek pana Bellarosy przyjechał tam z innego państwa, najprawdopodobniej z Włoch. Mieszkający wówczas w Williamsburgu Niemcy i Irlandczycy z pewnością nie wzięli go w objęcia i nie poczęstowali sznycłami na powitanie. Żeby zdobyć dla siebie trochę przestrzeni, pierwsi przybysze z Europy musieli jedynie wytłuc zamieszkujących ten kontynent Indian. Następne fale imigrantów nie miały już tak łatwego zadania; musieli kupować albo wynajmować.

Nie wydawało mi się jednak, by pana Bellarosę interesowały tego rodzaju ironiczne uwagi, zachowałem je więc dla siebie.

–Cóż, mam nadzieję, że spodoba się panu tutaj, na Long Island – powiedziałem.

–Jasne. Znam Long Island. Chodziłem tutaj do szkoły z internatem.

Nie powiedział nic więcej, nie naciskałem więc, mimo że zaciekało mnie, do jakiej to mianowicie szkoły z internatem mógł uczęszczać Frank Bellarosa. Być może miał na myśli poprawczak.

–Jeszcze raz dziękuję za sałatę – powiedziałem.

–Nie może długo leżeć. Najlepsza jest na ostro. Z kropelką oliwy i octu.

Zastanawiałem się, czy naszym koniom będzie smakować bez oliwy i octu.

–Na pewno nie będzie długo leżeć. Cóż...

–To pana córka?

Bellarosa spoglądał mi przez ramię, odwróciłem się więc i zobaczyłem idącą ku nam ścieżką Susan. Obróciłem się z powrotem do Bellarosy.

–Moja żona.

–Naprawdę? – Przypatrywał się zbliżającej Susan. – Widziałem, jak któregoś dnia jeździła konno po mojej posiadłości.

–Jeździ czasami konno.

Spojrzał na mnie.

–Jeśli chce jeździć po moich gruntach, nie mam nic przeciwko.

Robiła to pewnie, zanim je wykupiłem. Nie chcę żadnych zadrażnień.

Mam w końcu kilkaset akrów, a końskie gówno to świetny nawóz.

–Bardzo lubią go róże.

Susan podeszła wprost do Franka Bellarosa i podała mu rękę.

–Jestem Susan Sutter. A pan musi być naszym nowym sąsiadem.

Bellarosa wahał się chwilę, zanim wyciągnął dłoń, i domyśliłem się, że w jego świecie nie wymienia się uścisku ręki z kobietą.

–Frank Bellarosa – przedstawił się.

–Miło mi pana poznać, panie Bellarosa. John powiedział mi, że przed kilku tygodniami spotkał pana w szkółce.

–Zgadza się.

Bellarosa patrzył jej prosto w oczy, chociaż nie umknęło mojej uwagi, że na pół sekundy jego wzrok powędrował ku jej nogom. Nie byłem całkiem zadowolony, że Susan nie włożyła dresu i pokazywała się zupełnie nieznanemu mężczyźnie w tenisowej spódniczce, która ledwie zakrywała jej krocze.

–Musi pan wybaczyć – odezwała się Susan – że dotąd pana nie odwiedziliśmy, ale nie byliśmy pewni, czy zamieszkał pan na stałe i czy przyjmuje pan gości.

Bellarosa przez chwilę najwyraźniej to analizował. Cała ta historia z przyjmowaniem gości musiała stanowić dla niego nie lada problem.

Susan, muszę tu zaznaczyć, zaczyna grać rolę Lady Stanhope, kiedy pragnie

wprawić pewnych ludzi w zakłopotanie. Nie wiem, czy jest to z jej strony gest obronny czy może raczej zaczepny.

Bellarosa nie wpadł bynajmniej w zakłopotanie, wydawało mi się jednak, że zaczął odnosić się do Susan z większą niż do mnie atencją.

Może rozpraszały go jej nogi.

–Właśnie opowiadałem pani mężowi – zwrócił się do niej – że raz czy dwa widziałem panią jeżdżącą konno po mojej posiadłości.

Wcale mi to nie przeszkadza.

Pomyślałem, że zechce wspomnieć o wiążących się z tym skatolo101 gicznych korzyściach, ale on tylko się do mnie uśmiechnął. Nie odwzajemniłem uśmiechu. To naprawdę główniany dzień, pomyślałem.

–To bardzo miło z pana strony – odparła Susan. – Powinnam jednak zaznaczyć, że honorowanie jeździeckiego prawa przejazdu należy do tutejszych odwiecznych zwyczajów. Jeśli pan sobie życzy, może pan oznaczyć specjalne ścieżki. Gdyby jednak zostało tu jeszcze kiedykolwiek urządzone polowanie, konie będą szły śladem psów, a psy śladem zwierzyny. Proszę się nie obawiać, zostanie pan uprzednio powiadomiony.

Frank Bellarosa przyglądał się Susan przez dłuższą chwilę, podczas której żadne z nich ani razu nie mrugnęło okiem. Jego odpowiedź zaskoczyła mnie.

–Widzę, że jest jeszcze mnóstwo spraw, których tutaj nie rozumiem, pani Sutter – odparł chłodnym tonem.

Pomyślałem, że powinienem zmienić temat na bardziej dla niego zrozumiały i podniosłem do góry plastikową torbę.

–Spójrz, Susan, pan Bellarosa sam wyhodował tę sałatę... nazywa się radicchio,.. w oranżerii Alhambry.

Susan rzuciła okiem na torbę i obróciła się do Bellarosy.

–Och, wyremontował pan oranżerię. To wspaniale.

–No. Dom jest już prawie gotów.

–A te sadzonki... – dodałem pokazując stojącą na ziemi tacę – to warzywa do naszego ogrodu.

–Miło, że pan o nas pomyślał – powiedziała Susan.

Bellarosa uśmiechnął się do niej.

–Pani mąż powiedział, że je pani kwiaty.

–Nie, proszę pana, zjadam tylko kolce. Dzięki, że pan wstąpił.

Bellarosa zignorował zawartą w ostatnim zdaniu odprawę i zwrócił się do mnie.

–Jak się nazywa ta wasza posiadłość? Ma przecież jakąś nazwę, prawda?

–Tak – odparłem. – Nazywa się Stanhope Hall.

–Co to znaczy?

–Tak nazywał się dziadek Susan: Cyrus Stanhope. To on to wszystko wybudował.

–Zgadza się. Już pan mówił. Czy ja też powinienem nazwać jakoś swoją posiadłość?

–Ona ma już swoją nazwę – odparłem.

–Tak, wiem. Powiedziała mi o tym pośredniczka. Alhambra.

Tak trzeba adresować moją pocztę. Dom nie ma numeru. Uwierzy pan w coś takiego? Ale może powinienem wymyślić jakąś nową nazwę, jak pan sądzi?

–Może pan wymyślić nową, jeśli pan sobie życzy – odpowiedziała Susan. – Niektórzy ludzie tak robią. Inni zachowują oryginalną.

Ma pan może jakiś pomysł?

Frank Bellarosa zastanawiał się przez moment, po czym potrząsnął głową.

–Nie. Na razie może być Alhambra. Chociaż brzmi trochę z hiszpańska. Jeszcze się zastanowię.

–Gdybyśmy mogli być pomocni w znalezieniu nowej nazwy – zaoferowała się Susan – proszę dać nam znać.

–Dzięki. Nie uważacie, że powinienem postawić tablicę z nazwą?

Widziałem je przed niektórymi posiadłościami. Ale wy takiej nie macie.

–To zależy tylko od pana – zapewniłem naszego nowego sąsiada. – Ale jeśli zmieni pan nazwę, powinien pan powiadomić urząd pocztowy.

–No pewnie.

–Niektórzy ludzie wywieszają po prostu przy bramie swoje własne nazwiska – dodała, podpuszczając go, jak sądzę, Susan. – Inni tego nie robią, zwłaszcza kiedy ich nazwiska są dobrze znane.

Bellarosa popatrzył na nią i uśmiechnął się.

–Nie sądzę, żeby było dobrym pomysłem wywieszanie mojego nazwiska przy bramie, dobrze mówię, pani Sutter?

–Ja też tak myślę, panie Bellarosa.

Teraz to ja z kolei poczułem się zakłopotany.

–Powinniśmy chyba – odezwałem się – wracać do naszych gości.

Bellarosa wahał się przez chwilę.

–Urządzam jutro – powiedział w końcu – małe wielkanocne przyjęcie. Kilku przyjaciół, trochę rodziny. Tradycyjna włoska kuchnia. – Uśmiechnął się. – Pojechałem specjalnie do Brooklynu, żeby kupić capozellę. Jagnięcy łeb. Ale mamy również pozostałą część jagnięcia. Koło drugiej. W porządku?

Nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem to, co powiedział o jagnięcej głowie.

–Obawiam się, że jesteśmy już umówieni gdzie indziej – oznajmiłem. – Że co? No dobra, postarajcie się wpaść choćby na dziesięć minut. Pokażę wam dom. Napijemy się. W porządku? – spojrzał na Susan.

–Na pewno postaramy się do pana wstąpić – odparła. – Ale gdyby się nam nie udało, proszę już teraz przyjąć życzenia szczęśliwej i spokojnej Wielkanocy.

–Dzięki. – Bellarosa zamknął bagażnik i podszedł do drzwi samochodu. – Nie będzie wam przeszkadzało, jeśli trochę się tutaj pokręcę?

–Skądże – odparła Susan. – Ma pan za długi samochód, żeby próbować nim tutaj zawrócić. Niech pan podjedzie do rezydencji, tam będzie pan miał dosyć miejsca.

Wiedziałem, że jeśli chcę zaniepokoić Susan, powinienem wspomnieć, że Stanhope Hall jest na sprzedaż, ale uznałem, że i tak mamy o czym mówić dzisiaj wieczorem.

Bellarosa popatrzył na nas ponad dachem swego samochodu, a my nie spuściliśmy oczu. Przyszło mi na myśl, że była to pierwsza próba sił, a być może nawet pierwsze starcie w konflikcie dwu kultur. Susan i mnie wpojono zasadę, aby nigdy nie okazywać wyższości wobec ludzi pozostających na niższym szczeblu drabiny społecznej. Wolno ich było zdeptać dopiero wtedy, kiedy zaczynało im się wydawać, że są nam równi. Ale pan Frank Bellarosa nie starał się wobec nas puszyć ani nie żądał, byśmy mu nadali honorowy tytuł szlachecki. Był tym, kim był, i nie przejmował się nami aż tak bardzo, żeby udawać kogoś innego.

Przypomniałem sobie pierwsze wrażenie, jakie na mnie wywarł: było to wrażenie zdobywcy, którego ciekawi zdeptana przez niego, zmurszała cywilizacja, być może trochę śmieszą jej przedstawiciele, a już z całą pewnością nie żywi szacunku wobec kultury, która nie potrafiła się obronić przed ludźmi jego pokroju. Było to, jak zorientowałem się później, nader trafne wrażenie, a odczucia Bellarosy, o czym sam mi powiedział, stanowiły istotną część włoskiej psyche.

Ale w tamtej chwili czułem jedynie zadowolenie, że odjeżdża. Wiedziałem oczywiście, że zobaczę go ponownie, jeżeli nie przy jagnięcej głowie na wielkanocnym przyjęciu, to przy jakiejś innej okazji w nie¹⁰⁴ dalekiej przyszłości. Nie wiedziałem wtedy jednak, ani nie byłem chyba w stanie się domyślić, do jakiego stopnia my troje zrujnujemy sobie nawzajem życie.

Bellarosa uśmiechnął się do nas i znowu uderzył mnie jego łagodny wyraz twarzy.

–Będę dobrym sąsiadem – powiedział bez ogródek. – Nie martwcie się. Jeszcze się zaprzyjaźnimy. – Wsiadł do samochodu i odjechał pocętkowaną słonecznym

światłem aleją.

Wręczyłem Susan torbę z sałatą.

–Z oliwą i octem"- powiedziałem. – Zadzierałaś trochę nosa.

–Ja? A ty to co? – zapytała. – Chcesz do niego wpaść jutro na jagnięce ucho, czy co tam upichcił?

–Nie sędzę.

–To mogłoby być interesujące – stwierdziła po krótkim namyśle.

–Jesteś jakaś dziwna – powiedziałem. – Że jak? Tak pan myśli? – odparła ochryplym głosem. Roześmiała się i zawróciła w stronę kortów. Zostawiłem tackę z sadzonkami na ziemi i podążyłem w ślad za nią.

–Uważasz, że powinienem w tym roku posadzić warzywa? – zapytałem.

–Lepiej będzie, jak to zrobisz. – Znowu się roześmiała. – To dziwne.

Właściwym wyrazem było straszne, a nie dziwne i oboje o tym świetnie wiedzieliśmy. Być może nie w dosłownym sensie; nie groziła nam nagła śmierć, jeśli nie pojawimy się na przyjęciu u Bellarosa, nie posadzimy w ogródku jego warzyw, ani nawet wtedy, gdy będziemy wobec niego trochę nieuprzejmi. Straszne było to, że ten facet mógł naprawdę uziemić ludzi, którzy grali mu na nerwach. I mimo że Susan odniosła się do niego z rezerwą, a ja (mam nadzieję) z chłodną obojętnością, ludzi pokroju Franka Biskupa Bellarosa nie wolno traktować w ten sam sposób co Remsenów, Eltonów czy DePauwów.

Z nader prostego powodu: Frank Bellarosa był mordercą.

–Może Casa Bellarosa? – zapytała Susan.

–Co?

–Może tak nazwać jego rezydencję? Zamówiłabym piękny napis jako podarunek powitalny. Najlepiej wyrzeźbiony w macicy perłowej.

Casa Bellarosa.

Nie ustosunkowałem się do propozycji, która moim zdaniem mogła stanowić kpinę z jego narodowości.

Susan wyciągnęła z torby liść radicchio i zjadła go,

–Trochę gorzkie. Rzeczywiście potrzebuje trochę oliwy albo czegoś w tym rodzaju. Ale bardzo świeże. Chcesz trochę?

–Nie, dziękuję.

–Może powinniśmy przedstawić pana Bellarosę Rooseveltom?

No wiesz, na przykład: "Jim, Sally, chcieliśmy wam przedstawić naszego nowego przyjaciela i sąsiada, Franka Biskupa Bellarosę".

A może lepiej byłoby powiedzieć "Don Bellarosa". Wywarło to by większe wrażenie na Rooseveltach.

–Nie wygłupiaj się. Co o nim myślisz? – zapytałem Susan.

–Ma w sobie jakiś prymitywny urok. Nie stracił pewności siebie nawet w obliczu mojej uprzejmej arogancji – odparła bez wahania. – Jest bardziej przystojny, niż myślałam – dodała po chwili.

–Nie uważam, żeby był przystojny – powiedziałem. – I śmiesznie się ubiera.

–Tak jak połowa tutejszych wycirusów.

Weszliśmy na kort, na którym odbijali piłki Jim i Sally.

–Przepraszam – powiedziałem. Powinniście wiedzieć, że przerywanie gry z jakiegokolwiek innej przyczyny niż śmierć na korcie jest zdecydowanie w złym tonie.

–Susan powiedziała, że to chyba wasz nowy sąsiad – zagadnął Jim.

–Tak. – Wziąłem raketę i ustawiłem się na korcie. – Jaki mamy wynik?

–To był Frank Bellarosa? – zapytała Sally.

–Chyba mój serw – powiedziałem.

–Mówimy na niego po prostu Biskup – poinformowała ją Susan.

Troje z nas uznało to za śmieszne.

–Mój serw – powtórzyłem. – Dwa zero.

Susan pokazała Rooseveltom torbę radicchio i wszyscy przyglądali się jej, jakby były to rośliny przywiezione z Marsa albo coś w tym rodzaju.

–Robi się ciemno – powiedziałem.

–Czego chciał? – zapytał Jim zwracając się do Susan.

–Chciał, żebyśmy to zjedli i zasadzili jego sadzonki w naszym ogrodzie.

Sally zachichotała.

–Chciał również wiedzieć – ciągnęła Susan – czy ma postawić znak informujący, że jego posiadłość nazywa się Alhambra. Zaprosił nas także na wielkanocny obiad. # – Och, nie – pisnęła Sally.

–Na jagnięcą głowę – wykrzyknęła Susan.

–Na litość boską! – zawołałem. W życiu nie widziałem, żeby z powodu wymiany zdań odłożono grę na korcie z wyjątkiem pewnego przypadku w "Southampton Tennis Club", kiedy to pewien zazdrosny mąż usiłował rozwalić łeb zawodowemu graczowi rakieta marki Dunlop Blue Max. A i tak wszyscy wówczas natychmiast wrócili do gry, kiedy tylko dwaj przeciwnicy zniknęli za rogiem budynku klubu.

–Zastały mi się mięśnie. To miał być mecz – powiedziałem.

Zabrałem swoje rzeczy i zszedłem z kortu. Pozostała trójka, wciąż pogrążona w rozmowie, ruszyła w ślad za mną ścieżką do domu.

Było dość ciepło, więc usiedliśmy w ogrodzie. Susan przyniosła nam butelkę starego porto. W charakterze zakąsek podała ser i przystrojone listkami radicchio krakersy.

Wypiłem kieliszek porto i patrzyłem na zachód słońca wdychając smród świeżego końskiego nawozu. Usiłowałem słuchać śpiewu ptaków, ale Susan, Sally i Jim wciąż rozprawiali o Franku Bellarosie.

Słyszałem, jak Susan używa określeń w rodzaju "niesamowity", "urzekająco prymitywny", a nawet "intrygujący". Facet był mniej więcej tak samo intrygujący jak worek cementu. Ale kobiety widzą w mężczyznach co innego, niż widzą w nich inni mężczyźni. Sally była najwyraźniej zaintrygowana tym, co opowiadała Susan. Jim także cały zamienił się w słuch.

Jeśli interesuje was, jaki był w owej chwili porządek dziobania na moim tarasie, to siedzące naprzeciwko mnie kobiety wedle większości amerykańskich standardów zaliczyć trzeba by do warstwy starobogackich, choćby dlatego, że pierwszy duży kapitał pojawił się w Ameryce zaledwie sto lat temu. Nie przeszkadza to jednak siedzącemu obok mnie Rooseveltowi uważać Grace'ów i Stanhope'ów za nouveau riche i trudno mu odmówić racji. Rooseveltowie nigdy nie byli nieprzyzwoicie bogaci, ale ich ród sięga początków Nowego Świata. Mają szanowane nazwisko, a ich przodkowie odznaczyli się w służbie publicznej podczas wojny i pokoju, czego nie można powiedzieć o żadnym ze Stanhope'ów.

Wspominałem już krótko o Sutterach, ale powinniście również wiedzieć, że moja matka jest z domu Whitman – i wywodzi się z rodu, który wydał najznakomitszego mieszkającego na Long Island poetę, Walta Whitmana. A zatem, Jima i mnie można w tym towarzystwie uznać za prawdziwych arystokratów, podczas gdy nasze żony, mimo że bogate, ładne i zgrabne jak łanie, znajdują się na niższym stopniu drabiny społecznej. Połapaliście się? Ale wszystko to i tak nie ma znaczenia. Liczy się tylko jedno: w którym miejscu tej układanki umieścić Franka Bellarosę.

Przysłuchując się rozmowie, jaką prowadzili Rooseveltowie i Susan, uświadomiłem sobie, że patrzą oni na Franka Bellarosę z nieco odmiennego niż ja punktu widzenia. Mnie interesowały wykroczenia pana Bellarosy przeciwko społeczeństwu, takie jak morderstwa, szantaż, wymuszanie okupu i inne tego rodzaju drobiazgi. Susan, Sally, a nawet Jima pasjonowały natomiast o wiele ważniejsze problemy, jak choćby należący do pana Bellarosy lśniący czarny samochód, jego błyszczące białe buty, a przede wszystkim najcięższa popełniona przez niego zbrodnia, to znaczy nabycie Alhambry. Odniosłem wrażenie, że Susan zupełnie inaczej się zachowuje w towarzystwie osób takich jak Sally Grace.

Uderzył mnie także fakt, że ta trójka dostrzegła w panu Bellarosie pewien aspekt rozrywkowy. Mówili o nim jak o zamkniętym w klatce i oglądanym przez nich z zewnątrz gorylu. Zazdrościłem im niemal tej wspaniałej pewności siebie, przekonania, że nie biorą udziału w teatrze życia, lecz siedzą w łoży tuż obok głównej sceny. Wiedziałem, że tę wyniosłość Sally i Susan wyssały z mlekiem matki, a co do Jima to także była ona całkiem na miejscu, jeśli weźmie się pod uwagę płynącą w jego żyłach błękitną krew. Sądzę, że mnie też stać na taką wyniosłość.

Ale w mojej rodzinie wszyscy pracowali zarobkowo, a nie można być bez przerwy wyniosłym, kiedy trzeba zarabiać na życie.

Słuchając tego, co mówi Susan, miałem jej ochotę przypomnieć, że w tym przedstawieniu ona i ja nie jesteśmy wcale widzami; bierzemy w nim udział, znajdujemy się w klatce razem z gorylem i czekający nas dreszczyk podniecenia może się okazać całkiem autentyczny.

Sugerowałem, byśmy zmienili w końcu temat i pomówili o nadchodzącym sezonie żeglarskim. Rooseveltowie zasiedzieli się do ósmej, po czym wyszli.

–Nie widzę niczego zabawnego ani interesującego w Bellarosie – zakomunikowałem Susan.

–Powinieneś zachować otwarty umysł – odparła nalewając sobie kolejny kieliszek porto.* – To kryminalista – stwierdziłem stanowczo.

–Jeżeli ma pan przeciwko niemu jakieś dowody, panie mecenasie, powinien pan zawiadomić biuro prokuratora okręgowego – odparła równie stanowczo.

To przypomniało mi istotę problemu: jeśli nie mogło sobie poradzić z Frankiem Bellarosą całe społeczeństwo, w jaki sposób miałem to uczynić sam jeden? Upadek prawa podkopywał morale wszystkich – pokpiwała sobie z niego nawet Susan, a Lester Remsen uważał, że zasady powinno się wyrzucić na śmietnik. Ja na razie nie byłem tego taki pewien.

–Wiesz, o czym mówię – powiedziałem do Susan. – Powszechnie wiadomo, że jest szefem mafii.

Wypiła do dna swoje porto i westchnęła głęboko.

–Wiesz, John, to był długi dzień i czuję się zmęczona.

Istotnie był to bardzo długi dzień i ja także czułem się fizycznie i emocjonalnie wykończony.

–Tarzanie się w sianie bardzo człowieka wyczerpuje – zauważyłem niezbyt rozsądnie.

–Skończ z tym.

Wstała i ruszyła w stronę domu.

–Pokonaliśmy w końcu Roosevelty czy nie? – zapytałem. – Spełnisz moje seksualne życzenie?

Zawahała się.

–Czemu nie – odpowiedziała. – Chcesz, żebym się od ciebie odpieprzyła?

Właściwie to tak.

Otworzyła prowadzące do gabinetu podwójne szklane drzwi.

–Na pewno sobie przypominasz, że na dziewiątą jesteśmy proszeni na późną kolację do DePauwów. Można to od biedy uznać za przyjęcie wielkanocne. Proszę cię, bądź gotów na czas.

Nalałem sobie kolejne porto. Nie, wcale sobie nie przypomniałem.

Co więcej, miałem to w dupie. Przyszło mi na myśl, że jeżeli pewne osoby uważają Franka Bellarosę za "niesamowitego", "w interesujący

sposób prymitywnego" i "intrygującego", a także potrafią o nim dyskutować przez całą godzinę, to być może ja w oczach tych samych osób jestem sympatycznym nudziarzem, który nigdy nie potrafi nikogo niczym zaskoczyć. Ta myśl, w połączeniu z wcześniejszym incydentem na sianie, kazała mi się zastanowić, czy i Susan nie przeżywa czasami kryzysu.

Wstałem, wziąłem ze sobą butelkę porto i skierowałem się w stronę pogrążonego w ciemnościach ogrodu. Po jakimś czasie znalazłem się na skraju labiryntu. Trochę już zalany, wszedłem do środka. Alejki pozarastane były nie przystrzyżonym żywopłotem. Łaziłem nimi bardzo długo. Kiedy nabrałem całkowitej pewności, że zabłądziłem, wyciągnąłem się na ziemi, dopiłem porto i zapadłem w sen pod gwiazdami.

W dupie miałem DePauwów.

Rozdział 10 Usłyszałem obok siebie śpiew ptaków i otworzyłem oczy, ale nic nie zobaczyłem. Zdezorientowany i przestraszony szybko usiadłem. Otaczała mnie gęsta mgła i przez moment wydawało mi się, że umarłem i poszedłem do nieba, ale zaraz potem odbiło mi się porto, więc domyśliłem się, że żyję, chociaż nie czuję się najlepiej. Stopniowo docierało do mojej świadomości, gdzie się znajduję i jak się tutaj dostałem. Nie byłem zachwycony ani jednym, ani drugim, postarałem się więc szybko zapomnieć o przeszłości.

Purpurowe niebo nad moją głową rozjaśniały pierwsze poranne smugi. Straszliwie bolała mnie głowa, było mi zimno, a mięśnie miałem jak z tektury. Przetarłem oczy i ziewnąłem. Była Wielkanocna Niedziela i John Sutter rzeczywiście powstał z martwych.

Uniosłem się powoli, spostrzegłem leżącą na ziemi butelkę porto i przypomniałem sobie, że służyła mi w charakterze poduszki. Podniosłem butelkę i pociągnąłem z niej ostatni łyk, żeby odświeżyć usta.

–Uuuuch...

Doprowadziłem do porządku swój dres i zaciągnąłem pod samą szyję suwak kurtki. Faceci w średnim wieku, nawet jeśli odznaczają się dobrą kondycją, nie powinni, zalani w pestkę, wylegiwać się przez całą noc na zimnej ziemi. To niezdrowe i niegodne dżentelmena.

–Och... moja szyja...

Odkaszlnąłem, przeciągnąłem się, kichnąłem i dokonałem innych porannych

czynności. Wszystkie moje organy wydawały się funkcjonować

prawidłowo z wyjątkiem mózgu, który nie potrafił dostrzec potworności tego, czego się dopuściłem.

Zrobiłem na próbę parę kroków, uznałem, że idzie mi całkiem nieźle i zacząłem przedzierać się przez gałęzie labiryntu. Staralem się iść po swoich wczorajszych śladach, ale tropiciel ze mnie marny i wkrótce zabłądziłem. Właściwie zabłądziłem już wczoraj. Teraz "zaginałem w akcji".

Niebo pojaśniało i potrafiłem już odróżnić wschód od zachodu.

Wyjście z labiryntu znajdowało się po jego wschodniej stronie i starałem się, kiedy tylko było to możliwe, poruszać w tym kierunku, niestety dość szybko zdałem sobie sprawę, że wciąż chodzę tymi samymi alejkami. Człowiek, który zaprojektował ten labirynt, musiał być genialnym sadystą.

Minęła cała godzina, zanim wydostałem się na łąkę i ujrzałem słońce wschodzące nad stojącą w oddali altaną.

Usiadłem na kamiennej ławce przed wejściem do labiryntu i zmusiłem do działania swoje szare komórki. Nie tylko zostawiłem samą Susan i nie poszedłem na przyjęcie, ale nie stawiłem się również na porannym nabożeństwie u św. Marka. Susan i Allardowie szaleją już prawdopodobnie z niepokoju. No, może Susan i Ethel jeszcze nie szaleją, ale George na pewno się zamartwia, a kobiety są lekko zatroskane.

Ciekaw byłem, czy Susan poszła odważnie sama do DePauwów, przeproszając ich w moim imieniu, czy też zadzwoniła na policję i całą noc spędziła przy telefonie. W gruncie rzeczy chodziło mi po prostu o to, czy jest jeszcze ktoś na tym świecie, kto dba o to, czy żyję.

Dumałem właśnie nad tym problemem, kiedy doszedł mnie odgłos stąpających po mokrej ziemi kopyt.

Podniosłem wzrok i ujrzałem wynurzającego się ze słonecznej kuli jeźdźca. Wstałem i przymrużyłem oczy.

Susan zatrzymała konia mniej więcej dwadzieścia stóp od miejsca, w którym stałem. Ani ja, ani ona nie odezwaliliśmy się do siebie, parsknęło za to głupie bydlę. Zabrzmiało to tak, jakby się ze mnie natrzęsało, i choć może się to komuś wydać absurdalne, poczułem się wytrącony z równowagi.

Myślałem, że widok Susan wywoła we mnie poczucie winy i skruchę, ale, o dziwo, wciąż miałem to wszystko gdzieś.

–Czy szukałaś mnie, czy wybrałaś się tylko na przejażdżkę? – zapytałem.

Coś w moim głosie kazało jej powściągnąć język.

–Szukałam cię – odparła.

–Więc dobrze, skoro już mnie znalazłaś, możesz się stąd wynosić.

Chcę zostać sam.

–W porządku.

Zawróciła Zanzibara.

–Czy wybierzesz się z nami na nabożeństwo o jedenastej?

–Jeżeli będę chciał się wybrać, pojedę własnym samochodem.

–W porządku. Zobaczymy się później.

Odjechała, a Zanzibar puścił na pożegnanie wiatry. Gdybym miał przy sobie dubeltówkę, nafaszerowałbym mu tyłek śrutem.

Cóż, pomyślałem, nie było to wcale trudne. Poczulem się lepiej.

Ruszyłem przed siebie, żeby rozprostować kości, a potem potruchtałem trochę, wdychając chłodne poranne powietrze. Cóż za cudowny poranek; jak pięknie jest wstać skoro świt i biegać zanurzając stopy w porannej rosie, doznając owego szczególnego uniesienia, które wywołują beta blokery, endorfiny i nie wiadomo co jeszcze. Całą godzinę spędziłem brykając (domyślam się, że tak właśnie byście to nazwali), dokazując i biegając bez celu po całej posiadłości – tylko dlatego, że sprawiało mi to przyjemność.

Wdrapałem się na wysoką, rosnącą na skraju majątku lipę, z której widać było "The Creek". Cóż za niezrównany widok! Posiedziałem tam jakiś czas, sycąc się przypomnianym na nowo smakiem dzieciństwa. Z olbrzymią niechęcią zlałem w końcu na ziemię i znowu trochę pobiegałem. Około dziewiątej byłem już fizycznie wyczerpany, ale od dawna nie odczuwałem takiej świeżości i jasności umysłu. Nie miałem wcale kaca. Ruszyłem w stronę szpaleru białych sosen, które dzieliły posiadłość Stanhope'ów od Alhambry. Pot spływał mi po ciele, unosząc ze sobą wydalane z organizmu toksyny.

Przebiegłem przez zarośnięte chwastami pastwiska Alhambry. Serce waliło mi w

piersiach, nogi uginały się pode mną i gdyby były koniem, najchętniej wysadziłyby mnie z siodła. Ale ja biegłem dalej przez wiśniowy sad, aż znalazłem się w klasycystycznym parku, gdzie razem z Susan odegraliśmy niedawno nasze seksualne przedstawienie.

Padłem na marmurową ławkę i rozejrzałem się dookoła. Imponujący

8 – Złote Wybrzeże posąg Neptuna wciąż stał na skraju wyłożonej mozaiką sadzawki, ale w jego zaciśniętej pięści tkwił teraz trójząb z brązu.

–Popatrz, ^popatrz...

Spostrzegłem także, że z pysków czterech kamiennych ryb tryska woda. Gromadziła się w olbrzymiej marmurowej muszli i spływała stamtąd do sadzawki, której dno zostało gruntownie oczyszczone.

–Niech mnie diabli...

Wstałem i chwiejnym krokiem podszedłem do fontanny, która nie działała od przeszło dwudziestu lat. Opadłem na kolana i umyłem twarz w muszli, po czym zacząłem chleptać chłodną wodę.

–Aaaa... świetnieś to wymyślił, Frank.

Nabrałem pełne usta wody i wyplułem ją długim strumieniem naśladując w tym kamienne ryby.

–Bul, bul, bul.

Usłyszałem hałas i odwróciłem się. Nie dalej jak trzydzieści stóp ode mnie, na wiodącej do rezydencji ścieżce stała kobieta w kwiecistej sukni, różowym kapeluszu i białym, zarzuconym na ramiona szalu.

Dostrzegła mnie i zastygła w bezruchu. Mogłem sobie wyobrazić obraz, jaki przedstawiałem: śliniący się przy fontannie, odziany w brudny dres facet ze zmierzwionymi włosami. Wyplułem wodę.

–Cześć – powiedziałem.

Odwróciła się i zaczęła oddalać szybkim krokiem, po czym obejrzała się przez ramię, żeby sprawdzić, jakie przejawiam wobec niej zamiary.

Miała około czterdziestu lat, obfite kształty i blond włosy, które nawet z tej odległości wyglądały na farbowane. Jej makijaż nie był zbyt subtelny i przeszło mi przez głowę, że robiąc sobie purpurowe cienie nad powiekami i jaskraworóżowe usta, korzystała chyba z farb, które zostały po malowaniu wielkanocnych pisanek. Mimo świątecznej sukienki i nakrycia głowy w jej wyglądzie było coś tandetnego i wulgarnego. Ale miała czym oddychać. Nie jestem entuzjastą wielkich cycków i osobiście wolę smukłe, schludne amerykańskie dziewczęta w rodzaju Susan. Ale po

całym ranku, który spędziłem dając upust atawistycznym popędom, znajdowałem się w odpowiednim nastroju, by dostrzec coś prostacko podniecającego w prymitywnym makijażu, wielkich piersiach i pośladkach tej kobiety. W jakiś nieokreślony sposób przypominała mi posąg Wenus w świątyni miłości.

Wciąż oglądała się przez ramię, mimo że dzieliła nas coraz większa

odległość. Pomyślałem, że powinienem się przedstawić, żeby przestała się mnie obawiać, choć z drugiej strony, jeśli należała do klanu Bellarosy, lepiej było nie spotykać się z nią po raz pierwszy w takich okolicznościach. Zdecydowałem, że wstanę i spokojnie się oddalę, co było najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić niezbyt interesujący adwokat, a przy tym dżentelmen. Ale w tym momencie przypomniałem sobie swój niedawny triumf nad Susan. Opadłem na czworaki i zaryczałem.

Kobieta puściła się biegiem gubiąc po drodze pantofle na wysokich obcasach.

Wstałem i otarłem usta rękawem. To było zabawne. Przyszło mi do głowy, że moje zachowanie nie całkiem mieści się w normie, ale kim, u diaska, byłem, by bawić się w psychiatrę? Idąc skrajem sadzawki i zastanawiając się nad swym następnym posunięciem, dostrzegłem coś, czego tu przedtem nie było. Na przeciwległym końcu wąskiego, długiego basenu stał biały posąg. Zbliżyłem się i rozpoznałem w nim jedną z tych świętych figur, które widuje się we Włoszech na tle błękitnego nieba, przeważnie w towarzystwie jednego albo dwóch różowych flamingów.

Poznałem teraz, że to statua Marii trzymającej w ramionach Dzieciątka Jezus. Umieszczenie tego chrześcijańskiego posągu naprzeciwko pogańskiego boga wydało mi się co najmniej dziwne. Na kochającą, tulącą do łona swe dziecko kobietę gapił się półnagi jurny bożek, antyteza judeochrześcijańskiego Boga miłości.

Kiedy byłem pierwszy raz w Rzymie, zadziwiła mnie symbioza, w jakiej żyją tam ze sobą, bez widocznej sprzeczności, dwa dominujące prądy kultury włoskiej – chrześcijański i pogański. Przewodnik nie wydawał się mieć nigdy teologicznych ani estetycznych problemów z pogodzeniem sprzecznych motywów – w tej samej sali, gdzie stał posąg La Vergine, można było obejrzeć fryz przedstawiający obfite w kształtach nimfy i lubieżne amorki.

Uznałem wówczas, że w charakterze narodowym Włochów, podobnie jak w ich sztuce, współistnieje ze sobą pierwiastek pogański i chrześcijański, rzymski i katolicki, dając w efekcie przedziwną mieszaninę okrucieństwa i łagodności. Miało się wrażenie, jakby temu narodowi zaszczepiona została niewłaściwa religia – jego przedstawiciele wydawali się o wiele lepiej czuć w roli pogan aniżeli chrześcijan.

Przyszło mi również na myśl, że ten sam Frank Bellarosa, który przywrócił trójząb Neptunowi, wiedząc świetnie, czego brakuje jego zaciśniętej pięści, odczuwa także potrzebę umieszczenia w swoim otoczeniu symbolu miłości i nadziei. Ten facet zabezpieczał się na każdą okazję. Interesujące.

Usłyszałem rozbrzmiewające od strony rezydencji szczekanie psów i uznałem, że mogę się nad tym wszystkim równie dobrze zastanawiać, biorąc nogi za pas. Nie zależało mi na spotkaniu z ludźmi Dona.

Mogłem być szalony, ale nie byłem głupi.

Ruszyłem w stronę Stanhope Hall biegnąc najszybciej, jak tylko mogłem, jeśli weźmie się pod uwagę, że oprócz radicchio i sera nie miałem w ustach nic konkretnego od sobotniego lunchu. Szczekanie dwóch psów dochodziło z coraz bliższej odległości.

Minąłem w pełnym pędzie szpaler sosen, nie zwolniłem jednak domyślając się, iż psy i rewolwerowcy, choć nie dosiadają koni i nie zaliczają się do miejscowej szlachty, z pewnością będą kontynuować swój pościg na gruntach należących do Stanhope'ów.

Dostrzegłem płytką sadzawkę, obok której Susan zamierzała postawić na nowo swoje stajnie, i wskoczyłem do wody. Brodząc po dnie dostałem się na drugi brzeg. Nie byłem może najlepszym tropicielem, wiedziałem za to bardzo dobrze, jak zacierać za sobą ślady.

Nie zwalniałem kroku. Za sobą słyszałem szczekanie biegających wokół stawu psów, które najwyraźniej zgubiły trop. Do tej pory domyślałem się jedynie, że psom towarzyszą ludzie; słysząc jednak za sobą odgłos strzału nabrałem co do tego ostatecznej pewności. Moje nogi zareagowały instynktownie na ten dźwięk i zaczęły poruszać się szybciej, niż mogły to znieść moje płuca i serce. W końcu wyczerpały mi się zapasy glukozy, adrenaliny, endorfiny i sam nie wiem, czego jeszcze. Padłem jak długi na ziemię. Leżałem bez ruchu i nasłuchiwałem.

Po kilku minutach wstałem i zacząłem cicho przedzierać się przez krzaki. Po jakimś czasie natrafiłem na starą, wysypaną żwirem drogę, która biegła do służbowego wjazdu przy Grace Lane. Podążałem nią, aż przez rozkwitające gałęzie wiśni ujrzałem zarys domu gościnnego.

Byłem całkowicie pewien, że rewolwerowcy nie mogli zapuścić się aż tak daleko, zbytnio się więc nie spieszyłem. Jak ktoś kiedyś powiedział, nie ma większej satysfakcji niż ta, którą odczuwa człowiek, kiedy oddany do niego strzał okazuje się

chybiony. Czuję się wspaniale,

byłem zdolny zawojować cały świat. Żałowałem tylko, że nie mogę nikomu opowiedzieć tej przygody. Zdałem sobie sprawę, że brak mi niestety przyjaciół, którzy doceniliby uroki mojej eskapady. Mógłbym opowiedzieć o wszystkim Susan, ale nie uważałem jej już za swojego przyjaciela.

Wszedłem do domu przez ogród różany i spoglądając na zegar stwierdziłem, że zawiodło mnie trochę wycucie czasu. Minęła jedenasta i Susan nie było w domu. I znowu stwierdziłem, że wcale się tym nie przejmuję. Odkrycie, że nie obchodzą nas rzeczy, które kiedyś wydawały nam się szalenie-ważne, jest całkiem przyjemne i relaksujące, następny jednak krok polega na tym, by uświadomić sobie, co teraz jest dla nas istotne.

Wszedłem do kuchni i dostrzegłem leżącą na stole kartkę. "Nie zapomnij, proszę, że masz być o trzeciej u swojej ciotki", przeczytałem.

Zmiałem kartkę. W dupie miałem ciotkę Cornelię. Otworzyłem lodówkę i przez chwilę w niej buszowałem, opychając się, czym tylko miałem ochotę. Zostawiłem za sobą pootwierane pojemniki, porozdzierane opakowania i nie dojedzone owoce. Nabrałem pełną garść jagód, zatrzasnąłem drzwi lodówki i pobiegłem na górę.

Uroki prymitywu to jedna sprawa, gorący prysznic – druga.

Rozebrałem się, wziąłem tusz i zjadłem jagody, nie zgolilem jednak zarostu. Włożyłem to, co miałem pod ręką: dzinsy, bluzę i tenisówki na gołe nogi, po czym wymknąłem się z domu, nie chcąc natknąć się na Susan.

Wskoczyłem do mego bronco i ruszyłem starą, zarośniętą chwastami ścieżką, która łączyła niegdyś domek gościnny z drogą służbową.

Stare rezydencje, jak ta, wyposażone były nie tylko w osobne wejścia, ale również osobne klatki schodowe dla personelu – aby państwo nie spotkali się przypadkiem ze służbą na schodach. Istniał poza tym cały system dróg i wąskich ścieżek dla dostawców, furgonów i tak dalej.

Wyprzedziliśmy tutaj w jakimś sensie projektantów Disneylandu, którego ukrytymi ścieżkami i tunelami biegają, niczym elfy, całe armie niewidocznych robotników, gotowych spełnić każde żądanie i sprawić, by, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, nakrywały się stoły i kwitły ogrody.

Przeciąłem drogę służbową i dojechałem do stawu. Wysiadłem z samochodu i zacząłem badać ślady stóp. W błocie przy brzegu

odkryłem ślady psich łap, odnalazłem także łuskę naboju kaliber osiem, którą schowałem do kieszeni. Upewniwszy się, że wszystko to nie było halucynacją, wywołaną nadmierną dawką beta blokerów, wróciłem zadowolony do samochodu i ruszyłem w stronę bramy służbowej, aby uniknąć spotkania z wracającymi z kościoła Susan i Allardami. Brama, której od dłuższego czasu w ogóle nie używaliśmy, była zamknięta na klucz, ale jako zapobiegliwy pomocnik dozorca miałem w samochodzie wielki pęk kluczy pasujących do każdego zamka w posiadłości. Otworzyłem kłódkę i bramę i wyjechałem na Grace Lane w odległości kilkuset jardów od głównego wjazdu do Stanhope Hall.

Skierowałem się na północ, aby uniknąć nadjeżdżającego z Locust Valley jaguara. Przez chwilę zastanawiałem się, dokąd się udać.

Zbuntowani mężowie powinni to wiedzieć, niewielu z nich obiera sobie jednak jakiś jasno wytyczony cel i szwendają się na ogół po okolicy, starając się nie natknąć na znajomych, którzy mogliby ich zapytać, jak się miewa żoneczka.

Mijając po lewej stronie bramę Alhambry, zauważyłem stojących przy niej na posterunku dwóch dżentelmenów w czarnych garniturach.

Domyślałem się, że wciąż czułem się do głębi urażony z powodu wydarzeń poprzedniego dnia – choć gdybym poskarżył się przyjacielowi bądź przyjaciółce, wątpię, czy zrozumieliby, dlaczego incydent z sianem, a także incydent z Bellarosą do tego stopnia wyprowadziły mnie z równowagi. Ludzie nie potrafią pojąć takich rzeczy. Oczywiście mógłbym powiedzieć: "To jeszcze nie wszystko". I rzeczywiście kryło się w tym coś jeszcze, ale przede wszystkim w mojej głowie, bez związku z otaczającym światem. Nikt oprócz psychiatry nie miałby ochoty wysłuchiwać mego monologu na temat wszystkich niesprawiedliwości, w jakie obfituje życie i instytucja małżeństwa.

Tak czy inaczej, trafiłem po jakimś czasie do Bayville, małego robotniczego miasteczka, które przycupnęło między wspaniałymi posiadłościami Long Island. To miejsce dojrzało do społecznego awansu, obawiam się jednak, że na razie obowiązuje tam zakaz wjazdu samochodów marki BMW, nie dają też koncesji na sklepy ze zdrową żywnością.

Małe Bayville utrzymuje się głównie z rybołówstwa, szkutnictwa, sklepów ze sprzętem żeglarskim oraz sprzedaży napojów wysokokowych.

Nie wiadomo, jak udało się tu pomieścić tyle knajp na tak małej przestrzeni, ale jest to w końcu kwestia popytu i podaży. Niektóre z lokali są bardziej, inne mniej prymitywne, ale najbardziej prymitywna ze wszystkich jest knajpa nosząca dumną nazwę "Pod Zardzewiałą Kluzą". Kluza, jeśli przypadkiem tego nie wiecie, to otwór w dziobie statku, przez który opuszcza się i podnosi kotwicę. Sądzę, że bary i restauracje na Long Island nieco nadużywają zapomnianych żeglarskich terminów, ale to miejsce naprawdę wyglądało jak zardzewiała kotwiczna kluza i trwały w nim właśnie wielkanocne modły. Zostawiłem samochód na wysypanym żwirze parkingu pomiędzy odkrytą półciągarówką i czterema motocyklami, po czym wszedłem do środka.

Po zapadnięciu zmroku nadbrzeżna knajpa ma swój lokalny koloryt, kipi życiem, emanuje czymś, co trudno określić. Ale tego niedzielnego popołudnia "Zardzewiała Kluza" była ponura niczym przedsiónek komory gazowej.

Usiadłem przy barze i poprosiłem o piwo z beczki. Lokal urządzone był w standardowym żeglarskim stylu, ale nie zdołałbym wyposażyć płaskodennej krypy tym, co wisiało tutaj na ścianach i pod sufitem.

Zauważyłem, że za koncelebrantów mam trzech mężczyzn i jedną kobietę w interesujących, czarnych, motocyklowych szatach liturgicznych, a także kilku starych wilków morskich, których ogorzała skóra upodobniała się miejscami do alkoholowej marynaty. Było tam również czterech odzianych w dżinsy i podkoszulki młodzieńców, którzy stali przy automatach na zmianę wpadając w katatonię i rozpoczynając taniec świętego Wita. Nie sądzę, by ktokolwiek w tym pomieszczeniu posiadał komplet uzębienia. Miałem świadomość, że w ciemnych kątach i za przepierzeniami kryje się jeszcze więcej potępieńców.

Zakupiłem parę barowych zakąsek, które powinny nosić nalepki ostrzegające przed spożyciem, i zjadłem je. W odległości mili albo dwóch stąd znajdował się "Seawanhaka Corinthian Yacht Club" i jego członkowie wpadali czasem w lecie do knajp w rodzaju "Zardzewiałej Kluzy" po całym dniu spędzonym na żaglach. Jeśli udało im się potem szczęśliwie dotrzeć do "The Creek", wspominali mimochodem, gdzie wstąpili na piwo, dając tym do zrozumienia, że są prawdziwymi mężczyznami. Ale ja znalazłem się tu poza sezonem. Żłopałem piwo, żulem strawę przeznaczoną dla proli i gapiłem na unoszący się nad barowymi lampkami błękitny obłok papierosowego dymu.

Zamówiłem następne piwo, a na deser sześć kawałków suszonej wołowiny. Właśnie kiedy doszedłem do wniosku, że nie zwróciłem na siebie niczyjej uwagi i nikogo nie uraziłem swoim pojawieniem się, zainteresował się mną jeden z siedzących przy barze dżentelmenów w skórze.

–Mieszkasz w tej okolicy? – zapytał.

Musicie wiedzieć, że John Whitman Sutter, nawet w dżinsach i bluzie, nie ogolony i ze stojącym na parkingu fordem bronco, nie przypomina w niczym żadnego z tutejszych bywalców, zwłaszcza jeśli otworzy buzię i wszyscy usłyszą, jak się poprawnie wyraża. Domyślcie się także z pewnością, że w zadanym przez dżentelmena w skórze pytaniu kryło się głębsze znaczenie.

–W Lattingtown – odparłem.

–La-di-da – zanucił w odpowiedzi.

Byłem naprawdę szczęśliwy, że nie istnieje w naszym kraju nienawiść klasowa, ponieważ w przeciwnym razie dżentelmen w skórze mógłby potraktować mnie po grubiańsku.

–Zabłądziłeś czy jak? – zapytał.

–Na to wygląda, skoro się tu znalazłem.

Wszyscy uznali moją odpowiedź za zabawną. Poczucie humoru bardzo się przydaje w nawiązywaniu kontaktów pomiędzy ludźmi kulturalnymi i kretynami.

–Twoja stara wygoniła cię z domu, czy jak? – pytał dalej skórzany.

–Nie. Prawdę mówiąc, leży w śpiączce w szpitalu Świętego Franciszka. Wypadek samochodowy. Sprawca zbiegł. Nie wygląda to najlepiej. Dzieciaki są u mojej ciotki.

–Och, to przykre.

Skórzany zamówił mi piwo.

Uśmiechnąłem się do niego ze smutkiem i wróciłem do swojej suszonej wołowiny. Właściwie nie była taka zła, trzeba ją było tylko żuć razem z barowymi orzeszkami, formując w ten sposób ciastowatą, przesiąkniętą piwem kulę, którą łykało się w całości. Nauczyłem się tego w New Haven. Tak nazywaliśmy między sobą Yale: New Haven.

Nie brzmiało to tak snobistycznie.

Zgodnie z tym, co napisała Susan, powinienem być o trzeciej u ciotki Corneli. Co Wielkanoc urządzamy coś w rodzaju zjazdu

rodzinnego w domu ciotki Cornellii w Locust Valley, mniej więcej piętnaście minut jazdy stąd. Była teraz za kilka minut druga. Ciotka Cornelia jest siostrą mojej matki. To ta sama ciotka, która, jak sobie być może przypominacie, snuje pewne teorie na temat rudych włosów.

Ciekawe, jak zareaguje, pomyślałem, na widok swego ulubionego siostrzeńca, wtaczającego się do niej bez marynarki i krawata, nie ogolonego i cuchnącego browarem.

Susan, trzeba jej to przyznać, utrzymuje dobre stosunki z moją rodziną. Niezbyt zażyłe, ale dobre. Jej własna rodzina jest nieliczna, porozrzucana po całym kraju i nie utrzymuje ze sobą bliskich stosunków. Doskonały materiał na teściów.

Medytowałem już chyba całą godzinę w tej zakazanej dziurze, kiedy na stołku obok mnie usiadła kobieta. Musiała wynurzyć się z któregoś z mrocznych zakamarków, ponieważ nie słyszałem, żeby ktoś otwierał drzwi wejściowe. Rzuciłem na nią okiem, a ona uśmiechnęła się do mnie od ucha do ucha. Spojrzałem w lustro za barem i nasze oczy spotkały się. Znowu się uśmiechnęła. Przyjaźnie usposobiona.

Miała koło trzydziestki, ale wyglądała na czterdzieści. Była rozwiedziona i żyła z facetem, który bijął ją od czasu do czasu. Pracowała jako kelnerka, a dziećmi opiekowała się matka. Miała trochę kłopotów ze zdrowiem, powinna nienawidzić mężczyzn, ale nie potrafiła się na to zdobyć, grała w totka i nie chciała pogodzić się z faktem, że w życiu nie czeka jej już nic dobrego. Niczego takiego nie powiedziała, nie odezwała się właściwie ani słowem. Ale "Pod Zardzewiałą Kluzą" spotyka się na ogół ludzi, którzy przypominają grę pod tytułem "Wstaw właściwe słowo". Człowiek zastanawia się czasami, skąd w tak bajecznie bogatym kraju bierze się biały lumpenproletariat. Być może jednak rzecz polega na tym, że pewni ludzie rodzą się po prostu, żeby przegrywać, i w roku 3000, w kolonii na Marsie również założą knajpę "Pod Zardzewiałą Kluzą", a jej klientela będzie miała spróchniałe zęby, tatuaże i skórzane łachy. Będą sobie wzajemnie opowiadać swoje życiorysy skarżąc się, że znaleźli się akurat w dołku, i że wykiwali ich jacyś cwaniacy.

Usłyszałem spadające na podłogę buty.

–Wścieknę się z tymi nogami.

–A to dlaczego? – zapytałem.

–O Jezu, tyrałam przez cały ranek. Nie poszłam nawet na nabożeństwo.

–Gdzie pracujesz?

–W "Gwiezdnym Przybyszu" w Glen Cove. Znasz to miejsce?

–Jasne.

–Nigdy cię tam nie widziałam.

I nigdy nie zobaczysz.

–Fundnąć ci drinka?

–Pewnie. Koktajl mimoza. Nie lubię pić przed szóstą. Ale dzisiaj muszę sobie strzelić jednego.

Skinąłem na barmana.

–Jeden raz mimoza. – Obróciłem się do swej towarzyszki. – Chcesz może coś zjeść?

–Nie, dzięki.

–Na imię mam John.

–Sally.

–Nie Sally Grace przypadkiem?

–Nie, Sally Ann.

–Miło cię poznać – powiedziałem.

Pojawiła się jej mimoza i stuknęliśmy się szklankami. Gawędziliśmy przez kilka minut, aż zapytała:

–Co robisz w takim miejscu?

–Sądzę, że jest w moim stylu.

Zaśmiała się.

–No, niezupełnie.

Przypuszczam, że pochlebiało mi to pytanie. Moje ego zostało mile polechtane faktem, że nikt w tym barze nie łudził się, iż mam z nim coś wspólnego, jeszcze zanim zdradziłem się ze swoim akcentem. I na odwrót, sądzę, że jeśli którykolwiek z tych osobników znalazłby się (nawet odziany w tweedowy garnitur) w "The Creek", zadałbym mu to samo pytanie.

–Jestem rozwiedziony, samotny i szukam miłości we wszystkich niewłaściwych miejscach – poinformowałem Sally.

Zachichotała.

–Jesteś szalony.

–Wszystkie moje kluby są dzisiaj zamknięte, jacht stoi w suchym doku, a moja była żona zabrała dzieciaki do Acapulco. Miałem do

wyboru iść na przyjęcie do szefa mafii, do mojej ciotki Cornellii albo tutaj.

–I przyszedłeś tutaj.

–A ty byś nie przyszła?* – Nie. Ja bym się wybrała na przyjęcie do szefa mafii.

–To ciekawe – zauważyłem. – Nie nazywasz się przypadkiem Roosevelt? – Ruzwełt.

Znowu parsknęła śmiechem.

–A jakże. A ty nazywasz się pewnie Astor?

–Nie. Nazywam" się Whitman. Znasz takiego poetę, Walta Whitmana?

–Pewnie. Żdźbła trawy. Czytałam w szkole.

–Boże, błogosław Amerykę.

–Też to napisał?

–Całkiem możliwe.

–Jesteś spokrewniony z Waltem Whitmanem?

–Na to wygląda.

–Piszesz wiersze?

–Próbuję.

–Jesteś bogaty?

–Byłem. Wydałem wszystko na kupony totka.

–Boże, ile ich musiałeś wykupić?

–Wszystkie.

Znowu parsknęła śmiechem. Byłem na fali. Przysunąłem swój stółek do Sally. Kiedyś musiała być atrakcyjna, ale lata, jak to mówią, nie okazały się dla niej łaskawe. Mimo to nadal zdrowo się śmiała, miała miły uśmiech, wszystkie zęby i z całą pewnością wielkie serce.

Widziałem, że się jej podobam, i przy skromnej zachęcie z mojej strony mogłaby się

we mnie zadurzyć. Wielu moich kolegów ze szkoły chędożyło proste dziewczyny, ale ja tego nigdy nie robiłem. No, może niezupełnie nigdy. W środę wieczorem daje się u nas wychodne pokojówkom – to taki lokalny zwyczaj – i wszystkie młodzieżowe bary Złotego Wybrzeża pełne są wtedy apetycznie wyglądających irlandzkich i szkockich dziewcząt, które dostały tutaj czasowe pozwolenie na pracę. Ale to inna historia. Rzecz w tym, że minęło sporo czasu, odkąd byłem sam na sam w barze z pracującą dziewczyną, i nie bardzo wiedziałem, jak mam postępować z Sally Ann. Uważam

jednak, że zawsze powinienem być sobą. Niektórzy ludzie lubią się bratać z prostym narodem. Poza tym, właściwie lepiej mi szło z Sally Ann niż z Sally Grace. A teraz, podobnie jak o brzasku, czułem, że stać mnie na wiele. Pogawędziliśmy jeszcze przez chwilę. Sally chichotała pochylona nad swoją trzecią mimozą, a skórzana drużyna zaczęła wątpić w opowieść o pogrążonej w śpiączce żonie.

Pochwyciłem spojrzenie barowego zegara, który poinformował mnie, że jest trzecia po południu. Mając do wyboru: pójść z Sally Ann do jej mieszkania albo udać się do ciotki Corneli, wolałbym oszczędzić sobie jednego i drugiego.

–No cóż... – odezwałem się. – Powinienem już iść.

–O... tak się spieszysz?

–Obawiam się, że tak. Muszę odebrać ze stacji księcia Sussex i odwiedzić jeszcze ciotkę Cornelię.

–Poważnie...?

–Możesz mi dać swój numer?

Zawahała się przez chwilę, a potem nieśmiało uśmiechnęła.

–Domyślam się...

–Masz wizytówkę?

–Hmm... zobaczę... – Pogrzebała w torebce i wyjęła z niej króciutki kelnerski ołówek. – Koniecznie musi być na wizytówce?

–Wystarczy serwetka. – Podsunałem jej papierową serwetkę, na której zapisała swoje nazwisko i numer telefonu.

–Mieszkam tutaj, w Bayville. Z moich okien widać zatokę.

–Zazdroszczę ci. – Schowałem serwetkę do kieszeni razem z łuską od naboju. Mogłem założyć pamiątkowy album. – Zadzwoń do ciebie – powiedziałem ześlizgując się ze stołka.

–Do końca miesiąca pracuję wieczorem. Od piątej do północy. Śpię, kiedy mogę. Więc dzwoń, kiedy chcesz. Nie przejmuj się, że mnie obudzisz. Mam zresztą automatyczną sekretarkę.

–Rozumiem. Do zobaczenia.

Zostawiłem pieniądze na kontuarze i wyszedłem z "Zardzewiałej Kluzy" na zalany słońcem parking. Gdzieś na tym świecie musiały znajdować się miejsca, do których pasowałem, nie sądzę jednak, by na ich krótkiej liście mieściła się ta knajpa.

Wsiadłem do samochodu. Mogłem teraz wybierać między Don Bellarosą a ciotką Cornelią. Ruszyłem na południe Shore Road,

oczekując, jak sędzę, jakiejś boskiej interwencji w rodzaju awarii hamulców.

Po pewnym czasie znalazłem się z powrotem na Grace Lane i minąłem zamkniętą bramę Stanhope Hall Allardowie pojechali zapewne do swojej córki, a Susan była już u mojej ciotki albo, co byłoby bardziej interesujące, w domu Franka, gdzie zajadała jagnięcy nos i ustalała warunki dotyczące kontraktu na moją głowę.

Jechałem dalej, aż zobaczyłem charakterystyczne, otynkowane mury Alhambry. Zwolniłem i zjechałem na pobocze po drugiej stronie otwartej bramy. Wciąż stali tam dwaj mężczyźni w czarnych garniturach, którzy natychmiast wlepili we mnie wzrok. Za ich plecami, obok przylegającej do muru stróżówki stał wielkanocny zajaczek, raczej wyrośnięty, mierzył bowiem mniej więcej sześć stóp, nie licząc uszu. Przed sobą trzymał okazały wielkanocny koszyk, w którym znajdowały się, jak podejrzewałem, malowane, ręczne granaty.

Zwróciłem ponownie uwagę na dwóch asystentów zajaczka, którzy ani na chwilę nie spuszczały ze mnie wzroku. Nie miałem cienia wątpliwości, że jeden z tych żołnierzy Don Bellarosy – a może obydwaj – polowali na mnie tego ranka.

W przeciwieństwie do posiadłości Stanhope'ów, główna aleja Alhambry prowadzi prosto do pałacu, który widać jak na dłoni przez bramę z kutego żelaza. Sama aleja nie jest wysypana żwirem, lecz brukowana i rosną wzdłuż niej majestatyczne topole. W tej chwili zastawiona była na całej swojej długości samochodami, w większości długimi i czarnymi, i przyszło mi na myśl, że ci ludzie w swoich czarnych limuzynach i czarnych garniturach wyglądają tak, jakby mieli uczestniczyć w pogrzebie.

Patrząc na drugą stronę ulicy, doszedłem do wniosku, że Frank Bellarosa zna się na wydawaniu przyjęć. Miałem również wrażenie, że nieświadomie naśladował w tym Gatsby'ego, na którego przyjęciach goście mieli do dyspozycji wszystko, czego dusza zapagnie – oprócz przyglądającego się im z dala gospodarza.

Urządzone z przepychem wielkanocne przyjęcie u Bellarosy stanowiło w jakiś przedziwny sposób swoistą powtórkę z historii – jeśli przypomnieć sobie opowieści o milionerach, którzy usiłowali w latach dwudziestych prześcignąć jeden drugiego w złym smaku. Otto Kahn na przykład, jeden z najbogatszych wówczas ludzi w tym kraju, o ile

nie na całym świecie, zwykł był urządzać poszukiwania wielkanocnych pisanek na całym terenie sześciusetakrowej posiadłości otaczającej jego liczący sto dwadzieścia pięć pokoi pałac w Woodbury. Wśród gości były osoby z najlepszego towarzystwa, milionerzy, wschodzące i zachodzące sławy aktorskie, pisarze, muzycy i girlsy z rewii Ziegfelda. Żeby poszukiwania były ciekawsze, każde pomalowane jajko zawierało w środku tysiąc dolarowy banknot. W swoim czasie było to nader popularne wydarzenie i zarazem bardzo oryginalny sposób, by uczcić zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa.

W głębi serca wiedziałem, że do wybrania się na przyjęcie u Kahna nie potrafiłyby mnie skłonić tysiąc dolarowe banknoty – a w roku 1920 byli ludzie, którzy nie zarabiali tyle przez cały rok – natomiast mogłyby mnie skusić girlsy od Ziegfelda.

Podobnie teraz, choć wcale nie płynęła mi ślinka na myśl o jagnięcym łbie, coraz większą ciekawość budził we mnie Frank Bellarosa i jego rodzina, ta prawdziwa i ta mafijna. Ważyłem właśnie wszystkie argumenty za i przeciw, wahając się, czy nie wjechać do środka, kiedy spostrzegłem, że jeden z argumentów przeciw, najwyraźniej zmęczony pilnowaniem mnie, przynagla mnie gestem do odjazdu. Ponieważ jestem współwłaścicielem Grace Lane, a poza tym w żaden sposób nie przeszkadzałem w przyjęciu u pana Bellarosy, opuściłem szybę i pokazałem facetowi coś, co określa się czasem mianem włoskiego salutu.

Moja znajomość włoskich zwyczajów najwyraźniej go ubawiła, odwzajemnił bowiem energicznie mój salut obiema rękami.

W tej samej mniej więcej chwili minęła mnie limuzyna z przyciemnionymi szybami. Skręciła w lewo i zatrzymała się przy bramie. Szyby otworzyły się i jeden ze strażników skontrolował pasażerów, podczas gdy przerośnięty zajaczek poczęstował ich smakołykami z koszyka.

Usłyszałem ostre pukanie w szybę od strony pasażera i gwałtownie się odwróciłem. W oknie ukazała się twarz mężczyzny. Dawał mi znaki, żebym opuścił szybę. Wahalem się przez chwilę, po czym pokręciłem korbką.

–Co jest? – zapytałem najgrubszym, na jaki było mnie stać, głosem. – Czego pan chce? – Poczulem, jak zaczyna mi szybciej bić serce.

Facet wetknął przez szybę rękę i machnął mi przed oczyma jedną z tych plastikowych odznak z fotografią, po czym pokazał swoją fizjonomię, żebym mógł je sobie obie porównać.

–Agent specjalny Mancuso – oznajmił. – Federalne Biuro Śledcze.

–Och – odetchnąłem głęboko. To naprawdę przesada, pomyślałem. Coś niesamowitego. Tuż obok mnie, na Grace Lane. Mafia, mierzące sześć stóp zajęczki, zbląkadani mężowie, a teraz jeszcze ten facet z FBI.

–Czym mogę panu służyć?

–Nazywa się pan John Sutter, prawda?

–Jeżeli pan jest z FBI, to ja jestem John Sutter.

Doszedłem do wniosku, że sprawdzili w ciągu kilku ostatnich minut moje numery rejestracyjne w swojej centrali w Albany. A może zrobili to już przed kilkoma miesiącami, kiedy tylko sprowadził się tutaj Bellarosa.

–Wie pan prawdopodobnie, dlaczego tutaj jesteśmy?

–Prawdopodobnie wiem – powiedziałem, choć przez myśl przeszło mi kilka bardziej dowcipnych odpowiedzi.

–Oczywiście ma pan święte prawo tutaj parkować, a my nie mamy prawa domagać się, żeby pan odjechał.

–Zgadza się – poinformowałem go. – To prywatna droga, a ja jestem jednym z jej właścicieli.

–Tak jest, proszę pana.

Mancuso skrzyżował ręce na skraju szyby mojego samochodu i przekrzywił głowę, opierając policzek o przedramię, tak jakbyśmy gawędzili tu ze sobą niczym dwaj starzy kumple. Miał około pięćdziesiątki, niewiarygodnie wielkie białe zęby, które wyglądały niczym rząd białych czekoladek, ziemistą cerę, a także zapadnięte policzki i oczodoły, tak jakby głodzono go w dzieciństwie. Poza tym łysiał i to w niezbyt fortunny sposób. Zostało mu trochę włosów po bokach i zmierzwiona kępka na czubku głowy, co sprawiało, że podobny był do cyrkowego klauna.

–Nie jestem nawet pewien, czy ma pan prawo przebywać w tym miejscu – dodałem.

Pan Mancuso skrzywił się, jakbym go obraził, a może doleciał go odór piwa i suszonej wołowiny.

–Proszę pana – powiedział. – Obaj jesteśmy prawnikami i z pewnością możemy

przedyskutować ten problem przy innej okazji.

Nie wiem dlaczego zachowywałem się agresywnie wobec tego

faceta. Może wciąż byłem pod wrażeniem tej chwili, kiedy zapukał w szybę samochodu, i agresja stanowiła moją odpowiedź. A może nadal udawałem prymitywa. Zdałem sobie w każdym razie sprawę, że przemawiam, jakbym był adwokatem Bellarosy.

–Słucham pana? – zapytałem spokojniejszym tonem.

–Chodzi o to, że robimy zdjęcia, a pański pojazd zasłania nam widok.

–Jakie zdjęcia?

–Wie pan jakie.

Nie poinformował mnie (a ja nie zapytałem), skąd fotografują, ale mogli to robić wyłącznie z domu DePauwów, który stoi na wzniesieniu około stu jardów od Grace Lane, dokładnie, jak już mówiłem, naprzeciwko wjazdu do Alhambry. DePauwowie stanowili żywy przykład hasła "Popieraj swoją lokalną policję stanową" i fakt, że przyłączyli się do sił dobra przeciwko siłom zła, uznałem za interesujący, ale niezbyt zaskakujący. Allen DePauw był człowiekiem, który z całą pewnością pozwoliłby agentom federalnym zamontować u siebie gniazdo karabinów maszynowych i osobiście podawałby amunicję.

Przy Grace Lane zachodziły pewne zmiany.

Zerknąłem na obszerny, zbudowany w stylu kolonialnym dom DePauwów, a potem z powrotem na bramę Alhambry. Domyśliłem się, że kiedy limuzyny skręcają na podjazd, FBI fotografuje przez teleobiektyw ich numery rejestracyjne – a być może robi także piękne fotki wysiadającym z samochodów gościom. Odkryłem również, że wcale nie zasłania widoku z domu DePauwów. Panu Mancuso musiało chodzić o coś więcej.

–I tak miałem już stąd jechać – powiedziałem.

–Dziękuję. – Mancuso nie wykonał żadnego ruchu, żeby odsunąć się od mojego samochodu. – Domyślałem się, że zatrzymał się pan tutaj z czystej ciekawości – powiedział.

–Prawdę mówiąc, zostałem zaproszony.

–Naprawdę? – Wydawał się zaskoczony, ale tylko przez chwilę.

Pokiwał w zamyśleniu głową. – Cóż, jeśli będzie pan chciał kiedyś z nami

porozmawiać... – wyciągnął skądś swoją wizytówkę i podał mi ją – proszę do mnie zadzwonić.

–O czym mianowicie?

–O czymkolwiek. Wjeżdża pan do środka?

–Nie. – Włożyłem wizytówkę do kieszeni, w której znajdowały się już łuska i serwetka. Właściwie powinienem pomyśleć o całej oszklonej gablocie.

–Jeśli chce pan wpaść tam na chwilę, nie mamy nic przeciwko temu.

–Dzięki, panie Mancuso.

Błysnął perlistym uśmiechem.

–Miałem na myśli, że rozumiemy pańską sytuację. Fakt, że jest pan sąsiadem i w ogóle.

–Nie rozumiecie z tego nawet połowy.

Spojrzałem ponownie na bramę Alhambry i dostrzegłem, że dwaj strażnicy i wielkanocny zajęczek dyskutują ze sobą pilnie się nam przypatrując. W dniu, kiedy nawet prawdziwi bogacze miewają kłopoty z kelnerami (chyba że wybrali się przypadkiem na obiad w "Gwiezdnym Przybyszu"), Don Bellarosa stać było na wynajęcie dwóch zbirów, zajęczka i najprawdopodobniej większej liczby rewolwerowców i służby w samym domu. Odwróciłem się do pana Mancuso, któremu również nie dane było spędzić świąt wielkanocnych razem z rodziną.

–Kiedy mogę oczekiwać, że pan Bellarosa wyprowadzi się stąd na dłużej? – zapytałem z lekką ironią.

–Trudno mi na ten temat coś powiedzieć, panie Sutter.

–Wcale mi się nie podoba ta sytuacja, panie Mancuso.

–Nam również, proszę pana.

–No więc aresztujcie tego drania.

–Gromadzimy przeciwko niemu dowody, proszę pana.

Poczułem, jak wzbiera we mnie obywatelski gniew i że biednemu panu Mancuso, reprezentującemu siły oficjalnej impotencji, dostanie się zaraz za swoje.

–Frank Bellarosa – warknąłem – jest od prawie trzydziestu lat znanym kryminalistą. Żyje mu się lepiej niż panu i mnie, a pan wciąż gromadzi przeciwko niemu dowody.

–Tak jest, proszę pana.

–Być może zbrodnia popłaca w tym kraju.

–Nie popłaca, proszę pana. Przynajmniej na dłuższą metę.

–Czy trzydzieści lat to mało?

–No cóż, panie Sutter, gdyby każdy obywatel zapłonął takim świętym oburzeniem jak pan i pomógł wymiarowi...

9 – Złote Wybrzeże – O, nie, panie Mancuso. Niech pan mi nie wciska tego kitu. Nie jestem pomocnikiem szeryfa, sędzią ani członkiem straży obywatelskiej.

Cywilizowani ludzie płacą podatki rządowi i zawierają w ten sposób społeczny kontrakt. To rząd ma poradzić sobie z Frankiem Bellarosą.

Ja mogę najwyżej zasiąść na ławie przysięgłych.

–Tak jest, proszę pana. Ale prawnikom nie wolno zasiadać w składzie ławy przysięgłych.

–Więc dobrze. Zasiadłbym, gdybym mógł.

–Tak jest, proszę pana.

Rozmawiałem już z racji pełnionych przeze mnie obowiązków z kilkoma agentami federalnymi – facetami z IRS*, FBI i podobnych instytucji – i kiedy zaczęły powtarzać "Tak jest, panie obywatelu i panie podatniku, ma pan świętą rację", oznacza to, że seans łączności został przerwany.

–Może pan wracać do robienia zdjęć – powiedziałem.

–Dziękuję panu.

Wrzuciłem bieg.

–Okolica jest teraz przynajmniej lepiej strzeżona – powiedziałem.

–Tak się na ogół dzieje w takiej sytuacji, panie Sutter.

–Stać pana na ironię – zauważyłem.

–Tak jest, proszę pana.

–Wie pan, co to jest capozella? – spytałem patrząc panu Mancuso prosto w oczy.

Wykrzywił wargi w uśmiechu.

–Pewnie, że wiem. Moja babcia zmuszała mnie, żebym to jadł.

To wyjątkowy specjał. Dlaczego pan pyta?

–Po prostu sprawdzam. Arivederci.

–Wesołych Świąt.

Wyprostował się i teraz widziałem już tylko jego brzuch. Wcisnąłem gaz, zwolniłem sprzęgło i wytoczyłem się na Grace Lane wyrzucając spod opon trochę żwiru.

Grace Lane kończy się przy leżącej nad samą cieśniną posiadłości o nazwie Fox Point. Jest tam coś w rodzaju ronda, na którym można zawrócić. Fox Point być może zostanie przerobiony na meczet, ale o tym później. * IRS – Internal Revenue Service, Krajowy Urząd Podatkowy.

Zawróciłem więc i ruszyłem na południe Grace Lane mijając ponownie Alhambrę i miejsce, w którym stał przedtem pan Mancuso.

Nie zobaczyłem go teraz i choć wcale mnie to nie zdziwiło, poczucie, że cały ten dzień stanowi jakąś jedną olbrzymią halucynację, było we mnie tak silne, iż wyjąłem z kieszeni jego wizytówkę i bacznie się jej przyjrzałem. Z tej samej przyczyny podniosłem wcześniej z ziemi łuskę naboju: chciałem uzyskać namacalny dowód, że prawdą jest to, co się przed chwilą wydarzyło. "Nie daj się zwariować, John." Przez minutę albo dwie rozmyślałem o panu Mancuso. Mimo że wyglądał jak klaun, nie-był wcale głupcem. Było w nim coś budzącego zaufanie, a poza tym spodobał mi się pomysł zaangażowania Włocha w śledztwie przeciwko innemu Włochowi. Być może, władze w Waszyngtonie nie potrafiły sobie same poradzić z Bellarosą i jego ziomkami.

Minęły czasy nieodżałowanego Elliota Nessa i obecnie większe sukcesy w walce z naruszającymi prawo obywatelami włoskiego pochodzenia odnosili prokuratorzy i agenci federalni będący ich ziomkami. Pomyślałem, że dokonało się tutaj coś w rodzaju odwrócenia historycznych ról i cała sytuacja przypomina rzymski senat, który wysyłał barbarzyńskich najemników do walki z innymi barbarzyńcami. Dumny z przeprowadzonej analizy i nieomal ukojony perspektywą ponownego spotkania z dziwnie wyglądającym panem Mancuso, ruszyłem w stronę domu ciotki Cornellii.

Po dziesięciu minutach znalazłem się w Locust Valley. Wiktoriański dom ciotki Cornellii stoi przy cichej uliczce kilka przecznic od mojego biura. Ma werandę, obszerny strych oraz wieżyczkę i wygląda dokładnie tak, jak powinien wyglądać dom ciotki Cornellii. Wiążą mnie z nim miłe wspomnienia z dzieciństwa. Mąż mojej ciotki, wuj Arthur, jest emerytowanym nieudacznikiem; oznacza to, że stracił olbrzymią część odziedziczonych dochodów na przedsięwzięcia, które okazały się totalnym fiaskiem. Pamiętał jednak o najważniejszej maksymie anglosaskiego protestanta, która brzmi:

"Nigdy nie naruszaj kapitału". Teraz, kiedy wuj przeszedł na emeryturę, jego kapitałem zajęli się profesjonaliści (do których zaliczam się i ja), dzięki czemu znacznie wzrósł, podobnie jak dochody. Mam nadzieję, że wuj nie wtrąca się do interesów. Jego trzech głupkowatych

synów, moich kuzynów, którzy odziedziczyli po ojcu talent do marnowania pieniędzy, powtarzało sobie każdego ranka: "Nigdy nie naruszaj kapitału". Nic złego ich nie spotka, podobnie jak ich nierozgarniętych dzieci, dopóki nie naruszą kapitału.

Uliczka ciotki Cornelii zastawiona była samochodami, było to bowiem miejsce, w którym mieszkały wyłącznie czyjeś ciotki, babki i matki; uliczka, żeby sparafrazować Roberta Prosta, przy której w świąteczne popołudnie każdy dom wydaje się odpowiedni, żeby wstąpić i odwiedzić rodzinę.

Znalazłem miejsce do parkowania i ruszyłem w stronę domu ciotki Cornelii. Zatrzymałem się na chwilę na werandzie, wziąłem głęboki oddech, otworzyłem drzwi wejściowe i wkroczyłem do środka.

Wszystkich wypełniających ten dom ludzi łączyły ze mną, a także, jak przypuszczam, ze sobą wzajemnie, jakieś więzy pokrewieństwa. Nie jestem zbyt dobry w grach rodzinnych, nigdy nie wiem, kogo mam pocałować w policzek, czyje dzieci są czyje, i tak dalej. Zawsze popełniam gruby nietakt, pytając rozwodników, jak się miewają ich żony, i indagując zbankrutowanych krewnych o stan ich interesów. Kilka razy zdarzyło mi się nawet zapytać o zdrowie czyjejs matki albo ojca, których od kilku lat nie było już niestety na tym świecie. Susan, która nie jest spokrewniona z tymi ludźmi, zna na pamięć wszystkie ich imiona, wie, jakie wiążą ich ze mną koligacje, kto umarł, kto się rozwiódł, a kto urodził – zupełnie tak, jakby to do jej obowiązków należało dokonywanie zapisów w rodzinnej Biblii. Żałowałem niemal, że nie ma jej teraz u mego boku, i że nie słyszę, jak szepcze mi cicho do ucha: "To twoja kuzynka Barbara, córka twojej ciotki Annie i nieodżałowanego wuja Barta. Mąż Barbary, Carl, opuścił ją dla jakiegoś mężczyzny. Barbara jest przygnębiona, ale doszła do siebie, tyle tylko, że zniechęciła wszystkich mężczyzn." Ostrzeżony w ten sposób, wiedziałbym, jak poprowadzić rozmowę z Barbarą, choć w gruncie rzeczy niewiele zostałyby nam tematów do konwersacji. Być może damski tenis albo coś w tym rodzaju.

Zgromadzili się tu teraz wszyscy. Trzymali w lewych dłoniach kieliszki i kłapali dziobami, a mnie stanęły przed oczyma wszystkie grożące mi pułapki. Wymieniłem z kilkoma osobami pozdrowienia, ale unikałem dłuższej rozmowy, przechodząc szybko z pokoju do pokoju przez szerokie dwuskrzydłowe drzwi starego domu, tak jakbym spieszył się do toalety.

Spostrzegłem Judy i Lestera Remsenów, którzy zawsze pojawiali się na naszych rodzinnych spędach, choć nie udało mi się znaleźć ani jednego krewnego, który wiedziałby, w jaki sposób są z nami skoligaceni. Być może Lester popełnił po prostu kiedyś kolosalny błąd, a teraz, kiedy zorientował się, że nic go z nami nie łączy, boi się przestać nas odwiedzać, przyznałby bowiem w ten sposób, że przez bieżące trzydzieści lat spełniał nie tam, gdzie powinien, rodzinne obowiązki.

Przemykając się z pokoju do pokoju i unikając pułapek, które czyhały na mnie, gdybym wdał się w jakąś dłuższą wymianę zdań, pochwyciłem spojrzenie moich rodziców i Susan, ale nie podszedłem do nich. Zdawałem sobie świetnie sprawę, że jestem niewłaściwie ubrany, a także nie ogolony. Nawet dzieciaki nosiły tutaj świeżo wyprasowane stroje i skórzane buty.

Odnalazłem bar urządzonego w pokoju kredensowym i nalałem sobie whisky z wodą sodową. Ktoś dotknął ręką mojego ramienia. Kiedy się odwróciłem, spostrzegłem ze zdumieniem moją siostrę Emily, która, jak zrozumiałem, nie mogłaby tego zrobić, gdyby przebywała właśnie w Teksasie. Uścisnęliśmy się i ucałowaliśmy. Mimo dzielących nas lat i mil, Emily i ja bardzo się lubimy i jeśli w ogóle troszczę się o kogoś na tym świecie oprócz Susan i moich dzieci, to właśnie o moją siostrę.

Zauważyłem stojącego za jej plecami mężczyznę i domyśliłem się, że to jej nowy narzeczony. Uśmiechnął się do mnie.

–John, to mój przyjaciel, Gary – przedstawiła nas sobie Emily.

Wymieniłem uścisk dłoni z Garym, który był przystojny, opalony i mniej więcej dziesięć lat młodszy od Emily.

–To prawdziwa przyjemność spotkać pana, panie Sutter – powiedział z teksaskim akcentem.

–Mów mi John. Dużo o tobie słyszałem.

Spojrzałem na Emily i zobaczyłem, że wygląda promiennie i o wiele młodziej, niż kiedy oglądałem ją po raz ostatni. Grzejący ją wewnętrzny płomień sprawiał, że jaśniej świeciły jej się oczy. Szczerze mnie to cieszyło, a ona zdawała sobie z tego sprawę. Przez jakąś minutę rozmawialiśmy we trójkę o tym i owym, a potem Gary przeprosił nas na chwilę i oboje z Emily wślizgnęliśmy się do obszernej spiżarni za pokojem kredensowym. Moja siostra wzięła mnie za rękę.

–John, taka jestem szczęśliwa.

–Widać to po tobie.

Przyjrzała mi się uważnie.

–Czy wszystko u ciebie w porządku?

–Oczywiście. Jestem na skraju załamania nerwowego. To wspaniałe uczucie.

Parsknęła śmiechem.

–Ja jestem dziwką, a ty wyglądasz jak włóczęga. Matka i tato są zgorszeni.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

–To dobrze.

Moi rodzice, jak już wspomniałem, są postępowi, ale kiedy ktoś z ich własnej rodziny zachowuje się w sposób obrazoburczy, pierwsi stają w obronie tradycyjnych wartości. Zastanawiam się, czy można ich określić mianem hipokrytów.

–Czy między tobą a Susan wszystko jest w porządku? – zapytała Emily.

–Nie wiem.

–Powiedziała mi, że jesteś nieszczęśliwy i że się tym niepokoi.

Odniosłam wrażenie, że chce, żebym z tobą porozmawiała.

Wymieszałem lepiej whisky z wodą sodową i upiłem łyk. Susan wie, że oprócz niej tylko Emily potrafi rozmawiać ze mną o sprawach intymnych.

–Większość problemów nurtujących Susan stwarza sobie sama Susan – odpowiedziałem – a większość moich problemów stwarzam sobie ja sam. W tym cały problem. Sądzę, że się nudzimy. Potrzebujemy jakiegoś wyzwania.

–Więc wyzwijcie się wzajemnie.

Uśmiechnąłem się.

–Na co? Na pojedynkę na białą broń? Zresztą, to wszystko jest niepoważne.

–Ależ wprost przeciwnie.

–Nikt inny nie jest w to zamieszany – powiedziałem. – Przynajmniej z mojej strony. – Wypiłem do końca whisky i odstawiłem szklankę na półkę. – Nadal jest nam ze sobą

dobrze w łóżku – dodałem.

–Tego jestem pewna. Więc zabierz ją na górę i pokochajcie się.

–Daj spokój, Emily – powiedziałem. Zakochani uważają, że znaleźli cudowne lekarstwo na wszystkie życiowe bolączki.

–Ona naprawdę jest ci oddana, John.

Emily nie potrafi mnie rozzłościć, ale tym razem musiałem użyć ostrzejszego tonu.

–Susan jest narcystyczną, pobłażającą sobie egoistką i traktuje wszystkich z góry. Oddana jest co najwyżej samej sobie, a poza tym Zanzibarowi. Czasami Jankesowi. Ale taka właśnie jest Susan i nie mam o to do niej żalu.

–Ale ona jest w tobie zakochana!

–Tak, prawdopodobnie jest. Ale uważa, że ma mnie raz na zawsze. – - Aha – odparła moja pojętna siostra. – Aha.

–Możesz sobie darować swoje "aha". – Oboje parsknęliśmy śmiechem. – Nie zmieniłem jednak swego postępowania po to, żeby zwrócić na siebie jej uwagę – dodałem poważnie. – Ja naprawdę się zmieniłem.

–To znaczy?

–To znaczy, że załamałem się zeszłego wieczoru, spędziłem noc na dworze, a potem ryknąłem na kobietę.

Ponieważ Emily jest moją dobrą przyjaciółką, szczęśliwy byłem, że mogę jej opowiedzieć o wydarzeniach tego poranka, i zaśmiewaliśmy się potem tak głośno, że ktoś – nie zdołałem spostrzec kto – uchylił drzwi, zajrzał do środka i zamknął je szybko z powrotem.

Emily ujęła mnie pod ramię.

–Znasz ten dowcip? Jaki jest ideał grupowej terapii dla prawdziwego mężczyzny?
Odpowiedź: Druga wojna światowa.

Uśmiechnąłem się niezobowiązująco.

–Poza kryzysem wieku średniego i męskim klimakterium – ciągnęła dalej – istnieje jeszcze coś takiego, jak chęć bycia prawdziwym mężczyzną. W najprostszym biologicznym sensie, takim, o którym nie mówi się w przyzwoitym towarzystwie. Pójść na wojnę, dokopać komuś w łeb albo – to już jako surogat – wybrać się na polowanie, wybudować własnymi rękoma chatę, wdrapać się na szczyt wielkiej góry. To o to chodziło ci dzisiaj rana. Żałuję, że mój mąż nigdy sobie na coś takiego nie pozwolił. Zaczął wierzyć, że przekładanie papierów z miejsca na miejsce jest nie tylko ważne, ale niesamowicie podniecające. Cieszę się, że się załamałeś. Spróbuj po

prostu obrócić to na swoją korzyść.

–Jesteś bardzo inteligentną kobietą.

–Jestem twoją siostrą, John. I kocham cię.

–Ja też cię kocham.

Przez chwilę staliśmy zmieszani naprzeciwko siebie.

–Czy obecność tego twojego nowego sąsiada, Bellarosy, ma coś wspólnego z obecnym stanem twego umysłu? – zapytała Emily.

Tak, miała coś wspólnego, chociaż nie mogłem w żaden sposób pojąć, jakim cudem pojawienie się Franka Bellarosy w moim sąsiedztwie zdołało skłonić mnie do ponownej oceny własnego życia.

–Możliwe... to znaczy, ten facet łamie wszystkie reguły, każdego dnia stawia wszystko na jedną kartę, a mimo to, na litość boską, wydaje się żyć w zgodzie z samym sobą. Całkowicie panuje nad sytuacją, a Susan uważa go za kogoś interesującego.

–Rozumiem, I to cię niepokoi. Typowa męska reakcja. Ale Susan powiedziała mi również, że on cię chyba polubił.

–Chyba tak.

–A ty chcesz po prostu sprostać jego wyobrażeniom na twój temat.

–Nie... ale...

–Bądź ostrożny, John. Zło jest kuszące.

–Wiem – odparłem. – Jak długo tu zostaniesz? – zapytałem zmieniając temat.

–Gary i ja wylatujemy jutro rano. Wpadnij do nas kiedyś.

Mieszkamy w okropnym domku nad samym morzem. Obżeramy się krewetkami, pijemy piwo Corona, uganiamy się po plaży, a nocą walczymy z komarami. I kochamy się – dodała. – Jeśli chcesz, zabierz ze sobą Susan.

–Zobaczę.

Położyła mi dłoń na ramieniu i spojrzała prosto w oczy.

–Musisz się stąd wyrwać, John. To stary świat. W Ameryce nikt już tak nie żyje. Historia tego miejsca liczy trzysta lat. Trzysta lat tajnych protokołów, zapiekłych uraz i anachronicznej struktury klasowej. W porównaniu ze Złotym Wybrzeżem Nowa Anglia wydaje się oazą egalitaryzmu.

–Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę.

–Przemyśl to sobie – powiedziała i ruszyła w stronę drzwi. – Masz zamiar się tutaj ukryć?

Uśmiechnąłem się.

–Jeszcze przez chwilę.

–Przyniosę ci drinka. Szkocka z wodą sodową?

–Zgadza się.* Wyszła i wróciła po chwili z pełną butelką Dewarsa i wysoką szklanką wypełnioną po brzegi lodem i wodą sodową.

–Nie wychodź bez pożegnania – powiedziała.

–Może będę musiał.

Ucałowaliśmy się i zostawiła mnie samego. Usiadłem na stołku i popijałem whisky, patrząc na półki uginające się pod ciężarem lnianych obrusów, srebrnej zastawy, kryształów i innych przedmiotów pochodzących z czasów, które określamy jako bardziej cywilizowane.

Być może Emily miała rację. Ten świat był w połowie ruiną, w połowie zaś muzeum, i wszystkich nas otaczały pamiątki dawnej chwały, a to z psychologicznego punktu widzenia nie jest wcale rzeczą zdrową i dobrą dla naszego zbiorowego ja. Ale co kryło się poza nim, w głębi amerykańskiego kontynentu? Sklepy sieci Daily Queens i KMarts, półciężarówka i chmary komarów? Czy na zachód od Alleghenów można jeszcze spotkać jakiegoś członka Kościoła Episkopalnego?

Podobnie jak wielu moich znajomych zwiedziłem cały świat, ale nigdy nie byłem w Ameryce.

Wstałem, zmobilizowałem się wewnątrz i wyszedłem ze spiżarni, żeby po raz kolejny zanurzyć się w gorącej rodzinnej atmosferze.

Ruszyłem na górę, spodziewając się zastać tam mniej ludzi, i zajrzałem do izdebki na szczycie wieży, która nadal – podobnie jak w czasach mego dzieciństwa – stanowiła ulubione miejsce zabaw dla dzieci. W środku rzeczywiście siedziało dziesięcioro milusińskich – w przeciwieństwie jednak do mnie nie bawili się w udawanie, lecz oglądali kasetę z jakimś mrozącym krew w żyłach, brutalnym horrorem, którą jedno z nich musiało tutaj przemycić. W moim kierunku odwróciło się kilka głów, ale te dzieciaki nie nauczyły się jeszcze wyrażać w sposób artykułowany i po krótkiej chwili wlepiły z powrotem wzrok w ekran starając się zapamiętać, jak najsprawniej zabija się ludzi siekierą.

Wyłączyłem telewizor i wyjąłem kasetę. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem,

ale kilkoro przymierzało mnie najwyraźniej wzrokiem do piły łańcuchowej.

Usiadłem i chwilę z nimi pogawędziłem, opowiadając, jak to sam bawiłem się w tym pokoiku, zanim wstawiono do niego telewizor.

–A kiedyś – powiedziałem Scottowi, lat dziesięć – udawaliśmy z twoim ojcem, że to jest Tower of London i że uwięziono nas tutaj o chlebie i wodzie.

–Dlaczego?

–No... tak tylko udawaliśmy.

–Po co?

–Nieważne. Robiliśmy w każdym razie papierowe latawce, wypisywaliśmy na nich prośby o pomoc i wypuszczaliśmy przez okno.

Czyjaś pokojówka znalazła jeden z nich, pomyślała, że to na serio, i wezwała policję.

–Co za idiotka – oznajmił Justin, lat dwanaście. – To musiała być Latynoska.

–Głupi jesteś. Latynoski nie umieją nawet czytać – poinformowała Justina jakaś mała dziewczynka.

–Pokojówka – oznajmiłem trochę rozdrażniony – była Murzynką. Było wtedy mnóstwo czarnych pokojówek, a ta umiała czytać po angielsku i bardzo się wszystkim przejmowała. Tak czy owak, przyszła policja, a ciotka Cornelia wezwała nas wszystkich na dół, żebyśmy im sami wszystko wyjaśnili. Dostało nam się niezłe kazanie, a potem naprawdę zamknęła nas za karę w loszku.

–Co to jest loszek?

–Zamknęła cię? Za co?

–Czy porachowaliście się kiedyś z tą pokojówką?

–Tak – odparłem – ucięliśmy jej głowę. Ale dopiero na zeszłą Wielkanoc. – Nikt nie zrozumiał mojego subtelnego żartu. – Zagrajcie w Monopoly – zasugerowałem.

–Czy możemy dostać z powrotem kasetę?

–Nie.

Smutniejszy, lecz mądrzejszy, wyszedłem na korytarz unosząc ze sobą kasetę.

Czułem się mniej więcej tak, jakby znów zamknięto mnie w loszku, ale na zakręcie wpadłem na Terri, superblondynę, która wyszła za mojego kuzyna Freddiego, jednego z nierozgarniętych synów wuja Arthura.

–Cześć – powiedziałem. – Dokąd tak się spieszysz?

–Cześć, John. Sprawdzam, co robią dzieciaki.

–Wszystko z nimi w porządku – poinformowałem ją. – Bawią się w doktora i pielęgniarkę.

Uśmiechnęła się niewyraźnie.

–A ty kiedy miałaś ostatnie badania okresowe? – zapytałem.

–Zachowuj się grzecznie.

Podszedłem do drzwi po drugiej stronie korytarza i otworzyłem je.

–Wybierałem się właśnie na strych. Masz ochotę mi towarzyszyć?

–Po co?

–Są tam przepiękne stare suknie. Nie chciałabyś którejs przymierzyć?

–Jak się miewa Susan?

–Zapytaj Susan.

Terri wydawała się lekko podenerwowana, nie potrafiłem jednak powiedzieć, czy sprawiła to moja bezczelność, czy fakt, że rozważała serio moją propozycję. Zamknąłem drzwi na strych i ruszyłem w stronę schodów.

–Myślę, że za starzy już jesteśmy, żeby bawić się w udawanie – powiedziałem i zacząłem powoli schodzić na dół.

–Co tam masz? – zapytała wskazując na kasetę, którą trzymałem. – Śmieć. Do wyrzucenia.

–Ach... te przekłete bachory. Dobrze, żeś im to zabrał.

–Po to właśnie jestem. Poczciwy wujaszek.

Roześmiała się.

–Chciałabym, żeby Freddie zrobił czasem coś takiego.

–Sprawa jest chyba i tak przegrana. Ale nie możemy załamywać rąk. To nasz cywilizacyjny obowiązek.

–No tak. – Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. – Nie ubrałeś się dzisiaj zbyt elegancko, John.

–Cierpię właśnie na kryzys tożsamości i nie bardzo wiedziałem, co na tę okazję założyć.

–Jesteś stuknięty.

–I co z tego?

Nie odpowiedziała, ale widziałem, że połknęła haczyk i mogę zacząć zwijać kołowrotek. Musicie to zrozumieć: miałem przed sobą kobietę, która przyzwyczajona była do skaczących wokół niej

i wzdychających mężczyzn i znała około pięćdziesięciu grzecznych i niegrzecznych sposobów, żeby się od nich odczepić. Ta właśnie kobieta stała teraz całkiem bezbronna w oczekiwaniu na mój następny krok. Obudziło się we mnie poczucie winy, a może coś innego.

–Do zobaczenia później – powiedziałem.

–Czy mogłabym z tobą porozmawiać o testamencie, John?

Sądzę, że powinnam spisać testament.

–Powinnaś, jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś.

–Mogę do ciebie zadzwonić?

–Proszę bardzo. Jestem w mieście we wtorki, środy i czwartki.

W Locust Valley w poniedziałki i piątki. Wybierzemy się na lunch.

–Wspaniale. Dziękuję.

Zbiegłem w dół szerokimi kręconymi schodami ledwo dotykając stopni. Byłem na fali. Byłem urzekający, charyzmatyczny, interesujący.

Uwierzyłem w to, więc tak się stało. I wcale nie musiałem zakładać mojej kaszmirowej sportowej marynarki za tysiąc dolarów ani krawatu od Hermesa za dziewięćdziesiąt. Panowałem nad mężczyznami i kobietami. A także nad dziećmi. Chciałem o tym powiedzieć Susan, ale być może powinienem raczej poczekać, aż sama to zauważy.

Wiedziałem również, że powinienem opuścić przyjęcie właśnie teraz, kiedy znajduję się w dobrej pozycji wyjściowej i nie zagnali mnie jeszcze do narożnika przedstawiciele starszego pokolenia, którzy potrafią bezbłędnie zlokalizować pokój, gdzie znajduje się ofiara, namierzyć ją posługując się telepatią i odciąć wszystkie drogi odwrotu.

Ruszyłem pędem do drzwi wejściowych, udając, że nie słyszę dwóch kuzynów, którzy wołali mnie po imieniu. Mnóstwo ludzi ma na imię John.

Po kilku sekundach znalazłem się na dworze. Zbiegłem po stopniach ganku i pospiesznie ruszyłem w dół ulicy. Zatrzymałem się na chwilę, żeby wrzucić kasetę do kanału burzowego, po czym wskoczyłem do forda i odjechałem.

Zapadał zmrok. Otworzyłem obie szyby i jechałem nie spiesząc się i wdychając chłodne powietrze.

Lubię prowadzić samochód, ponieważ jest to jeden z rzadkich momentów, kiedy nie sposób się ze mną skontaktować. Nie zainstalowałem w moim fordzie telefonu z automatyczną sekretarką, z przywołaniem i na koszt rozmówcy, nie mam też CB radia,

samochodowego faksu, bezpośredniej łączności z giełdą, teleksu ani pagera. Wyłącznie antyradar..

Mam też radio z długimi falami, ale nastawione jest przeważnie na nadawaną bez przerwy z Block Island morską prognozę pogody.

Lubię komunikaty o pogodzie, ponieważ zawierają informacje, które mogą się człowiekowi do czegoś przydać, a poza tym można naocznie sprawdzić ich prawdziwość. Faceci, którzy je czytają, czynią to monotonnym, szarym głosem i nie robią sobie żartów w przeciwieństwie do kretynów prowadzących inne programy radiowe i telewizyjne.

Zapowiadają nadejście- cyklonu tym samym tonem, jakim informują, że będzie ciepło i słonecznie.

Włączyłem radio. Lektor opowiedział w skrócie, jaką mieliśmy dzisiaj pogodę, nie uznał jednak za stosowne dodać, że była wprost wymarzona na wielkanocną paradę na Fifth Avenue. Dowiedziałem się za to, że zbliżają się do nas cumulonimbusy, że w poniedziałek rano spodziewane są obfite opady, i że wiatr będzie wiać z północnego zachodu z szybkością od dziesięciu do piętnastu węzłów. Ostrzegano pilotów małych samolotów. Zobaczymy.

Włączyłem się jeszcze przez godzinę albo dwie, ale ruch stawał się coraz większy i zawróciłem do domu. Nie lubię niedzielnych wieczorów.

W najlepszym razie jestem wtedy naburmuszony i kładę się wcześniej spać.

Kiedy przyjechała Susan, leżałem już w łóżku przy zgaszonych światłach.

–Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytała.

–Nie.

–Dobrze się czujesz?

–Czuję się świetnie.

–Twoja matka i ciotka Cornelia zastanawiały się, czy wszystko z tobą w porządku.

–Powinny zwrócić się z tym do mnie, nie do ciebie.

–Unikałeś ich. Twój ojciec był bardzo rozczarowany, że nie udało mu się z tobą porozmawiać.

–Miał ponad czterdzieści lat, żeby to zrobić.

–Może chcesz porozmawiać ze mną?

–Nie. Będę dzisiaj głośno chrapać. Dobranoc.

–Emily przekazuje ci najlepsze życzenia. Dobranoc – powiedziała Susan i zeszła na dół.

Leżałem bez ruchu i wpatrywałem się w ciemny sufit, czując się tak dobrze, jak nie czułem się od dawna, i tak źle, jak nie czułem się chyba nigdy w życiu. To, co przytrafiło mi się w ciągu ostatnich kilku dni, myślałem, było apostazją i zarazem apoteozą; odrzuciłem starą wiarę i jednocześnie uzyskałem nową, równą bogom moc. No, może z tym ostatnim trochę przesadzam, ale z całą pewnością nie byłem tym samym człowiekiem, co parę tygodni temu.

Po kilku minutach metafizyki odsunąłem od siebie sprawy minionego dnia. W oddali zabrzmiał grzmot i wyobraziłem sobie, że znalazłem się na środku morza, sam w mojej łodzi, jest noc, fale biją o dziób, a żagle wydymają się na wietrze. Uczucie było przyjemne, ale wiedziałem, że kiedy zacznie się sztorm, nie poradzę sobie sam ze sterem i żaglami. Zastanawiając się, co począć w tej sytuacji, zasnąłem.

Rozdział 11 W Poniedziałek Wielkanocny zgodnie z prognozą padało, a wiatr rzeczywiście wiał z północnego zachodu, przynosząc nad przylądek Cod i cieśninę Long Island wspomnienie zimy.

Wstałem o świcie i odkryłem, że Susan spała gdzie indziej, najprawdopodobniej w pokoju gościnnym. Wziąłem prysznic, założyłem dżinsy i sweter, po czym pojechałem do Locust Valley, gdzie zjadłem śniadanie w kawiarni.

Siedząc nad kawą po raz pierwszy od dziesięciu lat przeczytałem New York Post. Interesująca gazeta – coś w rodzaju umysłowej suszonej wołowiny.

Zamówiłem jeszcze jedną kawę na wynos i pojechałem do swego biura, kilka przecznic dalej. Wszedłem na drugie piętro, do mego prywatnego gabinetu, gdzie mieścił się kiedyś salon, i rozpałem ogień w kominku. Zasiadłem w moim skórzanym wysokim fotelu, oparłem bosc stopy o kratę przy kominku i zabrałem się do lektury Long Island Monthly, popijając kawę z tekturowej filiżanki. W piśmie był artykuł o tym, jak przygotować swój dom na East Endzie do Dnia Pamięci, kiedy następuje oficjalna inauguracja letniego szaleństwa. To oczywiście przypomniało mi, że mam dokąd pójść, jeśli udam się na dobrowolne wygnanie albo uznany zostanę za persona non grata na należących do Stanhope'ów włościach.

Mój letni, pokryty gontami dom w East Hampton wzniesiony został w autentycznie kolonialnym stylu w roku 1769 i stoi pośród

drzew owocowych i wisterii. Posiadam ten dom do spółki z Susan – należy do mnie, do niej i do banku.

Moi przodkowie ze strony ojca byli pierwszymi osadnikami na wschodnim skraju wyspy i przybyli tu z Anglii w roku 1660, kiedy Nowy Świat był jeszcze naprawdę bardzo nowy. Mam nawet dokument nadania ziemi niejakiemu Eliasowi Sutterowi podpisany przez króla Karola II w roku 1663. Tereny, o których się tam wspomina, obejmują jedną trzecią gminy Southampton – obecnie znajdują się tam najbardziej ekskluzywne kurorty i plaże na całym Wschodnim Wybrzeżu.

Gdyby Sutterowie wciąż posiadali tę ziemię, bylibyśmy miliardami.

Krajobraz tego wrzynającego się daleko w Atlantyk wschodniego cypla wyspy jest uderzająco piękny. Geograficznie różni się on od Złotego Wybrzeża, ale łączą go z nim więzi rodzinne mieszkańców, pieniądze i podobna struktura społeczna. A co ważniejsze, gęstość zaludnienia jest tam o wiele mniejsza niż tutaj i do władzy dorwali się fanatyczni obrońcy środowiska. Nie sposób tam niemal zamontować skrzynki na listy bez wypełnienia kwestionariusza równowagi ekologicznej.

Historyczne związki ze wschodnim cyplem Long Island zawsze interesowały mnie jako coś w rodzaju abstrakcyjnego przypisu do własnego życia, ale dotychczas mało nad tym rozmyślałem. Dopiero teraz przyszło mi na myśl, czy nie nadeszła przypadkiem pora, bym zaczął żyć na ziemi Sutterów zamiast na ziemi Stanhope'ów.

Starłem się wyobrazić siebie w roli wiejskiego adwokata, opierającego stopy w skarpetkach o biurko w jakiejś położonej przy samej ulicy kancelarii, wyciągającego może trzydzieści tysięcy rocznie i biegnącego razem z całym tłumem na plażę, kiedy tylko blisko brzegu pojawi się ławica makreli.

Zastanawiam się, czy Susan miałaby ochotę przebywać tam przez cały rok. Jej konie trzeba by chyba zakwaterować w klubie jeździeckim, ale warunki do jazdy są tam fantastyczne; ogólnodostępne szlaki ciągną się przez Shinnecock Hills aż ku wybrzeżom Atlantyku i dalej wzdłuż białych piaszczystych plaż. Może tego właśnie potrzebujemy, żeby się do siebie zbliżyć.

Lubię czasami przychodzić do kancelarii w dzień wolny, żeby popracować trochę w spokoju, ale nigdy nie traktowałem jej jako miejsca, do którego będę uciekał przed domowymi problemami.

Odłożyłem czasopismo, zamknąłem oczy i przysłuchiwałem się odgłosom wiatru, deszczu i trzaskającego w kominku ognia. Absolutnie wspaniale.

Po jakimś czasie usłyszałem, jak ktoś otwiera drzwi na dole. Nie zamknąłem ich na klucz, na wypadek gdyby któryś z naszych pracowników okazał się entuzjastą pracy albo, podobnie jak ja, chciał urwać się na chwilę z domu. Drzwi zamknęły się i usłyszałem kroki w hallu wejściowym. Nasz personel liczy dwanaście osób: sześć sekretarek, dwóch praktykantów, dwóch młodszych wspólników i dwie aplikantki, obie młode, -szykujące się tego lata do egzaminów. Jedną z owych przyszłych prawniczek jest Karen Talmadge, która daleko zajdzie, ponieważ jest inteligentna, wygadana i energiczna. Jest również piękna, ale o tym wspominał tylko na marginesie.

Miałem cichą nadzieję, że to Karen, było bowiem kilka nader interesujących problemów prawniczych, które chciałem z nią omówić.

Po chwili zdałem sobie jednak sprawę, że nie obchodzi mnie, czy to Karen, czy ktokolwiek inny: moja żona, moja osobista sekretarka, seksowna Terri czy moi mali siostrzeńcy i siostrzenice ciągnący na mnie z toporami i piłami łańcuchowymi. Chciałem być sam. Żadnego seksu ani przemocy.

Nadstawiłem uszu. Kroki były powolne i ciężkie – nie należały raczej do kobiety. Mógł to być listonosz albo goniec lub klient, który nie zdawał sobie sprawy, że urządziłem sobie nowe święto w Poniedziałek Wielkanocny. Kimkolwiek był, słyszałem, jak tłucze się po parterze, zaglądając do pokoi i szukając kogoś albo czegoś.

Doszedłem do wniosku, że powinienem zejść na dół sprawdzić, ale w tym samym momencie usłyszałem skrzypienie schodów i głos.

–Panie Sutter? – zawołał ktoś.

Odstawiłem kawę i wstałem.

–Panie Sutter?

Przez chwilę się wahałem.

–Jestem tutaj, na górze – odparłem w końcu. Odgłos kroków był coraz bliższy. – Drugie drzwi po lewej stronie – zawołałem.

Po chwili do mojego gabinetu wszedł Frank Bellarosa. Miał na sobie bezkształtny

płaszcz przeciwdeszczowy i szary filcowy kapelusz.

–A! – powiedział. – Tutaj żeś się pan schował. Zobaczyłem na zewnątrz pańskiego dżipa.

10 – Złote Wybrzeże –

To ford bronco.

–No. Ma pan kilka minut? Mam z panem kilka spraw do obgadania.

–Kancelaria jest dzisiaj nieczynna – poinformowałem go. – Jest Poniedziałek Wielkanocny.

–Tak? Ale zapalił pan w kominku. Nie przeszkadza panu, jeśli usiądę?

Jasne, że mi przeszkadzało. Mimo to wskazałem mu stojący przy kominku naprzeciwko mego krzesła drewniany fotel na biegunach.

Pan Bellarosa zdjął swój mokry płaszcz i kapelusz, powiesił je na wieszaku przy drzwiach i usiadł.

–Takiś pan religijny? – zapytał.

–Bynajmniej. Należę do Kościoła Episkopalnego. – Że jak? Dzisiaj pan nie pracuje?

–Jak się zdarzy. Mało klientów.

Podniosłem pogrzebacz i spojrzałem mimowolnie na Bellarosę, którego oczy utkwione były, jak stwierdziłem, nie we mnie ani w ogniu, lecz w tym ciężkim, tęnym przedmiocie, który trzymałem w ręku.

Faceta cechowały bardzo prymitywne instynkty. Poprawiłem drwa w kominku, a potem odłożyłem pogrzebacz na miejsce starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Miałem ochotę zapytać Bellarosę, czy to napad, nie chciałem jednak wystawiać na szwank naszej świeżej znajomości moim specyficznym poczuciem humoru.

–Pan też ma dzisiaj dzień wolny? – zapytałem.

Uśmiechnął się.

–Zgadza się.

Usiadłem na krześle naprzeciwko niego.

–Jaki rodzaj interesów pan prowadzi?

–To jedna ze spraw, o których chciałem z panem pogadać. – Założył nogę na nogę i starał się wprowadzić w ruch bujak, tak jakby nigdy w życiu na nim nie siedział. – Moja babka miała kiedyś coś podobnego – powiedział. – Bujała się i bujała, cały boży dzień.

Chodziła o dwóch laskach – nie mieli jeszcze wtedy takich wózków do chodzenia – i czasami, jeśli człowiek starał się prześlizgnąć obok niej do kuchni, waliła go którąś z nich.

–Dlaczego?

–Nie wiem. Nigdy jej o to nie zapytałem.

–Rozumiem.

Przez chwilę przyglądałem się panu Bellarosie. Ubrany był w zasadzie tak samo jak w sobotę, zmieniły się tylko kolory; blezer był teraz szary, a spodnie granatowe, buty za to czarne, a golf biały.

Spostrzegłem, że nosi pod pachą kaburę.

Popatrzył na mnie przeciągle.

–Miał pan kiedyś jakieś kłopoty z intruzami?

Odchrząknąłem.

–Od czasu do czasu. Nic poważnego. Dlaczego pan pyta?

–Wczoraj rano jakiś maniak wszedł na teren mojej posiadłości. Śmiertelnie wystraszył moją żonę. Przepędzili go moi... ogrodnicy.

–Czasami ludzie lubią sobie skracać drogę przechodząc przez teren prywatny. Czasami zniszczą coś jakiegoś dzieciaki.

–To nie był dzieciak. Biały facet, koło pięćdziesiątki. Wyglądał na zboczeńca.

–Naprawdę? Zrobił coś konkretnego, co tak przestraszyło pańską żonę?

–No pewnie. Ryknął na nią.

–O mój Boże. Wezwał pan policję?

–Nie. Moi ogrodnicy poszczuli go psami, ale uciekł na pański teren. Chciałem do pana zadzwonić, ale ma pan zastrzeżony numer.

–Dziękuję. Będę uważał. – Świetnie. Moja żona chce teraz na gwałt przeprowadzać się z powrotem do Brooklynu. Może panu uda się ją przekonać, że to bezpieczne miejsce.

–Zadzwoń do niej.

–Albo niech pan wpadnie.

–Może.

Usiadłem w wysokim fotelu i wpatrywałem się w płonący ogień.

Koło pięćdziesiątki? Ta kobieta musiała być ślepa. Miałem taką nadzieję.

Wiatr wiał coraz silniej, a o szyby bębniły krople deszczu. Przez dłuższą chwilę, podczas której jeden z nas zastanawiał się nad przyczyną tej wizyty, siedzieliśmy w milczeniu.

–Zasadził pan już te warzywa? – zapytał w końcu Bellarosa.

–Nie. Ale zjadłem radicchio.

–Tak? Smakowało?

–Bardzo. Mam nadzieję, że da mi pan trochę sadzonek.

–Pewnie. Ma pan to jak w banku. Dostanie pan radicchio, dostanie pan bazylię, zieloną paprykę i bakłażany.

–Czy dostanę również oliwki?

Roześmiał się.

–Nie. Oliwki rosną na drzewach. Drzewa mają po sto lat i więcej. Nie można ich tutaj hodować. Lubi pan oliwki?

–Do martini.

–Naprawdę? Hoduję za to figi. Kupiłem pięć zielonych i pięć purpurowych. Ale w zimie trzeba okrywać drzewa. Owija się je papą i sypie do środka zeschnięte liście, żeby nie zmarzły.

–Naprawdę? Czy ogrodnictwo to pańskie hobby?

–Hobby? Nie mam żadnego hobby. Cokolwiek robię, idę na całość.

Tego byłem pewien. Dopilem kawę i wrzuciłem w ogień tekturową filiżankę.

–A więc...

–Hej – przerwał mi Frank Bellarosa. – Stracił pan wczoraj dobrą zabawę. Masa ciekawych ludzi, mnóstwo rzeczy do żarcia i do wypicia.

–Przykro mi, ale nie mogliśmy przyjść. Jak smakowała jagnięca głowa?

Znowu się roześmiał.

–Jedzą to starsi. Trzeba przyrządzać dla nich te rzeczy, bo inaczej pomyślą, że człowiek się za bardzo amerykanizuje. – Zastanawiał się przez moment. – Wie pan co – dodał – kiedy byłem dzieckiem, za nic nie wziąłbym do ust mięsa kałamarnicy czy ośmiornicy: prawdziwych makaroniarskich przysmaków. A teraz jem większość tych rzeczy.

–Ale nie jagnięcą głowę.

–Nie. Nie mógłbym tego przełknąć. Jezu, wydłubuje się oczy, wycina język i zjada nos, policzki i mózdzek. – Zachichotał. – Ja jem wyłącznie kotlety z jagnięcej szynki.

A co u was było na wielkanocny obiad?

–Bezgłowe wiosenne pieczone jagnię w galaretkie miętowej.

–No tak. Ale wie pan, co panu powiem? W tym kraju młodzi ludzie zaczynają się interesować, jak to było kiedyś. Widzę to u swoich

siostrzeńców i siostrzenic, i u własnych dzieciaków. Z początku mierziło ich wszystko, co włoskie, ale z wiekiem stają się coraz bardziej Włochami. To samo dzieje się z młodymi Irlandczykami, Polakami i Żydami. Zauważył pan to?

Nie zauważyłem, żeby Edward albo Carolyn tańczyli wokół słupa ani jedli palcami wędzonego śledzia, ale spostrzegłem, że pewne grupy etniczne rzeczywiście szukają swoich korzeni. Nie potępiam stanowczo tego zjawiska, dopóki nie pociąga za sobą ofiar w ludziach.

–Chodzi o to – ciągnął dalej Bellarosa – że ludzie czegoś szukają. Być może amerykańska kultura nie zapewnia im tego, czego potrzebują.

Z zainteresowaniem przyjrzałem się Frankowi Bellarosie. Nie uważałem go dotąd za kompletnego kretyna, nigdy jednak nie spodziewałem się usłyszeć z jego ust określeń w rodzaju "amerykańska kultura".

–Ma pan dzieci? – zapytałem.

–Pewnie. Trójkę chłopaków. Niech im Bóg błogosławi, są zdrowi i niegłupi. Najstarszy, Frankie, ożenił się i mieszka w Jersey. Tommy uczy się w college'u, w Cornell. Studiuje hotelarstwo. Mam dla niego hotel w Atlantic City. Tony jest w szkole z internatem. W tej samej, w której ja się uczyłem, La Salle. Posyłam tam wszystkich moich chłopaków. Zna pan to miejsce?

–Tak, znam.

Akademia Wojskowa La Salle jest katolicką szkołą męską z internatem i mieści się w Oakdale, na południowym wybrzeżu Long Island.

Mam przyjaciół katolików, którzy posyłali bądź posyłają tam swoje dzieci. Spotkałem także kiedyś faceta, który zajmował się zbieraniem dla -niej funduszy. Campus położony jest nad Great South Bay na terenach jednej z nielicznych po atlantyckiej stronie wyspy wielkich posiadłości, która należała kiedyś, jak mi się zdaje, do spadkobiercy fortuny Singera (tego od maszyn do szycia).

–Bardzo dobra szkoła – zauważyłem.

Bellarosa uśmiechnął się, jak się domyśliłem, z dumą.

–No. Gonili mnie tam do nauki. Nie było żartów. Czytał pan kiedyś Machiavellego? Księcia!

-Tak, czytałem.

-Znam na pamięć całe strony.

I, pomyślałem, jest pan prawdopodobnie w stanie napisać dalszy ciąg tej książki. Już wcześniej dochodziły do mnie plotki, teraz potwierdzające się, że absolwentami La Salle byli chłopcy pochodzący ze specyficznych rodzin, takich jak na przykład klan Bellarosy. Uczyli się tam także synowie niektórych latynoskich dyktatorów, między innymi generała Somozy z Nikaragui. Wśród absolwentów jest wiele osób, które zrobiły karierę polityczną lub wojskową. Są i tacy, którzy doszli do wysokich godności w sądownictwie bądź hierarchii Kościoła katolickiego. Interesująca szkoła, pomyślałem, coś w rodzaju katolickiego odpowiednika szkoły przygotowawczej dla anglosaskich protestantów. Coś w tym rodzaju.

–Czy nie uczył się tam przypadkiem szef personelu Białego Domu, John Sununu?

–Jasne. Znam człowieka. Skończył La Salle w roku pięćdziesiątym siódmym. Ja w pięćdziesiątym ósmym. Moim kumplem był Peter O'Malley. Zna go pan?

–Prezes Dodgersa?

–Zgadza się. To była szkoła. Łamali nam tam wtedy kręgosłupy, dobrzy chrześcijańscy braciszkwowie. Ale to się"chyba zmieniło. Cały ten pierdolony kraj staje się coraz bardziej miękki. Mnie w każdym razie złamali wtedy kręgosłup.

–Jestem pewien, że tylko pan na tym skorzystał – oświadczyłem. – Pewnego pięknego dnia czeka pana jeszcze sława i bogactwo.

–No właśnie. Gdybym tam nie chodził, pewnego pięknego dnia wylądowałbym w więzieniu – odparł i roześmiał się.

Uśmiechnąłem się. Pewne cechy Franka Bellarosy stawały się teraz bardziej zrozumiałe, także jego niemal kulturalny sposób wysławiania się i przydomek Biskup. W samym pojęciu katolickiej szkoły wojskowej występowała według mnie zasadnicza sprzeczność, ale być może zniknęła ona na odpowiednio wysokim szczeblu abstrakcji.

–A więc – powiedziałem – był pan żołnierzem?

–Jeśli ma pan na myśli żołnierza w wojsku, to nie.

–A jaki może być inny rodzaj żołnierza? – zagadnąłem niewinnym tonem.

Spojrzał na mnie i na moment ściągnął usta, jakby się zastanawiał.

–Wszyscy jesteśmy żołnierzami, panie Sutter, ponieważ życie to wojna.

–Życie to wieczny konflikt – odparłem – ale to właśnie czyni je ciekawym. Wojna to co innego.

–Ja w każdym razie rozwiązuję konflikty tak, jakby cały czas trwała wojna.*• – Może w takim razie powinien je pan traktować jak hobby.

Przez chwilę ważył to w sobie, a potem uśmiechnął się.

–Może – odparł. – Spędziłem w La Salle sześć lat – powrócił do tematu swojej Alma Mater. – Poznałem tam i zrozumiałem znaczenie organizacji wojskowej, struktury dowodzenia i całej reszty.

Pomogło mi to w prowadzeniu moich interesów.

–Zgadza się z panem – powiedziałem. – Byłem kiedyś oficerem i wciąż łapię się na tym, że w życiu i interesach stosuję zasady, których nauczyłem się właśnie w wojsku.

–No właśnie. Więc rozumie pan, co mam na myśli.

–Rozumiem.

No i tak to wyglądało. Odbywałem niemal sympatyczną pogawędkę o żarciu, dzieciakach i starych, szkolnych czasach z szefem najsilniejszego nowojorskiego klanu przestępczego. Obaj wydawali się odprężeni mimo moich insynuacji na temat jego interesów i muszę przyznać, że facet był w porządku, ani trochę obleśny, głupi czy ordynarny. I gdyby wszystko to, o czym tutaj rozmawialiśmy, nagrano i odtworzono w obecności ławy przysięgłych lub na przyjęciu towarzyskim, słuchacze z trudem opanowaliby ziewanie. Ale o czym, do diaska, miałem z nim mówić? O zabijaniu ludzi i handlu narkotykami?

Istnieje możliwość, pomyślałem, że Bellarosa chce być po prostu dobrym sąsiadem i nic więcej. Ale jako adwokat nie bardzo w to wierzyłem, a jako powszechnie szanowany członek naszej małej społeczności zachowywałem czujność. Wiedziałem, że nic dobrego z tego nie wyniknie, a mimo to z niechęcią myślałem o zakończeniu rozmowy. Zgadza się, Emily, zło jest kuszące. Kiedy spoglądam na to wszystko z perspektywy, nie mogę powiedzieć, że nie wiedziałem ani że nie zostałem ostrzeżony.

–Czy religijna część programu nauczania w La Salle wywarła na panu podobnie trwały wpływ jak część wojskowa?

Zastanawiał się przez chwilę.

–Tak – odpowiedział. – Panicznie boję się piekła.

Przypomniałem sobie Madonnę na skraju jego sadzawki.

–No cóż – powiedziałem – dobre i to na początek.

Kiwnął głową i rozejrzał się po moim gabinecie, przyglądając się skórze, mosiądzowi, boazerii i przedstawiającym sceny myśliwskie reprodukcjom. Anglosaski pic, pomyślał pewnie. Albo coś w tym rodzaju.

–Stara kancelaria – oświadczył.

–Tak.

Pomyślałem, że uznał kancelarię za starą, bo zobaczył w niej stare meble, nie doceniałem jednak jego zainteresowania moją osobą.

–Rozpytałem się w okolicy – oświadczył po chwili. – Mój adwokat dobrze zna pana nazwisko.

–Rozumiem.

Przez głowę przeleciała mi niesamowita myśl, że chce odkupić ode mnie firmę. Zdecydowałem, że cena dwóch milionów nie będzie zbyt wygórowana.

–Powiem panu – odezwał się – w jakiej sprawie przyszedłem.

Kupuję teren przemysłowy przy Glen Cove Road i potrzebny mi jest adwokat, który reprezentowałby mnie przy zawarciu i sfinalizowaniu kontraktu.* – Czy mówimy teraz o interesach?

–Tak. Niech pan włączy licznik, mecenasie.

Namyślałem się przez chwilę.

–Wspomniał pan dopiero co, że ma adwokata.

–Tak. Faceta, który zna pańską firmę.

–Dlaczego nie zleci mu pan tej sprawy?

–Facet mieszka w Brooklynie.

–Więc niech pan pośle po niego taksówkę.

Bellarosa uśmiechnął się.

–Możliwe, że pan go zna. Nazywa się Jack Weinstein.

**–O! – Pan Weinstein jest kimś, kogo określa się mianem mafijnego adwokata, co w końcu dwudziestego wieku nie stanowi szczególnego powodu do sławy w tym kraju.
– Czy on nie może zająć się tą transakcją?**

–Nie. Niegłupi z niego Żyd, wie pan? Ale handel nieruchomościami to nie jego działka.

–A co – zapytałem sarkastycznie – stanowi jego działkę?

–Różne rzeczy. Ale nie handel nieruchomościami. Do prowadzenia moich interesów na Long Island chcę mieć faceta z Long Island, takiego jak pan. Kogoś, kto jest w dobrych stosunkach z tutejszymi ludźmi. Sądzę, że pan zna wszystkich właściwych ludzi, panie Sutter.

A pan, panie Bellarosa, pomyślałem, zna wszystkich niewłaściwych.

–Z pewnością ma pan firmę, która reprezentuje pańskie interesy handlowe.

–Zgadza się. Mam porządną firmę prawniczą w mieście. Bellamy, Schiff Landers.

–Czy to nie oni przypadkiem zajęli się kupnem Alhambry?

–Zgadza się. Sprawdzał pan?

–Podano to do publicznej wiadomości. Dlaczego pan im tego nie zleci?

–Powiedziałem już panu, do moich spraw tutaj chcę mieć tutejszego adwokata.

Przypomniałem sobie rozmowę, jaką odbyłem z Lesterem Remsenem na temat posiadłości Lauderbachów.

–Mam raczej specyficzną klientelę, panie Bellarosa, i jeśli mam być szczerzy, są to ludzie, którzy uważają, że adwokata najlepiej poznaje się po tym, w jakim obraca się towarzystwie.

–To znaczy?

–To znaczy, że mogę stracić swoich starych klientów, jeśli podejmę się pańskiej sprawy.

Nie wyglądał na obrażonego, może tylko zdawał się wątpić, czy wiem, o czym mówię.

–Bellamy, Schiff Landers to bardzo porządna firma, panie Sutter – powiedział z

wystudiowanym spokojem. – Zna ich pan?

–Tak.

–Nie mają żadnych kłopotów z prowadzeniem moich interesów.

–To nie Nowy Jork. Tutaj sprawy mają się inaczej.

–Naprawdę? Wcale tego nie zauważyłem.

–No więc dobrze, właśnie ma pan okazję zauważyć to w tej chwili.

–Panie Sutter, przecież ma pan swoje biuro na Manhattanie.

Niech pan prowadzi moje interesy stamtąd.

–Nie mogę tego zrobić.

–Dlaczego?

–Powiedziałem już panu, że moi klienci... chociaż nie, właściwie chodzi o to, że nie życzę sobie pana reprezentować.

Obaj milczeliśmy przez chwilę, podczas której przez głowę przebiegło mi kilka niezbyt miłych myśli. Spieranie się z kimś, kto ma przy sobie broń, nie jest rzeczą zbyt roztropną i miałem cichą nadzieję, że na tym cała sprawa się zakończy. Ale Frank Bellarosa nie był przyzwyczajony do tego, by ludzie mówili mu "nie". I pod tym względem nie różnił się tak bardzo od przeważającej części amerykańskich biznesmenów. Wiedział, czego chce, i chciał usłyszeć "tak", podczas gdy ja chciałem wytrwać w swojej odmowie.

Założył nogę na nogę i wydał górną wargę, tak jakby się głęboko namyślał.

–Niech mi pan pozwoli wyjaśnić, o co chodzi – powiedział w końcu – i jeżeli pańska odpowiedź będzie nadal brzmiała "nie", uściśniemy sobie po prostu ręce i pozostaniemy przyjaciółmi.

Nie przypominałem sobie dokładnego momentu, kiedy nimi zostaliśmy i z przykrością dowiadywałem się, że można nas za takich uważać. Nie chciałem również, by wyjaśniał mi, o co chodzi, ale nie mogłem być bardziej stanowczy nie obrażając go. Normalnie nie jestem taki zasadniczy, ale sam Frank Bellarosa sprawił, że zmieniłem swój styl. Winilem go zwłaszcza za moje nieporozumienia z Susan, choć on o nich naturalnie nic nie wiedział. A nieporozumienia doprowadziły do kolejnych wydarzeń, w wyniku których narodził się nowy John Sutter. Hura! I mimo że byłem teraz w stanie lepiej zrozumieć kogoś takiego jak Frank Bellarosa, nie zamierzałem bynajmniej dla niego pracować. W gruncie rzeczy było mi teraz łatwiej oznajmić mu, żeby się ode mnie odczepił.

–Mogę panu polecić firmę w Glen Cove, która prawdopodobnie załatwi dla pana tę transakcję.

–W porządku. Ale wpierw chcę zasięgnąć pańskiej rady. Między nami sąsiadami. Żadnej umowy, żadnych papierów, i proszę mnie nie podliczać. – Uśmiechnął się. – Kupuję stary salon samochodowy American Motors przy Glen Cove Road. Wie pan, gdzie to jest?

–Tak.

–Nieźle miejsce. Można tam coś urządzić. Salon sprzedaży Subaru albo Toyoty. Jakiejś japońskiej firmy, a może innej. Myśli pan, że to dobry pomysł?

Wbrew temu, co podpowiadał mi rozsądek, zdecydowałem się wyrazić swoją opinię.

–Nie kupuję japońskich wozów, podobnie jak większość tutejszych mieszkańców-powiedziałem.

–Tak? Dobrze, że zapytałem. Widzi pan, co mam na myśli? Pan zna tutejszy teren i jest pan uczciwy. Ktoś inny patrzyłby tylko na to, żeby wpadło mu parę dolców.

–Możliwe. Dam panu za darmo jeszcze jedną dobrą radę, panie Bellarosa: nie kupuje się salonu samochodowego i nie decyduje samemu, jakiej firmy samochody będzie się tam sprzedawać. Te sprawy są dokładnie kontrolowane. Istnieje ścisły podział terytoriów, na których wolno prowadzić interesy każdej poszczególnej firmy, istotne są także inne wymagania, których może pan nie spełniać. Musi pan o tym wiedzieć.

–Pyta mnie pan, czy słyszałem coś o podziale terytoriów? – Roześmiał się. – Ja mogę otrzymać pośrednictwo dowolnej firmy.

–Naprawdę?

–Naprawdę.

Powinienem przedstawić pana Bellarosę Lesterowi, choć prawdopodobnie nie przypadliby sobie do gustu ani nie obdarzyli zaufaniem.

Mieli mimo to jedną cechę wspólną – chcieli cię koniecznie przekonać, że robią to wszyscy, wszyscy, wszyscy. Wierzę, że kraj nie jest do tego stopnia przeżarty korupcją, jak się na ten temat mniema; i że właśnie to powszechne mniemanie wykorzystują ludzie pokroju Franka Bellarosy, by demoralizować, a następnie korumpować biznesmenów, prawników, policję, sędziów i polityków. Ale ja nie zamierzałem dać się na to nabrać.

–Proponuję – ciągnął dalej Bellarosa – sześć milionów za teren i zabudowania. Zna pan to miejsce. Czy cena jest odpowiednia?

–Nie jestem pewien, jakie są obecnie tendencje na rynku, odnoszę jednak wrażenie, że dobił pan już targu i potrzebuje adwokata wyłącznie do podpisania papierów.

–Tak i nie. Zawsze jest jakaś przestrzeń do negocjacji, nieprawdaż? Właściciele mają kilka lepszych propozycji, ale ja złożyłem im moją najlepszą ofertę i muszę ich przekonać, że moja najlepsza oferta jest również ich najlepszą ofertą.

–To nowe podejście do interesów.

–Nie sędę. Zawsze tak robię.

Popatrzyłem mu prosto w twarz. Uśmiechnął się.

–Nie chcę orznać faceta, ale sam też nie mogę dać się orznać.

Więc powiedzmy, że sześć to uczciwa cena. Ile pan z tego dostanie?

Jeden procent? To daje sześćdziesiąt tysięcy, panie Sutter, za kilka dni pracy.

To było coś, co nazywa się chwilą prawdy. Trzeba przyznać, że nie mogłem narzekać na ich brak w ostatnich kilku tygodniach. Ograbienie staruszki z dziesięciu milionów było przestępstwem i czynem niemoralnym. Legalne zarobienie sześćdziesięciu tysięcy u gangstera stanowiło sytuację graniczną.

–Sądziłem, że uzgodniliśmy już, że udzielam tylko bezpłatnej sąsiedzkiej porady – powiedziałem.

–Uzgodniliśmy także, że wysłucha pan, czego dotyczy kontrakt.

–Właśnie wysłuchałem. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób uda się panu otrzymać pośrednictwo dowolnej firmy samochodowej.

Machnął ręką, nie zwracając uwagi na moje małostkowe indagacje.

–Nie ma żadnych problemów, jeśli chodzi o tę nieruchomości.

Sprawa jest czysta. Może mi pan ufać – powiedział.

–W porządku, ufam panu. – Pochyliłem się ku niemu. – Możliwe jednak, że nie płaci pan czystymi pieniędzmi.

Spojrzał na mnie i domyśliłem się, że tym razem nadużyłem nieco jego cierpliwości.

–Niech się o to martwią władze – oznajmił zimno.

Nie mogłem podważyć tego argumentu, sam bowiem nie dalej jak wczoraj użyłem go w rozmowie z panem Mancuso. Wstałem.

–Szczerze doceniam zaufanie, jakie pan we mnie pokłada, panie Bellarosa, ale proponuję, żeby zlecił pan tę sprawę firmie Cooper Stiles w Glen Cove. Nie powinno być żadnych problemów z umową ani honorarium.

Bellarosa wstał także i wziął do ręki swój płaszcz i kapelusz.

–Czytałem o tutejszej glebie – powiedział nie wiadomo w związku z czym. – Rzeczywiście są tu te ily polodowcowe.

-Cieszę się.

-Zasadiłem winorośl. To odmiana granatowa, concord, sprowadziłem ją z północy. Piszą, że dobrze się tutaj przyjmuje.

-Mają rację.

-Ale chcę mieć także białe winogrona. Hoduje je ktoś tutaj?

-Przeważnie na wschodzie. Ale w posiadłości Banfi Vintners

w Old Brookville udało się wyhodować chardonnay. Powinien pan z nimi porozmawiać.

–Tak? Widzi pan, o co mi chodzi? – Popukał się w czoło. – Nieglupi z pana facet, panie Sutter, wiedziałem to tym. Wino chardonnay i żadnych japońskich wozów.

–I wszystko to gratis.

–Przyślę panu skrzynkę z pierwszego winobrania.

–Dziękuję, panie Bellarosa. Niech pan tylko nie sprzedaje żadnej butelki bez powiadomienia urzędu podatkowego.

–Jasne. Co pan myśli o Saabie?

–Właściwy wybór.

–A jak się panu podoba Casa Bianca? Biały Dom. Zamiast Alhambra.

–Nazwa trochę pospolita. Brzmi jak nazwa pizzerii. Niech pan jeszcze nad tym pomyśli.

Uśmiechnął się.

–Proszę przekazać ode mnie pozdrowienia pani Sutter.

–Z całą pewnością przekażę. Wyrazy uszanowania dla pańskiej małżonki. Mam nadzieję, że doszła do siebie po tym szoku.

–Wie pan, jakie są kobiety. Porozmawia pan z nią, dobrze?

Otworzyłem przed panem Bellarosa drzwi i uścisnęliśmy sobie ręce.

–No to do miłego – powiedział.

Zamknąłem za nim drzwi.

–Do miłego.

Podszedłem do okna i patrzyłem, jak przechodzi w deszczu na drugą stronę Birch Hill Road.

W Locust Valley nie mieszka wyłącznie wyższa klasa średnia i mamy tutaj swój

własny proletariat. W wieku trzynastu lat, jeszcze zanim posłano mnie do St. Paul, miałem okazję poznać kilku tutejszych żulików. Wielu z nich uważało mnie, rzecz dziwna, za swojego kumpla.

Zwłaszcza jeden z nich, Jimmy Curcio, urodzony morderca, wykorzystywał każdą nadarzącą się sposobność, żeby uścisnąć mi rękę. Mały potwór zdecydowanie mnie polubił i pamiętam nawet, jak któregoś razu, kiedy mijalem go na szkolnym podwórku, gdzie stał otoczony swoimi capo i żołnierzami, popukał się w czoło i powiedział do nich:

"To niegłupi facet".

Obserwowałem zbliżającego się do swego cadillaca Franka Bellarose

i nie zdziwiłem się wcale widząc, jak z samochodu wyskakuje kierowca – a może powinienem raczej powiedzieć szofer albo goryl – i otwiera przed nim tylne drzwiczki. W naszej epoce mogą sobie sami prowadzić swoje samochody Vanderbiltowie i Rooseveltowie, ale nie Bellarosa i ludzie jemu podobni.

Odwróciłem się od okna, podszedłem do kominka i pogrzebałem w ogniu. W gruncie rzeczy jestem niegłupim facetem. Także Frank Bellarosa nie jest taki głupi, jak mi się dotychczas wydawało. Powinienem chyba wiedzieć, że w jego fachu głupcy nie zachodzą tak wysoko i nie żyją tak długo.

Historia o kupnie nieruchomości mogła być nawet prawdziwa, ale stanowiła przede wszystkim przynętę. Wiedziałem o tym i on wiedział, że wiem.

Ale dlaczego wybrał właśnie mnie?

No cóż, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, a on to z pewnością uczynił, wybór był całkiem sensowny. Cóż za zespół moglibyśmy razem stworzyć, mając do dyspozycji moją pozycję społeczną i jego charyzmę, moją uczciwość i jego nieuczciwość, mój talent do robienia pieniędzy i jego talent do ich rabowania, mój dyplom prawnika i jego pistolet.

Było się nad czym zastanawiać, nieprawdaż?

Rozdział 12 Cały dzień tłukłem się po wielkim starym domu przy Birch Hill Road, nie zwracając uwagi na dzwoniący telefon, gapiąc się przez okna na padający deszcz, a nawet trochę pracując.

Nie zjawił się nikt poza listonoszem i fakt, że moi podwładni rzeczywiście nie przyszli do pracy w zarządzony przeze mnie dzień wolny, nie wiadomo dlaczego wyprowadził mnie z równowagi. Powinienem udzielić im pisemnej reprimendy, ale nie potrafię pisać na maszynie.

Mniej więcej koło piątej zaterkotał faks i podszedłem doń wiedziony czystą ciekawością. Z otworu wysunął się ten okropny śliski papier i zobaczyłem na nim odręczną notatkę:

John,

Wszystko wybaczone. Przyjeżdżaj do domu na zimny obiad i gorący seks.

Susan Przyglądałem się przez chwilę liścikowi, po czym zmieniając charakter pisma nagryzmołem odpowiedź i przesłałem ją do mego domowego faksu.

Susan,

Johna nie ma w tej chwili w biurze, ale przekażę mu wiadomość, kiedy tylko się pojawi.

Jeremy

Jeremy Wright jest jednym z naszych młodszych wspólników.

Fakt, iż Susan się odezwała, sprawił mi przyjemność, chociaż to nie ja byłem tym, komu trzeba było wybaczyć. To nie ja tarzałem się po sianie z dwoma chłopakami z college'u i nie ja uznałem Franka Bellarosę za przystojniaka. Zaniepokoiło mnie także, że Susan wypisuje takie rzeczy na faksie. Ale zadowolony byłem widząc, że zdaje się odzyskiwać poczucie humoru, którego ostatnio wyraźnie jej brakowało, chyba że uznacie za jego przejaw chichoty dobiegające ze stajni.

Miałem właśnie odejść od faksu, kiedy maszyna znowu zaterkotała i wysunęła się z niej następna wiadomość.

Jerry,

Zjesz ze mną obiad itd.?

Sue Wołałem oczywiście uznać, że Susan rozpoznała mój charakter pisma. Odpowiedziałem:

Sue,

Za dziesięć minut.

Jerry W drodze do domu spostrzegłem, że niebo szybko się przejaśnia.

Południowy wiatr przeganiał wstęgi ciemnych cirrusów przynosząc z powrotem ciepłą pogodę. Long Island nie jest dużą wyspą, ale pogoda na wybrzeżu atlantyckim może się całkowicie różnić od tej, która panuje nad cieśniną. Również wschodni cypel ma swój własny mikroklimat. Warunki pogodowe potrafią się tutaj zmieniać bardzo szybko, czyniąc ciekawszym życie i żeglowanie.

Skręcając w bramę wiodącą do Stanhope Hall, pomachałem George'owi, który stał na drabinie i przycinał nisko rosnące gałęzie buka.

Podjeżdżając do domu starałem się wprowadzić we właściwy pojednawczy, prekoitalny nastrój.

Susan otworzyła szeroko drzwi. Była całkiem naga.

–Jerry! – zawołała, po czym jedną ręką zakryła usta, a drugą łono. – Och!

–Bardzo śmieszne.

Obiad był rzeczywiście na zimno: sałatka, białe wino i na pół zamrożone krewetki. Susan nigdy nie była dobrą kucharką, ale nie winie jej o to. To i tak cud, że wie, jak się włącza piecyk, zważywszy, że do dwudziestego roku życia nigdy nie oglądała wnętrza kuchni w rezydencji Stanhope'ów. Ale obiad podany był przez nagą kelnerkę, jakżeż więc mogłem się skarżyć?

Susan usiadła mi na kolanach przy stole i karmiła mnie lodowatymi krewetkami, wlewała wino do ust i ocierała twarz serwetką. Nie mówiła wiele, podobnie jak ja, ale mieliśmy wrażenie, że wszystko jest w porządku. To całkiem przyjemne uczucie być karmionym przez siedzącą na twoich kolanach nagą kobietę – zwłaszcza jeśli jedzenie nie jest nadzwyczajne.

–No dobrze – powiedziałem – to tyle, jeśli chodzi o obiad na zimno. Co jest na deser?

–Ja.

–Właściwa odpowiedź.

Wstałem unosząc ją w ramionach.

Potrząsnęła głową.

–Nie tutaj. Chcę się dziś w nocy pokochać na plaży.

Niektóre kobiety zmieniają dla urozmaicenia partnerów; Susan uwielbia zmieniać scenerię i kostiumy.

–To brzmi całkiem zachęcająco – powiedziałem, chociaż, prawdę mówiąc, wolałbym zrobić to w łóżku, a przede wszystkim przejść do rzeczy w ciągu następnych dwu minut.

Niemniej jednak Susan ubrała się i wsiedliśmy do jaguara, ja za kierownicę. Otworzyłem dach i wpuściłem do środka trochę wiosennego powietrza. Zaczynała się właśnie najbardziej nastrojowa pora dnia, pora zmierzchu, kiedy wydłużające się cienie odmieniają znajomy świat.

–Chcesz jechać na plażę teraz? – zapytałem.

–Nie. Po zmroku.

Starłem się kierować mniej więcej na południowy zachód, w stronę zachodzącego słońca. Po drodze mijałem urocze krajobrazy – opadające wzgórza, ocienione alejki,

łąki, stawy i zagajniki.

Usiłowałem uporządkować sobie wydarzenia kilku ostatnich tygodni, które kazały mi się przyjrzeć własnemu życiu i otaczającemu mnie światu. Ten świat wciąż tu istnieje, o godzinę drogi od centrum Manhattanu – obszar rozciągający się wzdłuż północnego wybrzeża

11 – Złote Wybrzeże Long Island, prawie zupełnie nie znany mieszkańcom pobliskich przedmieść i wielkiego miasta. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że czas stanął tu w miejscu, a zegarki zatrzymały się razem z dźwiękiem dzwonka zamykającego giełdę w dniu 29 października 1929.

Ten półmityczny kraj, Złote Wybrzeże, zamyka od północy cieśnina Long Island z jej zatoczkami i plażami, od południa zaś, wzniesione na niegdysiejszych polach kartoflanych niziny Hempstead, osiedla tanich domków – realizacja rządowej obietnicy zapewnienia własnego dachu nad głową wojennym bohaterom. Domki przypominają kawałki tortu i kosztują od dziesięciu do piętnastu tysięcy.

Ale tutaj, na Złotym Wybrzeżu, nie idziemy tak szybko z duchem czasu. Wielkie posiadłości to nie pola kartoflane i ich przejmowanie trwa nieco dłużej.

–Interesujący pan Bellarosa odwiedził mnie dzisiaj w moim biurze – poinformowałem Susan.

–Naprawdę?

Nie zwróciła uwagi na słowo "interesujący", a jeżeli nawet, to nie dała tego po sobie poznać. Kobiety rzadko dają się sprowokować, jeśli w grę wchodzi zazdrość. Po prostu cię wtedy ignorują albo spoglądają jak na wariata.

Jechaliśmy w milczeniu. Niebo całkowicie się przejaśniło. Mokre drzewa i asfalt błyszcząły w promieniach słońca.

Muszę dodać, że nazwa Złote Wybrzeże obejmuje nie tylko północną linię brzegową hrabstwa Nassau, ale również łańcuch niskich wzgórz, które wznoszą się na obszarze sięgającym od pięciu do dziesięciu mil w głąb lądu. Wzgórza te pozostawił po sobie cofający się lodowiec, co miało miejsce około dwudziestu tysięcy lat temu, u schyłku ostatniego zlodowacenia. Właściwie stanowią one tak zwaną morenę tylną owego lodowca. Któregoś dnia wyjaśnię to wszystko panu Bellarosie.

Kiedy powrócili tutaj Indianie epoki kamiennej, zastali całkiem sympatyczną posiadłość, obfitującą w świeżą roślinność, zwierzynę, ptactwo wodne i przepyszne skorupiaki. Od tego czasu prawie wszyscy wyginęli – liczba rdzennych mieszkańców Ameryki nie różni się chyba tak bardzo od liczby pozostałych przy życiu właścicieli tutejszych posiadłości.

Susan nie zdołała opanować ogarniającej jej ciekawości.

–Co przyniósł ci tym razem? – zapytała. – Kozi serek?

–Nie. Chciał, żebym reprezentował go przy kupnie nieruchomości.

–Naprawdę? – wydawała się tym z jakiegoś powodu ubawiona. – Czy złożył ci propozycję nie do odrzucenia?

Uśmiechnąłem się mimo woli.

–Coś w tym rodzaju. Ale odmówiłem.

–Czy to go rozzłościło?

–Nie wiem. Wyglądało to na legalną transakcję, ale z tymi ludźmi nigdy nic nie wiadomo.

–Nie sądzę, żeby zaproponował ci udział w czymś nielegalnym.

–Jest kolor biały i kolor czarny, a między nimi setki odcieni szarości. – Wyjaśniłem krótko, na czym polegała transakcja, po czym dodałem. – Bellarosa oznajmił, że złożył im swoją najlepszą ofertę i musiał przekonać właścicieli, że dla nich to także najlepsza oferta.

Brzmi to dla mnie trochę jak wymuszenie.

–Wydaje mi się, że dmuchasz na zimne.

–No więc dobrze, niezależnie od legalności tej transakcji, muszę dbać o własną reputację.

–To prawda.

–Moje honorarium za sfinalizowanie umowy wyniosłoby około sześćdziesięciu tysięcy dolarów. – Spojrzałem na Susan.

–Pieniądze nie mają znaczenia.

Przypuszczam, że to prawda, jeśli nosi się przypadkiem nazwisko Stanhope. Na tym prawdopodobnie polega jeden z budzących moją zazdrość luksusów, które daje bogactwo – człowiek może bez żalu odmówić przyjęcia brudnych pieniędzy. Ja również pozwalam sobie na ten luksus, chociaż nie jestem bogaty. Być może istotny jest tu fakt, że mam bogatą żonę.

Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć Susan o mojej porannej przygodzie w Alhambrze, ale z perspektywy cały incydent wydał mi się nieco głupi. Zwłaszcza to, że ryknąłem na tę kobietę. Chciałem jednak, aby Susan dowiedziała się o istnieniu pana Mancuso.

–FBI obserwuje Alhambrę – powiedziałem.

–Naprawdę? Skąd wiesz?

Wyjaśniłem, że kiedy włóczyłem się po okolicy, zobaczyłem stojącego przy bramie Alhambry wielkanocnego zajęczka, któremu towarzyszyło dwóch drabów. Susan uznała to za zabawne.

–Zatrzymałem się tam na chwilę – powiedziałem – i wtedy zaczepił mnie facet, niejaki Mancuso, który przedstawił się jako agent FBI. – Nie wspomniałem o tym, że miałem ochotę wziąć udział w przyjęciu wielkanocnym u pana Bellarosy.

–Co ci powiedział?

Zrelacjonowałem w skrócie moją rozmowę z panem Mancuso.

Mijaliśmy właśnie klub "Piping Rock". Dzień kończył się pięknie, jeśli chodzi o pogodę i o inne sprawy. Powietrze było świeże i pachnące, jak zawsze po wiosennym deszczu.

Susan wydawała się zaintrygowana moją historią, ale oparłem się pokusie ubarwienia jej w celach rozrywkowych.

–Mancuso wiedział, co to jest capozella – zakończyłem.

Roześmiała się.

Znowu zainteresowałem się drogą i krajobrazem.

Niedaleko stąd znajduje się rozłupany na pół charakterystyczny dla indiańskich grobowców głaz; pomiędzy jego dwiema częściami rośnie wysoki dąb. Na głazie wyryte są słowa:

TUTAJ SPOCZYWA OSTATNI Z

PLEMIENIA

MATINECOKÓW

Głaz leży na dziedzińcu Episkopalnego Kościoła Mędrców Syjonu, a na pniu dębu umieszczona jest tabliczka: **MIEJSCE ZNAJDUJE**

SIĘ POD STAŁĄ OPIEKĄ.

A więc tyle tylko pozostało po plemieniu Matinecoków po tysiącach lat, które spędzili wśród tych wzgórz i lasów. W ciągu kilku dziesięcioleci starci zostali z powierzchni ziemi przez wydarzenia historyczne, których nie rozumieli i którym nie potrafili się przeciwstawić. Przybyli tutaj koloniści, Holendrzy i Anglicy – moi przodkowie – zaznaczając swoją obecność na mapach i w krajobrazie. Zbudowali wioski i drogi i nadali im nazwy, a także ochrzcili na nowo miejscowe jeziora,

strumienie i wzgórza, z rzadka tylko zachowując starodawne indiańskie nazwy.

Ironia losu sprawiła jednak, że te miejsca i nazwy nie wywołują dzisiaj wcale wspomnienia Indian ani kolonistów, ale są nierozłącznie związane z półwieczem, znanym pod mianem Złotego Wieku. Jeśli w rozmowie z mieszkańcem Long Island wymienić nazwę Lattingtown

lub Matinecoc, skojarzą mu się one natychmiast z milionerami i ich pałacami, a przede wszystkim z szalonymi latami dwudziestymi – ostatnimi gorączkowymi dniami Złotego Wieku i Złotego Wybrzeża.

–O czym tak rozmyślasz? – zapytała Susan.

–O przeszłości, o tym, jak to wszystko musiało kiedyś wyglądać.

Zastanawiałem się, czy chciałbym mieszkać w pałacu. Tobie to się podobało?

Wzruszyła ramionami.

Susan, a także jej brat, matka i ojciec, mieszkali w Stanhope Hall jeszcze za życia jej dziadków. Z łatwością można pomieścić wiele pokoleń w jednym domu, jeśli ma on pięćdziesiąt pokoi i tyle samo służby.

Po śmierci dziadków, którzy zmarli w połowie lat siedemdziesiątych, obowiązujące wówczas przepisy podatkowe dotyczące spadków zakończyły żywot Stanhope Hall jako majątku, w którym zatrudnia się odpowiednią do jego znaczenia liczbę personelu. Rodzice Susan mieszkali tu jednak dalej, aż do momentu, kiedy czterokrotnie podrożał olej opałowy. Zmienili wtedy klimat na cieplejszy.

–Lubiłaś mieszkać w pałacu? – zapytałem ponownie.

–Nie wiem. Nie znałam innego świata. Myślałam, że wszyscy tak żyją... Dopiero, kiedy dorosłam, uświadomiłam sobie, że nie wszyscy mają konie, pokojówki, ogrodników i nianię. – Roześmiała się. – Brzmi to głupio. – Przez chwilę się zastanawiała. – Nie chciałabym zanadto psychologizować, ale myślę, że wolałabym częściej widywać się z rodzicami.

Nie odpowiedziałem. Ja widywałem się dostatecznie często z jej rodzicami, Williamem i Charlotte, w latach, kiedy grali rolę pana i pani na Stanhope Hall. Dziadkowie Susan, Augustus i Beatrice, żyli jeszcze, kiedy się pobraliśmy i wprowadziliśmy do domku, który był prezentem ślubnym dla mojej żony – przepisany, jak już zaznaczyłem, wyłącznie na jej nazwisko. Jej dziadkowie byli wówczas starzy i sprawiali na mnie wrażenie przyzwoitych ludzi, troszczących się o swój topniejący personel w większym stopniu niż o swoje topniejące pieniądze.

Zapominając kiedyś o swoim wrodzonym takcie, zapytałem Susan, skąd wzięła się fortuna Stanhope'ów. "Nie mam pojęcia – odparła, jak sędzę, zgodnie z prawdą. – Z tego, co wiem, nikt nie ruszył

palcem, żeby ją powiększyć. Ona po prostu istniała, na papierze, w wielkich oprawnych w skórę księgach, które mój ojciec trzymał zamknięte w swoim gabinecie." Zapytana o pieniądze Susan wyraża się bardzo nieprecyzyjnie, podobnie jak wielu ludzi z jej sfery. Przypuszczam, że starą fortunę można określić jako tę, której źródła, miejsce i wielkość otoczone są mgłą tajemnicy. Ale poczynając od roku 1929, poprzez Wielki Kryzys, wojnę, a następnie sięgające dziewięćdziesięciu procent podatki lat czterdziestych i pięćdziesiątych, coraz mniej było tego papierowego bogactwa, aż w końcu znikło tak samo tajemniczo, jak się pojawiło.

Susan, jak zaznaczyłem, nie należy do ludzi biednych, choć właściwie nie wiem, ile posiada. Na pewno jednak nie jest tak bajecznie bogata jak jej dziadkowie.

–Co czujesz – zapytałem ją – na myśl o facecie takim jak Bellarosa, który w nielegalny sposób dorobił się milionów, podczas gdy przeważająca część fortuny Stanhope'ów przepadła w wyniku zgodnego z prawem opodatkowania?

Wzruszyła ramionami.

–Mój dziadek powtarzał: "Dlaczego nie miałbym oddać połowy moich pieniędzy amerykańskiemu narodowi? Zawdzięczam mu przecież wszystkie." Uśmiechnąłem się.

–Brzmi to bardzo postępowo.

Choć, z drugiej strony, niektórzy milionerzy pokierowali swymi aktywami i polityką podatkową w sposób bardziej umiętny i wciąż są bogaci, chociaż być może już się tak tym nie afiszują. Jeszcze inni tutejsi bogacze, tacy jak Astorowie, Morganowie, Grace'owie, Woolworthowie, Vanderbilci, Guestowie i Whitneyowie dysponują tak niewiarygodną masą pieniędzy, że może je naruszyć tylko rewolucja.

–Nie czułaś się kiedykolwiek pokrzywdzona? – zapytałem. – Przecież gdybyś urodziła się, powiedzmy, przed osiemdziesięciu laty, żyłabyś jak cesarzowa.

–Po co zaprzętać sobie głowę takimi sprawami? Żaden z moich znajomych, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, nie rozumuje w ten sposób.

Prawdą jest, że Susan nie mówi wiele o tym, jak żyło jej się w Stanhope Hall. Ludzie jej pokroju uważają za nietakt opowiadanie

o podobnych sprawach w obecności outsiderów, to znaczy osób, które wychowywały się w innych warunkach, nawet jeśli są to małżonkowie.

Zdarza się czasami, że milionerzy i byli milionerzy uchylają rąbka tajemnicy, ale czynią to tylko wtedy, kiedy dojdą do wniosku, że ich rozmówca nie jest do nich uprzedzony ani nie zbiera materiałów do jakiejś publikacji.

–Czy miałaś własnego stajennego? – dopytywałem się dalej.

–Tak.

Zabrzmiało to tak, jakby chciała powiedzieć: "Oczywiście, ty idioto. Myślisz, że własnoręcznie wygarniałam gnój ze stajni?" – Czy twoi dziadkowie znali wiele osób z wyższych sfer? Czy wydawali bale?

Kiwnęła głową.

–Urządzano kilka przyjęć w ciągu roku. Na Boże Narodzenie dziadek zapraszał zazwyczaj koło setki ludzi – ciągnęła dalej. – Wszyscy mieścili się w sali balowej. W lecie urządzał jedno albo dwa przyjęcia na dworze: na tarasie i pod namiotami. Starsi gromadzili się w bibliotece i oglądali albumy ze zdjęciami.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Na ogół nie udaje mi się wydobyć z Susan nic więcej.

Kiedy chcę się dowiedzieć czegoś więcej o Złotym Wybrzeżu, o wiele lepszym źródłem informacji jest George Allard. Opowieści George'a to w większości anegdoty, takie jak ta o pani Holloway, która trzymała szympansy w salonie swojej, noszącej nazwę Foxland, rezydencji w Old Westbury. Od George'a można dowiedzieć się, jak wyglądało tutaj życie między wojnami, podczas gdy opowieści Susan to przeważnie dziecięce wspomnienia z czasów, kiedy było już dawno po balu. George opowiada mi czasami historyjki z dzieciństwa Susan, które uważa za zabawne. Według mnie stanowią one klucz do osobowości mojej żony.

Z tego co się tutaj mówi, Susan była przedwcześnie rozwiniętą, zadzierającą nosa, małą dziwką, którą wszyscy uważali za wielką piękność i wielką mądrałę. To się niewiele zmieniło, chociaż z biegiem lat otwarta, młoda dziewczyna przeobraziła się w zamkniętą w sobie, humorzystą babę. Żyje bardziej w swoim własnym wewnętrznym świecie aniżeli tym, który ją otacza. Nie nazwałbym jej osobą nieszczęśliwą. Sprawia raczej wrażenie kogoś, komu trudno się

zdecydować, czy warto się wysilać, by być nieszczęśliwym. Z drugiej strony nie można powiedzieć, żeby była nieszczęśliwa ze mną. Uważam, że jesteśmy dla siebie dobrzy.

Podobnie jak wiele osób w tej okolicy prowadzimy przyjemne życie, choć jak już powiedziałem, otaczają nas ruiny świata, który był kiedyś o wiele bardziej zasobny. Powinienem zaznaczyć, że Susan stać na to, żeby wynająć ogrodników, pokojówki, a nawet stajennego (najlepszy byłby do tego stary arystokrata), ale na mocy cichego wzajemnego porozumienia utrzymujemy się głównie z moich dochodów, które, choć są sporo wyższe niż amerykańska średnia, nie pozwalają na zatrudnienie na stałe służby w naszej, tak wysoko opłacającej siłę najemną części świata. Susan przykłada się jednak do pracy w domu i w ogrodzie, i fakt, że nie stać mnie na wprowadzenie się do Stanhope Hall i zatrudnienie pięćdziesięciu służących, nie wywołuje we mnie żadnych kompleksów.

–Na jakiej plaży chcesz się pokochać? – zapytała Susan.

–Na takiej, gdzie nie ma ostrych muszelek. Zdarzył mi się kiedyś poważny wypadek.

–Naprawdę, kiedy? To musiało być, zanim się poznaliśmy.

Niczego takiego sobie nie przypominam. Jak się nazywała?

–Janie.

–Nie Janie Tillman przypadkiem?

–Nie.

–Musisz mi o tym później opowiedzieć.

–Nie ma sprawy.

W trwającej dwadzieścia lat pogoni za absolutną szczerością, oprócz naszych historycznych romansów, opowiadamy sobie czasem z Susan o swoich przedmażeńskich kochankach. Stanowi to fragment wstępnej gry miłosnej. Czytałem w jakiejś książce, że nie ma w tym nic złego i partnerzy bardziej się dzięki temu podniecają. Później jednak, kiedy jest już po wszystkim, jedna ze stron czuje się zazwyczaj przygnębiona, a druga żałuje, że jej opisy były tak plastyczne. Nie można bezkarnie igrać z ogniem.

–Co dzisiaj robiłaś? – zapytałem.

–Sadziłam warzywa, które dał nam ten... no... jakże on się nazywa. – Roześmiała się.

–Na deszczu?

–Myślisz, że im zaszkodzi? Zasadziłam je na starym tarasie kwiatowym przed wejściem do Stanhope Hall.

Pomyślałem, że stary Cyrus Stanhope, podobnie jak McKim, Mead i White muszą przewracać się w grobach.

Skręciłem w nie oznaczoną drogę. Nie sędzę, bym nią kiedyś jechał. Mnóstwo dróg na North Shore jest nie oznaczonych – niektórzy mówią, że specjalnie – i wydaje się, że prowadzą donikąd, co często okazuje się prawdą.

Na współczesnej mapie tych terenów nie są zaznaczone granice wielkich posiadłości; nie istnieje tutejsza wersja hollywoodzkiej Mapki Gwiazd, ale krążyły kiedyś w prywatnym obiegu plany, na których zaznaczone były posiadłości i nazwiska ich właścicieli. Przydawały się starej arystokracji, kiedy lokaj przynosił na przykład do salonu zaproszenie o następującej treści: "Państwo Williamowie Holloway mają zaszczyt prosić pana na obiad w Foxland, siedemnastego maja o godzinie ósmej".

Tak się składa, że mam jedną z tych mapek w swoim posiadaniu.

Datowana jest na rok 1929 i można na niej zobaczyć ówczesną lokalizację wszystkich posiadłości, dużych i małych, razem z nazwiskami właścicieli.

–Nigdy nie spotkałaś pierwszych właścicieli Alhambry, prawda?

To byli, zdaje się, Dillworthowie? – zapytałem Susan.

–Nie spotkałam ich, ale przyjaźnili się z moimi dziadkami. Pan Dillworth zginął w czasie drugiej wojny światowej. Wydaje mi się, że pamiętam panią Dillworth, ale nie jestem pewna. Pamiętam, że w latach pięćdziesiątych mieszkali tutaj Vanderbiltowie.

Wydaje się, że rozległy klan Vanderbiltów wybudował albo zakupił na przestrzeni lat połowę rezydencji na Złotym Wybrzeżu. Dzięki temu pośrednicy mogą teraz o każdym miejscowym domu powiedzieć z niemal pięćdziesięcioprocentową pewnością: "Tutaj mieszkali kiedyś Vanderbiltowie".

–Potem kupili posiadłość Barrettowie? – zapytałem.

–Tak. Katie Barrett była moją najlepszą przyjaciółką. Ale musieli oddać dom bankowi i urzędowi podatkowemu w 1966, w tym samym roku, kiedy poszłam do college'u. Byli ostatnimi właścicielami przed wiadomą ci osobą.

Kiwnąłem głową.

–Mój dziadek opowiadał mi kiedyś – odezwałem się do Lady Stanhope lekko ją prowokując – że ludzie, którzy mieszkali tutaj od stuleci, niezbyt przychylnym okiem patrzyli na pojawienie się na Long Island milionerów. Stare tutejsze rodziny uważały tych nowych przybyszy – wliczając w to Stanhope'ów – za tępych, niemoralnych pozerów.

Susan roześmiała się.

–Czy Sutterowie i Whitmanowie patrzyli na Stanhope'ów z góry?

–Z całą pewnością.

–Myślę, że jesteś jeszcze gorszym snobem ode mnie.

–Tylko wobec bogaczy. W stosunku do mas jestem prawdziwym demokratą.

–Pewnie. No więc jak potraktujemy pana Bellarosę? Jako tępego, pozbawionego zasad intruza czy jako żywy przykład amerykańskiego sukcesu?

–Wciąż nie mogę się zdecydować.

–Może ci pomogę, John. Fakt, że Alhambra nie zamieni się w sto małych hacjend, sprawia ci tak samo ulgę jak mnie. To bardzo egoistyczne podejście, ale zrozumiałe. Z drugiej strony wolałbyś, aby tuż obok ciebie mieszkał ktoś, czyje przestępstwa nie wiążą się w sposób tak bezpośredni z jego fortuną.

–Są tutaj ludzie, którzy uczciwie zarobili swoje pieniądze.

–Wiem, że są. Mieszkają w Lattingtown.

–Jesteś cyniczna.

–Miałam dziś wiadomość od Carolyn i Edwarda – zmieniła temat Susan.

–Co u nich słyhać? – zapytałem.

–Wszystko w porządku. Było im nas brak na Wielkanoc. – Święta wyglądają bez nich zupełnie inaczej – powiedziałem.

–Wielkanoc z całą pewnością wyglądała w tym roku zupełnie inaczej – odparła Susan.

Pominałem to milczeniem. Co się tyczy moich dzieci, Carolyn jest na pierwszym

roku Yale, mojej Alma Mater, i wciąż nie mogę się przyzwycząić do myśli, że studiują tam teraz również kobiety. Przedtem Carolyn chodziła do szkoły St. Paul, którą ja także ukończyłem, i to jeszcze trudniej sobie wyobrazić. Ale świat się zmienia i kobiety czują się w nim teraz być może trochę lepiej. Edward jest w ostatniej klasie

St. Paul, co mile łąchce moją męską dumę, potem jednak pójdzie do college'u Sarah Lawrence, do którego uczęszczała Susan. Powinienem się zapewne cieszyć, że moje dzieci obrały sobie uczelnie, w których uczyli się ich rodzice, ale nie potrafię po prostu pojąć, w jaki sposób Carolyn wylądowała w Yale, a Edward w Sarah Lawrence. Jeśli chodzi o moją córkę, to myślę, że jest to po prostu kwestia ambicji.

Podejrzewam, że motywy mojego syna są trochę bardziej pierwotne; chce się mianowicie różnić. Sądzę, że oboje osiągną swoje cele.

–Kiedy byłem w szkole, przyjeżdżałem do domu na każde wakacje – powiedziałem.

–Ja także z wyjątkiem pewnego Święta Dziękczynienia, o którym wolałabym nie mówić – odparła i roześmiała się. – Dzieci szybciej teraz dorastają – dodała poważniejszym tonem. – Naprawdę. Ja sama byłem do tego stopnia odcięta od świata zewnętrznego, że nie wiedziałam nic o seksie, pieniądzach ani podróżach aż do chwili, kiedy miałam pójść do college'u. To też nie było najlepsze.

–Przypuszczam, że nie.

Tak się składa, że Susan chodziła do miejscowej szkoły średniej – prowadzonej w Locust Valley przez kwakrów, starej i szacownej Akademii Przyjaciół. Moja przyszła żona mieszkała w domu i codziennie dowożono ją do szkoły samochodem. Wielu miejscowym bogaczom podobała się panująca w Akademii bezpośrednia atmosfera. Przypuszczam, że mieli nadzieję, iż ich spadkobiercy nauczą się cenić proste życiowe przyjemności, na wypadek gdyby powtórzył się krach na giełdzie. Wszyscy wychowujemy własne dzieci, tak jakby nasze doświadczenia z przeszłości mogły im się kiedyś przydać, zdarza się to jednak nader rzadko. Tak czy owak, cieszę się, że Susan w swoich szkolnych czasach uczyła się prostoty między godziną dziewiątą rano i trzecią po południu. Może jej się to jeszcze kiedyś przydać.

–Dzwoniła twoja matka – poinformowała mnie Susan. – Wrócili do Southampton.

Moi rodzice nie należą do ludzi, którzy telefonowaliby do kogokolwiek, żeby zawiadomić o aktualnym miejscu swojego pobytu. Wybrali się kiedyś w podróż do Europy, a ja dowiedziałem się o tym dopiero po paru miesiącach. Z pewnością był jeszcze jakiś inny powód tego telefonu.

–Zaniepokoiło ją twoje zachowanie na Wielkanoc. Powiedziałam, że miałeś po prostu kilka złych dni.

Chrząknąłem niewyraźnie. Moja matka, Harriet, jest osobą raczej mało wylewną, lecz wybitną i w swoim czasie należała do kobiet wyzwolonych. Wykładała socjologię w pobliskim college'u C.W. Post, położonym na terenach byłej posiadłości rodziny Postów, którzy zdobyli sławę jako producenci płatków owsianych czy kukurydzianych.

Słuchacze rekrutowali się przeważnie z pobliskich okolic i college cieszył się zawsze sławą nieco konserwatywnego. W latach pięćdziesiątych radykalna Harriet popadała w związek z tym w ciągle kłopoty.

Nie musiała oczywiście pracować, mojemu ojcu wiodło się bowiem finansowo bardzo dobrze, a i w samym college'u sporo było ludzi, którzy woleliby jej nie oglądać za katedrą. Ale gdzieś na początku lat sześćdziesiątych świat dogonił Harriet i stała się wtedy jedną z bohaterek lokalnej kontrkultury.

Pamiętam ją, kiedy wracałem do domu z St. Paul i Yale, jeżdżącą po całej okolicy swoim volkswagenem garbusem, załatwiająca najprzeróżniejsze sprawy. Mój ojciec był dość liberalny, by pochwałać jej aktywność, choć jako mąż z pewnością czuł się zaniepokojony.

Czas jednak nieubłaganie idzie naprzód i Harriet Whitman Sutter w końcu się zestarzała. Nie pochwała teraz wulgarnego wyrażania się, wolnej miłości, narkotyków i synów, którzy nie golą się i nie zakładają krawata na Wielkanoc. I czyni to ta sama osoba, która popierała kiedyś koedukacyjny streaking.

–Zadzwońię do niej jutro – powiedziałem Susan.

Stosunki między Susan i moją matką układają się całkiem dobrze mimo dzielących je różnic ekonomicznych i społecznych. Uważam, że mają ze sobą więcej wspólnego, niż sądzą.

Jechaliśmy jakiś czas w milczeniu i miałem dzięki temu okazję ponownie przyjrzeć się krajobrazowi. Przyszło mi do głowy, że podróżnik, który odłożyłby na bok mapę i wyjrzał przez okno, z pewnością nie pomyliłby tej okolicy z jakimś obszarem na zachód od rzeki Hudson. Nietrudno byłoby mu się zorientować, że znalazł się w rozległym rezerwacie ludzi bogatych.

I podczas gdy jego samochód pokonywałyby kolejne zakręty wysadzanych drzewami alej, przed oczyma naszego podróżnika wyłaniałyby się przykłady architektury hiszpańskiej, jak choćby Alhambra, a zaraz potem zamki w stylu Tudorów, francuskie chateaux, a nawet

renesansowe pałace z białego granitu, w rodzaju Stanhope Hall. Stały na tle amerykańskiego pejzażu, wyrwane ze swego naturalnego otoczenia i czasu, tak jakby wszystkim arystokratom, którzy żyli w zachodniej Europie w ciągu ostatnich czterystu lat, przyznano tutaj po sto akrów ziemi, aby mogli sobie stworzyć w Nowym Świecie coś w rodzaju ziemskiej nirwany. Do roku 1929 większa część Złotego Wybrzeża została rozparcelowana na tysiąc mniejszych i większych posiadłości i folwarków, tworząc tutaj największą koncentrację władzy i pieniędzy w Ameryce, a prawdopodobnie i na całym świecie.

Jadąc wąską aleją, -ogrodzoną z obu stron murami posiadłości, ujrzałem zbliżającą się do nas z naprzeciwka szóstkę jeźdźców. Mijając ich, pomachaliśmy im z Susan, a oni odwzajemnili nasze pozdrowienie.

–Przypomniałam sobie właśnie – oznajmiła moja żona – że chciałabym przenieść stajnię teraz, kiedy jest ładna pogoda.

Nie odpowiedziałem.

–Będziemy musieli uzyskać zgodę jednego z sąsiadów.

–Skąd wiesz?

–Sprawdziłam. Stajnia znajdzie się w odległości mniejszej niż sto jardów od majątku wiadomej ci osoby.

–Niech to diabli.

–Dostałam potrzebne papiery z zarządu gminy. Musimy sporządzić plan sytuacyjny, a wiadoma ci osoba musi na nim złożyć swój podpis.

–Niech to diabli.

–To żaden problem, John. Po prostu wyślij mu plan z krótkim wyjaśnieniem.

Trudno kłócić się z kobietą, z którą człowiek ma właśnie ochotę się kochać, ale postanowiłem wytoczyć ostatni argument.

–Czy nie możesz postawić stajni gdzie indziej?

–Nie.

–W porządku.

Pomysł, żeby zwracać się do Franka Bellarosa z prośbą o wyświadczenie uprzejmości, wcale mi się nie spodobał, zwłaszcza po tym, jak kazałem mu poszukać sobie innego adwokata.

–To twoja posiadłość i twoja stajnia – powiedziałem. – Ja załatwię wszystkie potrzebne dokumenty, ale ty zajmiesz się wiadomą osobą.

–Dziękuję. – Objęła mnie za szyję. – Czy nadal jesteśmy przyjaciółmi?

–Tak. – Ale nienawidzę twoich durnych koni.

–John, wyglądasz tak wspaniale, kiedy jesteś nagi. Czy mogłabym namalować twój akt w plenerze? Zrobiło się teraz cieplej.

–Nie.

Susan ma w życiu cztery wielkie pasje: konie, malarstwo krajobrazowe, altanki i czasami mnie. Wiecie już coś niecoś o koniach i o mnie.

"Towarzystwo Miłośników Altanek" tworzy grupa kobiet, których celem jest ocalenie tych miejscowych pomników architektury. Dlaczego akurat altanek? – zapytacie. Nie wiem. Ale wiosną, latem i jesienią miłośniczki urządzają w różnych altankach wykwinne pikniki, podczas których przebierają się wszystkie w wiktoriańskie i edwardiańskie stroje. Susan nie ma zacięcia do pracy społecznej i nie wiem, dlaczego zadaje się z tymi wariatkami, ale mój sceptycyzm podpowiada mi, że cała impreza jest zasłoną dymną dla czegoś zupełnie innego. Może opowiadają tam sobie świńskie kawały i najświeższe plotki albo przyprawiają rogi mężom. A może jedzą po prostu lunch. Nie potrafię tego rozstrzygnąć.

Co się tyczy malarstwa, to Susan traktuje tę sprawę poważnie.

Dzięki swoim olejom zdobyła sobie nawet coś w rodzaju lokalnej sławy. Maluje na ogół ruiny Złotego Wybrzeża i czyni to w stylu renesansowych artystów, którzy przedstawiali klasyczne rzymskie ruiny: oplecione winem żłobkowane kolumny, zwalone łuki i popękane ściany, między którymi pnie się bujna roślinność. Ma to, jak sądzę, wyobrażać triumf natury nad największymi, architektonicznymi dokonaniem minionego Złotego Wieku.

Najbardziej znany obraz Susan przedstawia jej konia, durnego Zanzibara, który, jeśli nawet nic więcej nie można o nim dobrego powiedzieć, jest wspaniałym zwierzęciem. Zanzibar stoi tam w świetle księżycy wśród potłuczonych szybek palmiarni Laurelton Hall, pałacu, w którym mieszkał niegdyś Louis C. Tiffany. Susan chce namalować mnie w tym samym otoczeniu, stojącego nago w księżycowej poświacie.

Ale chociaż Susan jest moją żoną, wstyd mi trochę stać przed nią na golasa. Mam również dziwną obawę, że namaluje mnie w postaci centaura.

Tak czy owak, klientami Susan są przeważnie miejscowi nouveau riche, gnieźdzący się w swych kieszonkowych pałacach, które wyrastają jak grzyby po deszczu na terenach, gdzie rozciągały się niegdyś stare posiadłości. Klienci ci kupują wszystko, co namaluje Susan, i płacą od trzech do pięciu tysięcy za płótno. Susan robi dwa albo trzy pejzaże na rok i z uzyskanych w ten sposób pieniędzy utrzymuje swoje konie.

Uważam, że mogłaby namalować jeszcze dwa albo trzy i kupić mi nowego forda.

–Dlaczego nie chcesz pozować mi nago?

–A co chcesz zrobić z obrazem?

–Powieszę go nad kominkiem. Dodam ci trzy cale, wydamy przyjęcie i nie będziesz się mógł opędzić od wielbicieli.

–Opanuj się.

Skręciłem w stronę Zatoki Hempstead, nad którą znajduje się kilka zacisznych plaż. Prawie na każdej z nich przeżyłem co najmniej jedną seksualną przygodę. Jest w słonym morskim powietrzu coś, co sprawia, że nabieram ochoty na seks.

Dumałem dalej o przedstawiających stare posiadłości płótnach Susan. Ciekawiło mnie, dlaczego postanowiła ocalić ten rozsypujący się świat od zapomnienia i dlaczego wygląda on tak ponętnie na jej malowidłach. Uderzyło mnie to, że odrestaurowany pałac mógłby się okazać na obrazie nudny i pospolity. Co innego ruiny; kryje się w nich jakieś okrutne piękno. Wciąż można tu oglądać zachowane w lepszym lub gorszym stanie marmurowe fontanny, posągi, altanki, herbaciarnie, pawilony do gry w bilard, kilometry szklarni, domki dla lalek (takie jak ten należący do Susan), imitacje rzymskich ruin (takie jak w Alhambrze), klasyczne świątynie miłości (takie jak na terenie Stanhope Hall), wieże ciśnięć, które udają strażnice, a także okolone balustradą tarasy, z których rozciąga się widok na morze i na okoliczne wzgórza. Wszystkie owe samotne budowle nadają specyficzny charakter krajobrazowi, tak jakby ktoś tutaj przed wieloma laty zbudował i porzucił olbrzymi skansen. Obrazy Susan sprawiają, że zaczynam patrzeć na te znajome ruiny innymi oczyma i świadczy to chyba o tym, że jest dobrą artystką.

–Czy malowałaś już kiedyś nagiego mężczyznę? – zapytałem.

–Nie powiem ci.

Minęliśmy bramę majątku Foxland, należącego obecnie do New

York Technical University. W wielu dużych posiadłościach mieszczą się dzisiaj szkoły, centra konferencyjne i domy dla starców. Kilka innych, o czym rozmawialiśmy już z Lesterem, przeszło na własność hrabstwa, które szybko udostępniło je zwiedzającym jako muzea jeszcze nie zakończonego okresu amerykańskiej historii.

Do najbardziej trwałych i użytecznych budowli owego Złotego Wieku należą stróżówki i domki dla ogrodników, szoferów i innego rodzaju służby, która na mocy niepisanego zwyczaju nie mieszkała w pałacu. Te oryginalne oficyny zamieszkiwane są teraz przez dawnych służących, których chlebodawcy byli na tyle dobrzy, aby w nagrodę za wierną służbę przepisać im je albo oddać w dożywotnie bezpłatne użytkowanie – tak jak stało się to w przypadku Allardów. Czasami mieszkają w nich ludzie, którzy je kupili albo wynajęli. Chętnie urządzą w nich swoje pracownie artyści; za kamienną stróżówkę Stanhope'ów można by dostać kilkaset tysięcy dolarów. Jeśli Allardowie przeniosą się kiedykolwiek na tamten świat, by otrzymać swą ostateczną nagrodę, William Stanhope z pewnością wystawi ich domek na sprzedaż.

Dom gościnny jest jeszcze bardziej łakomym kąskiem dla współczesnej rodziny należącej do wyższej klasy średniej – może dlatego, że nie budzi żadnych proletariackich skojarzeń. To właśnie w domu gościnnym Stanhope'ów mieszkamy razem z Susan. Dla mnie jest to być może odpowiednie miejsce, dla niej musi stanowić degradację.

–Czasami nie potrafię sobie przypomnieć, jak się nazywały te stare posiadłości ani gdzie dokładnie leżały, chyba że przedsiębiorstwo budowlane użyje starej nazwy dla nowego osiedla – powiedziała Susan, kiedy zbliżyliśmy się do kolejnego skrzyżowania. Wskazała głową na nowe domy wznoszone na dawnym końskim pastwisku, które otoczone było ogrodzeniem z kutego żelaza. – Jak się nazywało to miejsce? – zapytała.

–Wchodziło kiedyś w skład posiadłości Hedges, ale nie mogę sobie przypomnieć nazwiska ostatniego właściciela.

–Ani ja – odparła. – Czy zachowała się rezydencja?

–Myślę, że ją zburzono. Stała za tymi błękitnymi świerkami.

–Masz rację – zgodziła się Susan. – Wzniesiono ją w stylu angielskiego zamku. Właścicielami byli Conroyowie. Chodziłam do szkoły z ich synem, Philipem. Niegłupi chłopak.

–Chyba go sobie przypominam. Miał trądzik młodzieńczy i pusto w głowie.

Susan trąciła mnie w ramię.

–Sam masz pusto w głowie.

–Ale mam gładką cerę.

Jechaliśmy teraz prosto na zachód i ostatnie promienie słońca świeciły w przednią szybę. Opuściłem osłonę przeciwsłoneczną. Czasami te przejażdżki są przyjemne, czasami mniej.

–Myślałaś o wyjeździe stąd? – zapytałem.

–Nie.

–Susan... Za dziesięć lat nie poznasz tego miejsca. Nadchodzą prawdziwi Amerykanie. Rozumiesz, co mam na myśli?

–Nie.

–Kioski z hamburgerami i z pizzą, supermarkety i sklepy nocne – wszystko to już tu jest. Nadejdzie dzień, kiedy nie znajdziemy ani jednej dzikiej plaży, żeby się pokochać. Nie wolałabyś raczej zapamiętać tego wszystkiego w obecnym stanie?

Nie odpowiedziała. Wiedziałem, że jakiegokolwiek próby skłonienia Susan, by otworzyła oczy na rzeczywistość, z góry skazane są na niepowodzenie.

Pod pewnymi względami to miejsce przypomina mi Południe po wojnie secesyjnej, tyle tylko, że przyczyną upadku Złotego Wybrzeża nie była operacja wojskowa, lecz katastrofa ekonomiczna, po której nastąpiła prowadzona bardziej subtelnymi środkami walka klasowa.

I podczas gdy zrujnowane plantacje Południa rozciągały się na obszarze dwunastu stanów, szczątki tej naszej baśniowej krainy zajmują powierzchnię około dziewięćdziesięciu mil kwadratowych, czyli mniej więcej jedną trzecią całego hrabstwa.

Większość z półtora miliona mieszkańców gnieździ się na południu, na pozostałych dwu trzecich obszaru hrabstwa, tuż obok ośmiomilionowego, pękającego w szwach Nowego Jorku. Te liczby razem z historią tego miejsca, obecną strukturą społeczną oraz polityką podatkową i mieszkaniową nadają koloryt naszemu światu i wyjaśniają – taką przynajmniej mam nadzieję – stan naszej zbiorowej świadomości oraz

obsesyjne pragnienie, aby zatrzymać czas w miejscu – jakkolwiek czas oprócz tego, który nadejdzie jutro.

12 – Złote Wybrzeże Spojrzałem ponownie na Susan, która zamknęła oczy. Miała wciąż odchyloną do tyłu głowę, a jej wspaniałe pełne usta wydawały się całować niebo. Chciałem jej dotknąć, ale w tej samej chwili najwidoczniej wyczuła moje spojrzenie albo domyśliła się, co chodzi mi po głowie, i położyła dłoń na moim udzie.

–Kocham cię – powiedziała.

–I ja cię kocham.

Susan popieściła moje udo, aż uniosłem się w fotelu.

–Nie sądzę, bym potrafił to zrobić w piasek, madame – powiedziałem.

–W piasek, Johnnie.

–Skoro pani każe.

Słońce już zaszło i poprzez rozkwitające drzewa widać było tu i tam światła domów. Ustaliłem, gdzie się znajdujemy, i ruszyłem na północ przez wioskę Sea Cliff, a potem na zachód do Garvie's Point, gdzie mieściła się niegdyś posiadłość Thomasa Garviego, jeszcze wcześniej stare indiańskie cmentarzysko. Obecnie cały teren przywrócony został naturze jako rezerwat przyrodniczy i etnograficzny, w czym kryła się, jak sądzę, niezamierzona ironia losu.

Rezerwat był zamknięty, ale wiedziałem, jak się tam dostać przez przylegające doń tereny jachtklubu Hempstead Harbor.

Wyjąłem koc z bagażnika i trzymając się za ręce zeszliśmy na plażę. Była to wąska wstęga piasku i polodowcowej skały, rozciągająca się u podnóża niskiego klifu. Plaża była prawie pusta, jeśli nie liczyć grupki siedzącej przy ognisku sto jardów dalej.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł, ale niebo było rozgwieżdżone. Widoczne na Zatoce Hempstead motorówki i łodzie żaglowe płynęły w stronę jachtklubu albo dalej na południe, w kierunku Rosalyn Harbor.

Zrobiło się wyraźnie chłodniej; na szczycie klifu szeleściły w powiewach bryzy korony drzew. Znaleźliśmy przyjemny, świetnie osłonięty, piaszczysty zakątek, pozostawiony przez odpływ pomiędzy dwoma dużymi głazami u podnóża skały. Rozłożyliśmy koc i usiedliśmy na nim wpatrując się w wodę.

Plaża po zmierzchu ma w sobie coś takiego, co uspokaja i dodaje zarazem wigoru. Majestat morza i rozpościerającego się wysoko nad

nim nieba czyni błahym każde wypowiedziane słowo, zarazem jednak każdy ruch i gest wydaje się pełen wdzięku i boskiej inspiracji.

Rozebraliśmy się i pokochaliśmy pod gwiazdami, a potem leżeliśmy spleceni ramionami pod osłoną klifu, słuchając wiatru, który szumiał w drzewach nad naszymi głowami.

Po jakimś czasie ubraliśmy się i ruszyliśmy trzymając się za ręce wzdłuż plaży. Po drugiej stronie zatoki dostrzegłem Sands Point, gdzie mieszkali niegdyś Gouldowie, cały klan Guggenheimów, August Belmont i któryś z Astorów.

Idąc plażą i spoglądając na Sands Point pomyślałem o Jayu Gatsbyem, bohaterze książki Francisa Scotta Fitzgeralda. Umieszczenie jego mitycznego domu jest przedmiotem wielu lokalnych teorii i esejów literackich. Ja sam razem z kilkoma innymi osobami uważam, iż rezydencja Gatsby'ego to w rzeczywistości Falaise, dom Harry'ego F. Guggenheima w Sands Point. Olbrzymi, opisywany przez Fitzgeralda gmach wyraźnie przypomina Falaise łącznie z linią brzegową i wysokimi urwiskami. Urządzono tam teraz muzeum i w nocy nie pali się ani jedno światło, ale gdyby oświetlała go jego mityczna sława, z pewnością zobaczyłbym go z tego miejsca.

A po tej stronie zatoki, trochę dalej, przy następnym wysuniętym cyplu, wciąż stoi biały dom w stylu kolonialnym, w którym, jestem tego pewien, mieszkała niegdyś utracona miłość Gatsby'ego, Daisy Buchanan. Nie ma już długiego mola za domem Daisy, ale miejscowi potwierdzają, że kiedyś tu stało, a co do migoczącego na jego skraju zielonego światełka, tego samego, w które Gatsby wpatrywał się przez wody zatoki ze swej rezydencji, to przyznam się, że w letnie noce widziałem je ze swojej łódki i Susan widziała je także: widmową poświatę, która zdaje się unosić nad wodą w miejscu, gdzie niegdyś kończył się pomost.

Nie jestem pewien, co dokładnie oznaczało to zielone światełko dla Jaya Gatsby'ego ani co w ogóle symbolizowało, poza orgiastyczną przyszłością. Ale jeśli chodzi o mnie, kiedy je widzę, wszystkie moje smutki nikną we mgle i czuję się jak mały chłopiec, dawno temu, kiedy pewnej letniej nocy wpatrywałem się z łodzi mego ojca w migoczące na pomarszczonych wodach Hempstead Bay światło. Kiedy widzę to zielone światełko, przypominam sobie ową godzinę niewinności – niepowtarzalną spokojną noc, zapach morza,

lekką bryzę, fale uderzające leniwie o kadłub kołyszącej się łodzi, i ojca, który trzymał mnie za rękę.

Również Susan twierdzi, że zielone światełko wprowadza ją czasami w metafizyczny nastrój, nie chce jednak albo nie potrafi dokładnie tego opisać.

Ja jednak chcę opisać to wszystko moim dzieciom: chcę im powiedzieć, żeby same również szukały swego zielonego światełka.

I marzę o tym, żeby pewnego magicznego letniego wieczoru strudzony naród zatrzymał się i zastanowił; żeby każdy mężczyzna i każda kobieta przypomnieli sobie, jak kiedyś wyglądał, pachniał i smakował ten świat, a także jak wspaniałe było poczucie bezpieczeństwa i ukojenia, które osiągało się ściskając ojcowską lub matczyną dłoń.

Zielone światełko, które spostrzegam u końca nie istniejącego pomostu Daisy, to nie jest przyszłość; to przeszłość, a zarazem jedyny kojący omen, jaki kiedykolwiek w życiu dane mi było oglądać.

Rozdział 13 Do środy zebrałem wszystkie papiery, które trzeba było złożyć w gminie Lattintown, żeby uzyskać zezwolenie na postawienie stajni na działce Susan. Nie wspominałem tam, że wymieniona stajnia stoi już na gruncie należącym do Stanhope'ów, ponieważ winni są oni gminie i hrabstwu furę pieniędzy i istniało niebezpieczeństwo, że fragment budynku, który zamierzaliśmy magicznym sposobem przenieść, zostanie zajęty na poczet zaległych podatków.

Ale skoro zgodnie z prawem wolno zburzyć własne zabudowania, żeby nie płacić za nie podatku, równie dobrze można, moim zdaniem, przenieść je na teren, za który podatki są płacone regularnie, a nawet wzrosną, właśnie z racji postawienia stajni. Naprawdę nie wiem, jak ktokolwiek jest w stanie funkcjonować w tym społeczeństwie bez dyplomu prawa. Nawet mnie, absolwentowi tego wydziału na uniwersytecie harwardzkim, rocznik 1969, zdarzają się kłopoty z rozróżnieniem tego, co legalne, od tego, co nielegalne, liczba przepisów wykonawczych rośnie bowiem szybciej niż sterta śmieci na miejscowym wysypisku.

Tak czy owak, napisałem również podanie, na którym powinien złożyć swój autograf pan Frank Bellarosa.

–Jak zapewne wiesz – oznajmiłem Susan w środę wieczór przy kolacji – miejscowy zwyczaj wymaga, by osobiście zanieść naszemu sąsiadowi podanie i przy okazji poinformować go, co zamierzamy zrobić.

-Zostaw to mnie – odpowiedziała.

-To świetnie. Wolałbym ci nie towarzyszyć.

–To moja stajnia. Ja się tym zajmę. Czy mógłbyś podać mi ten półmisek z pieczenią?

–Z pieczenią? Myślałem, że to pudding chlebowy.

–Podaj mi, cokolwiek to jest.

Podąłem jej, cokolwiek to było.

–Moim zdaniem powinnaś wybrać się do Alhambry jutro w ciągu dnia. Może uda ci się spotkać panią Bellarose. Jestem pewien, że nie wolno jej bez zezwolenia męża pójść do toalety, może jednak przekazać naszą unізoną prośbę // Duce, a ten zwróci się w tej sprawie do swoich consiglieri.

Susan uśmiechnęła się.

–Tak mi pan radzi, mecenasie?

–Dokładnie.

–W porządku. – Przez chwilę się namyślała. – Zastanawiam się, jak ona wygląda.

Przeszło mi przez myśl, że najprawdopodobniej jest blondynką z wielkimi cyckami. Dlatego chyba wysyłałem tam Susan zamiast pójść sam.

–Czy możesz mi podać to, co tam leży?

–To szpinak. Obawiam się, że za długo go gotowałam.

–Nie szkodzi, zaraz popiję winem.

Następnego dnia Susan zatelefonowała do mego biura w Nowym Jorku. – Nie było nikogo w domu – poinformowała mnie – ale zostawiłam papiery młodemu pilnującemu bramy człowiekowi imieniem Anthony, który chyba zrozumiał, że chcę, aby oddał je Don Bellarosie.

–W porządku – odparłem. – Nie powiedziałaś chyba przy nim Don Bellarosa?

–Nie. Zrobił to Anthony. – Żartujesz.

–Nie, skądże. Od tej chwili chcę, żeby George tytułował nas Don i Donna.

–Ja wolałbym raczej, żeby zwracał się do mnie Sir Johnie. Do zobaczenia o w pół do

siódmej.

Tego wieczora jedliśmy na kolację specjalność Susan: stek au poivre, świeże wiosenne szparagi i także same ziemniaki, wszystko dostarczone na gorąco z firmy Culinary Delights.

–Zadzwońłbym do Bellarosy – powiedziałem – ale jego numer jest zastrzeżony.

–Tak samo jak nasz. Ale zapisałam mu nasz telefon na wizytówce.

–Cóż... sądzę, że dobrze zrobiłaś.

Na wizytówkach Susan wydrukowane jest po prostu Susan Stanhope Sutter, Stanhope Hall. Obnoszenie się z czymś takim może wam się wydać bezcelowe, a "nawet pretensjonalne, ale wciąż spotyka się tu ludzi, którzy posługują się takimi kartami, zostawiając je po skończonej wizycie na srebrnej tacy w przedpokoju gospodarzy. Jeśli państwa nie ma w domu bądź akurat nie przyjmują, wizytówkę – albo, mówiąc inaczej, bilecik – zostawia się u dozorczy, pokojówki, a w dzisiejszych czasach u kogokolwiek, kto kręci się w pobliżu i gotów jest ją wziąć.

Pan Bellarosa, na przykład, kiedy po raz pierwszy dowiedział się, że nie przyjmuję, powinien zostawić swoją wizytówkę u George'a. Ja również mam karty wizytowe, ale tylko dlatego, że Susan kazała mi je przed dwudziestu laty wydrukować. Czterech użyłem w celach towarzyskich, znacznie większej liczby zaś do podkładania pod nogi rozchwierutanych stolików w różnych restauracjach.

Dumałem właśnie nad znaczeniem, jakie mają karty wizytowe we współczesnym społeczeństwie, kiedy zadzwonił telefon.

–Ja odbiorę – powiedziałem. Podniosłem słuchawkę zamontowanego na kuchennej ścianie aparatu.

–Słucham.

–Witam, panie Sutter. Tu Frank Bellarosa.

–Witam pana, panie Bellarosa. – Rzuciłem okiem na Susan, która korzystając z okazji przekładała na swój talerz moje szparagi.

–Przyglądam się właśnie temu papierowi, który podrzuciła mi pańska żona – powiedział Bellarosa.

–Tak.

–Chcecie budować stajnię?

-Tak, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

-Dlaczego ma mi to przeszkadzać? Czy bardzo będzie śmierdziało końskim gównem?

–Nie sędzę, panie Bellarosa. To miejsce położone jest w sporej odległości od pańskiego domu, ale blisko granicy pana posiadłości.

Dlatego właśnie potrzebujemy zgody sąsiada.

–Naprawdę?

–Naprawdę. – Susan zżarła już szparagi i zabierała się do mojego steku. Nie ma nigdy takiego apetytu na to, co sama upichci. – Przestań – powiedziałem.

–Co mam przestać? – zapytał Bellarosa.

Skoncentrowałem się z powrotem na moim rozmówcy.

–Nic, nic. Tak więc, skoro nie ma pan żadnych obiekcji, czy mógłby pan podpisać to oświadczenie, włożyć do koperty i wysłać do zarządu gminy. Bardzo byłbym wdzięczny.

–Dlaczego potrzebuje pan mojej zgody?

–Chodzi o to, że nowy budynek będzie stał w odległości mniejszej niż sto jardów od pańskiego terenu, a prawo wymaga...

–Prawo? – zakrzyknął pan Bellarosa, jakbym użył jakiegoś nieprzyzwoitego wyrazu.
–Pierdolę prawo. Jesteśmy sąsiadami, na miłość boską. Wal pan śmiało. Podpiszę panu ten papier.

–Dziękuję.

–Przyglądam się tym planom, które przysłał pan razem z podaniem. Nie potrzebuje pan przypadkiem robotników do tej budowy?

–Nie. Przesłałem panu te plany, ponieważ... przepisy wymagają, żebym je panu pokazał.

–Tak? A po co? Widzę, że ta stajnia ma być z cegły i kamienia.

Mogę wam pomóc.

–W gruncie rzeczy... przenosimy już istniejącą stajnię.

–Tak? Ten budynek, który widziałem w zeszłym tygodniu, kiedy u was byłem? To tam teraz trzymacie konie?

–Tak.

–Przenosicie całą tę pierdoloną budę?

–Nie, tylko jej część. Zobaczy pan na planie...

–Dlaczego? Taniej by was kosztowała nowa stajnia.

–To prawda. Momencik. – Zasłoniłem dłonią mikrofon. – Frank twierdzi – poinformowałem Susan – że taniej by nas kosztowała śliczna nowa stajnia. Zostaw ten pierdolony kartofel.

–Jak ty się wyrażasz, John? – odparła wpychając do ust ostatni kartofel.

Odwrociłem się z powrotem do telefonu.

–Stajnie, które pan oglądał, panie Bellarosa, mają wartość architektoniczną i historyczną – wyjaśniłem, zastanawiając się, po co to mówię, i czując się lekko zdenerwowany tym, że wdałem się w ogóle w tę rozmowę.

–No więc – dopytywał się pan Bellarosa – macie, czy nie macie kogoś do tej roboty?

–Właściwie jeszcze nie. Ale mamy tu w okolicy dobre firmy budowlane. – Że jak? Niech pan posłucha, mam tutaj coś koło setki makaroniarzy, którzy pracowali przy renowacji mojego domu. W sobotę rano przyślę panu ich szefa.

–To bardzo miło z pańskiej strony, ale...

–Nie ma sprawy. To dobrzy robotnicy. Fachowcy ze Starego Świata. Nie znajdzie pan takich w tym kraju. Tutaj wszyscy chcą paradować w białych koszulach. Chce pan przesunąć ceglana stajnię?

Nie ma problemu. Ci ludzie potrafiliby przesunąć o dwie przecznice Kaplicę Sykstyńską, gdyby pozwolił im na to papież.

–Ale...

–Niech pan da spokój, panie Sutter. Ci makaroniarze żywią się cementem. A chodzić uczą się, prowadząc przed sobą taczkę. W porządku? Ich szef nazywa się Dominic. Mówi po angielsku. Ręczę za jego fachowość. Ci ludzie się nie opierdalają. A cena nie będzie wygórowana. W sobotę rano. Powiedzmy o dziewiątej?

–No cóż... w porządku, ale...

–Cieszę się, że mogłem panu pomóc. Mam tylko podpisać ten papier, tak?

–Tak.

–Niech pan wraca do kolacji. I nie martwi się o to podanie.

Sprawa załatwiona.

–Dziękuję.

–Ma pan to jak w banku.

Odwiesiłem słuchawkę i wróciłem do stołu.

–Nie ma problemu – powiedziałem.

–To świetnie.

–Czy zostało coś do jedzenia?

–Nie. – Susan nalała mi trochę wina. – O czym mówił pod koniec?

–Przysła Dominica, żeby zobaczył, co jest do zrobienia.

–Kto to jest Dominic?

–Wujek Anthony'ego. – Umoczyłem wargi w winie i zadumałem się nad tym, jak nieoczekiwany obrót przybrały wydarzenia.

–Czy wyrzucasz sobie teraz, że nie podjąłeś się załatwić mu tej transakcji?

–Nie. Są sprawy zawodowe i sprawy prywatne. Nie chcę mieć z nim żadnych stosunków na gruncie zawodowym; kontakty prywatne ograniczę do spraw związanych z naszym sąsiedztwem. To wszystko.

–Naprawdę?

Wzruszyłem ramionami.

–Wcale go nie prosiłem, żeby przysłał tu tego Dominica. Panu Bellarosie trudno po prostu kazać się od nas odczepić.

–Musiał cię polubić. Kiedy odwiedził cię w biurze, nie odniosłeś wrażenia, że cię lubi?

–Chyba tak. Uważa mnie za mądrego faceta.

–No bo jesteś mądry.

–Jasne. Gdybym był naprawdę mądry, nie dałbym ci się namówić na przeniesienie tej stajni, nie płaciłbym połowy kosztów i nie rozmawiałbym z Bellarosą.

–Racja. Może wcale nie jesteś taki mądry.

–Co jest na deser?

–Ja.

–Znowu? To samo było wczoraj. – : Ale dzisiaj jestem z bitą śmietaną.

–Iz wisienką?

–Bez wisienki.

W sobotę rano, punktualnie o godzinie dziewiątej, przed naszymi kuchennymi

drzwiami pojawił się Dominic.

Zostawił swoją ciężarówkę w głównej alei i przeszedł ostatnie sto jardów w lekkiej mżawce. Zaproponowaliśmy mu kawę i kapelusz, ale odmówił, więc razem z Susan zaprosiliśmy go do mojego samochodu i podjechaliśmy pod stajnię.

Dominic dobiegał pięćdziesiątki i wyglądał trochę jak goryl, który w młodości podnosił ciężary. Miał na sobie zielone robocze ubranie i,

jak na kwiecień, był bardzo mocno opalony. Wciąż nie byłem pewien, czy rzeczywiście mówi po angielsku, czy tylko udaje. Susan mówi trochę po włosku i ćwiczyła swoje umiejętności na Dominicu, ale on patrzył tylko na mnie, jakby chciał, żebym mu to wszystko przetłumaczył albo kazał jej się po prostu zamknąć*.

Tak czy inaczej, siąpiła mżawka, staliśmy wszyscy przed stajnią, a Dominic mierzył ją fachowym wzrokiem.

Susan próbowała się upewnić, czy dobrze zrozumiał, że chcemy przenieść tylko jej centralną część, nie ruszając długich skrzydeł i powozowni.

–Chcemy przenieść także kamienny dziedziniec – mówiła – te kamienne koryta, części z kutego żelaza i dachówkę. I trzeba to odbudować dokładnie tak samo jak tutaj. – Wskazała ręką w dal. – Intatto, tutto intatto. Capisce? Potrafi pan to zrobić?

Spojrzał na nią, jakby kwestionowała jego męskość.

–Sfotografujemy stajnię z każdej strony – poinformowałem Dominica.

–Tak – potwierdziła Susan. – Nie chcemy, żeby po przeniesieniu wyglądała jak Colosseum.

Po raz pierwszy się uśmiechnął.

–Ile? – zapytałem. To pytanie należało do mnie.

Dominic wyjął z kieszeni kawałek brązowego pakowego papieru, nakreślił na nim kilka cyfr i podał mi go do ręki.

Spojrzałem na jego kosztorys. Nie był rozpisany na części, zawierał tylko jedną liczbę, ale była ona równa zaledwie połowie kwoty, jaką spodziewałem się zapłacić. Dowadywałem się oto po tylu latach, że przeróżne są formy łapówek, przekupstwa i "uprzejmości". Ta była jedną z nich. Ale co miałem począć? Susan bardzo na tym zależało i najwyraźniej to samo można było powiedzieć o panu Bellarosie.

–To za mało – powiedziałem Dominicowi. W życiu bym się nie spodziewał, że powiem coś takiego przedsiębiorcy budowlanemu.

Wzruszył ramionami.

–Nie mieć żadne narzuty. Tania siła robocza.

Susan w ogóle nie zainteresowała się naściboloną na kartce liczbą.

–Kiedy może pan zacząć? – zapytała go.

–W poniedziałek.

–W poniedziałek którego roku? – zapytała Susan.

–Poniedziałek. Poniedziałek. Pojutrze. Trzy tygodnie, koniec.

Brzmiało to oczywiście niczym ziszczone marzenie właściciela domu – i tym też w istocie było.

–Namyśliły się – poinformowałem Dominica.

Ten spojrział na mnie, po czym usłyszałem z jego ust coś dziwnego.

–Proszę – powiedział i wskazał głową Alhambrę.

Nie przejechał co prawda ręką po gardle, ale miałem nieomal całkowitą pewność, że jeśli wróci do wielkiego Cezara bez mojej zgody, znajdzie się w poważnych kłopotach. Spojrzałem na Susan, która wydawała się nie dostrzegać wszystkich tych subtelności.

–Och, John – powiedziała – nie mam ochoty szukać nowych wykonawców. Jeśli cena jest zbyt niska, daj mu premię. – Roześmiała się. – Poniedziałek, John. Capiście?

–W porządku – odezwałem się do Dominica wbrew temu, co podpowiadał mi instynkt.

–Molto bene – podsumowała Susan.

Dominic wydawał się szczęśliwy, że może pracować za półdarmo.

–Chce pan teraz czek? – zapytałem go.

Machnął ręką.

–Nie, nie. My pracować dla pana Bellarosy. Pan rozmawiać z nim. Okay?

Kiwnąłem głową.

–Państwo przenieść konie do stajni pana Bellarosy na czas, kiedy my tutaj pracować – powiedział Dominic.

Susan potrząsnęła głową.

–Mamy tutaj jeszcze dużo innych boksów. – Pokazała ręką.

–Ale, proszę pani, stajnia pana Bellarosy cała wysprzątana specjalnie dla pani. My

robić tutaj wielki hałas. Młoty pneumatyczne.

Zademonstrował, jak pracuje się za pomocą młota pneumatycznego, całkiem wiernie odtwarzając powstający przy tym hałas.

–Dadadadadadadada. Niedobrze dla pani koni.

To całkowicie przekonało Susan.

–Przeniosę je w poniedziałek – powiedziała.

Wsiedliśmy do forda i pojechaliśmy na miejsce, gdzie stała ciężarówka. Zostawiłem Susan w samochodzie i odprowadziłem Dominica do jego pojazdu.

–Pan Bellarosa w domu? – zapytałem go.

Kiwnął głową.

–Kiedy wróci pan do niego, niech pan mu powie, żeby do mnie zadzwonił.

–Okay.* Wyjąłem portfel i wręczyłem Dominicowi moją wizytówkę. Przyjrzał jej się z obu stron, najwyraźniej szukając numeru telefonu.

Domyśliłem się, że nigdy w życiu nie widział prawdziwego biletu wizytowego.

–Pan Bellarosa ma mój numer – powiedziałem mu. – Proszę mu po prostu dać moją wizytówkę i powiedzieć, żeby zaraz do mnie zadzwonił.

–Okay.

Wyjąłem z portfela sto dolarów i wręczyłem je Dominicowi, który schował banknot do kieszeni, nie sprawdzając, co jest po drugiej stronie.

–Dziękuję panu bardzo.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

–Do zobaczenia w poniedziałek.

Wróciłem do samochodu i pojechaliśmy z Susan do domu. Weszliśmy kuchennymi drzwiami. Pokazałem jej brązowy papier.

–Bellarosa sponsoruje tę robotę – powiedziałem.

Przyjrzała się kawałkowi papieru.

–Skąd o tym wiesz?

–Po piętnastu latach gromadzenia rachunków za wykonane tutaj prace i wysłuchiwanie narzekań twego ojca, który zawsze twierdzi, że to zdzierstwo, poznałem trochę obowiązujące ceny.

Susan była w dobrym humorze i niełatwo ją było sprowokować.

Uśmiechnęła się.

–Jak powiedział kiedyś święty Hieronim: "Nie zagłada się darowanemu koniowi w zęby".

Klasyczne wykształcenie przynosi pewne nieocenione korzyści.

Można na przykład zacytować pochodzącego z czwartego wieku rzymskiego pustelnika po to tylko, żeby okazać wyższość swojemu współmałżonkowi.

–Jak powiedział ktoś jeszcze mądrzejszy – odparłem: – "Nie ma nic za darmo".

Kiedy nalewałem kawę do dwóch filiżanek, zadzwonił telefon.

Podniosłem słuchawkę.

–Słucham?

–Pan Sutter?

–Pan Bellarosa?

–Doszliście do porozumienia? – zapytał.

–Możliwe – odparłem. – Ale nie sądzę, żeby udało mu się wykonać tę robotę za tak małe pieniądze.

–Na pewno mu się uda.

–W jaki sposób?

–Tania siła robocza, niskie koszty własne, pańskie materiały.

Spojrzałem na Susan, która obserwowała mnie uważnie.

–W porządku – powiedziałem do Bellarosy. – Komu mam zapłacić?

–Płaci pan mnie. Ja opiekuję się tymi chłopakami.

Ostatnia rzecz, jaką miałem ochotę zrobić, to wypisać swój czek na nazwisko Franka Biskupa Bellarosy.

–Zapłacę panu gotówką – oznajmiłem.

–Bardzo często przyjmuję wpłaty w gotówce, panie Sutter, ale sądziłem, że ktoś taki jak pan będzie chciał mieć ślad każdej transakcji.

Nie każdej, Frank.

–Nadal wolno w tym kraju płacić gotówką – powiedziałem na głos – Będę potrzebował rachunku od Dominica, na papierze firmowym.

Bellarosa zaśmiał się.

–Widzę, że będę musiał go dla niego wydrukować. W ten sposób właśnie podwyższa się koszty własne.

–Może załatwi mu pan pieczętkę, żeby mógł ją odbijać na papierze pakowym.

Bellarosa był w dobrym humorze i znowu się roześmiał.

–Okay. Rozumiem, że potrzebuje pan jakiejś podkładki dla władz, żeby pokazać, że przeprowadzał pan remont kapitalny. To się przydaje przy sprzedaży posiadłości, prawda? Okay. Nie ma sprawy.

Aha, co to za karty mi przysłaliście? Nic tam na nich nie ma.

–Są na nich nasze nazwiska – odparłem. – Po tym właśnie można poznać, że należą do nas.

–No tak. Ale poza tym jest tam tylko napisane Stanhope Hall.

A gdzie numer telefonu, kod pocztowy i tak dalej?

–To są karty wizytowe – poinformowałem go.

–Nie rozumiem.

–Ja też. To taki stary zwyczaj.

–Czyżby? " – Chciałem w każdym razie, żeby pan wiedział – ciągnąłem dalej, wracając do tematu – że Dominic sprawia wrażenie świetnego fachowca i że miło nam się z nim rozmawiało. – Więc niech mu pan daruje życie.

–To świetnie. Zna się na ceglach i cemencie. Ma to we krwi.

Widział pan kiedyś łaźnie Karakalli? Ta rzecz robi na mnie wrażenie.

Teraz już się tak nie buduje. Dwa tysiące lat, panie Sutter. Myśli pan, że cały ten chłam wokół nas przetrwa dwa tysiące lat?

–Zobaczymy. Co się tyczy koni, dziękujemy za pańską ofertę, ale oddamy je na ten czas do...

–Mowy nie ma. Po co wyrzucać w błoto pieniądze? Mam tutaj stajnię. Jest gotowa, przyjemna i blisko was. Oddałem kiedyś do internatu dla zwierząt psa i zdechł.

–My obaj także chodziliśmy do szkoły z internatem – przypomniałem mu – a jednak wciąż żyjemy.

Uznał to za bardzo zabawne. Nie wiem, co każe mi popisywać się przed nim moim poczuciem humoru. Może to, że facet się śmieje.

–Hej, muszę to powtórzyć mojej żonie – powiedział wciąż się zaśmiewając. – Okay, panie Sutter, chcę, żeby pan wiedział, że nie mam do pana urazy o tamtą sprawę. Biznes to biznes, a sprawy osobiste to sprawy osobiste.

–W samej rzeczy. – Spojrzałem na Susan, która czytała przy kuchennym stole lokalną gazetę. – Moja żona i ja – oznajmiłem Bellarosie – chcielibyśmy podziękować panu za pomoc i za to, że podpisał pan zgodę.

–Nie ma sprawy. Zauważyłem, że nazwa posiadłości była przy nazwisku pańskiej żony.

–Bo to jej własność – odpowiedziałem po krótkim wahaniu. – Moją oddałem do warsztatu.

Ha ha ha. Miałem nadzieję, że zapisał sobie, żeby nie zapomnieć.

–Jeżeli koszty okażą się wyższe – powiedziałem wyraźnie, będąc w pięćdziesięciu procentach pewny, że telefon jest na podsłuchu i że przysłuchuje mi się pan Mancuso albo jakiś jego kolega – będę chciał

wszystko w pełni uregulować. Nie przyjmę zaniżonej oferty, nawet w ramach sąsiedzkiej uprzejmości, panie Bellarosa, ponieważ ani pan, ani ja nie jesteśmy sobie winni żadnych uprzejmości i lepiej będzie, jeśli tak pozostanie.

–Pan, panie Sutter, udzielił mi przed kilku dniami dobrej porady.

Nie wystawił mi pan za nią rachunku, więc teraz wyświadczam panu uprzejmość. To rewanż.

Wiedziałem, że muszę uważać na każde słowo nie tylko ze względu na pana Mancuso, ale przede wszystkim ze względu na pana Franka Bellarosę, który, podobnie jak ja, zarabiał na życie gadaniem i z pewnością nie zawahałby się kiedyś w przyszłości użyć przeciwko mnie moich własnych słów.

–Jesteśmy zatem kwita? – zapytałem.

–Jasne. Jeśli pozwoli mi pan użyć końskiego gówna do użyźnienia mego ogrodu. Ja też mam wizytówkę – typu NYNEX. Ale nie rozumiem pańskiej. Patrzę na nią i nie wiem, o co w niej chodzi.

–To... to trudno wyjaśnić. – Zły byłem na samego siebie, że dałem dla żartu tę wizytówkę Dominicowi. W gruncie rzeczy jednak całą tę historię zaczęła Susan. – To jest niczym... – zawahałem się – niczym uścisk dłoni.

Zapadła cisza, w czasie której najwyraźniej przetwarzał to, co usłyszał.

–Okay – powiedział. – Uszanowania dla pańskiej małżonki. Życzę panu przyjemnego dnia, panie Sutter.

–Wzajemnie, panie Bellarosa. – Odwiesiłem słuchawkę.

Susan podniosła wzrok znad gazety.

–Co jest niczym uścisk dłoni?

–Wizytówka.

Zrobiła wielkie oczy.

–To niezupełnie tak, John.

–Więc ty mu to wytłumacz. – Nie siadając podniosłem do ust filiżankę z kawą. – Jest niedobra.

-Ty sam ją zaparzyłeś.

-Mam na myśli sytuację, Susan. Czy ty w ogóle rozumiesz, co mówię?

-Nie wyładowuj się na mnie. Używasz za dużo zaimków i za mało rzeczowników. Nieraz ci już o tym mówiłam.

Poczułem, jak zaczyna mnie boleć głowa.

–Rozumiem twoje obawy – dodała nieco uprzejmiej szym tonem Susan. – Naprawdę. I całkowicie się z tobą zgadzam, że nie powinieneś robić dla niego niczego, co jest na bakier z prawem. Z drugiej strony nie możemy nie utrzymywać z nim żadnych stosunków towarzyskich.

Jest naszym sąsiadem drzwi w drzwi.

–Drzwi w drzwi? Mamy dwustuakrowe posiadłości. Na Manhattanie ludzie nie wiedzą nawet, kto mieszka w sąsiednim mieszkaniu.

–To nie jest Manhattan – poinformowała mnie. – My tutaj znamy swoich sąsiadów.

–To nieprawda.

–Ja w każdym razie znam. – Susan wstała i dołała sobie kawy. – Nie chcę także sprawiać na nim i w ogóle na kimkolwiek wrażenia, że jesteśmy bigotami. Powiedzmy, że byłby czarny, a my patrzylibyśmy na niego z góry. Jak by to wyglądało?

–On nie jest czarny. Jest Włochem. Dopiero się tu wprowadził.

Możemy na niego patrzeć z góry, bo go nie lubimy, a nie z powodu jego rasy czy religii. To właśnie czyni ten kraj wielkim, Susan.

–Ale ty go przecież lubisz.

W kuchni zapadła cisza. Słyszałem tykanie tego przeklętego kuchennego zegara.

–Jestem twoją żoną, John. Potrafię wyczuć takie rzeczy.

–Nie mówię, że go nie lubię – powiedziałem w końcu. – Ale to kryminalista.

Wzruszyła ramionami.

–Tak mówią. Ale gdyby nie był kryminalistą, polubiłbyś go?

–Całkiem możliwe.

Nie jestem bigotem ani wielkim snobem. Połowa moich przyjaciół to katolicy. Niektórzy z nich są Włochami. "The Creek" jest w połowie katolicki. W gruncie rzeczy obalono tutaj wiele barier rasowych, religijnych i etnicznych, co jest zjawiskiem

pozytywnym, ponieważ w jakiś dziwny sposób ci nowi ludzie wnieśli w nasz umierający świat nową witalność, tak jak to się dzieje podczas transfuzji krwi. Ale, jak już wspomniałem, można pobrać tylko określoną ilość nowej krwi i musi ona, by trzymać się już tej analogii, mieć tę samą grupę.

W moim świecie pewne profesje są dopuszczalne, a inne nie.

Podobnie golf, tenis, żeglarstwo i konie – traktowane są poważnie,

13 – Złote Wybrzeże podczas gdy teatr, koncerty, sztuki piękne i podobne rzeczy są istotne, ale nie należy ich traktować poważnie, chyba że jest się Żydem.

W przeważającej części jest to wciąż świat białych anglosaskich protestantów-jeśli nie metrykalnie, to przynajmniej w formie i materii.

Katolicy i Żydzi są w porządku, jeśli zachowują się w porządku.

Harry F. Guggenheim, przyjaciel Charlesa Lindbergha, zagorzały republikanin, a zarazem Żyd, był w porządku. Rodzina Guggenheimów otworzyła drzwi, przez które przeszli inni Żydzi.

Przed ostatnią wojną katolicy noszący francuskie nazwiska, takie jak na przykład Belmont czy Du Pont, byli w porządku. Również irlandzcy katolicy byli w porządku, jeśli twierdzili, że są irlandzko-szkockimi protestantami. Włosi też byli w porządku, jeśli byli książętami bądź markizami, albo przynajmniej nosili książęce nazwiska.

Obecnie akceptuje się Włochów, Słowian i Latynosów, a nawet czarnych, ale wyłącznie na podstawie indywidualnych cech. Nowe narody, takie jak Irańczycy, Arabowie, Koreańczycy i Japończycy wciąż tkwią w przedsionku piekła i nikt nie wie, czy uzna się ich za ludzi w porządku, czy też nie.

Wiem w każdym razie jedno: niejaki Frank Biskup Bellarosa z Alhambry nie jest w porządku. • – To nie są uprzedzenia osobiste, tu chodzi o interesy. Jego interesy – powiedziałem.

–Rozumiem. Odkryłam ostatnio – dodała – że on cieszy się dużą popularnością. Wszyscy wiedzą, kim jest. Mieszkamy tuż obok sławnej osobistości.

–Mamy szczęście. – Wypiłem kawę. – A propos, gdybyś przypadkiem rozmawiała z nim kiedyś przez telefon, pamiętaj, że wszystkie jego rozmowy są najprawdopodobniej nagrywane przez najprzeróżniejsze, powołane do ochrony ładu i porządku agencje rządowe.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

–Naprawdę?

–Nie jestem pewien, ale prawdopodobieństwo jest bardzo duże.

Ponieważ jednak żadne z was nie będzie chyba mówić o handlu narkotykami ani o kontraktach na czyjaś głowę, wspominam o tym tylko po to, żebyś nie powiedziała

czegoś, czego potem musiałabyś się wstydzić, jeśli zostanie to któregoś dnia przed tobą odtworzone z taśmy.

–Na przykład czego?

–Skąd mam wiedzieć? Żebyś na przykład nie próbowała wyjaśnić mu, co to jest karta wizytowa, ani rozmawiać na temat nowej nazwy dla Alhambry.

–Rozumiem. Dobrze. – Przez chwilę się zastanawiała. – Nigdy nie przeszło mi nawet przez głowę, że jego telefon może być na podsłuchu. Jestem taka naiwna.

Susan mówi tak o sobie co jakiś czas i sędzę, że jeśli chodzi o sprawy wielkiego świata, ta mała, bogata, chowana pod kloszem dziewczyna wydaje się rzeczywiście naiwna. Ale w kontaktach z ludźmi jest ostra, inteligentna i pewna siebie. Tak właśnie wychowywani są członkowie klasy wyższej.

–Masz jego numer telefonu? – zapytała.

–Nie.

–Czy mam go o niego zapytać?

–Powie nam, kiedy będzie chciał, żebyśmy go mieli.

–Kiedy to się stanie?

–Kiedy będzie chciał, żebyśmy go mieli.

Susan milczała przez chwilę.

–Czego on chce, John? – zapytała w końcu.

–Nie jestem pewien. Może szacunku?

–Może.

–Może wciąż chce, żebym reprezentował go jako adwokat.

–To możliwe – odparła lojalnie Susan. – Jesteś dobrym adwokatem.

–Ale tkwi w tym coś jeszcze – powiedziałem.

–Na pewno – przyznała Susan i uśmiechnęła się. – Może on chce twojej duszy?

Okazało się to prawdą i nie zadowolił się nawet tym.

Rozdział 14 Następne kilka tygodni minęło bez większych wydarzeń, chyba że uznać

za takie przeniesienie wielkiej murowanej stajni. Susan wypstrykała cały film tego poniedziałkowego ranka, zanim zaczęła się rozbiórka, starając się, by Dominic i tuzin jego rodaków znaleźli się na jak największej liczbie zdjęć. Wciąż mam te fotografie i wynika z nich w sposób oczywisty, że Susan, którą widać tam kilka razy obok rosyjskich robotników, świetnie się bawiła podobnie jak i oni. Coś musi być takiego w stajni, co pobudza jej libido.

Był maj i cała przyroda zakwitła. Ogródek warzywny Susan przetrwał mimo zbyt wczesnego sadzenia, zimnych deszczów i ataków chwastów, które wciąż uważały ogród na tarasie za swoje własne terytorium.

Byłem prawie pewien, że pan Bellarosa zajrzy któregoś dnia, żeby sprawdzić, jak pracują jego robotnicy, Susan twierdziła jednak, że z tego, co wie i co mówili jej Allardowie, nigdy się nie pojawił. A jeśli nawet tu był, dodała, zapomniał zostawić swoją kartę wizytową. Ani razu też nie zatelefonował, w dzień ani wieczorem, i doszedłem do wniosku, że najwyraźniej przeceniłem jego zainteresowanie nami.

Susan oczywiście musiała codziennie jeździć do Alhambry ze względu na swoje konie, twierdziła jednak, że nigdy nie dane jej było ujrzeć Dona ani jego żony. Zaprzyjaźniła się za to z Anthonym, który sprawował najwyraźniej funkcję pełnoetatowego stróża, by użyć tego pięknego określenia na oznaczenie żołnierza mafii. Susan doniosła mi również, że stajnie Alhambry były uprzednio w nie najlepszym stanie, ale zostały ostatnio wysprzątane, i że jeden z ludzi Bellarosy pomaga

jej w pojeniu i karmieniu koni. Ja nie miałem ochoty na przejażdżkę ani karmienie koni i unikałem, jak mogłem, Alhambry.

Inna wysłana przez Dona ekipa robotników wykopała już doły i wylała fundamenty, na których miała stanąć stajnia. W tej chwili była to rosnąca obok stawu sterta cegieł i dachówek. Ludzie oraz pojazdy Bellarosy korzystali oczywiście ze służbowego wjazdu i służbowych dróg i nie rzucali się specjalnie w oczy, chyba że sami odwiedzaliśmy miejsca rozbiórki i budowy. Im dłużej przyglądałem się ich pracy – wykonywało ją na ogół od dziesięciu do dwudziestu robotników, w wymiarze od ośmiu do dziesięciu godzin dziennie, przez sześć dni w tygodniu – tym wyraźniej zdawałem sobie sprawę, że cena, jaką płacę za to wszystko, jest zdecydowanie zaniżona. Ale jako dobry mąż byłem szczęśliwy mogąc uszczęśliwić moją żonę. Nie zrozumcie mnie źle: nie zwalam wcale na nią winy za tę całą historię. W życiu jesteśmy partnerami i zdajemy sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką wzajemnie ponosimy za siebie i za swoje postępowanie. Ludzie tacy jak my uwięzieni są w kłatkach odpowiedzialności i poprawnego zachowania i choć z jednej strony zapewnia nam to osłonę, z drugiej jednak stajemy się łatwym łupem osób wiedzących, że nie potrafimy się z tych kłatek wydostać.

Powinienem wspomnieć, że George'owi Allardowi wcale nie podobała się cała ta historia ze stajnią. Nigdy jednak niczego nie krytykował, ograniczając się jedynie do pytań w rodzaju: "Nie uważa pan, że powinniśmy zasadzić jakieś krzewy w pustym miejscu pomiędzy dwoma skrzydłami stajni?" Niezły pomysł. Pozbawiony swej głównej i najbardziej interesującej pod względem architektonicznym części budynek wyglądał ponuro, prawie jak więzienie. Mógłbym wysłać jego zdjęcie Williamowi Stanhope'owi. Niech zobaczy, do czego prowadzi oddawanie ciepłą rączką stajni córce. Mógłbym także przekazać mu sugestię George'a na temat zasadzenia krzewów, tak żeby to miejsce wciąż się jakoś prezentowało ewentualnym nabywcom. Mnie to specjalnie nie obchodziło, ale George'a tak, a poza tym należało to do moich obowiązków.

George, nawiasem mówiąc, nie dawał spokoju robotnikom, kręcił się przy obu miejscach budowy, sprzątał papiery i puszki po piwie i w ogóle naprzykrzał się im, jak tylko mógł. Susan opowiedziała mi, że któregoś razu widziała, jak jeden z Włochów mierzył dla żartu George'a linijką, a dwaj inni kopali mu "grób". Oni byli rzeczywiście ludźmi Dona.

Rzadko odwiedzałem budowę, ale kiedy się już tam pojawiłem, wszyscy byli uprzedząco grzeczni i pełni szacunku. Włosi, jak zauważyłem, są bardzo czuli na punkcie szacunku, a z pewnością zasługiwał nań każdy przyjaciel padrone. Susan odwiedzała budowę co najmniej raz dziennie i odnosiłem wrażenie, że jej wizyty są tam mile widziane. Moja żona ma łatwość w nawiązywaniu kontaktów z robotnikami, natomiast wobec farbowanych arystokratów przybiera nieprzystępną maskę Lady Stanhope. Obserwowałem kiedyś z pewnej odległości, jak spacerowała po budowie, a mężczyźni spoglądali na nią, jakby była gorącym spaghetti. Włosi nie odznaczają się szczególną subtelnością. Wiele kobiet odczuwałoby skrępowanie w obecności tuzina rozebranych do pasa robotników. Susan to uwielbia.

Któregoś ranka wybrałem się na miejsce rozbiórki, żeby zobaczyć, jak idzie robota. Znajdowało się tam już sześciu robotników, mimo że nie było jeszcze ósmej.

Patrzyłem, jak zdejmują ostatnie cegły, starannie usuwają z nich starą zaprawę i układają na skrzyni ciężarówki. Z centralnej części stajni pozostały tylko drewniane boksy, które miały być rozebrane i wywiezione, a także kamienna posadzka przeznaczona do odtworzenia w zrekonstruowanej stajni. Po lewej stronie widać było warsztat rymarski, a po prawej, pozbawioną ścian i dachu i sprawiającą przez to trochę dziwne wrażenie, kuźnię. Całe jej wyposażenie – kowadło, palenisko i miechy – znalazło się nagle na dworze. Nie oglądałem kuźni od co najmniej piętnastu, a nikt nie pracował tutaj od siedemdziesięciu lat.

Nad pozbawionym dachu warsztatem zwieszał swoje gałęzie stary kasztan. Nie wiem, czy kasztan obok kuźni to tylko taka tradycja, czy też jego rozłożyste gałęzie mają jakieś znaczenie praktyczne – zapewniają na przykład w lecie cień znużonemu kowalowi. Kowale budują na ogół swoje kuźnie tak, żeby stały w cieniu kasztanów. Z tego, co wiem, w naszej czarodziejskiej krainie rzecz miała się jednak dokładnie na odwrót: najpierw architekci Stanhope'a zaprojektowali stajnię tam, gdzie im się podobało, a potem zasadzili wielkie drzewo tuż przy drzwiach kuźni. Oto jak wygląda tradycja w wydaniu Złotego Wybrzeża.

Nagle spostrzegłem, że na drzewie wcale nie ma liści, mimo że dawno już powinno je mieć o tej porze roku. Kasztan umierał – i pomyślałem, że zdał sobie chyba w końcu sprawę, że ostatnie

siedemdziesiąt lat nie było bynajmniej długimi wakacjami, ale dożywociem. Możliwe, że byłem w mistycznym nastroju tego majowego poranka, ale drzewo wyglądało całkiem zdrowo zeszłego lata, a ja zauważam dość wcześnie, gdy któreś z drzew ma jakieś kłopoty.

Chciałbym móc tak wcześnie dostrzec swoje własne.

Podszedłem do jednego z mężczyzn.

–Dominic? – zapytałem.

Robotnik wskazał ręką w kierunku Stanhope Hall, ruszyłem więc w tamtą stronę. Doszedłem do szczytu wzniesienia i moim oczom ukazała się rezydencja. Przed jej wysokim na trzy piętra portykiem stał Dominic, przyglądając się budowli z dłońmi opartymi na biodrach.

Wahałem się, czy warto iść do niego dwieście jardów, zwłaszcza że byłem w garniturze, a o dziesiątej rano miałem umówione spotkanie w mieście. Coś jednak podpowiadało mi, żeby sprawdzić, co tam robi.

Usłyszał, jak zbliżam się do niego wysypaną żwirem aleją, i podszedł kawałek, żeby mnie powitać.

–Dzień dobry – powiedziałem. – Podoba się panu ten dom?

–Madonna – odparł. – Jest wspaniała.

W ustach urodzonego w swojej ojczyźnie Włocha, a zarazem mistrza sztuki murarskiej stanowiło to nie byle jaki komplement.

–Chce pan go kupić? – zapytałem.

Roześmiał się.

–Tanio sprzedam – dodałem.

–Tanio czy drogo, nie mieć pieniędzy.

–Ja też nie – oświadczyłem. – Solidnie zbudowany?

Kiwnął głową.

–Piękny. Wszędzie rzeźbiony granit. Fantastyczny.

Oczywiście Dominic mógł interesować się pałacem tylko z przyczyn artystycznych, ale zastanawiało mnie, skąd wiedział, że tu w ogóle stoi. Spojrzałem mu prosto w oczy.

–Może chce go kupić pan Bellarosa?

Wzruszył ramionami.

–Czy pan Bellarosa jest w domu?

Kiwnął głową.

–To on prosił pana, żeby obejrzeć pałac?

–Nie.

–Dobrze, może mu pan powiedzieć, że ta budowla przetrwa dwa

tysiące lat. – Położyłem dłoń na ramieniu Dominica i obróciłem go w drugą stronę. – Kiedy pójdzie pan przez ten śliwkowy sad – pokazałem ręką – zobaczy pan rzymską świątynię. Wie pan, kto to jest Wenus?

–Pewnie.

–Stoi w świątyni – powiedziałem. – Ma wspaniałe cycki i fantastyczny tyłek.

Zaśmiał się trochę skrępowany i popatrzył na mnie.

Poklepałem go po plecach.

–Niech pan ją sobie obejrzy. Jest bardzo piękna, bardzo rzymska.

Wydawał się nastawiony sceptycznie, ale wzruszył ramionami i począł w stronę świętego gaju.

–I niech się pan przespaceruje po labiryncie – zawołałem za nim.

Ruszyłem z powrotem aleją i zatrzymałem się przy ogródku na tarasie, który Susan wybrała dla swoich warzyw. Sadzonki miały teraz od sześciu do ośmiu cali wysokości, a grządki były wypielone. U stóp podtrzymującego taras marmurowego murku zobaczyłem pustą torbę po sztucznym nawozie. Susan starannie pielęgnowała swój ogródek.

Ruszyłem dalej w stronę mego domu. To, że Frank Bellarosa mógł się zainteresować Stanhope Hall, nie było dla mnie zupełnym zaskoczeniem.

Budynek miał w sobie coś włoskiego, coś, co działało na jego wyobraźnię i bardziej odpowiadało jego wyobrażeniu prawdziwego pałacu, niż na przykład ozdobiona stiukami, przypominająca dużą willę Alhambra.

Ale Stanhope Hall jest mniej więcej trzy razy większy od Alhambry i nie wyobrażałem sobie, żeby Bellarosę stać było na porzucenie swego nowego domu i zaczynanie wszystkiego od początku. Nie, nie jestem naiwny i wiem, ile pieniędzy przynosi zorganizowana przestępczość, ale wiem też, że można ujawnić tylko niewielką ich część.

Przez kilka ostatnich tygodni wielokrotnie wysyłałem moją nowojorską sekretarkę do biblioteki, żeby zebrała informacje na temat pana Franka Bellarosy. Z zamieszczonych w gazetach i czasopismach artykułów, które mi przyniosła, dowiedziałem się kilku interesujących faktów na temat człowieka uważanego za szefa

największej nowojorskiej mafii. W skrócie: ostatnio przeniósł się do posiadłości na Long Island. O tym już wiedziałem. Odkryłem również, że posiadał firmę wynajmującą limuzyny oraz kilka kwiaciarni, które, jak rozumiem, robiły duże pieniądze na wieńcach pogrzebowych. Miał firmę wywozu

śmieci, firmę zaopatrującą restauracje, firmę budowlaną, z którą, jak się domyślam, ubiłem interes[^] oraz przedsiębiorstwo transportowe HRH Trucking Company, do którego zgodnie z tym, co było zapisane w papierach, należała Alhambra. " Z tych właśnie firm pochodziły, jak przypuszczam, czyste pieniądze.

Miałem jednak poważne podejrzenia, podobnie jak prokurator okręgowy, iż Frank Bellarosa jest współnikiem bądź właścicielem szeregu innych przedsiębiorstw, nie zarejestrowanych w Biurze Przyzwoitego Biznesu.

Ale czy był w stanie kupić Stanhope Hall? A gdyby kupił, czy miał zamiar tam zamieszkać? Do czego był zdolny ten facet?

Wróciłem do domu i zabrałem teczkę z gabinetu. Ponieważ zrobiło się późno, a na parkingu przy stacji o tej porze panował zwykle tłok, poprosiłem Susan, żeby podwoziła mnie do pociągu.

–Coś nie w porządku dziś rano? – zapytała w drodze.

–Och... nie. Po prostu się zamyśliłem.

Zajechaliśmy pod stację Locust Valley na kilka minut przed przyjazdem pociągu.

–O której będziesz w domu? – zapytała Susan.

–Złapię ten o czwartej dwadzieścia. – W języku pasażerów kolei podmiejskiej oznacza to, że uniknąwszy horroru, jaki ma miejsce na tej linii w godzinach szczytu, pojawię się na stacji Locust Valley o 5:23. – Wezmę taksówkę – dodałem. W języku współmałżonków oznacza to: "Czy mogłabyś odebrać mnie ze stacji?" – Przyjadę po ciebie – oznajmiła Susan. – A jeszcze lepiej, spotkajmy się u "McGlade'a". Może fundnę ci drinka. A może nawet obiad, jeśli będziesz w lepszym humorze.

–To brzmi zachęcająco.

Od kilku tygodni Susan sprawiała wrażenie bardzo kochającej małżonki. Nie wiedziałem, czy to rezultat mojego wielkanocnego załamania, czy tego, że ziściło się jej marzenie o przeniesieniu stajni.

Kiedyś we wczesnej młodości – mniej więcej w wieku pięciu albo sześciu lat – kobiety nie miały przede mną żadnych tajemnic. Im jednak jestem starszy, tym mniej je rozumiem. – Ładnie wygląda twój ogródek – powiedziałem.

–Dziękuję. Nie wiem, dlaczego nigdy dotąd nie hodowaliśmy jarzyn.

–Może dlatego, że łatwiej je kupować w puszkach.

–Ale to takie podniecające patrzeć, jak rosną. Ciekawa jestem, jakie to są jarzyny.

–Nie oznaczyłaś ich? W skrzynkach były oznakowane.

–Och, nie... I co mam teraz zrobić?

–Nic. Sądzę, że one same wiedzą, czym są. Ale mogę ci powiedzieć. Dostałaś radicchio, bazylię, zieloną paprykę i bakłażany.

–Na pewno?

–Zaufaj mi. – Usłyszałem sygnał pociągu. – Do zobaczenia. – Pocałowaliśmy się, po czym wysiadłem z samochodu i wbiegłem na peron w tej samej chwili, kiedy wtoczył się nań pociąg.

W drodze na Manhattan próbowałem zrozumieć sprawy, które nie trzymały się kupy. Na przykład milczenie Bellarosa – mimo że powinienem się z niego cieszyć, działało mi w dziwny sposób na nerwy.

Ale potem przypomniałem sobie opowieści o Mussolinim, który godzinami kazał czekać na siebie tłumom w gorącym włoskim słońcu, aż ludzie byli półprzytomni ze zmęczenia i wariowali nie mogąc się go doczekać. A potem, kiedy słońce powoli zniżało się do horyzontu, pojawiał się wreszcie // Duce, a tłum płakał, rzucał kwiaty i krzyczał aż do ochrypnięcia. Podniecenie graniczyło z histerią.

Ale to byli Włosi. Ja nim nie jestem. Jeśli Bellarosa bawi się ze mną w wojnę psychologiczną, wybrał sobie niewłaściwą osobę.

Jak się okazało, nie musiałem długo czekać na pojawienie się // Duce. Pociąg przyjechał punktualnie. O 5:23 wysiadłem na stacji Locust Valley, przeciąłem Station Plaza i wkroczyłem do "McGlade'a". W weekendy jest to porządny irlandzki pub, w tygodniu w porze lunchu odwiedzają go biznesmeni, a od godziny piątej do siódmej stanowi coś w rodzaju komory dekompresyjnej dla otumanionych pasażerów kolei podmiejskiej.

Susan popijała drinka siedząc przy barze z kobietą, którą przedstawiła mi jako Tappy albo coś w tym rodzaju, członkinię "Towarzystwa Miłośników Altanek", czekającą na męża, który spóźnił się na swój pociąg. Sądząc po stanie, w jakim znajdowała się Tappy, jej mąż spóźnił się na kolejne pociągi co najmniej od godziny trzeciej. W tym pubie zawsze można znaleźć kilka kobiet czekających na mężów,

którym nie udało się załapać na właściwy pociąg. Niektóre z nich wracają w końcu do domu z tym lub innym mężem. Zakarbowałem sobie w pamięci, żeby dowiedzieć się paru rzeczy o "Towarzystwie Miłośników Altanek".

Susan i ja przeprosiliśmy Tappy i usiedliśmy przy stojącym za przepierzeniem stoliku, który zarezerwowała moja żona. Miała na sobie bardzo ładną, obcisłą czerwoną suknię, może trochę zbyt elegancką jak na wczesny wieczór u "McGlade'a", ale doszedłem do wniosku, że nie chciała wyglądać gorzej ode mnie, a ja założyłem tego dnia trzyczęściowy garnitur w prążki. Siedziała tak naprzeciwko mnie i wyglądała ślicznie.

–Przepis na puree kartoflane szef kuchni musiał chyba dostać od ciebie – powiedziałem, kiedy kończyliśmy prosty, lecz pozbawiony smaku obiad.

Uśmiechnęła się.

–Dziękuję. Ale wydawały mi się trochę nie dogotowane i były jakieś gruzłowate.

To właśnie miałem na myśli, nie rozwijałem jednak dalej tego tematu.

–Mam dzisiaj ochotę na deser – powiedziałem. – Świetnie. Co powiesz na canoli i kawę z ekspresu?

–W irlandzkim pubie nie mają ekspresu – zauważyłem.

–A do tego kieliszek sambuki.

–O nie, Susan. Nie, nie, nie.

–Tak. Zadzwoiła do mnie dziś po południu Anna Bellarosa.

Chce, żebyśmy wpadli do niej na kawę. Koło ósmej. Przyjęłam zaproszenie.

–Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

–Bo powiedziałbyś: nie, nie, nie.

Wiedziałem teraz, dlaczego założyła tę sukienkę.

–Ja nie idę.

–Och, zrozumi, John, to lepsze niż obiad albo jakieś niesamowite wielkanocne przyjęcie, na którym podaje się jagnięce ucho, a w całym domu roi się od paesanos.

-Roi się od czego?

-Pójdziemy i będziemy mieli to z głowy. To łatwiejsze niż unikać ich przez następne kilka lat.

-Nie, to nie jest łatwiejsze.

–John, jego ludzie przenoszą naszą stajnię.

–Twoją stajnię, na twój teren.

–Po prostu nas podszedł. Bądź grzeczny.

–Nie mam zamiaru dać się zastraszyć, przekupić ani postawić w niezręcznej sytuacji. Nie przyjmuję tego zaproszenia. Dziś wieczorem mam pełną teczkę roboty – dodałem. Poklepałem przyjaźnie stojącą obok mnie dyplomatkę.

–Zrób to dla mnie – powiedziała wydymając te swoje wspaniałe, pełne wargi. – Proszę.

–Pomyślę nad tym. – Chrząknąłem i spojrzałem na zegarek.

Było piętnaście po siódmej. Zawołałem kelnerkę i zamówiłem podwójną szkocką. Siedzieliśmy przy stoliku, ja zajęty moją whisky i nurtującymi mnie obawami, Susan trajkocząca o tym i owym.

–Czy Anna Bellarosa nosi okulary? – przerwałem jej w połowie zdania.

–Okulary? Skąd mam to wiedzieć? Nie mogłam sprawdzić przez telefon.

–Racja.

–Dlaczego o to pytasz?

–Po prostu jestem ciekaw. Mam wrażenie, że gdzieś ją widziałem i zastanawiam się, czy mnie rozpozna. To było chyba w mieście. Jest blondynką i ma wielkie bufory.

–Wielkie co?

–Okulary słoneczne.

–Och... skąd mogłeś wiedzieć...? Nie wiem, co o tym myśleć.

–Ja też. – Zająłem się z powrotem swoją szkocką. Odtworzyłem sobie kilka razy scenę przy fontannie i doszedłem do wniosku, że w garniturze w prążki mam pięćdziesiąt szans na sto, że zostanę rozpoznany. Zakarbowałem sobie w pamięci, żeby nie chodzić na czworakach i nie pluć na nikogo wodą. Na koniec, o siódmej trzydzieści, odezwałem się ponownie do Susan.

–Zebrałem trochę informacji na temat pana Bellarosy. Odsiadywał wyrok w roku

1976. Dwa lata za przestępstwa podatkowe.

Ale oczywiście to tylko, jak mówią, wierzchołek góry lodowej.

–Spłacił swój dług wobec społeczeństwa – odparła.

O mało nie zakrztusiłem się kostką lodu.

–Mówisz to poważnie?

–Słyszałam tę kwestię w jakimś starym filmie. Brzmi całkiem nieźle.

–Tak czy owak zarzuca się panu Bellarosie, iż jest zamieszany w handel narkotykami, wymuszanie okupu, prostytutkę, oszustwa giełdowe, przekupstwo, współudział w morderstwie i tak dalej, i temu podobne. Co więcej, prokurator południowego okręgu Nowego Jorku, niejaki pan Alphonse Ferragamo, prowadzi przeciwko niemu dochodzenie pod zarzutem morderstwa. I ty nadal chcesz iść do tego człowieka na kawę?

–John, tak strasznie chcę zobaczyć, jak teraz wygląda Alhambra.

–Czy możesz być przez moment poważna?

–Przepraszam.

–Słuchaj mnie albo czytaj z moich ust. Gotowa? Jestem przestrzegającym prawa obywatelem i nie zamierzam utrzymywać stosunków z kryminalistami.

–Słyszę cię dobrze. A teraz ty mnie posłuchaj. Gotowy? Przesłuchania podatkowe? Bili Turner dostał rok z zawieszeniem. Oszustwa giełdowe? Dick Corners, z którym grałeś kiedyś w golfa, dwa lata bez zawieszenia za oszustwa na wielką skalę. Narkotyki? Wymienię ci zaraz osiem osób, które zażywają i z którymi się przyjaźnimy. A co powiesz o tym adwokacie, z którym lubiłeś sobie pozełgować, a który sprzeniewierzył pieniądze swoich klientów?

Słusznie skarcony, schowałem się za szklanką whisky i wychyliłem ją do dna.

–W porządku, Susan, demoralizacja zatacza coraz szersze kręgi.

Ale nie wydaje się taka straszna, kiedy szerzy się wśród przyzwoitych ludzi. – Zachichotałem, żeby pokazać, że to tylko żart.

–Czasami jesteś strasznie nadętym bubkiem. Dobrze, że przynajmniej zdajesz sobie z tego sprawę.

–Zgadza się. – Przez chwilę milczałem wsłuchując się w odgłosy przy barze. Powoli rozeszli się otumanieni pasażerowie kolei podmiejskiej, a ich miejsca nie zajęli jeszcze spragnieni miłosnych przygód samotnicy. W pubie panował spokój. Zauważyłem, że Tabby czy Tappy wciąż czeka na męża, który – jeśli w ogóle istniał – wyjechał prawdopodobnie w kilkudniową podróż służbową. Jak wszyscy żonaci mężczyźni zastanawiałem się, co by to było, gdybym znowu został sam.

Ta myśl przypomniała mi z jakiejś przyczyny moją kuzynkę Terri, żonę bezmyślnego Freddiego, która rzeczywiście zadzwoniła w sprawie

swojego testamentu i umówiliśmy się w przyszłym tygodniu na lunch w mieście. Kiedy ma się biuro w tej samej miejscowości, w której mieszka klientka, a mimo to umawia się z nią na lunch w Nowym Jorku, musi kryć się w tym coś więcej aniżeli chęć wspólnego spożycia posiłku. Mimo to zdecydowany byłem trzymać się z Terri spraw ściśle zawodowych. Moje idiotyczne flirty wpędzą mnie jednak wcześniej czy później w poważne tarapaty. Kolejnym przykładem jest Beryl Carlisle. Od czasu owych lubieżnych spojrzeń w zeszłym miesiącu widziałem ją kilkakrotnie w "The Creek". Po jej wzroku poznałem, że pragnie, abym znów popatrzył na nią w ten sposób. Ale ja jestem niestały. I wierny żonie. Nie dla mnie seksowna Terri, nie dla mnie Beryl, Sally Ann i Sally Grace. Moja żona jest jedyną kobietą, którą jestem zainteresowany. Poza tym jestem nieśmiały.

Ktoś wrzucił monetę do szafy grającej. Okazało się, że lubi przeboje z lat pięćdziesiątych. Prawie pusty bar wypełniła muzyka Skylinersów śpiewających Sińce I Don't Have You. Piosenka przywołała wspomnienia czasów, które wydawały mi się bardziej niewinne, a z pewnością nie tak przerażające.

Sięgnąłem przez stół i ująłem dłoń Susan.

–Nasz świat – powiedziałem – kurczy się i zmienia. Żyjemy na tych wzgórzach jak jakaś wymierająca rasa, odprawiająca stare rytuały, przestrzegająca starych zwyczajów i czasami nachodzi mnie myśl, że jesteśmy po prostu śmieszni.

Uścisnęła moją dłoń.

–Mam dla ciebie kolejny cytat ze świętego Hieronima: "Upada rzymski świat, ale my patrzymy w przyszłość z podniesionym czołem".

–Niezłe.

–Możemy już iść?

–Tak. Czy mam go pocałować w pierścień?

–Wystarczy uścisk dłoni. Potraktuj ten wieczór jako wyzwanie, John. Potrzebne ci jest wyzwanie.

To była prawda. Wyzwanie i przygoda. Dlaczego niektórzy mężczyźni nie zadowolają się ciepłym kominkiem i gorącą żoną? Dlaczego idą na wojnę? Dlaczego wyruszyłem do Alhambry, żeby odwiedzić smoka? Ponieważ potrzebne mi było wyzwanie. Patrząc wstecz myślę, że powinienem tamtego wieczora zostać u "McGlade'a" i wyzwać na pojedynek Susan. Mogliśmy go stoczyć grając na automatach w Tank Attack.

CZĘŚĆ III

Szeroka jest brama i przestronna droga, która wiedzie na zatracenie Ewangelia św. Mateusza 7.13 Rozdział 15 Alhambra. Byliśmy spóźnieni, ale w granicach przyzwoitości. Zaledwie dziesięć minut. Siedząc za kierownicą jaguara Susan skręciłem ku zamkniętej bramie z kutego żelaza. Na wysokości mojej głowy znajdował się jeden z tych wmontowanych w ścianę fikuśnych głośników. Nacisnąłem znajdujący się obok guzik. Nikt do mnie nie przemówił, ale skrzydła bramy zaczęły się powoli rozsuwać.

Technika jest niesamowita. Ale dzięki niej możemy w miarę znośnie egzystować bez naszych pokojówek, kucharek, posługaczek i innych przydatnych przedstawicieli gatunku ludzkiego. A w dodatku daje nam poczucie bezpieczeństwa i wygody, które niegdyś zapewniali stróże i rządcy.

Jak się jednak okazało, pan Frank Bellarosa dysponował zarówno techniką, jak i służbą, ponieważ kiedy przejechałem jaguarem przez otwartą bramę, w świetle moich reflektorów pojawił się duży okaz gatunku homo sapiens. Zatrzymałem się, a postać ruszyła w stronę drzwi samochodu wlokąc za sobą po ziemi przednie kończyny. Był to samiec w wieku lat około trzydziestu, odziany w ciemną jedwabną koszulę otwartą aż do pępka. Na piersi miał tyle włosów, że nie dziwiło mnie wcale, iż nie zdołał się dopiąć. Na koszulę założył ciemną sportową marynarkę, która nie zasłoniła jednak wiszącej mu pod pachą kabury, gdy pochylił się nad samochodem.

Miał nieprzyjemny, wyzywający wyraz twarzy.

–Czem mogię służyć? – zapytał mnie.

–Sutterowie z wizytą do Bellarosów.

14 – Złote Wybrzeże

Zobaczył Susan i uśmiechnął się.

–O, cześć, pani Sutter.

–Cześć, Anthony.

–Powinienem rozpoznać pani samochód.

–Nic nie szkodzi.

–Pan Bellarosa czeka.

Wszystko to działo się o kilka cali od mojej twarzy, ale ponieważ w ogóle nie istniałem, nie miało najmniejszego znaczenia. Zanim Susan i Anthony zdążyli nagadać się do syta, dodałem gazu i jaguar skoczył do przodu po wybrukowanej alei.

–Często tutaj zachodzisz? – zapytałem Susan.

–Nie jest taki niesympatyczny, na jakiego wygląda.

–Ale czy umie czytać i pisać?

Jechałem powoli aleją. Lubię mlaskanie opon Michelina po kocich łbach. Ich odgłos sprawia wrażenie, jakby człowiek zajechał na miejsce, zanim jeszcze zatrzyma samochód.

Prosta jak strzała główna aleja Alhambry mierzy sobie mniej więcej ćwierć mili, a po obu jej stronach, jak już wspomniałem, rosną wysokie majestatyczne lombardzkie topole, które miały już liście i były nienagannie przycięte. Między nimi stały niskie ogrodowe lampy, rzucając delikatne bursztynowe światło na świeżo posadzone kwiaty.

Przed sobą widziałem białe stiukowe ściany Alhambry i wynurzający się z mroku dach z czerwonej dachówki. Choć jestem nieco zblazowany, zawsze odczuwam dreszcz podniecenia, kiedy podjeżdżam w nocy do którejś z tutejszych rezydencji. Ich główne wejścia zaprojektowano tak, by wywarły wrażenie na królach i milionerach i onieśmieliły całą resztę śmiertelników. Niestety Bellarosowie nie znali zwyczaju, który każe zapalić wszystkie światła od frontu, kiedy oczekuje się gości.

Dom wydawał się ciemny i nie zamieszkały – oświetlone były tylko drzwi i dziedziniec przed wejściem.

Jak możecie się domyślać, nie byłem w najlepszym humorze i – choć jak na razie pozostawałem pod wrażeniem tego, co widziałem – korciło mnie, żeby coś zganić.

–Rozumiem teraz – odezwałem się – dlaczego Bellarosa kupił ten dom. Wygląda jak typowa willa makaroniarza.

–Nie wymawiaj tego słowa.

–On sam go używa.

–Nie szkodzi – odparła. – Swoją drogą, hiszpańska architektura jest wspaniała, jeśli ktoś wie, jak się do niej zabrać. Mieszkali tutaj Vanderbiltowie, John.

–Vanderbiltowie mieszkali wszędzie, Susan. – Zajechałem na okrągły brukowany dziedziniec. Stała tu pośrodku trójpoziomowa marmurowa fontanna, z której tryskała i spływała kaskadami podświetlona kolorowymi reflektorami woda.

–Wczesnobarokowy pałac dostawcy spaghetti – powiedziałem.

–Zamknij się, John.

Zaparkowałem przy -fontannie, wysiedliśmy i stąpając po kocich łbach podeszliśmy do drzwi wejściowych. Zatrzymałem się i odwróciłem twarzą do alei, którą dopiero co przyjechaliśmy. Widok biegnącego ku bramie, wysadzanego topolami podjazdu był imponujący również i z tej strony. Mimo że zdecydowanie zbyt dużo ustawiono tutaj kolorowych reflektorów, przyjemnie było popatrzeć na budzącą się z powrotem do życia wielką posiadłość.

–Całkiem nieźle to wygląda – przyznałem. Za bramą, po drugiej stronie Grace Lane, widziałem stojący na wzniesieniu dostojny, kolonialny dom DePauwów. Pomachałem w tamtą stronę.

–Komu tak machasz? – zapytała Susan.

–Panu Mancuso – odpowiedziałem.

–Komu? Och... – Przez chwilę milczała. – Jesteś gotów? – zapytała.

–Chyba tak. – Odwróciłem się z powrotem w stronę domu.

Spostrzegłem teraz, że stiuki zostały odrestaurowane, a przy południowym skrzydle stoi rusztowanie. Na podwórku ustawionych było kilka stosów czerwonych dachówek, a na trawniku stały koryta z cementem i taczki.

–Wiesz, jak uczą się chodzić Włosi? – zapytałem Susan.

–Nie. Powiedz.

–Popychając przed sobą taczki – poinformowałem ją, ale dowcip nie zabrzmiał tak śmiesznie, jak wtedy, gdy opowiadał go Bellarosa.

–Jak mogą pchać taczki, skoro nie potrafią chodzić? – dopytywała się Susan.

–Nie, nie rozumiesz. Chodzi o to... a zresztą nieważne. Słuchaj, chcę, żeby za kwadrans dziesiąta zaczęła cię boleć głowa.

–Już teraz mnie boli, kiedy to słyszę. Dlaczego to zawsze mnie

musi boleć głowa? Ludzie pomyślą, że jestem śmiertelnie chora.

Dlaczego to ty nie powiesz za kwadrans dziesiąta, że dokuczają ci hemoroidy?

–Czy to początek kłótni?

–Nie, bo od tej chwili będziesz grzeczny.

–Tak jest, madame.

Wspięliśmy się po schodach z piaskowca ku masywnym, zwieńczonym łukiem, dębowym drzwiom, zamocowanym na solidnych zawiasach z kutego żelaza.

Susan wskazała jedną z kamiennych kolumn, na których wspierał się portyk.

–Wiesz, że to są autentyczne kartagińskie kolumny?

–Słyszałem.

–Nie do wiary – stwierdziła.

–Zwykła grabież – odparłem. – Wy, milionerzy, plądrowaliście cały Stary Świat, żeby mieć czym ozdobić swoje domy.

–Po to właśnie są pieniądze – poinformowała mnie Lady Stanhope. – Przypominasz sobie może, że każdy marmurowy kominek w Stanhope Hall pochodzi z innego włoskiego pałacu.

–Tak, i przypominam sobie ten pałac w Wenecji, w którym brakowało kominka. – Pociągnąłem za uchwyt dzwonka. – No cóż, pora na deser.

Susan została z tyłu. Zaintrygowana kolumnami z Kartaginy wodziła ręką po jednej z nich.

–I tak oto – powiedziała zamyślona – dwa tysiące lat po splądrowaniu Kartaginy przez przodków właściciela tego domu grabież i Frank Bellarosa ponownie łączą oba światy.

–Widzę, że jesteś w filozoficznym nastroju. Ale dziś Wieczorem postaraj się rozmawiać wyłącznie o jarzynach i cemencie.

–Jeśli dobrze rozegra pan dzisiejszą batalię, mecenasie – szepnęła mi do ucha – jeszcze tego wieczoru może pan stać się // Consigliere.

–Wcale mnie to nie śmieszy – poinformowałem ją.

–Pamiętaj w każdym razie, że jeśli uszczypnie mnie w tyłek, masz go spoliczkować.

–Spoliczkuję go tylko wtedy, kiedy uszczypnie w tyłek mnie.

Twój tyłek należy do ciebie, kochanie.

Uszczypnąłem ją w tyłek, a ona podskoczyła do góry i zachichotała.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i naszym oczom ukazał się Don Bellarosa we własnej osobie. Uśmiechał się.

–Benvenuto a nostra casa – oznajmił.

–Grazie – odparła Susan odwzajemniając jego uśmiech.

–Wchodźcie, wchodźcie – ozwał się pan Bellarosa tym razem czystą angielszczyzną.

Wchodząc uściśnąłem dłoń gospodarza. Moją żonę ucałował włoskim obyczajem w oba policzki. Zapowiadał się długi wieczór.

Wkroczyliśmy do przestronnego, wspartego na kolumnach westybulu, mieszczącego coś w rodzaju palmiarni albo, jak to teraz mówią, atrium. Podłoga wyłożona tu była czerwoną terakotą, a całe pomieszczenie otoczone kolumnadą z różowego marmuru, nad którą wznosiły się rzeźbione łuki. Nie zadzierając specjalnie głowy spostrzegłem, że wyżej znajduje się następna kondygnacja zakończonych łukami kolumn, a między nimi zwieszają się balkony okolone balustradą z kutego żelaza. Światła były przyćmione i nastrojowe, a cały westybul wieńczyła kopuła z żelaza i szkła – istny majstersztyk. Mnie najbardziej zainteresowały jednak dziesiątki klatek zawieszonych pomiędzy kolumnami, kwiatami i tkwiącymi w donicach palmami. Ćwierkały w nich i świergotały tropikalne, barwnie upierzone ptaki. Całość przypominała skrzyżowanie publicznej ptaszarni w Rio de Janeiro ze snobistyczną kwiaciarnią na Florydzie.

–Hall jak jasna cholera, może nie? – zakrzyknął jak zawsze skromny i subtelny pan Bellarosa.

–Jest piękny – oznajmiła z zapartym tchem Susan.

Gospodarz spojrział na mnie wyczekująco.

–W jaki sposób usuwa pan ptasie gówno z tych klatek tam na górze? – spytałem go.

Susan rzuciła mi znaczące spojrzenie, ale Frank udzielił wyczerpującej odpowiedzi. Sprawę rozwiązał konstruuując w tym celu specjalną dziesięciometrową drabinę na kołach. Bardzo interesujące.

Bellarosa przyjrzał mi się.

–Aleś się pan wystroił – zauważył.

Zdałem sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie widział mnie w moim pancerzu od Brooks Brothers i wyobraża sobie pewnie, że ubrałem się tak specjalnie dla niego.

–Wracam prosto z pracy – oznajmiłem.

–Aha.

Powiniem wspomnieć, że sam Bellarosa odziany był po domowemu – w szare spodnie i białą koszulkę polo, która podkreślała jego świeżą opaleniznę. Zerknąłem niżej i spostrzegłem, że ma na nogach sandały. Jakby tego było mało, miał żółte skarpetki. Chciałem zwrócić uwagę Susan na stopy Bellarosy, ale nie nadarzyła się ku temu żadna okazja. Nawiasem mówiąc, kiedy ludzie naszej sfery składają sobie wizyty, mężczyźni zakładają na ogół marynarki i krawaty, żeby podkreślić, jak bardzo czują się skrępowani. Kobiety noszą to, co zwykle noszą kobiety. Stwierdziłem, że trochę niepokoi mnie obcisła sukienka Susan. Z drugiej strony naprawdę dobrze jej było w czerwieni.

Odczuwałem jednocześnie dumę i zazdrość.

Bellarosa zainteresował się Susan.

–Jak tam idzie ze stodołą? – zapytał.

–Ze sto... bardzo szybko ją rozebrali – stwierdziła moja małżonka. – Ale czy na pewno potrafią ją złożyć z powrotem?

Bellarosa uprzejmie się roześmiał. Hę hę hę.

–Dominic zna swój fach – powiedział. – Ale może dodać specjalnie dla pani kilka rzymskich łuków.

Teraz zaśmieli się razem. Hę hę. Ha ha.

–Chodźcie – zawołał pan Bellarosa ponaglając nas ruchem ręki. – Dlaczego tutaj stoimy?

Ponieważ tyś nas tutaj zatrzymał, Frank.

Ruszyliśmy za naszym gospodarzem, który skręcił w lewo pod jednym z łuków palmiarni i wszedł do długiego, pustego pokoju pachnącego świeżą farbą.

Bellarosa zatrzymał się.

–Co to za pokój? – zapytał.

–Czy to test? •- Nie, po prostu sam nie wiem. Mamy salon, mamy jadalnię i mnóstwo innych pokojów. Jakie jest przeznaczenie tego?

Rozejrzałem się dookoła.

–Z całą pewnością to nie łazienka – oznajmiłem.

–W gruncie rzeczy – wtrąciła się Susan – to właśnie jest jadalnia.

Bellarosa spojrzał na nią.

–Jest pani tego pewna?

–Tak. Odwiedzałam ten dom, kiedy mieszkali tutaj poprzedni właściciele.

–To palant z tego dekoratora... w takim razie co to za pokój tam dalej? – wskazał kolejne sklepione przejście.

–To pokój poranny – poinformowała go Susan.

–Pokój poranny?

Przyszedł mi do głowy zabawny komentarz, ale ugryzłem się w język.

–To nieważne – zapewniła naszego gospodarza Susan. – Te stare domy użytkuje się teraz całkiem po nowemu. Może go pan urządzać, jak panu wygodnie.

–Nie powinien pan tylko – dorzuciłem życzliwie – gotować w łazience ani chodzić do ubikacji, żeby...

–John – przerwała mi Susan – wiemy już, o co chodzi, kochanie.

Ruszyliśmy za naszym gospodarzem przez właśnie odkrytą jadalnię i dalej sklepionym przejściem do pokoju porannego. Było to dość duże pomieszczenie graniczące z izbą kredensową, z której z kolei można się było dostać do kuchni. Bellarosa nie wydawał się ani trochę zakłopotany przyjmując nas w pokoju porannym – czasami określanym również jako pokój śniadaniowy – ponieważ do niedawna uważał go za jadalnię. Ale szczerze mówiąc, mogłem się spodziewać, że niełatwo jest zawstydzić kmiotka. Odsunął dwa krzesła stojące u szczytu długiego stołu.

–Siadajcie – zakomenderował, po czym podszedł do kredensu, wydobył z niego tacę z kordialami i kryształowymi kieliszkami i postawił ją przed nami na stole.

–Proszę. Częstujcie się. Bez skrępowania. Będę z powrotem za pięć minut.

Wyszedł przez wahadłowe drzwi do izby kredensowej. Zobaczyłem jego plecy znikające w kuchni. Drzwi zamknęły się. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

–Byłeś strasznie marudny, John.

–Dziękuję. – Przyjrzałem się jednej z butelek. – Nalać ci sambuki, kochanie?

–Zachowuj się, jak należy. Mówię poważnie.

–W porządku, nie chcę, żeby nas pozabijał.

Napełniłem sambuką dwa kieliszki. Na tacy był talerzyk z ziarenkami kawy. Wrzuciłem po jednym do każdego kieliszka i podniosłem swój w stronę Susan.

–Zdrowie.

–Centanni.

Wypiliśmy.

–Co to było o Cosa Nostra? – zapytałem.

–Nostra casa, John. Nasz dom. Witamy w naszym domu.

–Aha. Dlaczego nie powiedział tego właśnie w ten sposób?

Popijając likier rozejrzałem się po pokoju. Jego okna wychodziły na wschód i południe, jak w większości pokoiów porannych, które powinny kąpać się w promieniach wschodzącego słońca. W dzisiejszych czasach w pokoju porannym je się na ogół wszystkie posiłki, ponieważ najbliżej stąd do kuchni, domyślałem się jednak, że Bellarosowie jadają w kuchni, a bankiety urządzają w pokoju porannym albo w piwnicy. Ścianę południową i wschodnią wypełniały okna i kiedy przez nie wyglądałem, nagle zabłyśły kolorowe reflektory, oświetlając świeżo odnowiony ogród czerwonymi, niebieskimi i zielonymi smugami.

–Detektory ruchu musiały wykryć zbliżającą się grupę uderzeniową – powiedziałem do Susan. – Jeśli usłyszysz strzały, kładź się na podłodze.

–John.

–Przepraszam.

–I mów trochę ciszej, proszę.

Odchrząknąłem i ponownie napełniłem kieliszki. Lubię sambukę.

Przypomina mi tanie lukrecjowe lizaki. Przyjrzałem się pozostałej części pokoju. Jego ciemne, trochę przyciężkie, utrzymane w stylu śródziemnomorskim meble wydawały się pasować do charakteru domu.

Susan także przyglądała się taksującym wzrokiem pokojowi.

–Całkiem nieźle – skomentowała cicho. – Powiedział, że zatrudnili dekoratora, ale to nie był ktoś stąd, bobym o tym wiedziała.

–Dlatego właśnie nie zatrudnili nikogo miejscowego, Susan.

W przeciwnym razie znalazłabyś numer biustonosza pani Bellarosy.

Uśmiechnęła się.

–Kimkolwiek był, nie potrafi odróżnić pokoju śniadaniowego od jadalni.

–Ale ty natychmiast zwróciłaś na to uwagę we właściwy sobie, taktowny sposób – powiedziałem.

Roześmiała się.

–A co miałam powiedzieć? " Wzruszyłem ramionami i nalałem sobie drugi albo trzeci kieliszek.

Trochę poprawił mi się humor i postanowiłem nie prowokować dłużej Susan, która nie ponosiła prawie żadnej winy za to, że się tutaj znaleźliśmy.

–Czy ktoś kupił to miejsce, po tym jak wynieśli się stąd Barrettowie? – zapytałem ją. " – Nie. Po prostu stało puste. – Przez chwilę milczała. – Kiedy byłam na pierwszym roku i przyjechałam do domu na ferie wiosenne, zadzwoniła do mnie z miasta Katie Barrett. Nie miałam od niej wiadomości od lat. Spotkałyśmy się na stacji Locust Valley i przywiozłam ją tutaj. Długo spacerowałyśmy wspominając czasy, kiedy byłyśmy dziećmi. Było w tym coś smutnego.

Milczałem.

–A kilka lat później – kontynuowała Susan – osiedlili się tutaj dzicy lokatorzy. Coś w rodzaju komuny hippisów. Żyli tutaj bez wody i elektryczności, a w zimie spalili całe drzewo, które znaleźli w kominkach. Skarżyli się na nich wszyscy mieszkańcy Grace Lane, ale policja wcale się nie spieszyła, żeby ich stąd wykurzyć.

Kiwnąłem głową. Lata sześćdziesiąte stanowiły rodzaj testu, ile anarchii może znieść system. Jak się okazało, system wycofał się na z góry upatrzone pozycje.

–Pamiętam, jak mój ojciec złościł się na policję – dodała Susan. – Powiedział im, że bankowi nie zajęło tyle czasu wykurzenie stamtąd Barrettów, a oni byli przecież właścicielami.

Ponownie kiwnąłem głową. Tkwił w tym z pewnością jakiś morał, morał, który miał coś wspólnego z przeciwstawieniem sobie nagiej siły i autorytetu. Czym innym jest ulec dobrowolnie, a czym innym krzyknąć: "Spróbujcie mnie stąd ruszyć, wy świnię". Rozumiał to świetnie Frank Bellarosa.

–No cóż, może policja wykurzy stąd pana Bellarosę – powiedziałem.

–Nie licz na to, jeśli będzie regularnie płacił podatki.

–To prawda.

Ja pojawiłem się na scenie chyba zaraz po hippisach. Pamiętam, że Alhambra kilkakrotnie była wykorzystywana przez projektantów wnętrz jako salon wystawowy. Nigdy nie skorzystałem ze sposobności, żeby zobaczyć, co ci dziwni ludzie wyprawiają w wielkich domach, ale mówiono mi, że dysponujący puszkami fiołkowej farby i rolkami opalizującej tapety dekoratorzy mogą dokonać w opustoszałej rezydencji więcej szkód niż stado wandalii.

Przypominam sobie także, że w połowie i pod koniec lat siedemdziesiątych w Alhambrze miało miejsce kilka imprez dobroczynnych i to zarówno w samym domu, jak i na półakrowym patio w lecie. Jeśli w którymś z tych starych pałaców wciąż działają wodociągi i jeśli zapłaci się z góry Towarzystwu Elektrycznemu Long Island za włączenie prądu, wtedy bank albo hrabstwo mogą wynająć na krótko rezydencję organizatorom imprez dobroczynnych, wycieczek i salonów wystawowych, a nawet ekipom kręcącym film. W ten sposób do domów, w których mieszkali kiedyś Vanderbiltowie, Astorowie i im podobni, wprowadzić się może teraz każdy, kto ma parę dolców i potrzebuje wolnej przestrzeni.

Susan uczestniczyła kiedyś beze mnie w jednej z takich imprez – hasło, pod którym ją zorganizowano, brzmiało: "Ratujmy od zagłady białego jesiotra i jego kawior" albo jakoś podobnie – ale ja znalazłem się we wnętrzu Alhambry po raz pierwszy w życiu. Wiedziałem jednak, że w ciągu ostatnich piętnastu lat rezydencja naprawdę obróciła się w ruinę – instalacja była rozkradziona, okna powybijane, a dach przeciekał – i przestali się nią interesować dekoratorzy wnętrz, a nawet organizatorzy balów dobroczynnych, których uczestnikom jest na ogół wszystko jedno, gdzie tańczą i jedzą, byle czynili to w dobrej sprawie.

Tak czy inaczej, historia Alhambry nie różniła się tak bardzo od losu, jaki spotkał kilkadziesiąt innych pałaców, o których mi wiadomo.

–Czy nie opowiadałaś mi przypadkiem, że byłaś tutaj na krótko przedtem, jak Bellarosa kupił to miejsce? – zapytałem Susan.

–Tak, zeszłej jesieni, z Jessiką Reid, prowadzącą biuro sprzedaży nieruchomości) i kilkoma innymi paniami. Myszkowałyśmy po całym domu. Jessica miała klucze, ale nawet ich nie potrzebowałyśmy, bo wyłamana była połowa kłódek.

–Domyślam się, że żadna z was nie kupiła tego domu.

–Był naprawdę w okropnym stanie. Po pokojach biegały wiewiórki i wszędzie widać było ptasie gniazda.

–Wciąż fruwały tu ptaki.

–Tak czy owak, wszystko to sprawiało smutne wrażenie, bo pamiętałam przecież, jaki to był szczęśliwy, pełen miłości dom, kiedy mieszkali tu Barrettowie. Ale teraz z powrotem wrócił do życia.

Zadziwiająco, co można zrobić mając do dyspozycji kilkaset tysięcy dolarów.

–To jeszcze nic. Spróbuj puścić w ruch kilka milionów. A on wcale nie spoczął na laurach. Może to właśnie miejsce jest kamieniem, który pociągnie Bellarosę na dno. Witaj w klubie odnowicieli zabytków, Frank. Prawdziwa dziura bez dna.

–No widzisz, wy dwaj macie już ze sobą coś wspólnego.

–Oczywiście. Zwierzył mi się, że pani Bellarosa pragnie, aby przesunął sadzawkę o sześć stóp na lewo.

–John.

–Przepraszam. – Wychyliłem kolejny kieliszek. Może sambuka wcale nie poprawiała mi humoru. Może ten napój wzmacnia w ludziach ich małostkowość. Spojrzałem na zegarek. Minęło już więcej niż pięć minut i zastanawiałem się, czy Bellarosa nie zaczyna znowu swoich sztuczek w stylu Mussoliniego. A potem zauważyłem telefon stojący na małym stolyczku po przeciwnej stronie pokoju. Był to skomplikowany aparat na kilka linii i jedna z nich była zajęta, o czym świadczyło zapalone światełko. Don telefonował załatwiając swoje interesy.

Rozejrzałem się jeszcze raz po pokoju i zauważyłem wiszącą nad kredensem, oprawioną w tanie ramy reprodukcję, przedstawiającą Chrystusa z wyciągniętymi rękami i jarzącym się pośrodku piersi jasnoczerwonym stylizowanym sercem, które przypominało organ zewnętrzno-szkieletowy. Pod reprodukcją widniał podpis: "Przenajświętsze Serce Jezusowe". Pokazałem obrazek Susan.

Przyglądała mu się przez chwilę.

–Jest bardzo katolicki – stwierdziła.

–Wygląda jak tarcza strzelnicza.

–Nie bluźnij – upomniała mnie Susan. – Zrozum, to są religijni ludzie. Osoba religijna

**nie może być zamieszana – zniżyła głos aż do szeptu – w handel narkotykami,
prostytycję ani w żadną taką rzecz.**

–Nigdy na to nie wpadłem – odparłem oschle.

Muszę przyznać, że chociaż grałem chojraka, obawiałem się nieco spotkania z panią Bellarosą. Nie dlatego, żebym ją w jakiś szczególny sposób obraził albo przeraził – po prostu ryknąłem na nią opadając na czworaki – ale wytłumaczenie tego czynu mogło się okazać trudne, jeśliby mnie o to zagadnęła. Co gorsza, mogła okazać się histeryczką. Wyobrażałem sobie, jak wpadnie tutaj pokazując mnie palcem i krzyżąc: "Frank! Frank! To on! To on! Zabij go!" To z całą pewnością nie ułatwiłoby nam dalszych stosunków.

Zdałem sobie sprawę, że w ogóle nie powinienem tutaj przychodzić, z drugiej jednak strony wiedziałem, że wcześniej czy później i tak wpadłbym przy jakiejś okazji na panią Bellarosę. Chociaż po pewnym czasie mogłaby zapomnieć, jak wyglądam. Mógłbym też zapuścić wąsik.

Wraz z tą myślą przyszedł mi do głowy nowy pomysł. Tak nonszalancko, jak tylko potrafiłem, wyjąłem z kieszonki na piersi okulary do czytania i założyłem je na nos. Postawiłem przed sobą kilka butelek i zacząłem czytać etykiety.

Kącikiem oka dostrzegłem, że Susan przygląda mi się.

–Ciekawe? – zapytała.

–Oczywiście. Posłuchaj tylko: "Capella jest unikalnym likierem produkowanym z niedole, oryginalnego włoskiego orzecha. Capella produkowana jest i butelkowana w Turynie..." – Jesteś pijany?

–Jeszcze nie – odparłem i nalałem nam obojgu po kolejnym kieliszku sambuki.

–Wystarczy.

–Powiedział, żebyśmy się nie krępowali.

Popijaliśmy w milczeniu przez kilka kolejnych minut. Światelko na aparacie zgasło, ale potem zadzwonił telefon i ktoś gdzieś go odebrał.

Kontrolka znowu się zapaliła. Wyobraziłem sobie Dona w kuchni, jak dopilnowuje, aby podano kawę i ciastka, i załatwia równocześnie ważne sprawy przez telefon, zapisując na ścianie nazwiska przeznaczonych do odstrzału osób.

–Nie zdejmiesz okularów?

Odwróciłem się do Susan.

-Nie.

–Dlaczego?

–Dlaczego nigdy nie namalowałaś tego domu? – zapytałem starając się zmienić temat.

Przez moment wydawała się zdezorientowana moją nagłą wolą.

–Myślę – odparła – że wydawał mi się zbyt smutny. Ale zrobiłam całą rolkę kolorowych slajdów, kiedy byłam tutaj z Jessicą.

Fotografowałam przede wszystkim palmiarnię. Szkoda że nie widziałeś, jak to wyglądało.

–Opowiedz mi.

–Pokażę ci slajdy. Dlaczego nie chcesz zdjąć...

–Opowiedz mi, jak wyglądał ten dom, kiedy tutaj byłaś.

Wzruszyła ramionami.

–Cóż... Wybite były szybki w kopule i woda lała się do środka.

Na podłodze rosła trawa i grzyby, na ścianach mech, a zza popękanych stiuków wystawały liście paproci. Niewiarygodnie udane studium ruiny i rozkładu. Sądzę – dodała – że mogłabym to namalować na podstawie slajdów.

Popatrzyłem na nią.

–Nie chcę, żebyś sprzedawała im swoje obrazy.

–Pomyślałam, że może dam im obraz w charakterze powitalnego prezentu.

Potrząsnąłem głową.

–Na pewno to docenią, John. Włosi kochają sztukę.

–Pewnie. – Wskazałem głową wiszącą na ścianie reprodukcję Przenajświętszego Serca. – Posłuchaj, Susan, to będzie dla nich zdecydowanie zbyt ekstrawaganckie. Namalowanie tego płótna może ci zabrać kilka miesięcy. I nigdy przecież nie dawałaś nikomu obrazu w prezencie. Nawet rodzinie. Swemu ojcu kazałaś zapłacić sześć tysięcy za obraz świątyni miłości.

–Zamówił go. To co innego. Teraz chcę namalować palmiarnię Alhambry, kiedy była w ruinie. Poza tym przyszliśmy tutaj z pustymi rękami i, w końcu, jesteśmy im bardzo zobowiązani w związku ze stajnią.

–Jeśli chodzi o wzajemne uprzejmości, jesteśmy kwita. Udzieliłem mu za darmo porady. Tobie też mogę jej udzielić: nie mieszaj się w to.

–Nie uważam, żebyśmy mu się dostatecznie zrewanżowali i jeśli chcę...

–Co się stało z wyrytym w macicy perłowej napisem Casa Bellarosa? A może lepiej będzie, jeśli upieczesz im tort. Chociaż nie; to chyba nie najlepszy pomysł. A co powiesz na buszel wyborowego końskiego nawozu do jego ogrodu?

–Skończyłeś?

–Nie.

Ale zanim mogliśmy przystąpić do walki, w wahadłowych drzwiach ukazały się plecy pana Franka Bellarosy, który dźwigał przed sobą wielki elektryczny ekspres do kawy.

–Okay, mamy kawę.

Postawił ekspres na kredensie i wsadził sznur do gniazdka.

–Mamy również espresso, jeśli ktoś sobie życzy.

Zajął miejsce u szczytu stołu i nalał sobie kieliszek capelli.

–Próbowaliście tego? – zapytał mnie.

–Nie – odparłem. – Ale wiem, że produkuje się ją z orzechów niedole.

–Tak. Podobne do orzechów laskowych. Skąd pan o tym wie?

Uśmiechnąłem się do Susan.

–Przeczytałem nalepkę – poinformowałem Bellarosę.

–Ach tak. – Wziął z talerza kilka ziaren palonej kawy i wrzucił po dwa do naszych kieliszków.

–Albo nie wrzuca się kawy w ogóle, albo trzy ziarenka. Ani jednego więcej i ani jednego mniej – oznajmił.

Niech mnie diabli, jeśli zamierzałem zapytać dlaczego. Susan jednak oczywiście dała się złapać.

–Dlaczego? – zapytała.

–To tradycja – odparł Bellarosa. – Nie... właściwie to przesąd – przyznał z cichym chichotem. – Włosi są bardzo przesądni.

Trójka przynosi szczęście.

–To fascynujące – oświadczyła Susan.

Prawdę mówiąc, były to duby smalone.

–Jest pan przesądny? – zapytałem Bellarosę.

–Wierzę w szczęśliwą gwiazdę i wierzę w pecha. Pan nie?

–Nie – odparłem. – Jestem chrześcijaninem.

–A co to ma wspólnego?

–Wszystko – poinformowałem go. – Że co? – Namyślał się przez chwilę. – Tak, wiem, o co panu

chodzi – powiedział w końcu. – Ale my, Włosi, wierzymy w zły omen, złe wróżby, dobry omen, trzy monety, które wrzuca się do fontanny, trzy ziarenka w sambuce i wszystkie te głupstwa.

–To pogaństwo – powiedziałem.

Kiwnął głową. •- Zgadza się. Ale trzeba je szanować. Nigdy nic nie wiadomo. – Popatrzył na mnie. – Nigdy nic nie wiadomo – powtórzył i zmienił temat. – Niestety nie mogę wam podać capuccino. Kupiłem wspaniałą maszynę do capuccino od właściciela restauracji w Neapolu, kiedy tam byłem kilka miesięcy temu. Nadałem ją transportem lotniczym, ale myślę, że zwinęli mi ją na lotnisku Kennedy'ego. Facet w Neapolu twierdzi, że ją wysłał, i ja mu wierzę. Popytałem trochę na lotnisku, ale nikt nic nie wie. Jasne? A federalni skarżą się na zorganizowaną przestępczość. Myślicie, że to zorganizowana przestępczość buchnęła mój ekspres do kawy? Nie. Powiem wam, kto tutaj kradnie: melanzane. – Spojrzał na Susan. – Capiście?

–Czarnuchy?

Bellarosa uśmiechnął się.

–Zgadza się. Czarnuchy. Murzyni. A także Latynosi i te punki ze służby porządkowej lotniska. To oni kradną. Ale kiedy tylko pojawia się gdzieś jakiś problem, wszystkiemu winna jest od razu zorganizowana przestępczość. Zorganizowana przestępczość. Bzdura.

To nie zorganizowana przestępczość niszczy ten kraj. Robią to ćpuny i wariaci. Capiście? – Spojrzał na nas oboje.

Zabrakło mi szczerze mówiąc języka w gębie po tym dziwacznym monologu.

–Kapiszcze – wyjąkałem.

Bellarosa roześmiał się.

–Kapiszcze. Napijmy się. – Napełnił mój kieliszek sambuką, a ja ponownie spróbowałem wymówić to słowo, tym razem w myśli.

Capiście.

–Czy złożył pan zażalenie w urzędzie celnym? – spytała Susan szefa największej nowojorskiej mafii. Moja żona, jak już wspominałem, jest czasami na swój sposób naiwna.

–No pewnie – zachichotał Bellarosa. – Tego tylko brakowało.

Prawda? Żeby dowiedziały się o tej historii gazety i wystawiły mnie na pośmiewisko. Musiałbym chyba wynieść się z tego miasta.

–Co pan przez to rozumie? – dopytywała się Susan.

Bellarosa rzucił mi szybkie spojrzenie.

–Oni uważają, że to ja kradnę na lotnisku – odpowiedział.

–Och, rozumiem. Jest w tym jakaś niezamierzona ironia.

–Zgadza się. Ironia. – Bellarosa umoczył delikatnie wargi w capelli. – Aaa... Bardzo dobre. – Spojrzał na Susan. – Moja żona zaraz tu przyjdzie. Musi się upewnić, czy wszystko zapięte jest na ostatni guzik. Odpręż się, mówię jej. To są nasi sąsiedzi. Przyzwoici ludzie. – Spojrzał na mnie. – Ale wie pan, jakie są kobiety. Ze wszystkiego robią wielki problem. Prawda?

–Bez komentarza – odparłem chytrze. W tej samej chwili otworzyły się wahadłowe drzwi. Poprawiłem okulary i szykowałem się, żeby wstać, ale to nie była pani Bellarosa. Do pokoju wniosła tacę skromna młoda kobieta w prostej czarnej sukience i fartuszkę pokojówki. Postawiła ją na kredensie, po czym zastawiła stół filiżankami, spodeczkami, srebrnymi sztuccami, serwetkami i tak dalej. Następnie odwróciła się i bez słowa wyszła, bez żadnego ukłonu, dygnięcia ani nawet włoskiego salut.

–To Filomena – oznajmił Bellarosa. – Przyjechała z tamtej strony.

–Z tamtej strony czego?

–Z tamtej strony. Z Włoch. Nie mówi dobrze po angielsku i wcale mi to nie przeszkadza. Ale w ogóle to nasi paesanos szybko się uczą. Nie tak jak ci wasi Latynosi. Jeśli chce się żyć w tym kraju, trzeba się nauczyć języka. Biedna Filomena – dodał – jest taka brzydka, że nigdy w życiu nie wyjdzie za Amerykanina. Powiedziałem jej, że jeśli spędzi u mnie trzy lata i nie nauczy się angielskiego, wyposaże ją i będzie mogła wrócić do Neapolu znaleźć sobie męża.

Ale ona chce mieszkać tutaj i zostać Amerykanką. Muszę znaleźć dla niej jakiegoś ślepcę.

Spojrzałem na Bellarosę. To był prawdziwy Don, prawdziwy padrone, ktoś, kto potrafił pokierować cudzym życiem, okrutny i hojny zarazem.

–Mówi pan po włosku? – zapytała go Susan.

Machnął lekko ręką.

–Cosi, cosi. Daję sobie radę – dodał. – Napoletanos mnie rozumieją. Stamtąd

właśnie się wywodzę. Jestem napoletano. Ale

Sicilianos – Sycylijczycy – któż potrafi ich zrozumieć? To nie są prawdziwi Włosi. Gdzie nauczyła się pani włoskiego? – zapytał Susan.

–Skąd pan wie, że mówię po włosku?

–Od Dominica. – Uśmiechnął się. – Oznajmił mi, oczywiście po włosku: "Padrone, ta amerykańska dama z rudymi włosami mówi po włosku!" – Bellarosa roześmiał się. – Nie mógł się nadziwić.

Susan uśmiechnęła się.

–Właściwie nie mówię zbyt dobrze. Uczyłam się tego języka w szkole. Wybrałam go, bo specjalizowałam się w sztukach pięknych.

–Tak? Dobrze, jeszcze panią sprawdzę.

I tak gawędziliśmy przez kolejne dziesięć minut albo trochę dłużej i skłamałbym, gdybym powiedział, że źle się bawiłem. Ten człowiek wiedział, jak pełnić rolę gospodarza, jak opowiadać dowcipy i chociaż nie mówiliśmy o niczym ważnym ani odkrywczym, był wesóły i ożywiony. W ciągu dziesięciu minut wykonał więcej gestów i min niż ja przez cały rok. Dolewał wszystkim sambuki, a potem zmienił zdanie i nalegał, żebyśmy spróbowali amaretto, które rozlał do świeżych kieliszków, nie przerywając rozmowy.

Mieliśmy przed sobą człowieka, który najwyraźniej potrafił cieszyć się życiem, co było zrozumiałe u kogoś, kto miał świadomość, jak szybko może go ktoś pozbawić.

–Czy zatrudnia pan strażników w środku domu, czy tylko Anthony'ego tam, na zewnątrz? – zapytałem go prosto z mostu.

Przez dłuższy czas patrzył na mnie nic nie mówiąc.

–Panie Sutter – oznajmił w końcu – człowiek, który osiągnął w tym kraju pewien stopień zamożności, musi, tak samo jak we Włoszech, chronić siebie i swoją rodzinę przed porywaczami i terrorystami.

–Nie w Lattingtown – zapewniłem go. – Mamy tutaj bardzo ostre przepisy dotyczące bezpieczeństwa.

Bellarosa uśmiechnął się.

–My też ściśle przestrzegamy pewnej reguły, panie Sutter, i może pan o niej słyszał. Brzmi ona następująco: "Nigdy nie atakuj człowieka w jego własnym domu ani na

oczach jego własnej rodziny". Więc nikt w tej okolicy nie powinien się martwić o te rzeczy. Okay?

Rozmowa stawała się interesująca.

–Być może będzie pan mógł uczestniczyć w następnym lokalnym zebraniu – powiedziałem – i zapewnić o tym wszystkim publicznie.

15 – Złote Wybrzeże Bellarosa spojrział na mnie, ale nic nie powiedział.

Czując w sobie nagły przyływ odwagi, naciskałem go dalej.

–Dlaczego więc zatrudnia pan tutaj ochronę?

Pochylił się ku mnie.

–Pytał mnie pan – powiedział cicho – czego nauczyłem się w La Salle. Powiem panu o jednej rzeczy, której się nauczyłem.

Niezależnie od tego, jakie zawarłeś traktaty pokojowe, trzymasz posterunki przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. To sprawia, że wszyscy zachowują się uczciwie, a ludzie śpią spokojnie. Niech pan się nie martwi. – Poklepał mnie po ramieniu. – Jest pan tutaj bezpieczny.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

–Właściwie to ma pan podwójną ochronę, panie Bellarosa – poinformowałem go życzliwie. – Najlepsze życzenia od amerykańskiego podatnika. Capisce?

Roześmiał się i prychnął lekceważąco.

–Zgadza się. Oni pilnują bramy, ale ja pilnuję własnego tyłka.

A zatem wie pan o tym, panie Sutter? Jak pan się dowiedział?

Miałem zamiar mu odpowiedzieć, ale w tej samej chwili poczułem kopnięcie w kostkę. Kopnięcie w kostkę nie oznacza oczywiście:

"Jesteś taki czarujący i dowcipny, kochanie, proszę cię, mów dalej".

–Czy nie mogłabym pomóc pani Bellarosie w kuchni? – zapytała Susan naszego gospodarza.

–Nie, nie. Sama sobie poradzi. Powiem wam, co teraz robi, bo tak się składa, że wiem. Nadziewa canolli. Wiecie, kiedy kupuje się je gotowe, nawet w dobrych piekarniach, ciasto robi się czasami wilgotne.

Moja żona kupuje więc osobno muszelki i osobno krem albo sama go robi i nadziewa, nadziewa, nadziewa. Łyżką.

Susan kiwnęła głową niezbyt pewnie, jak sędzę.

Trochę mnie chyba dziwiła rubaszność i bezpośredniość tego człowieka, podobnie jak fakt, że jego żona siedziała w kuchni ich własnego pałacu, nadziewając ciasteczka łyżką. Sutterowie najwyraźniej mu nie imponowali, to pewne. Nie wiedziałem, czy mam się czuć urażony, czy zaniepokojony.

Tymczasem drzwi uchyliły się ponownie i do środka weszła dobrze zbudowana blondynka niosąc olbrzymią tacę wypełnioną ciasteczkami, których było dosyć, by wyżywić średniej wielkości chińskie miasto.

Nie widziałem dobrze jej twarzy, ale ręce miała wysunięte daleko do

przodu, by nic nie ugniatało jej piersi i błyskawicznie domyśliłem się, że to musi być pani B. Wstałem, podobnie jak Bellarosa, który odebrał tacę z rąk kobiety.

–To moja żona, Anna – powiedział. Postawił tacę na stole. – Anno, to państwo Sutter.* Anna otarła ręce o biodra i uśmiechnęła się.

–Witam. – Uścisnęły sobie dłonie z Susan, po czym odwróciła się do mnie.

Nasze oczy spotkały się, nasze dłonie zetknęły, a usta rozchyliły w uśmiechu. Pani Bellarosie zadrżała brew.

–Miło mi panią poznać – powiedziałem.

Nie odrywała ode mnie wzroku i zdawało mi się, że słyszę, jak pomiędzy jej zwężonymi oczyma włączają się dawne synapsy. Klik, klik, klik.

–Czy nie spotkaliśmy się już wcześniej albo coś w tym rodzaju? – zapytała.

Zaniepokoiło mnie zwłaszcza owo "coś w tym rodzaju".

–Myślę, że widziałem panią u Lopara – powiedziałem wymieniając nazwę włoskiego sklepu w Locust Valley, gdzie nie powinna mi raczej grozić nagła śmierć.

–Tak – zgodziła się bez przekonania. – Nie – zmieniła zdanie. – Nie... muszę się nad tym zastanowić.

Gdybym był mężczyzną z krwi i kości, ściągnąłbym okulary, skoczył na podłogę i odsłonił swoje prawdziwe oblicze. Ale nie wydawało mi się, żeby mogło z tego wyniknąć coś dobrego.

–Dlaczego wszyscy tak stoimy? – zapytał pan Bellarosa, który niedawno nie mógł także zrozumieć, dlaczego stoimy w palmiarni. – Siadajcie, siadajcie – zakomenderował. Usiedliśmy, a on nalał swojej żonie kieliszek amaretto. Zaczęliśmy gawędzić.

Pani Bellarosa siedziała po drugiej stronie stołu, dokładnie naprzeciwko mnie, co niezbyt mi odpowiadało, ale mogłem dzięki temu spostrzec pierwsze ewentualne oznaki, świadczące, że przypomina sobie swój upiorny wielkanocny poranek. Ubrana była, jeśli kogoś to interesuje, w coś, co najbardziej przypominało piżamę w opalizującym pomarańczowym kolorze, który zmieniał się przy każdym jej ruchu.

W uszach miała złote trójkątne kolczyki, które, gdyby użyć ich jako anteny, z pewnością złapałyby rozgłoszenie w Neapolu, a na szyi złoty

krzyżyk, którego dolna część znikwała w zagłębieniu między piersiami i który z jakiegoś powodu przypominał mi posąg Chrystusa w Andach.

Z ogólnej liczby dziesięciu palców, na pięciu widać było złote pierścienie, miała poza tym złote bransolety na obu przegubach. Zastanawiałem się, co by się stało, gdyby wpadła do sadzawki. Czy całe to złoto pociągnęłoby ją na dno, czy też utrzymałoby ją na powierzchni powietrze wypełniające jej potężne płuca?

Powinienem powiedzieć coś więcej na temat jej wyglądu. Nie była wcale nieatrakcyjna. Zależy zresztą, co kto lubi. Makijaż był trochę zbyt intensywny, ale mogłem pod nim dostrzec, że, jak na Włoszkę, ma dość jasną cerę. Oczy miała piwne, usta pomalowane na czerwony kolor, podobny do tego, którym oznacza się zazwyczaj wyjście awaryjne, a włosy, jak już mówiłem, rozjaśnione. Zauważyłem ciemne odrosty. Wydawała się całkiem sympatyczna, chętnie się śmiała i miała zaskakująco wdzięczne ruchy. Skropiła się także miło pachnącymi perfumami.

Nie wiem, jak powinna wyglądać małżonka mafiosa, ponieważ nigdy nie widuje się ich publicznie ani w mass mediach, ale doszedłem do wniosku, że Anna Bellarosa wygląda zapewne lepiej niż większość z nich. Czasami, kiedy opanowuje mnie mój męski szowinizm – co, dzięki Bogu, nie zdarza się często – próbuję sobie wyobrazić, czy poszedłbym do łóżka z dopiero co spotkaną kobietą. Przyjrzałem się więc ponownie Annie Bellarosie.

Kiedy byłem w college'u, dzieliliśmy kobiety na pięć kategorii w zależności od tego, jakiej mocy żarówkę chcielibyśmy zapalić przy nich w sypialni. Były trzy kategorie kobiet do oglądania: stu, siedemdziesięcio- i trzydziesto wato we. Potem następowała kategoria kobiet, przy których zapalało się wyłącznie lampkę przy łóżku, a na koniec te, w których obecności powinno się zgasić wszystkie światła.

Anna Bellarosa zauważyła, że się jej przyglądam i uśmiechnęła się. Miała miły uśmiech. Po tych wszystkich drinkach, które wypilem, doszedłem do wniosku, że zapaliłbym prawdopodobnie siedemdziesiątkę.

–Za naszych nowych sąsiadów i nowych przyjaciół – zaproponował toast Frank Bellarosa.

Wypilem, krzyżując jednak pod stołem palce. Okazuje się, że i ja jestem przesądny.

Gawędziliśmy dalej. Susan najpierw zachwycała się stosem ciasteczek, a potem chwaliła Bellarosów za to, że tak pięknie odnowili Alhambrę. Zaproponowaliśmy kilka nowych nazw posiadłości. Ja zasugerowałem, żeby nazywała się Casa Cannoli. Frank Bellarosa wypytywał Susan o jej ogródek warzywny, a Anna zapytała mnie, czy nie chcę zdjąć marynarki i krawata. Nie wyraziłem na to ochoty. I tak minęło kolejne dziesięć albo piętnaście minut, podczas których, jak to się mówi, przełamaliśmy pierwsze lody, aż w końcu zabrał głos Frank Bellarosa.

–Kochani, mówcie- mi Frank – powiedział. – Okay? Moja żona nazywa się Anna.

–Proszę, mówcie mi Susan – odparła naturalnie moja żona.

Nadeszła moja kolej.

–John – powiedziałem. – Świetnie – podsumował Frank.

Nigdy dotąd nie byłem na ty z szefem mafii i czułem się po prostu wstrząśnięty. Nie mogłem się doczekać, żeby opowiedzieć wszystko bywalcom "The Creek".

Pani Bellarosa wstała i naląła nam kawy z dzbanka. Wszyscy poczęstowaliśmy się ciasteczkami. Kawa i ciastka były wyśmienite.

Jeśli o to chodzi, nie mogłem się skarżyć.

Zaczęliśmy rozmawiać o dzieciach, jak to się na ogół zdarza między rodzicami, niezależnie od tego, czy należą do królewskiego rodu, czy zajmują się złodziejstwem i prostytutką. Posiadanie dzieci bardzo zrównuje ludzi albo raczej (ujmując to bardziej optymistycznie) stanowi to, co ich łączy. Trochę się rozluźniłem, częściowo z powodu obecności pani Bellarosy, ale również dlatego, że w ogóle czułem się dziwnie swobodnie.

Anna Bellarosa opowiedziała nam szczegółowo o swoich trzech synach.

–Nie chcę, żeby weszli do rodzinnego interesu – zakończyła – ale Tony (to ten, którego wysłaliśmy do La Salle) chce być u boku ojca. Nie widzi świata poza swoim ojcem.

–W rodzinne interesy wprowadził mnie mój wuj – oświadczył Frank. – Mój ojciec mówił: "Trzymaj się od tego z daleka. Ty się do tego nie nadajesz". Ale czy go posłuchałem? Nie. Dlaczego? Bo uważałem swego wuja za bohatera. Zawsze miał pieniądze, samochody,

eleganckie ubrania, kobiety. Mój ojciec nie miał nic. Dzieciaki szukają czegoś, co nazywacie modelem bohatera. Zgadza się? Ale teraz, kiedy spoglądam wstecz, to właśnie mój ojciec wydaje mi się bohaterem.

Przez sześć dni w tygodniu wypruwał z siebie żyły, żebyśmy mieli co żreć. W domu było pięcioro dzieciaków i było nam ciężko. A wszędzie wokół nas były pieniądze. W Ameryce widzi się za dużo forsy. To bogaty kraj, nawet głupcy mogą tu być bogaczami. Ludzie widzą to i mówią: "Dlaczego i ja nie miałbym być bogaty?" W tym kraju biedak jest kimś gorszym od kryminalisty. – Spojrzał na mnie i powtórzył: – W tym kraju biedak jest kimś gorszym od kryminalisty.

Jest nikim.

–No cóż – odparłem. – Niektórzy wolą jednak pozostać biedni, ale uczciwi.

–Nie znam nikogo takiego. Tak czy owak, mój najstarszy chłopak, Frankie, nie ma głowy do rodzinnych interesów, więc wysłałem go do college'u, a potem kupiłem mu coś własnego w Jersey, żeby się urządził. Tommy to ten, który studiuje w Cornell. Chce prowadzić duży hotel w Atlantic City albo Vegas. Urządzą go razem z Frankiem w Atlantic City. Z Tonym, tym, który uczy się w La Salle, jest inna sprawa. On chce wejść do interesu. – Bellarosa uśmiechnął się. – Ten mały szczył chce mnie kiedyś zastąpić. I wiesz co? Jeśli będzie tego pragnął dostatecznie mocno, osiągnie to.

Odchrząknąłem.

–Niełatwo jest dziś wychowywać dzieci – zauważyłem – w epoce rozpasanego seksu, przemocy i gier elektronicznych.

–Zgadza się. Ale seks jest w porządku. Opowiedzcie o waszych dzieciakach.

–Carolyn studiuje w Yale – odparła Susan – a Edward w czerwcu kończy St. Paul.

–Będą prawnikami?

–Carolyn na pewno. Edward jest trochę niezdecydowany. Myślę, że kiedy uświadomił sobie, że i tak odziedziczy dużo pieniędzy po swoich dziadkach, zabrakło mu motywacji.

Nigdy nie słyszałem, żeby Susan komukolwiek, nawet mnie, zwierzała się kiedykolwiek na ten temat i trochę mnie zdenerwowało, że wyjawia tym ludziom rodzinne sekrety. Przypuszczam jednak, że skoro Bellarosów w żadnym wypadku nie można było zaliczyć do

naszej sfery, nie miało to w końcu większego znaczenia. Mimo to czułem, że muszę coś powiedzieć w obronie swego syna.

–Edward to typowy siedemnastolatek – oznajmiłem. – W tej chwili interesuje się przede wszystkim, gdzie by tu... to znaczy interesuje się dziewczynami.* Bellarosa roześmiał się.

–Zgadza się. Ma siedemnaście lat i kończy college? – zapytał.

–Nie – odpowiedziałem. – St. Paul to szkoła przygotowawcza. – Rozmowa z tymi ludźmi przypominała odkrywanie na nowo Ameryki.

–Czy w La Salle dostawałeś stypendium? – zapytałem Bellarosę.

–Nie. Czesne płacił mój wuj. Ten sam, który wprowadził mnie do rodzinnego interesu. Jedna gęba mniej do wyżywienia dla mojego staruszka.

–Rozumiem.

–Frank spędza za dużo czasu w pracy – uraczyła nas kolejną małżeńską skargą Anna. – Nie cieszy się swoim nowym domem.

Nawet kiedy tu jest, ciągle telefonuje, a ludzie przychodzą tu tylko po to, żeby mówić o interesach. Zawsze mu powtarzam: "Frank, nie przejmuj się tak tym wszystkim. Zapracujesz się na śmierć," Zerknąłem na Bellarosę, żeby sprawdzić, czy dotarła do niego zawarta w tych słowach niezamierzona ironia, ale nie drgnęła mu nawet powieka. Przez pół sekundy wydawało mi się, że popełniłem straszliwy błąd i że pan Frank Bellarosa jest po prostu jednym z wielu przepracowanych przedsiębiorców.

–John nie siedzi długo w biurze – dorzuciła swoje trzy grosze Susan – ale co wieczór przynosi do domu pełną teczkę roboty. Za to w sobotę sobie odpuszcza, no i oczywiście nie pracuje w niedzielę.

–Odpuścił sobie także Wielkanocny Poniedziałek. Nie chciał ze mną rozmawiać o interesach – poinformował moją żonę Bellarosa.

Popatrzył na mnie. – Znam kilku protestantów. Oni także nie pracują w niedzielę. Katolikom wolno pracować. A co byś zrobił, gdyby w poniedziałek czekała cię naprawdę ważna sprawa w sądzie?

–W takim przypadku – oznajmiłem – udzieliłbym sobie dyspensy. Pan Bóg nie

życzyłby sobie, żebym się zbłądził przed katolickim albo żydowskim sędzią.

Ha ha ha. Hę hę hę. Nawet ja sam się uśmiechnąłem. Zaczynała w końcu działać magiczna moc sambuki.

Bellarosa, jakby się tego domyślił, podniósł butelkę i dolał mi do kawy trochę likieru. Potem dolał innym.

–W ten właśnie sposób to pijemy.

Od gorącej kawy kilkakrotnie zaparowały mi okulary. Wycierałem je chusteczką nie zdejmując z nosa, co ściągnęło na mnie zdumione spojrzenia Susan. Również Anna Bellarosa zerknęła z zaciekawieniem w moją stronę. Jak dotąd nie poruszyliśmy w naszej rozmowie kwestii nieszczęsnego incydentu, który wydarzył się w Alhambrze w Wielkanocny Poniedziałek i miałem nadzieję, że Frank zapomniał o swojej prośbie, abym przekonał jego żonę o tym, jaka to miła i bezpieczna okolica.

–Tęskni pani za Brooklynem? – zapytała nagle Susan i wiedziałem już, do czego to doprowadzi.

Anna spojrzała na swego męża.

–Nie wolno mi o tym mówić – odparła i roześmiała się.

Bellarosa prychnął.

–Te Włoszki z Brooklynu! Mówię wam: można się z nimi przeprowadzić do Villa Borghese, a one wciąż będą marudzić, że musiały wyjechać z Brooklynu.

–Och, Frank, ty nie musisz siedzieć w domu przez cały boży dzień. Codziennie odwiedzasz nasze stare śmiecie.

–Posłuchajcie jej tylko. Siedzieć w domu! Ma samochód i szofera i kiedy tylko chce, jeździ do Brooklynu, żeby zobaczyć się z matką i tymi swoimi stukniętymi krewniakami.

–To nie to samo, Frank. Czuję się tutaj taka samotna. – W jej głowie zapaliła się nagle mała żaróweczka, zobaczyłem to, ale nie zdążyłem już zmienić tematu. – A to, co stało się w Wielkanoc? – Spojrzała na mnie. – Spacerowałam rano niedaleko sadzawki, którą tu mamy, i ten człowiek... – zatrzęsała się ze zgrozy – ten maniak pojawił się na czworakach jak jakieś zwierzę i ryknął na mnie.

–Naprawdę? – zapytałem poprawiając okulary.

–Dobry Boże! – wykrzyknęła Susan.

–Uciekłam gubiąc po drodze buty – poinformowała moją żonę pani Bellarosa.

–Opowiadałem o tym Johnowi – oznajmił Frank. – Stwierdził, że nigdy przedtem o czymś takim nie słyszał. Prawda, John?

–Prawda, Frank. Więc powiadacie, że wasz syn Frankie mieszka w New Jersey? – zapytałem.

–Czy wezwałaś policję? – spytała Susan.

Anna ponownie spojrzała na swego męża.

–Frank nie lubi, żeby w nasze sprawy mieszała się policja.

–Mam tutaj własną ochronę – przypomniał nam Bellarosa. – Nie ma się czego bać.*

– W nocy tak tutaj strasznie, kiedy Franka nie ma w domu. Tak cicho – skarżyła się Anna.

–Może pani – zasugerowałem – nagrać odgłosy uliczne z Brooklynu i puszczać je tutaj z taśmy.

Anna Bellarosa uśmiechnęła się niepewnie, jakby nie uważała tego wcale za zły pomysł.

–Kiedy człowiek stara się je uszczęśliwić albo zawrzeć z nimi jakiś kompromis – powiedział w moją stronę Bellarosa – biorą go za pedała.

Zerknąłem na Susan, żeby zobaczyć, jak zareaguje na to stwierdzenie. Uśmiechała się. Powinienem zaznaczyć, że Susan nie jest feministką. Ruch wyzwolenia kobiet uważany jest przez przedstawicielki jej warstwy za typowy problem klasy średniej, który wymaga rozwiązań na tym właśnie poziomie. One same były właścicielkami majątków, zawierały kontrakty i uczyły się w college'ach od tak wielu pokoleń, że właściwie nie całkiem rozumieją, o co ten cały krzyk. Co do postulatu równej płacy za równą pracę to odnoszą się do niego z taką samą sympatią jak do problemu głodujących dzieci w Afryce, tyle samo mniej więcej wiedząc o pierwszym, jak i drugim. Być może urządził kiedyś bal dobroczynny na rzecz dyskryminowanych dyrektorek korporacji. Wspominam o tym wszystkim, ponieważ niejedna kobieta mogłaby się poczuć cokolwiek urażona bezceremonialnymi, antyfeministycznymi uwagami Franka Bellarosy. Ale słowa kogoś takiego nie potrafiły po prostu dotknąć Susan Stanhope, której rodzina należała do słynnych Czterystu*, podobnie jak trudno byłoby Sally Ann z "Gwiezdnego Przybysza" urazić mnie mówiąc, że wszyscy mężczyźni to alkoholicy, damscy bokserzy i kłamcy. Innymi słowy, trzeba zawsze brać pod uwagę źródło informacji.

Bellarosa złożył tymczasem kolejne oświadczenie, prawdopodobnie * Popularne w Ameryce określenie elity, któremu początek dała uwaga Warda McAllistera: "W całym Nowym Jorku jest tylko czterysta osób, które warto poznać"; taka była mniej więcej pojemność sali balowej Astorów.

po to, żeby złagodzić wrażenie, które wywołał swymi antyfeministycznymi uwagami.

–Włosi nie potrafią pójść na kompromis. Dlatego właśnie tak wściekają się na nich ich kobiety, choć jednocześnie ich za to szanują.

Gorzej, jeśli Włoch nie zgadza się w jakiejś sprawie z innym Włochem i nie chcą ze sobą zawrzeć kompromisu – wtedy dopiero zaczynają się problemy.

Które, pomyślałem, rozwiązuje się nader szybko, na przykład poprzez morderstwo.

–Więc Frankie jest w New Jersey? – zapytałem.

–Zgadza się. Pomogłem mu kupić hotel w Atlantic City. Żaden z moich synów nie będzie nigdy dla nikogo pracował. Nie będą mieli nad sobą żadnego szefa. Na tym świecie albo jest się swoim własnym szefem, albo jest się nikim. Ty jesteś swoim własnym szefem, prawda?

–Coś w tym rodzaju.

–Nikt nie robi ci wymówek, kiedy później przyjdiesz do pracy, prawda?

–Prawda.

–No więc jesteś nim.

No i o to chodziło. Zeszliśmy z tematu wielkanocnego poranka.

Rozmawiając z panem Bellarosą łatwo było zmieniać tematy, nie wydawał się bowiem trzymać ściśle ustalonych reguł towarzyskiej konwersacji, lecz przerywał kwestię w połowie zdania, kiedy tylko wpadało mu do głowy coś nowego. Wiedziałem, że inaczej to wygląda w przypadku spraw zawodowych. Znałem ten rodzaj ludzi. I wiedziałem również, że pani Bellarosa nie poruszy już tematu wielkanocnego potwora.

I tak minęła kolejna godzina. Wypiliśmy cały dzbanek kawy – około dwudziestu filiżanek – i drugą butelkę sambuki. Stos ciasteczek obniżył się o jakieś sześć cali. Już wcześniej tego wieczoru odkryłem, że na nic się nie zda odmawianie. "Mangia, mangia", mówiła ze śmiechem pani Bellarosa, ledwo powstrzymując się od wpychania mi ciasteczek do ust. "Pij, pij", rozkazywał pan Bellarosa napęlniając kieliszki i filiżanki dowolnym płynem, jaki znalazł się w zasięgu jego ręki.

Trzykrotnie udawałem się do toalety i za każdym razem zastanawiałem się, czy nie puścić pawia do miski klozetowej, dokonując oczyszczenia w stylu rzymskim.

Parafrazując świętego Ambrożego:

kiedy jesteś w Rzymie, użyj vomitońum, tak jak to czynili Rzymianie.

Ale nie mogłem się jakoś na to zdobyć.

Wracając za którymś razem z toalety, spostrzegłem, że pani Bellarosa znikła, prawdopodobnie w kuchni, a Susan i Frank siedzą przy stole sami. Jeszcze zanim zobaczyła mnie moja żona, usłyszałem, jak mówi coś o palmiarni, i przestraszyłem się, że wyjawiała Frankowi swój zamiar namalowania wnętrza Alhambry. Kiedy jednak usiadłem, najwyraźniej zmieniła temat.

–Opowiadałam Frankowi o naszej podróży do Włoch kilka lat temu – zawiadomiła mnie.

–Rzeczywiście?

Tymczasem powróciła do nas pani Bellarosa razem z Filomeną, która przyniosła bombonierkę. Siedziałem sztywno, starając się, by nie doszedł mnie zapach czekoladek – ani niczego innego, co znajdowało się na stole. Poprosiłem panią domu o jakąś wodę mineralną. Ta szepnęła coś Filomenie, która wyszła i wróciła za chwilę ze szklanką i butelką czegoś, co nazywało się Pellegrino. Wypiłem szklankę tego napoju, pozwoliłem, by mi się dyskretnie odbiło, i od razu poczułem się lepiej.

Rozmowa toczyła się na razie bez mojego udziału i korzystając z tego obserwowałem Annę Bellarosę. Odnosiła się do swego męża z szacunkiem, tego bowiem z pewnością wymagała od niej jej umowa przedmałżeńska. Ale raz czy drugi wybuchała z typowym włoskim ogniem i Don ustępował. Z tego, czego się dowiedziałem z rozmowy i obserwując ich zachowanie, domyśliłem się, że Anna, jako żona Don Bellarosy, miała tutaj status królowej i prawa niewolnicy. A jako matka jego dzieci była madonną, wielbioną niczym Maria za owoc, który wydała ze swego łona. Anna Bellarosa urodziła trzech synów, wykarmiła ich piersią, zadbała o ich religijne wychowanie i oddała swemu mężowi, kiedy tylko gotów był wziąć w swoje ręce sprawy ich życia, a jeśli chodzi o Tony'ego, prawdopodobnie także i śmierci. Jak bardzo różniła się ta rodzina od mojej własnej.

Zauważyłem również, że Anna Bellarosa, mimo że była w dobrym humorze i często się śmiała, ma smutne, nieobecne oczy – tak jakby wieloletnie zmartwienia przygasiły iskierki, które musiały niegdyś towarzyszyć wybuchom śmiechu.

Nagle Bellarosa wstał z krzesła i pomyślałem, że to koniec przyjęcia.

Nie miałem jednak racji.

–Anno – powiedział – pokaż Susan dom. Chce go sobie obejrzeć. John, chodź ze mną.

Przeszliśmy wszyscy czworo przez jadalnię.

–To jest jadalnia – poinformował swoją żonę Bellarosa. – A tam, gdzie byliśmy przed chwilą, jest pokój poranny. Je się tam śniadanie. Chcę, żebyś zapytała Susan, do czego służą te wszystkie pokoje. Ona zna ten dom. Będziecie się nawzajem oprowadzać. Okay?

Z powrotem znaleźliśmy się w atrium. Frank wziął mnie pod ramię i poprowadził w stronę schodów.

–Spotkamy się później w salonie – powiedział żonie. – Szklarnię chcę pokazać osobiście. To znaczy oranżerię – poprawił się. – Dobrze mówię?

Pochwyciłem spojrzenie Susan, która uśmiechnęła się do mnie, jakby chciała powiedzieć: "A więc jednak dobrze się bawisz". Znałem to spojrzenie. Nie mogłem tylko zrozumieć, dlaczego również Susan wydawała się świetnie bawić. Spodziewany o godzinie dziewiątej czterdzieści pięć ból głowy bynajmniej się nie pojawił, a będąc czuły na punkcie swojej męskości, nie chciałem skarżyć się na nie istniejące hemoroidy, a tym bardziej zgodnie z prawdą przyznać, że moje anglosaskie kiszki skręcają się od żarcia z irlandzkiego pubu i od włoskiego deseru. Bez słowa protestu pozwoliłem więc memu kumplowi Frankowi, by zaprowadził mnie na górę.

Wędrówka kręconymi schodami nie sprawiła nam większych trudności. Spostrzegłem, że Bellarosa ma tak samo mocną głowę jak ja. Dotarliśmy na drugie piętro i ruszyliśmy krużgankami, otaczającymi z trzech stron palmiarnię. Mniej więcej co dwadzieścia stóp mijaliśmy ciężkie, dębowe drzwi. Bellarosa zatrzymał się w końcu przy którychś z nich i otworzył je.

–Tutaj – powiedział.

–Co jest tutaj?

–Biblioteka.

–Czy będziemy coś czytać?

–Nie. Wypalimy po cygarze.

Dał znak, żebym wszedł do środka.

Wbrew temu, co podpowiadał mi rozsądek, przekroczyłem próg i znalazłem się w pograżonym w półmroku wnętrzu.

Rozdział 16 Siadaj. – Frank Bellarosa wskazał mi czarny skórzany fotel. Usiadłem. Zdjąłem okulary do czytania i schowałem je do kieszonki na piersi. Bellarosa zasiadł na krześle naprzeciwko mnie.

Nie sądziłem, że może mieć przy sobie broń i w gruncie rzeczy nie widziałem powodu, dla którego miałby ją nosić we własnym domu, ani miejsca, gdzie mógłby ją schować pod swymi dopasowanymi do figury spodniami i koszulą. Kiedy jednak założył nogę na nogę, dostrzegłem odznaczającą się pod prawym mankietem spodni, na wysokości kostki, kaburę.

–Mam prawo – oznajmił, widząc, że ją zauważyłem.

–Ja też.

–Masz pozwolenie na broń?

–Mam prawo jazdy. Ale nie jeżdżę samochodem po domu.

Uśmiechnął się.

W stanie Nowy Jork niełatwo jest dostać pozwolenie na broń i zastanawiałem się, w jaki sposób udało się to Frankowi Biskupowi Bellarosie.

–W stanie Nowy Jork? – zapytałem.

–Zgadza się. Na północy hrabstwa jest taki mały teren, gdzie poluję. Nie zadają tam zbędnych pytań. Mogę nosić broń na całym terytorium stanu oprócz miasta Nowy Jork. Obowiązuje w nim specjalne pozwolenie, ale oni mi go nie dadzą. A przecież właśnie w Nowym Jorku najbardziej potrzebuję gnata. Zgadza się? Różni wariaci paradują tam ze spluwą za paskiem. Czy mają zezwolenie?

Nie. Ale ja nie mogę ryzykować, boby mnie zaraz przy skrzy nili. Więc chodzę po mieście nie uzbrojony i wychodzi na to, że byle łachmaniarz może załatwić Franka Bellarosę.

Jakie to niesprawiedliwe.

–A twoja ochrona? – zapytałem.

–Naturalnie. Ale to nie to samo, co własny kawałek gnata.

Ochroniarze czasami cię wystawiają. A czasami poprzedniej nocy angażuje ich nowy boss, a ty o tym wcale nie wiesz. Capiśce?

–Och, tak. Nie uświadamiałem sobie, w jakie stresy obfituje twoja praca.

–To znaczy nie chcesz o tym wiedzieć.

–Zgadłeś.

Między nami na niskim stoliku leżało pudełko najprawdziwszych hawańskich cygar. Bellarosa otworzył je i podsunął w moją stronę.

–Nie palę.

–Daj spokój, zapal sobie jedno.

Wziąłem cygaro. Prawdę mówiąc, wszyscy biali anglosascy prawnicy potrafią palić cygara, stanowi to bowiem nieodzowną część pewnych specyficznych rytuałów. Wyjąłem cygaro z metalowej tubki i nakłułem jego czubek srebrnym szpikulcem, który wręczył mi Bellarosa. Frank podał mi ognia, a potem sam zapalił swoje cygaro złotą zapalniczką. Wypuściliśmy na środek pokoju kłęby dymu.

–Czy te cygara nie pochodzą przypadkiem z przemytu? – zapytałem.

–Możliwe. Ubilibyśmy interes z samym diabłem w piekle, gdybyśmy potrzebowali ognia. Ale cygar nie potrzebujemy, więc nie martwmy się o Kubę. Dobrze mówię? Kurewska wyspa.

To tyle, jeśli chodzi o problematykę międzynarodową. Czas na wiadomości lokalne.

–To twój gabinet? – zapytałem.

–Zgadza się. Kiedy pierwszy raz tu wszedłem, pomalowany był cały na różowo i

biało. Pomalowali nawet drewnianą podłogę. Tej facetce od sprzedaży nieruchomości bardzo się to podobało. Powiedziała, że dekoratorzy urządzali tu jakieś przedstawienia.

–Wystawy wyposażenia wnętrz – poinformowałem go.

–No właśnie. Każdy pieprzony pokój wyglądał, jakby latał po nim szwadron wrózek z pędzlami unurzany w farbie.

Rozejrzałem się. To była ta sama biblioteka, o której opowiadała mi kiedyś Susan, ta sama, która znajdowała się niegdyś w angielskim pałacu i którą w latach dwudziestych nabyli Dillworthowie. Półki z ciemnego dębu zastawione były książkami, wiedziałem jednak, że nie pochodzą one z oryginalnego księgozbioru. Przy jednej ze ścian stał kominek, a naprzeciwko niego znajdowały się podwójne drzwi prowadzące na balkon, ten sam, za którym widziałem światło, kiedy podjechałem pod dom w kwietniu. Pośrodku stało dębowe biurko z blatem pokrytym zieloną skórą. Za biurkiem w rozległej alkwie mieściło się coś w rodzaju sekretariatu. Dostrzegłem tam komputer osobisty, kserokopiarkę, teleks i faks. Mafia korzystała z najnowszej techniki.

–Zdrapanie całej tej farby ze ścian kosztowało mnie pięć kawałków – oznajmił Bellarosa. – Następne pięć wybuliłem na książki.

Sprzedają je po trzydzieści dolców od metra.

–Przepraszam?

–Te półki mają łącznie sto sześćdziesiąt metrów długości. Metr książek kosztuje trzydzieści dolców. To daje pięć kawałków... pięć tysięcy. Ale miałem też trochę własnych książek.

Domyśliłem się, że nie obowiązuje w tym miejscu zakaz rozmawiania o pieniądzach.

–Zaoszczędziłeś dzięki temu kilka dolców – zauważyłem.

–Zgadza się. To były książki ze szkoły.

–Machiavelli.

Uśmiechnął się.

–Zgadza się. I Dante. I święty Augustyn. Czytałeś może kiedyś świętego Augustyna?

–Tak. A ty czytałeś świętego Hieronima?

–Jasne. Zbiór jego listów. Mówiłem ci już, chrześcijańscy braciszkanie pędzili mnie ostro do nauki. – Poderwał się z krzesła, podszedł do półki, wyjął z niej książkę i otworzył. – To święty Hieronim. Lubię ten kawałek. Posłuchaj: "W moim kraju szerzy się barbarzyństwo, ludzie żyją z dnia na dzień, a jedynym Bogiem jest dla nich własny brzuch". – Zamknął książkę. – I co się zmieniło? Nic. Ludzie się nie zmieniają. Gdyby ten facet nie był księdzem, powiedziałby raczej "własny brzuch i własny

kutas". Ludźmi rządzą kutasy i to doprowadza ich do zguby. Człowiek powinien myśleć głową, a nie kutasem. Zanim

wsadzi go w jakieś nieodpowiednie miejsce, powinien najpierw pomyśleć, co z tego wyniknie. – Łatwo powiedzieć.

Roześmiał się.

–Zgadza się. – Spojrzał na swoje książki. – Czasami siedzę tutaj w nocy i przeglądam jedną z tych starych szkolnych książek.

Czasami myślę, że powinienem zostać księdzem. Tyle tylko, że sam rozumiesz... mój kutas. Ach, te kobiety! – dodał – Jezu Chryste, kobiety doprowadzają mnie do szaleństwa.

Pokiwałem współczująco głową.

–Nie jesteś w takim razie prawdziwym biskupem?

Roześmiał się ponownie i odłożył książkę na półkę.

–Nie. Mój wuj nazwał mnie biskupem, bo całą głowę miałem nafaszerowaną tymi historiami z La Salle. "To mój siostrzeniec, biskup", przedstawiał mnie swoim koleżkom. A potem kazał recytować coś po łacinie.

–Znasz łacinę?

–Nie. Pamiętam tylko kilka powiedzonek, których nauczyłem się na pamięć. – Podszedł do barku na kółkach, wziął z niego karafkę, dwa pękate kieliszki do brandy i postawił wszystko na stoliku. Usiadł i rozlał ciemną ciecz do kieliszków. – To grappa – powiedział. – Piłeś to kiedyś?

–Nie.

–Podobne do brandy, ale gorsze. – Uniósł w moją stronę kieliszek.

Podniosłem swój, tręciliśmy się i wlałem ciemną ciecz do gardła.

Powinienem był posłuchać zawołanego ostrzeżenia Bellarosy. Mogę wypić wszystko, ale to było coś innego. Poczułem, jak pali mnie w gardle, a potem podszedł mi do góry żołądek i bałem się, że wyrzygam do pudełka z cygarami cały podwieczorek. Załzawionymi oczyma spostrzegłem, że Bellarosa przygląda mi się bacznie przez brzeg kieliszka. Odchrząknąłem.

–Mamma mia...

–No właśnie. Popijaj to małymi łyчками.

Wypił do końca swoją grappę, nalał sobie kolejny kieliszek i podał mi butelkę.

–Nie, dziękuję.

Próbowałem złapać oddech, ale powietrze w pokoju było ciężkie od dymu. Odłożyłem cygaro, wstałem i wyszedłem na balkon.

Bellarosa dołączył do mnie z cygarem i kieliszkiem. – Ładny widok – zauważył.

Kiwnąłem głową wdychając czyste nocne powietrze. Mój żołądek wracał powoli na swoje miejsce.

–Co jest tam daleko? – wskazał cygarem Bellarosa. – W nocy nic tam nie widać. Wygląda jak pole golfowe.

–Zgadza się. Dokładnie jak pole golfowe. To "The Creek".

–Pryk?

–"The Creek". Miejscowy klub.

–Tak? Grają tam w golfa?

–Grają. Na polu golfowym.

–Ty też grasz?

–Trochę.

–Nie rozumiem, o co chodzi w tej grze. Co jest w niej takiego zabawnego?

–Kto powiedział, że jest w niej coś zabawnego? – odparłem po chwili namysłu. – Można tam również postrzelać do rzutków – dodałem. – Umiesz strzelać?

Roześmiał się.

Pomyślałem, że nadeszła właściwa pora, żeby Frank Bellarosa dowiedział się, że jestem prawdziwym mężczyzną.

–Całkiem nieźle strzelam z dubeltówki – oznajmiłem.

–Czyżby? Strzelałem raz kiedyś z dubeltówki.

–Do rzutków czy do ptaków?

–Do ptaków. Do kaczek – odparł po krótkim milczeniu. – Nie lubię dubeltówek – dodał.

–A inną broń? – zapytałem.

–Czemu nie. W mieście należę do klubu "Włoski Klub Strzelecki". To klub towarzyski. Pewnie o nim słyszałeś.

W istocie. Całkiem interesująca instytucja w dzielnicy Little Italy.

Niektórzy z jej członków nie oddali w życiu ani jednego strzału z broni sportowej, ale odwiedzali mieszczącą się w podziemiach strzelnicę, żeby wprawić się w" strzelaniu z pistoletu.

–Jaki masz typ strzelby? – zapytałem.

–Nie pamiętam.

16 – Złote Wybrzeże Próbowałem sobie przypomnieć, z jakiej broni został zabity kolumbijski handlarz narkotyków. Chyba z pistoletu. Zgadza się, pięć strzałów oddanych w głowę z bliskiej odległości.

–Lepiej się już czujesz? – zapytał.

–Tak.

–To dobrze.

Bellarosa łyknął trochę swojej grappy, zaciągnął się swoim przemyconym cygarem i potoczył okiem po swoim królestwie. Ponownie wskazał coś cygarem.

–Odkryłem tam fontannę – oznajmił – i statuę Neptuna. To właśnie tam ten facet tak strasznie wystraszył Annę. Widziałeś to miejsce?

–Tak. Zjeździłem całą tę posiadłość.

–Prawda. Wszystko tam poodnawiałem. Sadzawkę, fontannę i statuę. Postawiłem także posąg Najświętszej Pani i zamówiłem księdza, żeby to wszystko poświęcił. Powinieneś to widzieć.

–Ksiądz poświęcił statuę Neptuna?

–Pewnie. Czemu nie? Były tam też rzymskie ruiny. Popękane kolumny, wszystko porozwalane. Konserwator powiedział, że tak to właśnie zbudowano. To prawda?

–Tak.

–Dlaczego budowali ruiny?

–Taki był kiedyś zwyczaj.

–Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

–Może, żeby pamiętać, że nic nie trwa wiecznie – powiedziałem.

–Coś w rodzaju sic transit gloria mundi.

Popatrzyłem na niego.

–Tak. Zgadza się.

Pokiwał w zamyśleniu głową i zaciągnął się cygarem.

Podniosłem wzrok. Na idealnie bezchmurnym niebie świeciła połówka księżycy, a ciepła bryza znad cieśniny niosła ze sobą zapach morza i aromat majowych kwiatów. Co za noc.

Również Bellarosa najwyraźniej miał poczucie wyjątkowości tej chwili.

–Brooklyn – odezwał się. – Chromolę Brooklyn. Kiedy będę chciał się stąd wyrwać, pojedę do Włoch. Mam tam takie jedno miejsce, niedaleko Sorrento.

–Byłem w Sorrento. Gdzie jest to twoje miejsce?

•- Nie mogę powiedzieć. Rozumiesz? Może któregoś dnia będę musiał tam pojechać. Tylko pięć osób wie, gdzie to jest. Ja, moja żona i dzieciaki.

-Całkiem sprytnie.

-Tak. Trzeba myśleć o przyszłości. Ale na razie podoba mi się tutaj. Brooklyn się kończy.

Podobnie jak Złote Wybrzeże, ale z tego Frank Bellarosa nie zdawał sobie jeszcze sprawy. Nie rozumiał także, że to on sam się do tego przyczynił.

-Mieliśmy piękny stary dom w Brooklynie. Z fasadą z brązowego piaskowca. Pięć pięter. Ale przylegał do innych kamienic, a podwórko było za małe, żeby urządzić tam duży ogród. Zawsze chciałem mieć ziemię. Moi dziadkowie byli wieśniakami. To właśnie ich starą farmę kupiłem teraz od jej obecnych właścicieli. Pozwoliłem im dalej uprawiać ziemię nie biorąc za to ani centa. Zatrzymałem tylko budynek mieszkalny. Z czerwonym dachem, otynkowany na biało, tak jak ten tutaj. Ale mniejszy.

Przez moment obaj milczeliśmy.

-Macie tam u siebie całą świątynię – odezwał się. – Dominic powiedział, że mu ją pokazałeś. W środku stoi posąg Wenus.

-Zgadza się.

-Co wy jesteście, poganie?

-Czasami.

-No tak. Chciałbym sobie obejrzeć tę świątynię.

-Nie ma sprawy.

-Chciałbym również zobaczyć wnętrze rezydencji.

-Chcesz ją kupić?

-Być może.

-Kosztuje pół miliona.

-Wiem o tym. Mógłbyś zażądać więcej.

–Nie, nie mógłbym, ponieważ cena wynosi pół miliona. Za rezydencję wraz z otaczającymi ją dziesięcioma akrami.

–Tak? A co powiesz na kupno całej posiadłości?

–Cała posiadłość kosztuje dwadzieścia milionów.

–Madonna! Macie tam ropę?

–Nie, wyłącznie złotonośny piasek. Jego też dużo nie zostało.

Dlaczego chcesz kupić następną posiadłość?

Nie wiem... Może kazałbym wybudować tam domki. Mógłbym na tym zarobić?

–Prawdopodobnie. Pięć albo sześć milionów.

–Więc w czym tkwi problem?

–Musiałbyś uzyskać pozwolenie na podział posiadłości.

–Tak?Odkogo?

–Od ludzi taksujących tereny. Ale sąsiedzi i obrońcy środowiska pozwaliły cię do sądu.

Zamyślił się i wiedziałem, że stara się wyobrazić sobie, kogo trzeba opłacić, komu złożyć propozycję nie do odrzucenia, a kogo po prostu zastraszyć.

–Właścicielami posiadłości są rodzice mojej żony. Wiesz o tym?

–Tak.

–W jej skład nie wchodzi mój dom, a w kontrakcie zawarte jest zastrzeżenie, mówiące o tym, że mój dozorca i jego żona mają dożywotnie prawo użytkowania stróżówki. Ale posąg Wenus będzie twój, bez żadnych ograniczeń. Ma bardzo ładne cycki.

Roześmiał się.

–Słyszałem. Zastanowię się nad tym – dodał. – Świetnie. – Wyobraziłem sobie Williama Stanhope'a podpisującego kontrakt z szefem mafii i doszedłem do wniosku, że zająłbym się całą sprawą za darmo, aby tylko mieć przyjemność oglądania tej sceny. Chociaż prawdę mówiąc, nie zrobiłbym tego.

Wciąż przecież muszę tu mieszkać. William i Charlotte odwiedzają co jakiś czas swoich znajomych, biorą udział w miejscowych weselach, pogrzebach i podobnych imprezach. Zachowali członkostwo "The Creek" i zatrzymują się wówczas w jednym z należących do klubu domków gościnnych, przeznaczonych dla powracającej tu od czasu do czasu emerytowanej arystokracji. Gdyby jednak Frank Bellarosa zakupił Stanhope Hall, noga Williama i Charlotte nigdy by już nie powstała na Złotym Wybrzeżu. Spodobała mi się ta perspektywa, mimo obaw, iż zostanę okrążony przez mafiosów i zaopatrzonych w teleobiektywy agentów FBI.

–Jak odkryłeś Alhambrę? – zapytałem Bellarosę.

**–Zabłądziłem. – Roześmiał się. – Jechałem autostradą do restauracji w Glen Cove.
Miałem się tam spotkać z jednym facetem.**

Mój durny kierowca zjechał z autostrady nie tam, gdzie trzeba,

i kręciliśmy się w kółko próbując znaleźć Glen Cove. Przyglądałem się po drodze wszystkim tym rezydencjom, aż dojechaliśmy tutaj i zacząłem tracić cierpliwość. Ale wtedy minąłem bramę do twojej posiadłości i powiedziałem temu palantowi, żeby zwolnił. A potem zobaczyłem ten dom. Przypomni mi te duże, położone nad samym morzem wille w Sorrento. No wiesz. Zorientowałem się, że nikt tutaj nie mieszka, i zaraz po lunchu pojechałem do biura sprzedaży nieruchomości. Nie potrafiłem wytłumaczyć, gdzie to jest, ale opisałem, jak wygląda.

I wiesz co? Cały tydzień czekałem, aż odezwie się do mnie ta durna facetka. Przesłała mi fotografię. "Czy to ten dom?" Zgadza się, więc dzwonię do niej. Ile? Mówi mi. Posiadłość należy do banku, a poza tym trzeba coś odpalić urzędowi podatkowemu, czy coś w tym rodzaju. Bank chce się tego po prostu pozbyć za pół ceny. Więc zapłaciłem bankowi, zapłaciłem podatki i jeszcze coś jakimś ludziom o nazwisku Barrett. Wydałem na wszystko coś koło dziesięciu balonów.

Madonna mia. Ale lubię topole. A potem przywiozłem tutaj moją żonę, ale jej wcale się nie spodobało. Jezu Chryste...

–Mówisz, że kupiłeś ten dom, nie pokazując go przedtem żonie?

–Zgadza się. Mówię jej na to: "Mnie się tu podoba, więc ty też postaraj się lepiej polubić to miejsce". Ale ona swoje: "Tu są same gruzy, Frank! Tu jest ohydnie, Frank!" Durne baby nie potrafią sobie wyobrazić, co można zrobić z takim miejscem, kiedy ma się trochę szmalu. Racja? No więc sprowadziłem makaroniarzy, zapierdalali całą zimę, a potem znowu przywiozłem tutaj Annę. Przez całą drogę płakała. Myślałem, że jak zobaczy to wszystko, zaraz przestanie. Ale nie, wciąż nienawidzi tego miejsca. Za daleko stąd do jej zwariowanej mamuśki i zwariowanych siostrzyczek. "Gdzie tu są sklepy, Frank?

Gdzie tu są ludzie?" Bla, bla, bla. Chromolę sklepy. Chromolę ludzi.

Dobrze mówię? – Spojrzał na mnie. – Dobrze mówię?

–Dobrze. Pies im mordę lizał.

–Dobrze. – Wypił do końca grappę, zaciągnął się cygarem, po czym strząsnął popiół przez balustradę. – Madonna, te kobiety doprowadzają człowieka do szaleństwa. Tęskni za swoim kościołem.

Tam chodziła do kościoła trzy, cztery razy w tygodniu i gadała z księżmi. Wszyscy byli Włochami. Niektórzy przyjechali z tamtej strony. Tutejszy kościół jest bardzo ładny. Byłem w nim kilka razy.

Pod wezwaniem Najświętszej Panny. Wiesz, gdzie to jest? Ale księża

to sami Irlandczycy i jeden Polak, i ona nie chce z nimi gadać.

Uwierzysz w takie brednie? Na rany Chrystusa, ksiądz to przecież ksiądz. Dobrze mówię?

–No cóż...

–Więc chcę po prostu, żeby Susan pokazała Annie, jak się tutaj żyje. No wiesz. Zabrała ją ze sobą, przedstawiła ludziom. A ty możesz mi pokazać ten klub. "The Creek". Może tam się zapiszę, jak mi się spodoba. Żołądek znów podniósł mi się do gardła.

–Nie wiem... – powiedziałem.

–W porządku. Wszystko wymaga czasu. Porozmawiasz z Susan.

Przyszedł mi do głowy złośliwy pomysł.

–Susan należy do "Towarzystwa Miłośników Altanek". Może zabrać Annę na następne spotkanie.

–Co to za towarzystwo, do diabła?

Trafne pytanie, Frank. Opowiedziałem mu o wiktoriańskich strojach i o piknikach.

–Nie rozumiem.

–Ja też. Pozwólmy Susan wyjaśnić to Annie.

–Dobra. Zobacz, co tam mam na dole. – Wskazał czubkiem cygara.

Spojrzałem na rozległe hiszpańskie patio, oświetlone bursztynowymi lampami.

–Widzisz? Tam, obok grilla? To piec do pizzy. Kazałem go zbudować. Mogę tu sobie teraz upiec pizzę. Mogę upiec ziti, mogę coś podgrzać. Jak ci się podoba?

–Bardzo praktyczny.

–No pewnie.

Popatrzyłem na Bellarosę. Postawił kieliszek na skraju balustrady i zgasił cygaro. Skrzyżował ręce na piersi i przyglądał się rozległemu patio, nie ustępującemu wielkością miejskiemu placowi. Spostrzegł, że go obserwuję, i roześmiał się.

–Zgadza się. Właśnie tak. – Wysunął do przodu podbródek całkiem nieźle parodiując Mussoliniego. Spojrzał na mnie. – Czy nie to chodzi ci po głowie? Frankowi Bellarosi wydaje się, że jest // Duce.

Zgadza się?

–Bez komentarza.

Wsadził ręce do kieszeni.

–Wiesz co, każdy Włoch chciałby zostać // Duce, Cezarem, szefem. Żaden nie ma ochoty podlegać komuś innemu. Dlatego Włochy to taki pierdolony kraj i dlatego ludzie tacy jak ja trzymają przy sobie kogoś takiego jak Anthony. Bo każdy makaroniarz z kawałkiem gnata, zapiekłą urazą i ambicją za pięćdziesiąt centów chce obalić Cezara. Capisce?

–Ufasz Anthony'emu?

–Nie. Nie ufam nikomu spoza rodziny. Nie ufam swoim paesanos.

Możliwe, że ufam tobie.* – I dobrze śpisz w nocy?

–Jak niemowlę. Mówiłem ci już, nikomu z nas nie przydarzył się wypadek we własnym domu.

–Ale mimo to nosisz przy sobie broń.

Kiwnął głową.

–No tak. – Przez chwilę milczał. – Mam ostatnio trochę kłopotów – oznajmił. – Muszę się zabezpieczyć. Muszę sprawić sobie system wczesnego ostrzegania.

–Przecież dopiero co powiedziałaś, że dom to dla was świętość.

–No tak. Ale pojawili się teraz Latynosi, pojawili się Jamajczycy, Azjaci. Muszą się dopiero nauczyć reguł gry. Muszą się przekonać, że ten, kto przyjechał do Rzymu, powinien zachowywać się jak Rzymianin. Kto to powiedział? Święty Augustyn? – Święty Ambroży.

Spojrzał na mnie i nasze oczy się spotkały. Nagle zdałem sobie sprawę, że stoi przede mną człowiek, który wpadł w poważne tarapaty.

–Wejźmy do środka – powiedział. Wszedł do biblioteki i usiadł na krześle. Kiedy siadałem naprzeciwko niego, nalał sobie kolejny kieliszek grappy.

Rzuciłem okiem na stojące za nim na półce szkolne lektury. Nie mogłem odczytać tytułów, ale byłem pewien, że znajdują się tam dzieła największych myślicieli, filozofów i teologów Zachodu i że ich słowa zostały kiedyś wchłonięte przez młody, wrażliwy umysł Franka Bellarosy. Ale najwyraźniej nie trafiło do niego ich główne przesłanie, przesłanie, w którym mowa była o Bogu, cywilizacji i humanizmie.

Albo, co jeszcze gorsze, zrozumiał je, a mimo to z całą premedytacją

wybrał zło, podobnie jak to miał zamiar zrobić jego syn. Było to skrajnie przygnębiające.

–No cóż – odezwałem się. – Dziękuję za drinka. – Spojrzałem na zegarek.

Nie wydawał się mnie w ogóle słyszeć. Odchylił się do tyłu i popijał grappę.

–Czytałeś pewnie w gazetach, że zabiłem faceta. Kolumbijskiego handlarza narkotyków.

To nie była już normalna rozmowa, którą prowadzi się na Złotym Wybrzeżu przy brandy i cygarach. Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć.

–Tak, czytałem – odparłem w końcu. – Gazety zrobiły z ciebie bohatera.

–To tylko świadczy o tym, jacy wszyscy jesteśmy pierdolnięci.

Zostałem pierdolonym bohaterem. Zgadza się? Nie jestem taki głupi, żeby o tym nie wiedzieć.

Rzeczywiście nie był. Wywarło to na mnie pewne wrażenie.

–Ludzie w tym kraju coraz bardziej się boją. Chcą, żeby przyszedł facet z rewolwerem i nareszcie zrobił z tym wszystkim porządek. Ale ja nie będę wykonywać za rząd jego roboty.

Kiwnąłem głową. Dokładnie to samo oznajmiłem panu Mancuso.

–Frank Bellarosa pracuje dla Franka Bellarosy – dodał mój rozmówca. – Frank Bellarosa musi dbać o swoją rodzinę i o swoich przyjaciół. Nie chcę, żeby ktoś myślał, że stanowią część rozwiązania.

Ja jestem częścią problemu. Nigdy nie wolno ci myśleć inaczej.

–Nigdy nie myślałem inaczej.

–To dobrze. W takim razie idziemy równym krokiem.

–Ale dokąd zmierzamy?

–Kto to może wiedzieć?

Podniosłem kieliszek i łyknąłem trochę grappy. Jej smak ani trochę się nie

polepszył.

–Alphonse Ferragamo wcale nie uważa cię za bohatera.

–Nie. Ten sukinsyn zawział się na mnie.

–Może zakłócasz mu spokój. Jako Amerykanin włoskiego pochodzenia.

Bellarosa uśmiechnął się.

–Myślisz, że to o to chodzi? Nieprawda. Musisz się jeszcze wiele

dowiedzieć na temat Włochów, mój przyjacielu. Alphonse Ferragamo ma do mnie osobistą urazę. To vendetta.

–Z jakiego powodu?

–Powiem ci – odparł po krótkim namyśle. – Kiedyś w sądzie zrobiłem z niego głupka. To znaczy nie ja osobiście, lecz mój adwokat.

Ale to żadna różnica. To było siedem, osiem lat temu. Ferragamo był oskarżycielem w mojej sprawie. Zarzuty były wyssane z palca, nic nie trzymało się tam kupy. Mój adwokat, Jack Weinstein, ośmieszył go przed sędziami przysięgłymi i wtedy jaja Alphonse'a skurczyły się do rozmiarów niedole – laskowych orzechów. Powiedziałem Weinsteinowi, że spierdolił sprawę. Włochowi nie robi się czegoś takiego publicznie. Wiedziałem, że kiedyś jeszcze usłyszę o Alphonse. A teraz ten dupek został prokuratorem okręgowym południowego Nowego Jorku i mam do wyboru albo ułożyć sobie z nim jakoś stosunki, albo się stąd wynieść.

–Rozumiem.

A ja przez cały czas uważałem Alphonse'a Ferragamo za oddanego sprawie funkcjonariusza publicznego. Prawdę mówiąc, nie do końca chciało mi się wierzyć w to, co mówił Bellarosa o motywach prokuratora.

–Muszę jutro rano wcześniej wstać – oznajmiłem dochodząc do wniosku, że dosyć już usłyszałem.

Bellarosa zignorował to.

–Ferragamo nie potrafił znaleźć na mnie haka – powiedział – więc opowiedział pismakom, że kropnąłem tego Kolumbijczyka, Juana Carranzę.

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

–Naprawdę nie mogę uwierzyć, żeby prokurator okręgowy chciał cię zrobić w morderstwo.

Uśmiechnął się do mnie, jakbym okazał się wyjątkowo naiwny.

–On wcale nie chce mnie zrobić. Naprawdę musisz się jeszcze dużo nauczyć, mecenasie.

–Czyżby?

–Pewnie. Ferragamo chce na mnie napuścić Kolumbijczyków.

Capisce? Chce, żeby wykonali za niego brudną robotę.

Podniosłem się z krzesła. – Żeby cię zabili?

–A coś ty myślał? Jasne.

W to jeszcze trudniej było mi uwierzyć.

–Twierdzisz, że prokurator okręgowy knuje spisek na twoje życie? – zapytałem.

–Jasne. Nie wierzysz w to? Jesteś skaut czy co? Salutujesz codziennie rano przed amerykańską flagą? Dużo jeszcze musicie się tutaj nauczyć.

Nie odpowiedziałem.

Bellarosa pochylił się ku mnie.

–Alphonse Ferragamo chce mojej śmierci. Nie chce, żebym znowu pojawił się w sądzie. Zrobiłem z niego idiotę, kmiotka. Capisce?

Przez osiem pierdolonych lat wszystko się w nim gotowało i przez osiem pierdolonych lat czekał na okazję, żeby wyrównać ze mną rachunki. Jeśli teraz załatwią mnie Kolumbijczycy, Ferragamo nie spocznie, póki wszyscy na ulicy nie dowiedzą się, że stał za tym właśnie on. Wtedy dopiero będzie szczęśliwy. Wtedy odrosną mu jaja. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Rozumiesz?

Potrząsnąłem głową.

–Nie wszyscy rozumują tak jak ty. Dlaczego nie chcesz uznać, że facet wykonuje po prostu swoją robotę? Jest przekonany, że kogoś zabiłeś.

–Brednie. – Odchylił się do tyłu i zakołysał kieliszkiem.

–Muszę już iść.

–Nie. Siedź i słuchaj.

–Proszę?

Wlepił we mnie oczy, a ja nie spuściłem wzroku. Przez sekundę albo dwie zobaczyłem nareszcie prawdziwego Dona. Ale potem znowu siedział przede mną poczciwy Frank. To musiało być chyba tylko przywidzenie.

–Pozwól, że skończę, mecenasie. Dobrze? Nieglupi z ciebie facet, ale nie znasz faktów. Jeśli naprawdę uważasz, że załatwiłem tego Kolumbijczyka, nie dbam o to. Ale na każdą sprawę można spojrzeć z kilku punktów widzenia. Nieglupi facet, taki jak ty, patrzy na nią z dwóch albo trzech. Ale ja pokażę ci całą rzecz jeszcze z innej

strony i dzięki temu wyjdiesz stąd jako lepszy obywatel. – Uśmiechnął się. – W porządku?

Kiwnąłem głową.

–W porządku. Te dupki w Waszyngtonie wiedziały dobrze, co robią, kiedy mianowały tutaj Alphonse'a Ferragamo prokuratorem okręgowym. Wszystko to sobie zgrabnie wymyślili ci cwaniacy z departamentu sprawiedliwości. Chcą, żeby najpierw Kolumbijczycy załatwili mnie, a potem moi przyjaciele Kolumbijczyków! A przez cały ten czas przedsiębiorcy pogrzebowi i agenci federalni będą zacierali ręczki z radości. Nie uszczęśliwi to tylko czarnuchów, bo będą musieli z powrotem zalewać się tanim wińskiem. Ponieważ kiedy przybywa klientów w parku sztywnych, ubywa białego proszku. Kapujesz?

Krępujesz się tego słuchać?

–Nie...

–Więc kiedy następnym razem będziesz rozmawiał z Mancuso, przekaż mu to, co ode mnie usłyszałeś. Jak na gliniarza, Mancuso jest całkiem porządnym facetem. Osobiście nie ma nic przeciwko mnie i ja nie mam nic przeciwko niemu. Traktujemy się wzajemnie z szacunkiem.

Mancuso wierzy w prawo. Szanuję go za to, chociaż uważam, że to głupota. On nie chce, żeby na ulicach rozpętała się strzelanina. To bardzo odpowiedzialny facet.

–Chcesz, żebym przekazał Mancuso treść naszej rozmowy?

–Pewnie. Czemu nie? Niech idzie do Ferragamo i powie mu, że Bellarosa przejrzał całą jego grę.

–Naczytałeś się za dużo Machiavellego.

–Tak sądzisz?

–Czyżbyś sugerował, że nie tylko Ferragamo, ale również prokurator generalny Stanów Zjednoczonych i departament sprawiedliwości w Waszyngtonie knują spisek, aby doprowadzić do twojej śmierci i w następstwie tego rozpętać wojnę gangów?

–Pewnie. A dlaczego, twoim zdaniem, Alphonse wciąż prowadzi to dochodzenie? Przecież jasne jest, że w sprawie Carranzy ma gówna dowody. Skoro faceci z departamentu sprawiedliwości nie odebrali mu sprawy ani nie powiedzieli, żeby wziął na wstrzymanie, w takim razie grają tymi samymi kartami. Zgadza się?

–Twoja logika...

–A kiedy dwaj najsilniejsi rzucą się na siebie, federalni zaopiekują się Jamajczykami

i innymi melanzane. Potem zabiorą się za Azjatów.

Divide et impera. Zgadza się?

Wzruszyłem ramionami.

–Zajmuję się transakcjami sprzedaży domów.

–No tak. Powiedzmy, że kupiłeś to, co powiedziałem. I jak się w związku z tym czujesz jako porządny obywatel?

Prawdę mówiąc, przygnębiała mnie myśl, że działające w tym kraju siły prawa i porządku są do tego stopnia zdesperowane, że aby pozbyć się Bellarosy, muszą zniżyć się do jego poziomu.

–Jako porządny obywatel – powiedziałem głośno – czuję się oburzony tym, że rząd zamierza sprowokować niebezpieczną wojnę gangów.

–No pewnie. Ale sam pomysł chyba ci się podoba. Prawda?

Latynosi i makaroniarze nawzajem wykluczający się z gry?

–Nie.

–Chrzanisz.

–Bez komentarza. Dlaczego jeśli wierzysz w to, co mówisz, nie pójdziesz z tym do gazet? – zapytałem.

Roześmiał się.

–Już pędzę.

–Z pewnością by to wydrukowali.

–Pewnie, możesz w to nie wątpić. Wydrukowaliby nawet, gdybym pierdnął. Ale w mojej profesji nie chodzi się do pismaków, żeby opowiadać im o swoich problemach. Kiedy zaczniesz kłapać dziobem przed prasą, wystawiasz do wiatru wszystkich, łącznie z twoimi przyjaciółmi, którzy nigdy publicznie nie przyznali, że istnieje coś takiego jak mafia. Opowiedz pismakom o swoich wrogach, a zabiją cię twoi przyjaciele.

–Dlaczego więc mówisz o tym mnie?

–Bo jesteś prawnikiem.

–Nie jestem twoim prawnikiem. Zresztą, ty nie potrzebujesz prawnika. Potrzebni ci są goryle.

Albo psychiatra.

–Zgadza się. Ale potrzebna mi jest również rada kogoś z zewnątrz. Wysłuchałem swoich przyjaciół, swoich doradców, Jacka Weinsteina. Teraz chcę posłuchać kogoś, kto widzi sprawy inaczej niż ludzie, którzy mnie otaczają.

–Chcesz mojej rady? Proszę bardzo. Idź na emeryturę. Jedź do Sorrento.

–W tej profesji nie przechodzi się na emeryturę. Czy przeszedł

na emeryturę któryś z rzymskich cesarów? Nie można wyprostować spraw z ludźmi, których zrobiło się kiedyś na szaro, nie sposób wskrzesić tych, którzy zginęli, nie można pójść do władz, przeprosić i powiedzieć: "Przyjmijcie ode mnie wszystkie podatki, na które was orznołem i wszystkie firmy, które kupiłem za zarobione na lewo pieniądze". Nie można odwrócić się i odejść od tygrysa, bo rzuci się na ciebie i cię pożre. Trzeba stać przy nim i trzymać go na muszce.

–Nieprawda. Możesz pojechać do Sorrento.

Wzruszył ramionami. ^ Może po prostu lubię to, co robię. Lubię być czymś zajęty.

–Lubisz władzę.

–Pewnie. Sorrento zostawiam sobie na starość. Kiedy zmęczy mnie władza, interesy, kobiety. Mam jeszcze trochę czasu.

–Może już nie.

Spojrzał na mnie.

–Ja nie uciekam. Franka Bellarosy nie przepłoszy stąd kilku brudasów. Nie przepłoszą federalni. Capiście?

–Teraz tak.

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu. Miałem wrażenie, że czeka, żebym coś powiedział, żebym dał mu jakąś radę. W zawodzie adwokata porady to normalna rzecz, ale nie jestem skłonny udzielać ich za darmo, z czystej przyjaźni.

–Czy już skończyliśmy? – zapytałem.

–Prawie. Rzecz w tym, że Ferragamo nie może po prostu powiedzieć pismakom, że zamordowałem Juana Carranzę, i siedzieć dalej z założonymi rękoma. Dobrze mówię?

–Dobrze.

–Musi przedstawić wyniki dochodzenia ławie przysięgłych.

–Zgadza się.

–Zależy mi na tym, żebyś się tym zajął.

–Dlaczego miałbym reprezentować cię w sprawie kryminalnej, skoro nie chciałem zrobić tego przy podpisywaniu kontraktu?

–Ponieważ co innego pieniądze, a co innego sprawiedliwość.

Ostatnie słowo nie stanęło mu kością w gardle, ale ja o mało się nie zakrztusiłem.

–Nie zajmuję się sprawami kryminalnymi – oświadczyłem. – Nie mam do tego odpowiednich kwalifikacji.

–Założę się, że masz. Jesteś adwokatem.

–Jakie dowody Ferragamo ma zamiar przedstawić ławie przysięgłych, żeby ta postawiła cię w stan oskarżenia?

–Gówniane. Ale słyszałeś chyba to powiedzenie: "Nowojorska ława przysięgłych postawi w stan oskarżenia nawet sandwicza z szynką." – Tak, słyszałem.

Posiedzenia wstępne nowojorskich przysięgłych nie różnią się wiele od dawnych sądów kapturowych: dwudziestu trzech porządnych obywateli spotyka się na tajnej sesji, w której nie uczestniczy ani oskarżony, ani jego adwokat, i opierając się wyłącznie na dowodach dostarczonych przez prokuraturę, głosuje na ogół za postawieniem w stan oskarżenia. Nietrudno było zgadnąć, że taka właśnie decyzja zapadnie w przypadku Franka Bellarosy.

–Uważasz więc, że wszystkie te zarzuty to szykany ze strony Ferragamo?

–Jasne. Normalna ława przysięgłych nigdy mnie nie skaże, bo Ferragamo nie przedstawi jej żadnych poważnych dowodów. Dlatego Stany Zjednoczone nie wystąpią z oskarżeniem przeciwko Frankowi Bellarosie i w ogóle nie dojdzie do żadnego procesu. Ale w tym czasie Ferragamo zwoła konferencję prasową. Uwielbia urządzić te swoje pierdolone konferencje. Opowie wszystkim, że mafia wypowiedziała wojnę Kolumbijczykom i Jamajczykom. Bla bla bla. To bzdura.

Każdy działa na swoim terytorium. Potem powie: "Bellarosa osobiście załatwił Juana Carranzę, żeby dać Kolumbijczykom lekcję!" Rozumiesz? Wtedy wszyscy Kolumbijczycy zakrzykną wielkim głosem; oni są piekielnie czuli na punkcie honoru. Chryste, jeśli o to chodzi, są gorsi nawet od Włochów! Będą chcieli załatwić całą sprawę mano a mano: oko za oko, ząb za ząb. Carranza był u nich grubą szychą.

W porządku, więc teraz muszę również uważać na swoich własnych ludzi. Rozumiesz? Ponieważ żaden z nich nie chce krwawej łaźni i wszyscy są tłuści i miękcy. A Latynosi są wygłodniałi i twardzi.

Pojawili się niedawno i więcej z siebie dają. Nie urodzili się z głową na karku, ale mimo to udaje im się czasem coś załatwić. Ale to nic, za głupi są jeszcze, żeby dobrać mi się do skóry. Kapujesz? Więc co w takim razie zrobią? Pójdą do moich przyjaciół i powiedzą: "Słuchajcie, załatwmy to, zanim Frank stanie przed sądem, zanim ludzie

poczują się urażeni. Wszyscy mamy i tak dosyć problemów na głowie i nie potrzebujemy tego syfu z Bellarosą." A na to być może moi ludzie odpowiedzą: "W porządku, zajmiemy się Frankiem." Widzisz?

Te sukinsyny poświęcą mnie, żeby ratować własne tyłki. Chociaż wiedzą, że to wcale nie ja kropnąłem Carranzę.* Dziesięć, dwadzieścia lat temu każdy Włoch powiedziałby takiemu cwaniakowi: "Spierdalaj w podskokach. Zmykaj stąd, zanim wyrwę ci jaja i rzucę psom na pożarcie." Ale dzisiaj sprawy mają się inaczej. Żyjemy w całkiem nowym świecie. Rozumiesz?

Tak, to rozumiałem..Odkryłem teraz, że nawet mafia ma pewne kłopoty z przystosowaniem się do tego nowego Nowego Świata.

–To niezwykle fascynujące, Frank – powiedziałem. – I naprawdę nie widzę dla ciebie żadnego wyjścia.

Roześmiał się.

–Może coś wpadnie ci jednak do głowy. Potrzebny mi jest cieszący się powszechnym respektem adwokat, który porozmawiałby z Ferragamo. On stanowi klucz do tego wszystkiego. Powinien zwołać jedną z tych swoich konferencji i powiedzieć, że ma całkiem nowe dowody w sprawie Carranzy, albo że nie ma żadnych dowodów. Porozmawiaj z nim o tym.

–Ale może ja nie wierzę w twoją wersję wypadków.

–Uwierzysz. Przyjrzyj się tylko dokładnie Alphonse'owi po tym, jak powiesz mu, że wiem, co knuje.

Uprzytomniłem sobie, że Bellarosa jest człowiekiem, który wierzy we własne przecucia. Nie potrzebował na przykład niezbitych dowodów, żeby wydać rozkaz zabicia kogoś, kogo podejrzewał o nielojalność. Podobnie jak jakimś prymitywnemu sędziemu, wystarczyło mu uciekające w bok spojrzenie, niefortunne słowo lub zdanie.

W przypadku Alphonse'a Ferragamo, Frank najpierw ustalił motyw, a następnie uznał prokuratora winnym popełnienia przestępstwa. Nie podważam znaczenia instynktu – mam nadzieję, że pomaga mi w sądzie, a policja posługuje się nim codziennie na ulicy. Ale Frank Bellarosa, który dzięki swemu instynktowi zachował życie i wolność, zbyt mocno chyba uwierzył w swą zdolność wyczuwania szóstym zmysłem niebezpieczeństwa, odróżniania przyjaciół od wrogów i czytania w ludzkich sercach i umysłach. To był powód, dla którego tu siedziałem: Bellarosa przyjrzał mi

się uważnie i uznał, że jestem jego człowiekiem. Zastanawiałem się, czy miał rację.

–Prokurator generalny stanu Nowy Jork, Lowenstein, nie chce w ogóle wszczynać tego dochodzenia. Słyszałem od ludzi, którzy są blisko niego, że uważa je za stek bzdur. Co ci to mówi, mecenasie?

–Nie wiem i nadal nie zamierzam zajmować się sprawami kryminalnymi.

–Słuchaj, mógłbyś się nieźle zabawić. Zastanów się nad tym.

–Zastanowię się.

–Dobrze. – Odchylił się do tyłu. – W przyszłym tygodniu zawieram ten kontrakt na kupno nieruchomości. Poszedłem z tym do tej firmy w Glen Cove, którą mi poleciłeś. Dali mi faceta o nazwisku Torrance. Znasz go? Jest dobry?

–Tak.

–To dobrze. Nie chcę żadnych komplikacji.

–Sprzedaż nieruchomości jest bardzo prosta, jeśli zwraca się uwagę na szczegóły.

–W takim razie to ty powinieneś był się tym zająć, mecenasie.

Popatrzyłem na Bellarosę. Nie potrafiłem powiedzieć, czy był na mnie zły, czy po prostu brał mnie za głupca.

–Mówiliśmy już na ten temat – powiedziałem.

–Zgadza się. Ale chcę, żebyś wiedział, że jesteś pierwszym facetem, który odmówił przyjęcia ode mnie takiej kupy szmalu.

–To przykre.

–Czyżby? W porządku, ludzie nie chcieli czasem przyjąć ode mnie ordynarnych łapówek. Ale nigdy legalnego honorarium. W tym przypadku wszystko było zgodne z prawem.

–Tę sprawę także już przedyskutowaliśmy.

–No tak. Co się tyczy tego oskarżenia, to wiem, że nie jesteś łasy na pieniądze, ale za samą rozmowę z Ferragamo dostaniesz równo pół setki. I następne pięćdziesiąt, jeśli nie dojdzie do rozprawy.

–Gdybym zajął się sprawą kryminalną, moje honorarium wynosi trzysta dolarów za

godzinę. Dwa razy tyle za pracę w sądzie. Nie przyjmuję żadnej premii, jeśli zostaniesz zwolniony albo uniewinniony, ale nie oddaję też forsy z powrotem, jeśli cię wsadzą.

Bellarosa uśmiechnął się do mnie, ale nie był to miły uśmiech.

–Wiesz, co ci powiem? Niektóre z twoich dowcipów są śmieszne, niektóre nie.

–Wiem o tym.

–Jesteś facetem z jajami.

–O tym wiem także.

Kiwnął głową.

–Zbyt wielu kręci się wokół mnie facetów, którzy liżą mi dupę.

Każdy z nich mógłby wbić mi nóż w plecy.* – Współczuję ci.

–Nie musisz. Takie jest życie.

–Nieprawda.

–Takie jest moje życie. Ale mam również ludzi, którzy mnie szanują. Ludzi, którzy nie liżą mi dupy, ale całują mnie w rękę.

–Czy ktoś cię lubi?

Uśmiechnął się.

–Sram na to. – • Zastanów się nad tym, Frank.

Spojrzał na mnie.

–Powiem ci co innego. Twierdzisz, że mieszkacie tutaj od trzystu lat. Prawda? I każdego, kto wprowadził się tu po was, uważacie za nieproszonego gościa albo kogoś w tym rodzaju. Ale moja rodzina od tysiąca lat mieszka w tym miasteczku niedaleko Sorrento. A być może nawet od dwóch tysięcy lat, od czasów rzymskich. I całkiem możliwe, że ktoś z mojej rodziny był rzymskim legionistą, który wkroczył do Anglii i zastał twoich przodków siedzących w lepiankach i odzianych w skóry. Capiście?

–Znam historię wystarczająco dobrze, żeby docenić znaczenie cywilizacji włoskiej i możesz być dumny z takiego dziedzictwa. Ale w tej chwili dyskutujemy o mafii, a ta nie stanowi bynajmniej największego wkładu, wniesionego przez cywilizację włoską do kultury Zachodu.

–To kwestia opinii.

–Taka jest opinia większości ludzi.

Przez dłuższą chwilę Bellarosa wydawał się zatopiony w myślach.

–W porządku – powiedział w końcu. – A teraz, mecenasie, pora, żebyś przestał bawić się ze mną w chowanego i podjął w końcu męską decyzję. Możesz wstać, odwrócić się, wyjść tymi drzwiami i zabrać swoją żonę do domu. Zaręczam ci, że nigdy więcej o mnie nie usłyszysz. Albo możesz się ze mną napić.

No tak. Powinienem teraz wstać i wyjść. Dlaczego w takim razie

17 – Złote Wybrzeże wciąż tam siedziałem? Przez chwilę przyglądałem się Frankowi Bellarosi. Czego dowiedziałem się o nim w ciągu kilku ostatnich godzin?

Cóż, był nie tylko niegłupi, ale także o wiele bardziej skomplikowany, niż mogłem to sobie wcześniej wyobrazić. Powinienem również zwrócić honor Susan – jej pierwsze wrażenie okazało się trafne: Bellarosa był interesujący. Możliwe, że ofiarowywała mi go w prezencie: uosabiał stojące przede mną wyzwanie. Uniosłem kieliszek.

–Z czego to się robi?

–Z winogron. Mówiłem ci, to coś w rodzaju brandy.

Trąciliśmy się kieliszkami i wypiliśmy.

Bellarosa wstał.

–Chodźmy poszukać kobiet – powiedział.

Rozdział 17

Wyszliśmy z biblioteki.

–Dlaczego nie pójdziesz do Kolumbijczyków – zapytałem, kiedy okrążaliśmy krużganek – i nie powiesz im, że Alphonse usiłuje cię zrobić?

–Cezar nie chodzi do zasranych barbarzyńców i nie tłumaczy im się ze swojego postępowania. Pies im mordę lizał.

Spostrzegłem, że moja prostoduszna anglosaska logika nie była bynajmniej tym, czego wymagała sytuacja.

–Rzymski cesarz – brnąłem jednak dalej – udał się jednak na spotkanie z wodzem Hunów, Attylą, żeby zawrzeć pokój.

–Tak. Wiem o tym. – Zaczęliśmy schodzić w dół kręconymi schodami. – I co mu z tego przyszło? Zrobił tylko złe wrażenie, a Rzym i tak został zaatakowany. Zrozum, kiedy ludzie chcą cię pozbawić jaj, mówią ci, że je masz. A kiedy uznają, że ich nie masz, traktują cię jak kobietę. Równio dobrze mógłbyś być już trupem.

–Rozumiem. – Moja pierwsza rada w charakterze consigliere najwyraźniej nie była udana. – Ale Ferragamo na to właśnie liczy.

Wie, że nie pójdziesz do Kolumbijczyków.

-To prawda. Tylko inny makaroniarz potrafi to zrozumieć.

-No więc? Jeśli nie chcesz spotkać się z Kolumbijczykami osobiście, wyślij do nich kogoś.

Byle nie mnie.

-To by było to samo. Zapomnij o tym.

Przeszliśmy przez palmiarnię. Całą tę sprawę traktowałem jako

wyzwanie intelektualne i choćby z tego powodu chciałem znaleźć jakieś rozwiązanie. Ale uświadomiłem sobie również, że moje zainteresowanie jego problemami nie wynikało wyłącznie z faktu, że lubiłem łamigłówki.

–Każ w takim razie, żeby Kolumbijczycy przyszli do ciebie. / Zażądaj spotkania na własnych warunkach.

Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

–Tak mówisz? Może by i przyszli. Ale jakkolwiek byś na to patrzył, to ja musiałbym ich prosić o zawieszenie broni. Pies im mordę lizał. Jeśli uważają, że są dość mocni, żeby mnie załatwić, niech spróbują. Może trzeba im udzielić lekcji szacunku.

Mamma mia, z tego faceta był prawdziwy twardziel. Przypomniałem sobie, co powiedział w moim gabinecie. Życie to wojna. I co powiedział dziś w pokoju porannym. Włosi nie potrafią pójść na kompromis.

Właściwie nie powinno się do tego nic dodawać. Ale ja miałem jeszcze ostatnią propozycję.

–Więc znajdź faceta, który zabił Carranzę, i dostarcz go prokuratorowi Lowensteinowi.

–Nie będę wykonywał roboty za gliniarzy.

–Więc dostarcz go Kolumbijczykowi. – Sam nie mogłem uwierzyć, że to mówię.

–Nie mogę tego zrobić.

–Dlaczego?

–Bo ja wiem, kto zabił Carranzę. Zabili go gliniarze. Pierdoleni gliniarze z Agencji do Zwalczenia Narkotyków. Załatwili go pięcioma strzałami w głowę – jak to się mówi, w stylu mafii.

–Skąd o tym wiesz?

–Znam facetów, którzy to zrobili. I nie zdarzyło się to wcale podczas akcji, jeśli wyobrażasz sobie przypadkiem, że to porządni policjanci. Nie była to też vendetta za gliniarza z Agencji, którego zaciukano w Kolumbii. Załatwili Carranzę, bo kantował ich w interesach.

Boże, to było naprawdę przygnębiające. W jakim świecie żył ten człowiek. Tutaj, w

samym środku Ameryki. Oczywiście czytałem coś niecoś na ten temat. Ale to nie to samo, co usłyszeć na własne uszy.

–Dlaczego Kolumbijczycy nic o tym nie wiedzą? – zapytałem.

–Bo są głupi. Nie mają żadnych kontaktów, nie mają żadnych

informatorów. Parszywi, wyjęci spod prawa głupcy. Ja mam informatorów wszędzie: w prasie, w policji, wśród polityków i w sądzie. – Bellarosa zatrzymał się i oparł mi rękę na ramieniu. – Ta rzecz, którą rząd nazywa mafią... Sycylijscy, neapolitańscy... siedzimy tu w Ameryce od stu lat. Chryste, my przecież stanowimy już część establishmentu. Dlatego właśnie staliśmy się łatwym celem dla tych dupków z departamentu sprawiedliwości. Ale coś ci powiem. W porównaniu z facetami, którzy pojawili się dzisiaj, my jesteśmy jeszcze całkiem sympatyczni. Przestrzegamy pierdolonych reguł. Nie strzelamy do gliniarzy, nie strzelamy do sędziów, nie wdzieramy się do domów i nie masakrujemy rodzin. Opłacamy, kogo trzeba, chodzimy do kościoła i zamawiamy msze. Jeśli prowadzisz ten cały interes we właściwy sposób, nie musisz się wcale ubrudzić. A ci twoi Latynosi i melanzane z wysp? Z byle powodu wyciągają pukawkę. Połowa tych dupków naćpana jest świństwem, które sprzedają. Ale czy Ferragamo ściga tych niebezpiecznych ludzi, tych pomyleńców? Nie. Ten gnojek marnuje cenny czas i pieniądze podatników uganiając się za swoimi ziomkami, bo łatwiej mu ich podejść, bo ich rozumie. A jaki jest ambitny. Chce wyrobić sobie nazwisko. Capiście? I wie, że nikt go nie kropnie. Czy z punktu widzenia obywateli, z punktu widzenia podatników, Ferragamo właściwie wykonuje swoją robotę? Nie. Dobra, pies mu mordę lizał. Może któregoś dnia poderżnie mu gardło jakiś melanzane, żeby ukraść zegarek. Tymczasem dalej będziemy robić swoje, jakby nic złego się nie stało. Niech on albo Kolumbijscy wykonają pierwszy ruch. Dobrze mówię?

–Masz absolutną rację.

–Dobrze. Wracajmy do kobiet.

Wziął mnie pod ramię i poprowadził do salonu.

Pokój mierzył mniej więcej osiemdziesiąt stóp długości i czterdzieści szerokości. Miał belkowany sufit jak w katedrze oraz okna zwieńczone łukami. Ściany pokrywał biały tynk. Jak na salon, pokój ten był po prostu za duży, nawet w tak ogromnym domu. Musiała tu być niegdyś sala balowa. W przeciwległym rogu stało kilka krzesel. Siedzące tam Susan i Anna sprawiały wrażenie bardzo samotnych i filigranowych.

Bellarosa i ja przebyliśmy osiemdziesiąt stóp, które dzieliły nas od mebli. Pamiętałem, żeby założyć z powrotem okulary, i usiąść, zanim zdąży powiedzieć: siadaj. Bellarosa pozostał w pozycji stojącej.

–Dom jest piękny – zwróciła się do niego Susan.

–Jasne – odparł z uśmiechem nasz gospodarz.

–O czym rozmawialiście przez cały ten czas? – zapytała nas obu.

–O Machiavellim- odparłem.

Uśmiechnęła się do Bellarosy.

–John nie jest wielkim gadułą, ale potrafi słuchać.

–Twój mąż to niegłupi facet.

Susan pokraśniała z dumy. Nie, właściwie wcale nie pokraśniała, założyła tylko nogę na nogę i odchyliła się do tyłu.

–Susan zna ludzi, którzy tu przedtem mieszkali – poinformowała swego pana i władcę Anna. – Barrettów. Susan spała tutaj czasami w pokoju gościnnym.

Bellarosa uśmiechnął się do mojej żony.

–Należy do ciebie, jeśli kiedykolwiek pokłócisz się z mężem.

Susan uśmiechnęła się w odpowiedzi. Dlaczego ja się nie uśmiechałem?

–Susan – ciągnęła dalej Anna – zna historię tego domu. Ta kobieta z biura nieruchomości wcale nie kłamała mówiąc, że mieszkali tutaj Vanderbiltowie.

–Ale oszukała nas w sprawie instalacji – odparł Bellarosa.

Anna dowiedziała się czegoś więcej.

–To nie jest wcale salon, Frank – powiedziała.

–Jezu Chryste.

–To sala balowa. – Że co?

–A pokój, w którym postawiliśmy telewizor, to palarnia. – Spojrzała na Susan. – Powiedz mu, co to jest.

–To pokój – wyjaśniła Susan – do którego przechodzą goście po kolacji. Ale można tam również oglądać telewizję.

Uspokoiwszy w ten sposób naszych gospodarzy, Susan udzieliła im błyskawicznego wykładu na temat wnętrz pałacowych. Uczyniła to taktownie i dowcipnie, dając do zrozumienia, że wszystkie te informacje nie mają w gruncie rzeczy większego znaczenia. Najwyraźniej wcale jej nie zależało, by Bellarosowie poczuli się ordynarnymi półgłówkami, którzy nie powinni sprowadzać się do domu, w którym nie potrafią rozpoznać przeznaczenia wnętrz. To była zupełnie nowa Susan.

Przez ten czas starałem się dojść, jakim cudem wieczór, który

rozpocząłem w irlandzkim pubie, kończę jako członek rodziny Bellarosów. Najwyraźniej nic z tego nie wydarzyło się w rzeczywistości.

Za chwilę obudzę się na stacji Locust Valley, wysiądę z pociągu i spróbuję zacząć wszystko od nowa. " – Chodź – zwrócił się Bellarosa do Susan. – Pokażę ci moją dumę i radość. Oranżerię.

Zaproszenie nie wydawało się obejmować mojej osoby, pozostałem więc tam, gdzie byłem. Lady Stanhope wstała i razem z Lordem Bellarosą wyszli z pokoju. Odwróciłem się do Anny i uśmiechnęliśmy się do siebie. • Pogroziła mi palcem.

–Ja ciebie skądś pamiętam.

–Może spotkaliśmy się w Plato's Retreat?

–Nie...

–Mam bardzo pospolitą twarz. A może widziałaś moje zdjęcie na poczcie albo w gazetach?

–Gazety zamieszczają twoje zdjęcie?

–Czasami, lokalne. W podobny sposób rozpoznałem twój męża – dodałem – kiedy po raz pierwszy zobaczyłem go osobiście.

Tyle razy widywałem go w telewizji i w gazetach, że miałem poczucie, iż dobrze go znam.

Wprawilo ją to w wyraźne zakłopotanie i trochę żałowałem, że to powiedziałem. Od tej pory powinienem uznać Annę Bellarosę za osobę neutralną i tak ją traktować – chyba że dojdę do wniosku, iż zmieniła się sytuacja.

–Możliwe, że ta przeprowadzka okaże się dla nas korzystna – powiedziała. – Może Frank pozna tutaj sympatycznych ludzi, takich jak ty i Susan. Nie podobają mi się niektóre osoby – ciągnęła dalej ściszym głosem – z którymi Frank musi prowadzić interesy.

Nie zdawała sobie sprawy, że mogę stać się jednym z nich, a mnie nie zdziwił wcale fakt, iż żona Franka Biskupa Bellarosy uważa go w gruncie rzeczy za dobrego człowieka, który potrzebuje tylko odpowiedniego towarzystwa, żeby wejść na ścieżkę zbawienia. Nic w jej otoczeniu nie wskazywało na to, jak wielkim łotrem, a być może również zwyczajnym łajdakiem jest jej mąż.

Po kilku minutach zdjęłem okulary i spojrzałem jej prosto w twarz nie przerywając rozmowy. Wahala się przez sekundę albo dwie i już

myślałem, że mnie sobie przypomniała. Lada chwila mogła zerwać się z krzesła i rzucić do ucieczki pokonując osiemdziesiąt dzielących ją od drzwi stóp. W końcu musiała jednak uznać świtające jej w głowie podejrzenie za zbyt absurdalne i trajkotała beztrosko dalej.

Zazwyczaj, pozostawiony w takiej sytuacji sam na sam z kobietą, zaczynam się do niej w umiarkowany sposób zalecać – z grzeczności, a także, aby udowodnić, że wciąż jeszcze coś czuję w miejscu, w którym kończy się moja oksfordzka koszula. Zdarzają się również przypadki, że flirtuję, ponieważ naprawdę odczuwam pożądanie. Przysięgłem sobie jednak, że skończę z wszelkimi flirtami, przynajmniej do czasu następnego Wielkiego Postu. A nawet gdybym nie przysięgał, nie miałem ochoty chędożyć żony Cezara. Biedna Anna, nikt się do niej prawdopodobnie nie zalecał od czasu, kiedy Frank sprawił sobie pierwszy pistolet. Wciąż jednak gapilem się na jej monumentalne cycki, a ona szeroko się do mnie uśmiechała.

Szczerze mówiąc, po rozmowie z Frankiem pogawędka z Anną trochę mnie usypiała. Była słodka, nawet nieco zabawna, ale jak na jedną noc miałem dosyć jej brooklyńskiej angielszczyzny. Chciałem wracać do domu.

Nagle Anna pochyliła się ku mnie i ponownie ściszyła głos.

–John?

–Tak, Anno?

–Chciałabym cię o coś spytać.

Górna część jej piżamy (na wypadek gdybym jeszcze o tym nie wspominał) była luźna i otwarta i kiedy się ku mnie pochyliła, chcąc nie chcąc ujrzałem miejsce, gdzie mieszkały te jej dwa olbrzymy.

Mamma mia, te cycki ważyły więcej niż cała Susan.

–John... to głupie pytanie, ale...

–Tak? – Staralem się patrzeć jej w oczy.

Jej dłoń powędrowała do dyndającego luźno nad piersiami krzyżyka. Ujęła go w palce.

–Pytałam już Susan i powiedziała, że nie... ale czy nie straszą tu przypadkiem jakieś duchy?

-Duchy?

-Tak, duchy. No wiesz. W tym domu. Opowiada się takie historie o różnych starych domach. Na przykład -w telewizji. – Wpatrywała się we mnie nie wypuszczając krzyżyka z palców.

–Aha. – Namyslałem się przez chwilę. W końcu przypomniałem sobie coś odpowiedniego. – No cóż – powiedziałem – jest jedna taka historia, ale nie warto jej powtarzać.

Dotknęła wolną dłonią mojej ręki.* – Opowiedz mi.

–No cóż... skoro nalegasz. Przed wielu laty mieszkała tutaj guwernantka, która opiekowała się dwojgiem dzieci Barrettów: Katie i Milesem. Guwernantka, atrakcyjna młoda dziewczyna, zaczęła podejrzewać, że w Katie wcielił się duch jej poprzedniczki, niejkiej panny Jessel...

–Och! – Anna ścisnęła mnie za rękę. – Nie!

–Tak. Co gorsza, Milesem zawładnął duch byłego rządcy, podłego osobnika o imieniu Peter.

Oczy Anny rozszerzyły się.

–Och, John! Czy sądzisz... że ten człowiek, którego widziałam... że to mógł być on?

Sam bym na to nie wpadł. Ale dlaczego nie? Lepiej, żeby to był on niż ja.

–No cóż, z tego, co wiem, Peter był mniej więcej w moim wieku i mojej budowy...

–O mój Boże!

–Może nie powinienem dalej opowiadać?

–Nie. Mów dalej. Muszę wiedzieć.

–W porządku. Opowiadano mi, że guwernantka dokonała straszliwego odkrycia. Przekonała się mianowicie, że nieżyjący rządcą, Peter, oraz nieżyjąca guwernantka, panna Jessel, kontynuują po śmierci łączący ich romans korzystając z cielesnej powłoki młodej siostry i brata. " – Nie! – Anna puściła moją rękę i szybko się przeżegnała, a potem oparła o krzesło. – W tym domu? Gdzie? W którym pokoju?

–No cóż... w pokoju gościnnym. Sądzę, że dosyć już powiedziałem – stwierdziłem nie chcąc, żeby zemdlą na moich rękach. – I nie wierzę w ani jedno słowo...

–Nie, John. Opowiedz mi wszystko. Opowiedz!

–Niektórzy ludzie – ciągnąłem dalej nie chcąc sprawiać zawodu przemilej gospodyni – uważali, że nowa guwernantka romansuje z młodym Milesem, który był oczywiście

tylko niewinnym narzędziem

w rękach podłego Petera. Inni opowiadali, że guwernantka utrzymuje stosunki lesbijskie z Katie, w którą wcieliła się oczywiście panna Jessel.

–To znaczy guwernantka... i dwoje dzieci...? Przyjaciółka Susan, Katie Barrett, jej brat... i guwernantka?

–Kto to może wiedzieć? – W istocie nawet po dwukrotnym przeczytaniu W kleszczach lęku nadal dobrze nie orientowałem się, kto tam kogo posuwał. W tym ciężko strawnym wiktoriańskim powieścidle krył się jednak materiał na całkiem niezły erotyczny horror.

–Nie wiem, ile z tego, co słyszałem – jeśli w ogóle cokolwiek – jest prawdą, wiadomo mi jednak, że Barrettowie wyprowadzili się stąd nagle w roku 1966 i nigdy nie wrócili. Od tego czasu – crescendo organowe, proszę – aż po dziś dzień dom był nie zamieszkaany. Ale nie mów Susan, że ci to opowiedziałem. Wciąż nie daje jej to spokoju.

Kiwnęła głową próbując złapać oddech. Mój Boże, zrobiła się blada jak śmierć.

–Dobrze... Nie powiem... Czy wciąż tu są, John?

–Barrettowie?

–Nie, duchy.

–Och... naprawdę nie wiem. – Czułem się trochę, jak mały psotnik. – Wątpię – dodałem. – Interesował je tylko seks.

–Mój Boże... – Ponownie przeżegnała się. – Zanim się sprowadziliśmy – poinformowała mnie – był tutaj ksiądz i poświęcił cały dom.

–No to znakomicie. Nie ma się czego obawiać. Czy można ci nalać trochę sherry? Albo grappy?

–Nie. Czuję się dobrze. – Nadal ścisnęła w palcach swój krzyżyk, zasłaniając mi widok na Dolinę Szczęścia.

Spojrzałem na zegarek. Od czasu, kiedy Susan i Frank wybrali się na spacer, minęło mniej więcej dwadzieścia minut i zaczynałem się trochę niepokoić.

Odchyliłem się do tyłu i założyłem nogę na nogę. Zamieniliśmy z Anną kilka słów, ale coś wyraźnie nie dawało jej spokoju. W końcu zniecierpliwiała mnie głupota tej kobiety.

–Chrześcijanie nie wierzą w duchy – oświadczyłem surowo.

–A Duch Święty?

–To co innego. To jedna z osób Trójcy Świętej.

–Nie szkodzi.

Poczułem, jak ogarnia mnie frustracja.

–No dobrze, więc sprowadź tu z powrotem księży. Niech sprawdzą.

–Zrobię to.

W końcu pojawili się Susan i Frank.

–Powinieneś obejrzeć oranżerię – oznajmiła mi moja żona. – Aż gęsto w niej od kwiatów, tropikalnych roślin, palm i paproci. Jest przepiękna.

–A zucchini?

–Wszystkie warzywa rosną teraz na dworze – wyjaśnił Bellarosa. – Zajmuje się nimi mój ogrodnik. Wszystko tutaj pozmieniał.

Stosuje płodozmian. Rozumiesz?

Susan i Frank usiedli. Nadeszła pora na rozmowę o tym, co kto gdzie posadził, w związku z czym wyłączyłem się. Odtworzyłem w pamięci scenę na balkonie, a potem w bibliotece. Cały epizod do tego stopnia odbiegał od mego życiowego doświadczenia i tego, co pamiętałem z praktyki adwokackiej, że niezupełnie zdawałem sobie jeszcze sprawę z jego znaczenia. Miałem jednak poczucie, że zawarłem z Bellarosą coś w rodzaju przymierza.

Stojący w przeciwległym rogu pokoju duży ozdobny zegar wybił północ. Dwanaście głośnych uderzeń rozbrzmiało echem w sali balowej, przerywając rozmowę. Natychmiast skorzystałem ze sposobności.

–Obawiam się, że trochę się zasiedzieliśmy. – W języku anglosaskiego protestanta oznacza to: "Czy możemy dać stąd w końcu nogę?" – Skądże znowu – odparł Bellarosa. – Gdybym chciał, żebyście sobie poszli, tobym wam powiedział. Po co ten pośpiech?

–Dokuczają mi hemoroidy – poinformowałem wszystkich.

–Och, to na pewno doprowadza cię do szaleństwa – odezwała się ze współczuciem pani Bellarosa, która najwyraźniej doszła już do siebie po historiach z duchami. – Miałam to po wszystkich moich ciężach.

–Podobnie jak Susan. – Wstałem uciekając przed lodowatym wzrokiem mojej żony.

Pozostała trójka także uniosła się z krzesel i ruszyliśmy w ślad za Bellarosą przez

salę balową. Zastępowałem trochę, żeby rozśmieszyć Susan, która wykrzywiła w końcu usta w uśmiechu i dała mi kuksańca w ramię.

Kiedy przecinaliśmy palmiarnię, zagwizdałem jak żółta zięba, w czym jestem niezły, i wszystkie ptaki w klatkach zaczęły naraz ćwierkać i świergotać.

Bellarosa spojrział na mnie przez ramię.

–Całkiem niezłe – pochwalił mnie.

–Dziękuję. – Poczulem na ramieniu kolejnego kuksańca.

Zatrzymaliśmy się przy drzwiach wyjściowych, gotowi powiedzieć sobie dobranoc.

–Chciałabym dać wam obojgu prezent na nowy dom -• oświadczyła niespodziewanie Susan.

Miałem nadzieję, że wybrała tort, ale nie.

–Maluję tutejsze rezydencje – powiedziała – i...

–Bierze dziewięćset dolców za pokój – przerwałem – ale wam odmaluje, jaki tylko chcecie, za darmo.

–Maluję obrazy olejne, których tematem są ruiny. Mam fotografie tej palmiarni sprzed remontu. – Wyjaśniła, o co jej chodzi, i zakończyła mówiąc: – Mam slajdy, ale część pracy będę musiała wykonać tu, w Alhambrze, żeby na miejscu zorientować się w perspektywie i proporcjach, a także zobaczyć, jak to wygląda w różnym oświetleniu.

Biedna pani Bellarosa nie wydawała się wcale uszczęśliwiona.

–Chcesz namalować to w takim stanie, w jakim po raz pierwszy to zobaczyłam? Tu były same gruzy.

–Ruiny – poprawiła ją Susan. Kiedy wpadnie w artystyczny nastrój, wyraża się bardzo profesjonalnie.

–Jasne – wtrącił się Frank. – Wiem, o co chodzi. To będzie podobne do obrazów, które oglądaliśmy w tym muzeum w Rzymie, Anno. Wszystkie te rzymskie, porastające trawą ruiny, a wokół pasące się owce i pasterze z mandolinami. Jasne. Zrobisz to?

–Tak. – Susan spojrziała na Annę Bellarosę. – Będzie bardzo piękne. Naprawdę.

Anna Bellarosa popatrzyła na męża.

–Brzmi wspaniale – oświadczył Frank. – Ale muszę ci za to zapłacić.

–Nie. To będzie mój podarunek dla was obojga.

–W porządku. Możesz zacząć, kiedy chcesz. Nasze drzwi stoją dla ciebie otworem.

Przyszło mi do głowy, że Frank wiedział o tej propozycji już wcześniej. Nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby Susan wystawiła do wiatru mnie i Annę Bellarosę. Susan zawsze osiąga to, czego chce.

Przysunąłem się do drzwi.

–Wieczór był bardzo interesujący i naprawdę świetnie się bawiliśmy – wygłosiłem swoją rutynową pożegnalną kwestię.

–Jasne -^- zgodził się Frank.

–Anno, musisz dać mi przepis na krem do cannoli – wyrecytowała z kolei swoją rolę Susan.

Ponownie poczułem, jak żołądek podnosi mi się do gardła.

–Nie mam żadnego przepisu. Po prostu go przyrządzam – odparła pani Bellarosa.

–Jesteś urocza! – zakrzyknęła Susan, po czym dokończyła kwestii: – Nie pamiętam, kiedy się tak dobrze ostatnio bawiłam.

Musimy to powtórzyć. Następnym razem wpadnijcie do nas.

Prawdę mówiąc, zabrzmiało to całkiem szczerze.

Anna uśmiechnęła się. – Świetnie – powiedziała. – Może jutro?

–Zadzwoń do ciebie – odparła moja żona.

Frank otworzył drzwi.

–Jedźcie ostrożnie do domu. Uważajcie na szpicli – powiedział i roześmiał się.

Podąłem rękę gospodarzowi i pocałowałem Annę w policzek.

Potem pocałowały się Anna i Susan, a następnie Frank i Susan. Każdy otrzymał swoją porcję czułości i już chciałem przejść przez próg, kiedy coś sobie przypomniałem. Wyjąłem z portfela wizytówkę i zostawiłem ją na stoliku pod kwiaty.

Podeszliśmy we dwójkę do jaguara. Moja żona postanowiła, że to ona będzie prowadzić, i siadła za kierownicą. Zawróciła na dziedzińcu, pomachaliśmy Bellarosom, którzy wciąż stali przy drzwiach, po czym ruszyliśmy w dół alei.

Nie rozmawiamy ze sobą na ogół wiele po towarzyskich imprezach, czasami dlatego, że jesteśmy zmęczeni, a czasami dlatego, że dąsamy się na siebie z powodu jakiegoś niewinnego flirciku, przytulania się w tańcu do innej osoby, a także ironicznych uwag i najróżniejszych przewinień drugiej strony.

Brama otworzyła się automatycznie, kiedy się do niej zbliżyliśmy.

Ze stróżówki wyszedł Anthony i pomachał nam ręką, kiedy go mijaliśmy. Susan odwzajemniła jego gest. Skręciła w prawo i znaleźliśmy się na Grace Lane.

–Dobrze się bawiłam – oznajmiła w końcu. – Ty też?

–Tak,

Spojrzała na mnie.

–Rzeczywiście tak?

–Tak.

–To dobrze. Więc jesteś zadowolony, że tam poszliśmy?

–Tak.

Minęła otwartą bramę Stanhope Hall i zatrzymała samochód.

W przeciwieństwie do Bellarosów nie zafundowaliśmy sobie automatu, wysiadłem więc, zasunąłem oba skrzydła i zamknąłem bramę na kłódkę. W stróżówce było oczywiście ciemno, Allardowie bowiem kładą się wcześniej spać. W tym momencie oznajmiam często, że pozostały odcinek przejdę na piechotę. Reakcją zazwyczaj jest pisk opon i fruwanie w powietrzu żwir. George wyrównuje go rano grabiami.

–Wsiadasz? – zawołała z samochodu Susan. – Czy nie?

Narody wypowiedają sobie wojnę tylko raz na jakiś czas. Małżonkowie żyją w stanie permanentnej wojny, przerywanej z rzadka okresem zawieszenia broni. Nie bądź cyniczny, Sutter.

–Wsiadam, kochanie – oznajmiłem sadowiąc się z powrotem w samochodzie. Susan ruszyła powoli pogrążoną w ciemności aleją.

–Nie powinieneś zostawiać im swojej wizytówki – powiedziała.

–Dlaczego?

–Bo... a swoją drogą, o czym rozmawiałeś z Frankiem tak długo?

–O morderstwie.

–Anna jest raczej sympatyczna. Być może trochę... mało skomplikowana, ale

sympatyczna.

–Tak.

–Frank też potrafi być sympatyczny. Nie jest wcale taki nieokrzesany, na jakiego wygląda, ani jak można by sądzić po jego sposobie wysławiania się.

Może się założymy?

–Myślę, John, że Anna cię polubiła. Wpatrywała się w ciebie przez większość wieczoru.

–Naprawdę?

–Uważasz, że jest atrakcyjna?

–Ma rubensowskie cycki. Dlaczego nie namalujesz jej nagiej, tańczącej w palmiarni?

" – Nie maluję kobiecych aktów. – Zatrzymała samochód przed domem, wysiedliśmy, otworzyłem kluczem drzwi i weszliśmy do środka.

Oboje skierowaliśmy się do kuchni, gdzie nalałem sobie i Susan wody mineralnej.

–Czy dyskutowaliście o interesach? – zapytała.

–O morderstwie.

–Bardzo śmieszne. Czy ty i Anna odkryliście, skąd się znacie?

–Tak. Widzieliśmy się w Locust Valley. W aptece. Kupowaliśmy oboje maść na hemoroidy.

–Brawo za szybki refleks.

–Dziękuję.

–Dlaczego założyłeś okulary? Szybko! – Żeby Frank nie uderzył mnie w twarz.

–Bardzo dobrze. Straszny z ciebie wariat, wiesz o tym.

–I kto to mówi.

Susan wypita swoją mineralną i skierowała się ku drzwiom.

–Jestem wykończona. Idziesz na górę?

–Za chwilę.

–W takim razie dobranoc. – Zawahała się przez moment. – Kocham cię – powiedziała.

–Dziękuję.

Siedziałem przy stole obserwując bąbelki w mojej mineralnej i słuchając tykania kuchennego zegara. – Morderstwo – powiedziałem sam do siebie. Ale przecież on nie popełnił tego morderstwa.

Wierzyłem mu. Popełnił tuzin innych przestępstw, wliczając w to prawdopodobnie szereg morderstw. Ale nie to konkretne morderstwo.

Jak wspomniałem, już wcześniej miałem przeczucie, że ja i Frank Bellarosa nie ograniczymy się w naszych rozmowach wyłącznie do spraw oranżerii i warzyw. Ale na tym kończyły się moje profetyczne zdolności. Od tego momentu – od momentu, kiedy nie ruszyłem się z miejsca i wypilem z nim ostatni kieliszek grappy – byłem zdany na własne siły.

Kiedy teraz patrzę na ten wieczór z perspektywy, myślę, że gdyby

Susan oświadczyła, iż był okropny i że powinniśmy unikać Bellarosów, po prostu bym się do tego zastosował. Ale – wprost nie do wiary – Lady Stanhope miała zamiar namalować Alhambrę i w związku z tym prawie codziennie widywać się z Donem i Donną. Sądzę, że powinienem przewidzieć niebezpieczeństwa, kryjące się w tej sytuacji, i być może nawet je przewidziałem, ale zamiast zażądać od Susan, by wycofała swą ofertę, nabrałem wody w usta. Oczywiście każde z nas miało własne powody, by pozytywnie odpowiedzieć na zainteresowanie, jakie okazał nam Bellarosa: ja – ponieważ potraktowałem to jako wyzwanie i chciałem udowodnić Susan, że jej mąż nie jest wyłącznie nudnym adwokatem i że stać go czasem na chwilę szaleństwa; Susan – ponieważ... no cóż, wtedy jeszcze nie wiedziałem dlaczego; odkryłem to dopiero później.

I w ten sposób kilka mało znaczących przypadków – incydent na sianie, incydent przy korcie tenisowym oraz fakt, że państwo Sutterowie trochę się z nadejściem wiosny nudzili – zbiegło się w czasie z pojawieniem się Bellarosy oraz jego problemów i zbliżyło nas do siebie. Mimo że wydaje się to mało prawdopodobne, takie rzeczy się zdarzają, świadcząc najdowodniej, że każdy powinien się jednak trzymać własnej sfery.

Ale to wszystko wiem ponieważ. Tamtego wieczoru mój umysł był zaćmiony. Nie potrafiłem racjonalnie myśleć, ponieważ gorączkowo chciałem coś udowodnić sobie i całemu światu. Jak się dalej okaże, bardzo źle jest się zasiedzieć na przyjęciu w środku tygodnia.

Koniec tomu pierwszego.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/